

P. 0786 dw. 17.10.11
ISSN 0023-5148

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ Nr 1/436 - 2/437 1984



• *« La Culture » • Revue mensuelle •*

G. HERLING-GRUDZIŃSKI: **CUD**

P. MORGA: **NOTATKI O BOJKOCIE**

ARESZTOWANIE

M. HELLER: **SPOTKANIE TRZECIEGO TYPU?**

A. MICHNIK: **GRUDNIOWE REKOLEKCJE**

SPIS RZECZY

Redakcja:	<i>Obsewatorium</i>	3
Józef Szrett:	<i>Dolina między górami</i>	5
—	<i>Apel</i>	18
Gustaw Herling-Grudziński:	<i>Cud</i>	19
Paweł Morga:	<i>Notatki o bojkocie</i>	27
—	<i>Aresztowanie</i>	41
Henryk Grynberg:	<i>Ochotnik</i>	55
Sławomir Mrozek:	<i>Życie duchowe — umysłowe i artystyczne</i>	65
	WIERSZE	
Barbara Sadowska:	<i>...dziurawe mam ręce...</i>	69
Natalia Gorbaniewska:	<i>...A jutro nie odnajdziesz...</i>	70
	ARCHIWUM POLITYCZNE	
Józef Garliński:	<i>List z Londynu</i>	71
Dominik Morawski:	<i>„Ostpolitik” Watykanu</i>	77
Leopold Unger:	<i>Widziane z Brukseli</i>	80
—	<i>„Sacharowskie przesłuchania”</i>	88
—	K R A J	
—	<i>Wywiad z KOS-em</i>	89
Stefan Kisielewski:	<i>Wstęp do programu opozycji</i>	100
Michał Heller:	<i>Spotkanie trzeciego typu?</i>	111
Adam Michnik:	<i>Grudniowe rekolekcje</i>	113
Stanisława Bogdańska:	<i>Radio Wolna Europa</i>	132
	SĄSIEDZI	
Adam Kruczek:	<i>W sowieckiej prasie</i>	137
Bohdan Osadcuk:	<i>Kronika ukraińska</i>	143
Alexander Tomsy:	<i>Kronika czeska i słowacka</i>	146
Andrzej J. Chlewicki:	<i>Kronika niemiecka</i>	148
	SPRAWY I TROSKI	
Danek Turczyński:	<i>Irackie rozmowy (2)</i>	152
Sally Boss:	<i>Uczelnie polskie w USA</i>	160
Jerzy Grot Kwaśniewski:	<i>Polacy w Nowej Zelandii</i>	166
	KRONIKA KULTURALNA	
Wojciech Karpiński:	<i>Raymond Aron</i>	169
Józef Czapski:	<i>Polemika i zwierciadło</i>	178
Janina Katz Hewetson:	<i>Podzwonne</i>	180
—	<i>Kołokwium „Archipelagu”</i>	181
	WOLNA TRYBUNA	
M. Waran:	<i>Wydarzenia w Polsce i ich ocena</i>	183
Ks. Stanisław Małkowski:	<i>List do Redaktora „Kultury”...</i>	191
Jerzy Boniecki:	<i>Polemizuję z ks. Małkowskim</i>	193
	KSIĄŻKI	
Jerzy R. Krzyżanowski:	<i>Miła baśń</i>	196
—	<i>Zapowiedzi wydawców emigracyjnych na rok 1984</i>	198
—	<i>Nadestane nowości wydawnicze</i>	199
—	◆	
—	<i>Wydarzenia miesiąca wraz z kronikami: austriacką francuską, kanadyjską i szwedzką</i>	201
—	<i>Z ostatniej chwili</i>	209
—	◆	
P. Brock, H. Grynberg, R. Lewański, St. Marcinkowski, M. Lipowski, W. Pilecki, W. Rostafiński, M. von Scheven, A. Wręga, Zarząd Pol. Inst. Nauk. w Ameryce:	<i>Listy do Redakcji</i>	210
—	<i>Odpowiedzi Redakcji</i>	219
—	<i>Sprostowania</i>	219
Wł. Ledóchowski:	<i>Oświadczenie</i>	220
Dokumenty:	<i>List wiernych do prez. m. Przemysła</i>	221

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ Styczeń/Luty - Janvier/Février 1984

INSTYTUT



LITERACKI

NAGRODY „KULTURY” ZA ROK 1983 BĘDĄ
OGŁOSZONE W NUMERZE MARCOWYM. — REDAKCJA

WPLATY NA FUNDUSZ « KULTURY »

Dr Krzysztof Boreyko, Easton, CT (USA), po raz 4-ty — \$ 136,00	F.1.130,00
Aleksander I. Bragiński, Pittsburgh, PA (USA), po raz 36-ty — \$ 20,00	F. 166,00
Tomira Buxell, Wellesley, MA (USA), po raz 9-ty — \$ 102,00	F. 846,50
Jacqueline Dyjas, Paryż — dla uczczenia pamięci Barbary Palestrowej (4 grudnia)	F. 150,00
Renata i Juliusz Dzianott, Rosario de Santa Fé (Argentyna), po raz 8-my — \$ 109,00	F. 905,00
Wiera Gran, Paryż — zamiast kwiatów na grób — dla uczczenia pamięci nieodżałowanego, prawego, odważnego człowieka, Szymona Laksa	F. 200,00
Władysław Holcman, Kopenhaga, po raz 4-ty	F. 120,00
Marek Hurvic, Paryż, po raz 17-ty	F. 120,00
Karol Jabłoński, Miami, FL (USA), po raz 16-ty — \$ c. 16,25	F. 109,00
J.W. (USA) — dla uczczenia pamięci p. L. Przedpełskiej — \$ 50,00	F. 415,00
Piotr Kalinowski, Paryż, po raz 16-ty	F. 100,00
Tad de Laurent, Bielefeld (RFN), po raz 7-my — DM 20,00	F. 65,00
Wilhelm B. Matykiewicz, Old Bethpage, N.Y. (USA), po raz 12-ty — \$ 10,00	F. 83,00
Renata i Witold Mikułowscy, Bujumbura (Burundi), po raz 5-ty	F. 280,00
M. Piaskowski, Caulfield North, Vic. (Australia), po raz 2-gi ..	F.1.538,46
Stefan Rose, Paryż, po raz 5-ty	F. 120,00
Czesława i Jan Seremak, Honolulu, Haiti (USA), po raz 7-my — \$ 50,00	F. 415,00
Dr Władysław Socha, Upper Grandview, NY (USA) — dla uczczenia pamięci Eugeniusza Sławsona — \$ 89,50	F. 743,00
Zygmunt Sowa, Detroit, MI (USA), po raz 12-ty — \$ 100,00	F. 830,00
A. Stachelska, Johannesburg (Afryka Płd.), po raz 11-ty	F. 295,00
Alina Starczewska, Arlington, MA (USA) — sumę przeznaczoną na Fundusz „Kultury” przez Jej Męża śp. Walerego Starczewskiego — \$ 3.000,00	F.24.900,00
Franciszek Strociak, Park Ridge, IL (USA), po raz 24-ty — \$ 48,00	F. 399,00
Irena Strutyńska, Knutange-Nilvange (Francja), po raz 9-ty	F. 100,00
Dr Anna Sztetle, Winnipeg, Man. (Kanada) — \$ c. 50,00	F. 335,00
S. Szynalski, St. Agathe, Man. (Kanada), po raz 8-my — \$ c. 70,00	F. 462,00
Tadeusz Walendowski, Bethesda, MD (USA) — \$ 60,00	F. 498,00
W. Wilczyński, Brooklyn, NY (USA), po raz 4-ty — \$ 8,00 ..	F. 66,60
Janusz S. Wiland, Toronto, Ont. (Kanada), po raz 20-ty	F. 195,00
Wacław Winnicki, Cincinnati, OH (USA), po raz 6-ty — \$ 50,00	F. 415,00
Dr Stefan Wowczak, Wedemark (RFN) — zamiast kwiatów na grób śp. Ojca prof. dr. Jana Wowczaka, w 100-lecie jego urodzin (28.1.1884 - 5.5.1935)	F. 400,00
Płk Jan Woźniak, Londyn, po raz 11-ty — £ 20,00	F. 240,00

(Dalszy ciąg Wpłat na str. 223)

Obserwatorium

Lech Wałęsa w swoim głośnym apelu wezwał do zniesienia sankcji gospodarczych, a nagrodę Nobla przeznaczył na Fundusz Pomocy dla indywidualnego rolnictwa. Apel Wałęsy spotkał się z życzliwym przyjęciem prezydenta Reagana.

W związku z tym apelem przedrukowujemy z poprzedniego numeru *Kultury* zakończenie artykułu prof. Zbigniewa Fallenbuchla *O sankcjach gospodarczych wobec Polski*, gdyż wyraża ono bardzo dokładnie nasze stanowisko:

„... Aby wydobyć gospodarkę z kryzysu, rząd Jaruzelskiego musi uczynić takie ustępstwa polityczne, która doprowadzą do zniesienia sankcji gospodarczych i uzyskania częściowej przynajmniej akceptacji ludności dla trudnej polityki gospodarczej. Alternatywą jest dalsze przewleknięcie się kryzysu. Ta alternatywa może doprowadzić do stabilizacji gospodarki jedynie na bardzo już niskim poziomie dochodu narodowego na głowę mieszkańca...

Cechą charakterystyczną sankcji gospodarczych jest to, że ich skutki widać dopiero po dłuższym czasie. Zadaniem sankcji zastosowanych wobec PRL jest zmuszenie grupy Jaruzelskiego do przyjęcia pierwszej drogi. Zniesienie sankcji bez osiągnięcia zmiany polityki, która zagraża narodowi, nie jest w jego interesie. Jest rzeczą ważną, aby przedstawiciele zachodnich krajów, którzy rozpoczęli ponownie rozmowy z PRL, zdawali sobie z tego sprawę”.

Zniesienie sankcji umożliwiłoby reżymowi gen. Jaruzelskiego zabiegi o dalsze kredyty dla PRL. Ze strony „Solidarności” nie widać prób sformułowania konkretnego programu gospodarczego, którego realizacja mogłaby zapewnić ewentualną pomoc Zachodu, zabezpieczając Polskę przed jej zmarnowaniem.

To samo dotyczy projektowanego Funduszu Pomocy dla indywidualnego rolnictwa. Społeczeństwo nie jest informowane jak się sprawa przedstawia, otaczająca ją aura tajemniczości sprzyja szerzeniu się i narastaniu niepotrzebnych pogłosek. Można ostatecznie zrozumieć, że chodzi tu o nieutrudnianie roków i zabiegów. Ale społeczeństwo powinno wiedzieć jakie są zadania Funduszu i jak ma on działać, powinno innymi słowy znać program uzdrowienia polskiego rolnictwa. Tymczasem brak nie tylko jakichkolwiek szczegółów, lecz nawet pogłębionej dyskusji na ten temat. I to zarówno ze strony „Solidarności”, jak ze strony kół bliskich hierarchii kościelnej.

Słabe zainteresowanie „Solidarności” sprawami gospodarczymi w całym okresie jej legalnego istnienia i nikłe wysiłki postawienia na nogi „Solidarności” wiejskiej nie napawają optymizmem. Wałęsa i jego doradcy koncentrują się prawie wyłącznie na postulacie dialogu z władzą. Kto tak usilnie — i mniejsza w tej chwili o to czy realistycznie — domaga się dialogu z władzą, musi być do niego dobrze przygotowany i wiedzieć, o czym *konkretnie* chce się dyskutować.

REDAKCJA

14 grudnia 1983

Dolina między górami

Widok z lukrowanego landszaftu: zaciszna, zielona dolina rozkwitająca bujnie pomiędzy stromymi zboczami gór o śnieżystych turniach. Można go oglądać w blaskach słońca południa, w jutrzence wschodu i wieczornej iluminacji, w kolorystach pór roku. Pejzaż romantyczny. I metafizyczny — natura obdziaająca nas łaską urodzaju, spokoju i piękna.

Pejzaż polski, pomimo nieustannego przyznawania się Polaków do romantyzmu, wcale romantyczny nie jest. Góry otaczające naszą dolinę nie są górami natury, lecz historii. Polacy wprawdzie zrobili całkiem niezłą dziejową karierę, gdy z małego i raczej nieokrzesanego plemienia przedzierzgnęli się najpierw w europejskie mocarstwo, a potem — gdy już wspólnymi siłami mocarstwo to zepsuli — pozostali jednak dużym i zwartym narodem, który z mapy świata wymazać się nie dał. Ale narody, które osiedliły się po obu otwartych stronach polskiej równiny zrobiły jeszcze większe kariery. Co prawda Niemcy przez całe stulecia żyli zdeintegrowani w obrębie luźnej struktury Cesarstwa Rzymskiego Narodu Niemieckiego, ale gdy wreszcie nastąpiło zjednoczenie, wytworzyła się potęga o kluczowym znaczeniu w Europie, oparta o wielomilionowe i dobrze zorganizowane społeczeństwo. W obecnej sytuacji podziału znaczenie Niemiec nie zmalało, choć Republice Federalnej odcięto znaczne obszary, przede wszystkim rolnicze, i ponad 15 % ludności.

Po drugiej stronie naszej doliny ekspansja Rosjan przybrała tak dynamiczną formę, że Lenin przejął po caracie w spadku tylko nieznacznie od zachodu uszczuplone obszary o wymiarze subkontynentu rozciągniętego na dwa kontynenty. Lenin i jego następcy przejęli jeszcze coś więcej: ogromne zbiorowisko różnorodnych nacji wdrożonych do życia dyktowanego, przeciw które-

mu buntują się jednostki. Tak więc pomiędzy górami stadności — etnicznie monolitycznej od zachodu i zadziwiająco zróżnicowanej od wschodu — dolina Polaków-indywidualistów wciśnięta została w dwustronne parcie ekspansywne, w dwustronną wrogość. Małą pociechą było jak dotychczas to, że obie ekspansje zderzały się ze sobą, bowiem zderzenia dokonywały się właśnie w obrębie owej doliny. To, co miało być europejskim zaciszem i oazą mlekiem i miodem płynącą, przeobrażono w poligon lub w najlepszym razie korytarz europejski. W tej sytuacji polski indywidualizm ma wszelkie cechy anachronizmu. Tak jednak nie jest, skoro dotychczas stworzył podstawy istnienia — trudnego i nieraz tragicznego — ale jednak istnienia pomiędzy obu naparami. Cechą indywidualizmu jest samodzielność myślenia. Polacy czasem bezsilnie rozkładają ręce, czasem przybierają pozy negatywne, ale myśleć nie przestali. I nie mogą przestać, gdyż jak powiada ukute w PRL i przeciwko PRL-owskiemu reżymowi skierowane przysłowie: myślenie ma kolosalną przyszłość.

W ramach takiego działania intelektualnego trzeba koniecznie i nieustannie powracać do tych gór, co tak złowroźny cień rzucają na naszą dolinę. Gór wyburzyć ani zniwelować nie sposób. Musimy rozważać dwa cienie jako fakt istniejący realnie. Ale równocześnie myślenie o górach i ich cieniach nie może być dokonywane z pozycji kompleksów i resentymentów. Polak jest ciekawy świata, lubi podróżować, poznawać inne kraje i narody, a potem doświadczenia porównywać z własnym, polskim doświadczeniem. Niestety te przymiarki dokonuje zawsze w aurze kompleksów i autokompensacji. Że zaś im bliższe i im bardziej bezpośrednie styki, tym większe owe kompleksy i tym grubsze autokompensacje, Niemiec i Ruski, Ruski i Niemiec — tak jakby nie było już innych państw i narodów, tak jakby poza tymi górami rozciągało się coś bezmiernego i niejasnego — morze ciemności.

Polacy, z niewielkimi stosunkowo wyjątkami, nigdy nie kołali ani Niemców, ani Rosjan. Z pierwszymi trudno się było nawet dogadać, stąd owa dziwaczna nazwa, imputująca Germanom niemotę. Niedogadywanie się z drugimi miało inny wymiar — podobieństwo języków sprawiało, że rozumiejąc słowa, wzajemnie nie mogliśmy zrozumieć ich sensu. Albo nie chcieliśmy. I my, i Rosjanie. Owe wspomniane wyżej wyjątki były jednak zawsze na tyle liczne, by góry mogły wykorzystywać je dla swoich celów. Należy niestety zakwestionować nasz mit o kraju bez Quislinga. To hitlerowcy nie chcieli go i nie szukali, chociaż wiadomo, że potencjalne kandydatury były. Ostatecznie to nie Włosi, Portugalczycy czy Hindusi podpisywali Targowicę, zawierali Pakt Warszawski i ogłaszali w PRL stan wojenny. Naj-

bardziej gorzkie jest to, że akty te dokonywano w pompacyjnym sosie „ocalenia ojczyzny”.

Odkąd góry, uzyskawszy znaczną polityczną przewagę nad doliną, zaczęły ją przytłaczać, zacieniać, a nawet zasypywać, odtąd mają wobec nas nieczyste sumienie. Ale nieczyste sumienie może wywierać w różnych okolicznościach zupełnie odmienny wpływ na postępowanie. Zdarza się bardzo często, że powstaje pragnienie zemsty wobec tych, którzy są przyczyną owej „nieczystości”. Doświadczyliśmy tego doprawdy w nadmiarze. W chwili obecnej pośród Niemców, wypranych przez blisko 40 lat demokracji z „ducha germańskiego”, to nieczyste sumienie wyraża się bardzo często w swoistym zażenowaniu, demonstrowaniu życzliwości, a nawet wcielaniu jej w życie. Nie jest przecież żadnym paradoksem, iż pomoc, która nadchodziła ostatnio z Zachodu, była w tak wielkiej mierze pomocą właśnie z RFN.

U Rosjan pozostało nietknięte uczucie niechęci, podbudowanej podejrzliwością (skierowaną zresztą nie tylko do nas, ale właściwie do wszystkich państw niekontrolowanych). Działa też zawiść — ten knąbrny, niewdzięczny, *priwislanski kraj*, kontrolowany tak pilnie, więc *de iure* mający być zrównany z „wielkim bratem”, pomimo wszystko ocalił i swą indywidualną zamożność, i swą indywidualną wyższość kulturową. To niewybaczalne!

Należy jednak wyjaśnić, że mówiąc o wyższości kulturowej mamy na myśli zbiorową i właśnie indywidualną (czy może indywidualizowaną). Byłoby żalosną głupotą i zadufaniem negować olbrzymi wkład Rosjan w kulturę świata. Tylko że ten wkład wynika z działania wybitnych jednostek, podczas gdy zbiorowości rosyjska i polska — przedstawiają bardzo odmienny standard — odmienny na naszą korzyść. Mamy o wiele mniej geniuszy, ale o wiele więcej — w stosunku do całości narodu — jednostek o wysokim poziomie intelektualnym. I to boli może bardziej niż fakt, że przeciętny Polak lepiej się ubiera, do niedawna lepiej jadł i obcował z bardziej stechnicyzowaną cywilizacją życia codziennego. Kiedy Rosjanie mówią o nas z przekąsem „te polskie pany” — nie ma to wcale zabarwienia klasowego, lecz właśnie kulturowe. „Panów” w starym sensie tego słowa dawno już u nas nie ma, ale jesteśmy „panami”, bowiem nie daliśmy się zgłajchszałtować, utowarzyć i forma „wy” nie przyjęła się. W PRL „panom” przeciwstawić można tylko tych, o których powszechnie mówi się „oni”.

W sytuacji tak bardzo odczuwalnych, tak bezpośrednich presji i tak bardzo różnych, wyzbytych dostatecznego obiektywizmu zbiorowych odczuć gór wobec doliny, również i nasze zbiorowe uczucia zatraciły dawno czystość „szkiełka i oka mędrca”. To nie to, że po swym wieszczu Polacy odziedziczyli niejaki

wstręt do tych obiektywizujących urządzeń optycznych, ale że dali się przekonać o narodowym romantyzmie. Tymczasem znaczna część owego domniemanego romantyzmu jest wynikiem neurotycznych reakcji na cudzą niechęć czy wrogość. A romantyzm nie jest i chyba nie powinien być naszym przeznaczeniem. Zresztą jest to temat na odrębne rozważania — o sensie pozytywistycznej tradycji naszego narodu.

W ostatnich latach wśród Polaków uległa znacznemu stępieniu niechęć i wrogość do Niemców. Nie tylko wspomniana pomoc (tak zwane w PRL „zrzuty”) wzbudziła uczucia wdzięczności (można tu szukać analogii z pomocą i życzliwością niemiecką w okresie po powstaniu listopadowym). RFN stał się ponadto Mekką dla tych, którym w Polsce było nie tyle za ciasno, co za chudo. Stał się jakimś eldorado dobrobytu. Monstrualna anegdota z ostatnich czasów ubrała to w formę zagadki: jaka jest różnica między okupacją niemiecką a sowiecką? I odpowiedź: w sowieckiej nie wywozi się już, niestety, na roboty do Niemiec. Pominąć tu trzeba cały narodowo-etyczny problem tej nowej fali emigracji „na saksy” — w małym tylko stopniu legalnej. Ostatecznie kto woli być *gastarbeiter*’em niż obywatelem własnego kraju, to jego sprawa prywatna i katonizm jest tu wątpliwej jakości, zwłaszcza ze strony tych od dawna urządzonych w PRL, którym nie grozi wieloletnie czekanie na własny kąt, na kąt (bo nie gniazdo) dla tej rodziny, którą chciałoby się kiedyś założyć.

Najistotniejsze dla przedstawionego tu toku myślenia jest to, że autentyczne, materialne świadectwa zamożności („zrzuty”) i nieco zmitologizowana wizja RFN-skiego eldorado są też w jakiejś mierze reakcją na niezdarną — jak zawsze — propagandę reżymową. Mieszkańca PRL już zbyt długo, zbyt natrączywie i zbyt prymitywnie „straszy się Niemcem”. O ile propaganda historyzująca (to znaczy i rekonstrukcje dziejów najnowszych, i literatura czy widowiskowa produkcja fantastyczna — te różne „Kłosy”, „Pancerni i psy”) trafia, zwłaszcza w starszym pokoleniu, na własne doświadczenia, rany i blizny po ranach, o tyle całe to straszenie szpiegami i rewizjonistami od dawna już w Polsce nie chwyta, wręcz przeciwnie — budzi reakcje odmienne. Może i tu anegdota starczy za ilustrację polskiej recepcji reżymowej propagandy. Przychodzi do biura ZBOWiD-u* wiejska babina, by się do tej szacownej organizacji zapisać. „A co pani robiła w czasie okupacji, czym może pani umotywić swe podanie?” —

* Związek Bojowników o Wolność i Demokrację — reżymowe stowarzyszenie kombatanów i agentów, okraszone takimi nazwiskami jak Sokorski i Moczar. I tu jeszcze jedna, dostatecznie ordynarna, by ją w przypisie pomieścić, zagadka: ma 12 zębów i 24 jaja — co to jest? Prawidłowa odpowiedź: prezydium ZBOWiD-u.

„Pomagałam chłopcom z lasu”. — „A ma pani świadków?” — „Skądże, wszyscy polegli”. — „No to niech pani opowie przynajmniej, jak pani pomagała”. — „Zwyczajnie. Gotowałam zupe, piekłam chleb i zносиłam do lasu. Oj, chłopaki bardzo się cieszyli, mówili zawsze: *Danke schön!*” — „Ależ to byli Niemcy!” — „No tak, ale ci dobrzy — z NRD”.

Można by zaryzykować następującą tezę: współczesny Polak nie pokochał Niemców, ale nie przestał ich podziwiać za ich wysoki standard cywilizacyjny, a co najważniejsze — wyzwolił od lęku. Jest to jakby krok naprzód, chociaż oczywiście jeszcze wiele, bardzo wiele jest do zrobienia. Polacy są w dziedzinie Niemiec niedoinformowani, mają na co dzień zakłamaną historię, a nawet od święta brak rzetelnej informacji o współczesności tego kraju i o jego kulturze. I nie chodzi tu o to, by nagle zacząć przemilczać to, co się szczególnie zatrutym cieniem kładzie na naszej wspólnej przeszłości, ale o jakieś sensowne wyważenie ogólniejszego bilansu. Trzeba mówić i pisać o Niemcach bez kompleksów i na tyle szeroko, by przeciętny Polak nie miał wyobrażenia, że na tę nację składali się tylko Krzyżacy, promotorzy *Kulturkampf*’u, hitlerowscy oprawcy i groteskowe cienie przeszłości: „rewizjoniści” z ziomkostw. Należałoby też nieco przewietrzyć problem udziału Niemców w wewnętrznych dziejach naszego kraju, skoro tenże przeciętny Polak, który tyle słyszał o Krzyżakach, nie zdaje sobie sprawy ani z tego, że większość mieszczaństwa I Rzeczypospolitej to byli Niemcy, polszczyjący się lub nie spolszczeni, ale zachowujący wobec państwa należną lojalność i budujący w nim nowożytny handel i rzemiosło.

Chciałoby się z Niemcem móc rozmawiać z tej samej płaszczyzny ekonomicznego rozwoju, z tej samej płaszczyzny standardu cywilizacyjnego. Nie jest to możliwe, nawet w stosunku do mieszkańca NRD, który to pseudokraik jest od lat cierpliwie pompowany gospodarczo przez RFN. Natomiast możemy rozmawiać z tej samej płaszczyzny kulturowo-społecznej. I kto wie czy robotnik, a nawet inteligent niemiecki nie mógłby się wielu spraw od nas nauczyć. Oczywiście nie w dziedzinie zawodowej czy organizacji pracy, lecz w perspektywie wyjścia ku nowemu społeczeństwu bez barier, bez sztucznie podsycanych branżowych podziałów poziomych. Ale po to by rozmawiać ze wspólnej płaszczyzny konieczne jest wzajemne poznanie i rozumienie. Mamy na naszych przygarbionych plecach równie duże i ciężkie tobołki doświadczeń historyczno-kulturowych, własnych tradycji, własnego *modus vivendi*. Trzeba właśnie poprzez te bagaże dochodzić do płaszczyzny porozumienia, wyzwalając się tym samym z kompleksów, to znaczy nieuzasadnionych autopomnień jak i kompensujących je, równie nieprawdziwych autopowiekszeń.

Odmienne uклада się stosunek współczesnego Polaka do Związku Sowieckiego, a w konsekwencji — do Rosjan. Sądzę, że już od dawna — od ubiegłowiecznych powstań — niechęć zbiorowa nie była tak powszechna i tak bliska nienawiści. Nawet wówczas, gdy na naszej ziemi szalał terror stalinowsko-bierutowski nie było takiego *consensusu* w tej materii, a zwolennicy podległości PRL nie byli tak izolowani jak obecnie. Było ich zresztą wtedy dość sporo, i w znacznej mierze byli to ci, którzy wierzyli. Dziś ta przetrzebiona „elita”, która się sama usunęła poza ramy społeczeństwa, jeśli w cokolwiek wierzy — to we władzę, we współudział we władzy i w osobiste korzyści związane z ową PZPR-owską emigracją wewnętrzną. Nie ma co tu ukrywać — ogromna większość współczesnych dysydentów współpracowała lub przynajmniej utożsamiała się z reżymem. W jakiejś mierze wtórowali im w biernej kolaboracji wcale liczni bezpartyjni „szarzy Polacy”, ci co to „nie interesowali się polityką”; ludzie wyćienieni wojennymi i okupacyjnymi latami, i marzący tylko o jednym — o byle jakim spokoju.

Dzisiaj skurczyła się niepomierne grupa bezpartyjnych kolaborantów, wystrzyły się w tej dziedzinie przedziały, ale nawet wówczas, gdy ktoś „nie interesuje się polityką” — pozwala sobie na luksus pomstowania na „Ruskich”. Więc ów niemniej anonimowy „Ruski” stał się przyczyną zła wszelkiego: pustek w sklepach i brutalności milicji, zniewalania umysłów i gospodarczej niedorajdowości systemu. Przeniesione w sferę ocen indywidualnych, te wstręty układają się w schemat „czarnego” (a właściwie czerwonego) luda: „Ruski” to ciemniak i cham, pijak, złodziej i stupajka, donosiciel i bezbożnik, Azjata i muzyk, mentalnie zagipsowany najordynarniejszą propagandą, niebezpieczny w swej chciwości i w swej żądzy panowania nad światem. A więc kanibal i urodzony niewolnik w jednej osobie. Pomijając całą krańcową schematyczność tych opinii, mamy tu klasyczny przykład przeniesienia wad systemu na całe społeczeństwo.

W latach wojny i okupacji każdy Niemiec był oprawcą i zbrodniarzem, stąd duże zdziwienie, gdy po kilku dziesięcioleciach demokratycznej Republiki Federalnej nowe pokolenie jawi się nam jako zupełnie normalne społeczeństwo. W Związku Sowieckim, gdzie ustrój się nie zmienił i nawet nie wyewoluował w sposób istotny, gdzie nadal panuje totalitarno-policyjny zamordyzm, bardzo niefrasobliwie przenosi się wszystkie odrażające wady tego współczesnego *ancien régime*’u na szarych obywateli. To zupełnie tak, jakby nas obwiniano i obarczano przywarami junty Jaruzelskiego.

Jest jeszcze i druga przyczyna — Polak nie lubi przyznawać

się do własnych wad — zawsze to poręczniej obciążyć nimi kogoś innego. I dlatego ten *consensus* antyrosyjskości polskiej jest *consensusem* nie rozsądku ale emocji, nie obiektywnych przemyśleń, ale nagle obudzonych, starych resentymentów. W tej fali nastrojów swą odrębną rolę gra także reżymowa propaganda, działająca analogicznie jak w przypadku Niemców, w odwrotnym kierunku. Bowiem rzeczywiście PZPR-owskie władze tak strasznie boją się Moskwy, że poprzez swoją nadgorliwość jeszcze bardziej psują to co i tak, jak wszystko w socjalizmie, już z natury rzeczy działa kiepsko. Audycje w TV, w radiu, pisma z okazowym wręcz przykładem przez nikogo nie czytanego *Kraju Rad*, aż po surrealistyczną fikcyjność TPPR i ponurą groteskę „pociągów przyjaźni”, wszystko to jest wytworem ochoczej i tym bardziej jeszcze niezdarnej propagandy. Propaganda ta — sławiąc „człowieka radzieckiego” — ubliża po prostu Rosjanom, a w Polakach wywołuje dodatkowe stresy niechęci. Strach i służalczość ludzi z PZPR-u przemieniają ich z kolonialnych gubernatorów w gauliterów własnego kraju. W gruncie rzeczy w niechlubnych dziejach PRL-u jedyny Gomułka zdobywał się na pewne akty samodzielności, a nawet odwagi w stosunku do Kremla. Gdybyż jeszcze dopisywała mu inteligencja (co nie bez związku pozostawało z jego antyinteligentnymi kompleksami).

Jest rzeczą oczywistą, że życie w obrębie jakiegokolwiek systemu politycznego, w jakimkolwiek kręgu kulturowo-cywilizacyjnym odciska się trwałym piętnem na zbiorowości, a poprzez zbiorowość — na jednostce. Rosjanie nabawili się w ciągu wieków swej raczej ponurej historii cech bardzo złych, wręcz odrażających, ale — przygniecenii niedolami — zachowali też wiele cech dobrych. Zinowiewowski *homosos* jest pamfletem, ukazującym jakby przez szkło powiększające „człowieka sowieckiego” w jego najgorszych, właśnie przez despotyzm i wszechpresję ustroju uformowanych właściwościach. Ale popatrzmy do lustra, zajrzyjmy w głąb siebie — czy i w nas nie pojawiają się raz po raz symptomy porażenia sowieckością (oczywiście lekko podkolorowaną *a la Polacca*?).

Nie wydaje się rzeczą słuszną zachęcanie Polaków do tego, by kochali Niemców i Rosjan. W stosunkach pomiędzy narodami miłość jest uczuciem zbędnym, a nawet szkodliwym, skoro nigdy i w żaden sposób spełnić się nie może. Kopulacja narodów jest niewyobrażalna, a uczucia platoniczne nie mogą się przeobrazić w strumień poezji, bowiem zbiorowość zbiorowo nie jest w stanie spełniać erotyki ani czynem, ani też słowem.

Co więcej — Polacy w uczuciach swoich zazwyczaj dość impulsywni, ale zarazem mało wytrwali, miłość niespełnioną zbyt

szybko przeobrażaliby w nienawiść. I bez tego zbyt jej wiele wokół!

Tu niezbędna wydaje się pewna glossa. W owej dolinie pomiędzy górami żyją obok nas i inne nacje. Stosunki z nimi są bardzo istotnym elementem polskiej teraźniejszości, a jeszcze większym — przyszłości. Te stosunki po większej części są niezbyt dobre, czasem wręcz złe i jest niewątpliwą zasługą *Kultury*, że od lat konsekwentnie podejmuje te — niechętnie widziane przez licznych czytelników — drażliwe tematy, a zwłaszcza ukraiński, litewski i białoruski. Ponieważ nie wydaje się słuszne poszerzenie podjętego tu tematu na te najbliższe sąsiedztwa, sąsiedztwa z doliny, może warto jedynie zwrócić uwagę na jeden problem: nie wolno zapominać, że niemal żaden z najbliższych sąsiadów nie był nigdy w naszej sytuacji, nie miał gór z obu stron, tylko z jednej. Ukraińcy czy Litwini zapewne zaprotestuują, że dla nich tymi drugimi górami — od zachodu — była właśnie Polska. Ale będą w błędzie, gdyż analogii szukać będą w odległej i zamkniętej już przeszłości, a ponadto jednak polski ekspansjonizm nigdy nie przyjmował form tak brutalnych, jak te, którymi posługiwali się Niemcy, a nadal posługują Rosjanie.

Z tej uwagi płynie dalsza konsekwencja: nie powinniśmy i nie możemy liczyć na jakąkolwiek „buforowość” naszych najbliższych sąsiadów. Koncepcja „buforowa” w polityce okazała się czystą fikcją, a my w okresie międzywojennym okazaliśmy się „świną doświadczalną” powersalskiej Europy. Za to powinniśmy zrozumieć, że ułożenie jak najlepszych stosunków z sąsiadami jest po prostu sprawą bezpieczeństwa doliny. **CAŁEJ DOLINY!**

Polskie urazy wobec Niemców opierają się na wspomnieniach okupacyjnych i na tzw. zagrożeniu naszych granic zachodnich. Rzeczą oczywistą dla każdego, kto zna historię, jest to, że narody germańskie wyładowywały się często w potężnych erupcjach agresywności. *Furor teutonicus* zmanifestował się w dobie wędrówek ludów, w krzyżackim nawracaniu mieczem, a najsilniej w obu wojnach światowych. Czy to znaczy, że Niemcy są nadal pepiniarą militarystyki? NRD — na pewno, generał Hoffman szkoli tam zastępy europejskich Kubańczyków, a przedszkolem tego jest masowa produkcja sportowców, zagarniających naręczą medali na wszelkich międzynarodowych igrzyskach. Ale RFN? Ten kraj, w którym „pokojowcy”* są najpotężniejszym

* Może nie wszyscy organizatorzy Ruchu w Obronie Pokoju są agentami sowieckimi i zapewne ogromna większość manifestujących czyni to w zaszczytnym zamiarze obrony ludzkiego życia, ale ludzie ci niczego nie nauczyli się z przedwojennych losów pacyfizmu. I po prostu demonstrowują samoobronność Zachodu, zapominając, że — *si vis pacem para bellum*. Więc zasługują chyba na to przezwisko: pokojowców... Kremla.

ruchem masowym? Gdzie nawet żołnierze manifestują przeciw amerykańskim broniom raketowym?

Nie należy też zapominać, że Polska poniosła kolosalne straty materialne nie tylko w obu wojnach światowych, ale także podczas Potopu. Obok ruin z 1914-1918 (i 1920) i obok ruin z 1939-1945 roku pełno w Polsce ruin z 1655-1657. I czy ktośkolwiek boi się dziś najazdu Szwedów — tych bitnych i bezwzględnych żołdaków, którzy za Karola Gustawa byli postrachem połowy Europy, a dziś niezdarnie „wojują” z tajemniczymi (jak dla kogo!) łodziami podwodnymi, gotowi — jak twierdzi Zinowiew — przystać na „skandynawizację” (*per analogiam* do finlandyzacji), byle tylko ocalić swój dobrobyt?

Otóż to — najbardziej niegdyś wojownicze nacje utraciły swą waleczność w zetknięciu z dobrobytem i demokracją. I dlatego RFN przestał być dla Polaków groźny, a zachodnie granice są tylko towarem ewentualnych przetargów i racją coraz bardziej w przeszłość oddalających się przesiedleńczych wodzów o typowo pragermańskich nazwiskach jak Hupka czy Czaja. Natomiast ZSSR jest zagrożeniem dla całego świata, bowiem permanentna nędza i zatrzaśnięcie sumień w paragrafy kodeksu karnego sprawiają, że wojna jest dla „homososów” ryzykiem, ale i szansą na coś nowego, a więc lepszego.

Tak więc w krajobrazie naszej doliny zaszły w ostatnich dziesięcioleciach bardzo znamienne przemiany i ujmujące je w obręcz góry jedna drugiej już nierówne. Po jednej stronie łagodne zbocza, pokrywają leśną i halami maskujące erozję, po drugiej ostre, niedostępne skały, lodowce i wieczne śniegi. Od wschodu zagrożenie jest dla Polaków bardziej bezpośrednie, bowiem także rasowe. To pojęcie nie może być jednak utożsamiane z chorymi kategoriami nieboszczyka Rosenberga. Chodzi o wspólnotowe prądy w obrębie narodów słowiańskich. Z Niemcami obcując, Polak ma tylko dwie alternatywy: albo pozostać sobą, albo całkowicie się zniemczyć. Z Rosjanami sprawa jest trudniejsza, wyspecjalizowali się oni bowiem w rozmaitych wariantach dozących patriotyzm kontrolowanym przez siebie narodom, ale nie puszczając cugli „internacjonalizmu” — to znaczy obowiązku posłuszeństwa moskiewskiej centrali. Rusyfikacja w obrębie manipulowanego panslawizmu (czy jakkolwiek się takie koncepcje nazwie) nie musi być całkowitym wynarodowieniem, także w sensie językowym; wystarczy jeśli dokonuje się w umysłach jednostek. Alternatyw jest sporo i dlatego tak ważną, choć niezbyt popularną na Zachodzie koncepcją jest lansowana przez Jana Pawła II idea chrześcijaństwa słowiańskiego.

Na Zachodzie podnoszą się coraz to głosy: papież zanadto zajmuje się polityką. Nic głępszego niż taka argumentacja. Pa-

pież po prostu nie może nie zajmować się polityką, bowiem wszystko co dotyczy ludzkości jest *ipso facto* polityką: i obrona praw jednostki, i zasady sprawiedliwej pracy, i katechizacja narodów lub warstw społecznych. Więc idea chrześcijaństwa słowiańskiego jest ideą na wskroś polityczną, jeśli zechce się przyjąć do wiadomości, że polityką jest także sięganie do umysłów i serc ludzkich zbiorowości nie poprzez machinacje, terror i handlarstwo, ale poprzez głoszenie posłannictwa Bożego.

Zasygnalizowane powyżej możliwości rusyfikacji w duchowym i ideowym wymiarze nie zagrażają obecnie w większym stopniu — na długi okres zdecydowana większość społeczeństwa polskiego jest wyzwolona od tego niebezpieczeństwa. Wszelako mało co mniejszym niebezpieczeństwem jest zakrzepnięcie Polaków w ich obecnej antyrosyjskości. Grozi to na dalszą metę włączeniem absurdu wrogości, której alternatywą może być tylko eksterminacja jednego z narodów, a to znaczy naszego, ponieważ jesteśmy słabsi — mniej liczni, a w obecnej sytuacji także dostatecznie przez Pakt Warszawski rozbrojeni.

Ale nie chodzi o to, by ścieżki pomiędzy naszymi narodami prostować tylko z czystej kalkulacji. Po to, by naprawdę się wyprostowały konieczne jest głębsze poznanie i... zrozumienie. My bowiem widzimy Rosjan albo jako czerń pokornych rabów, posłusznie wykonujących każdy rozkaz idący z góry, albo jako makabryczne maski kremlofskich okrutnych starców i ich niezawodnych oprawców. Zły sen Polaków o Rosjanach jawi się pod postacią Gruzinów — Stalina i Berii, Ukraińca — Chruszczowa i... „polaczyszki” Dzierżyńskiego.

W zapomnienie poszli mickiewiczowscy przyjaciele-Moskale, a wspaniałe postacie współczesnych dysydentów jakby niezupełnie kojarzyły nam się z Rosjanami. A przecież, jak to napisał J. J. Lipski w swym cennym studium o dwu patriotyzmach (*Kultura* nr 10/1981), ci dysydenci zasługują na o wiele większy szacunek od naszych, bowiem nasi ryzykują o wiele mniej, nawet obecnie nie posiadamy — łagrów i zesłań. Nie należy ujmować nikomu, co mu się należy i nie po to wspomniana tu została dawna współpraca dysydentów z reżymem. Każdy ma prawo do błędu i prawo do wolności. Kosztów żadnego z tych przeliczyć ani obmierzyć się nie da. Wystarczy jednak stwierdzić: ryzykując stokroć więcej niż my, rosyjscy dysydenci ocalili honor Rosjan. I to nie jakimś teatralnym skokiem do rzeki, ale imperatywem wolności myśli i uporem. Tym samym, którym my chcielibyśmy ich oczerniać.

Poza tym — jednak trzeba ten truizm podjąć — Rosjanie wnieśli tak ogromny wkład do kultury świata, a nie przychodziło

to nigdy łatwo i czasem płacono za to wysoką cenę (Dostojewski), że chociażby dlatego zasługują na ogromny szacunek.

I wreszcie — co jest z kolei niespodzianką dla wielu Polaków, którzy nie mieli okazji na głębsze i bezpośredniejsze kontakty — Rosjanie to w większości ludzie łagodni, serdeczni, uczynni, gościnni i nastrojeni pokojowo. Te cechy zbiorowe, które im imputujemy, wynikają albo ze zniewolenia, z zakłamania i z izolacji, w które wpędził ich ustrój, albo w ogóle nie istnieją. Wydaje się, że największy grzech Rosjan to ich patriotyzm. Ten drugi, według oceny Lipskiego — wybujały, podszyty mesjanizmem i przeobrażający się w bezwzględność. Zresztą ten rosyjski mesjanizm zupełnie inny jest od naszego — płacziwego, przeanielonego i cierpiętniczego. Ich mesjanizm jest mesjanizmem przewożenia, mesjanizmem więc imperialistycznym. Oby kiedyś nastąpiło otrzeźwienie, zarówno w górach, jak też w dolinie, że ani Polacy nie są Chrystusem, ani Rosjanie Mojżeszem narodów (nawet słowiańskich), a w praktyce policjantissimusem.

Nonsensem, jak już była o tym mowa, jest namawianie narodów do pokochania innych. Nawet do ich miłowania nie trzeba zachęcać. Zbiorowość, przejmując od jednostek pewne sumy cech indywidualnych, nie staje się przez to żadnym indywiduum ludzkim, pozostaje zbiorowością i w tej perspektywie można ją w sposób możliwie obiektywny dostrzegać. Więc nie miłość, ale szacunek płynący z lepszego wzajemnego poznania i umiejętności rozumienia jest fundamentem stosunków międzynarodowych.

I cóż stąd, że najwybitniejsze jednostki, poznawszy i zrozumiawszy inny naród nabyły doń szacunku, gdy jako całości obie wielkie zbiorowości — naszej doliny i ich wschodnich gór — żywią w stosunku do siebie niekłamaną pogardę, przemieszaną — co tylko ją zaostrza — z zazdrością. Bo my im zazdrościmy wielkości i liczebności, całej ich polityczno-militarnej potęgi, a oni nam wyższego stopnia kulturowego i cywilizacyjnego.

Powróćmy przykładowo do patriotyzmu. Przecież tej cechy ani im, ani nam odmówić nie sposób. Ale ileż razy my, a zwłaszcza oni robili zły użytek z tego wzniosłego uczucia? Nie warto może bilansować, ile kto uczynił dla wspólnego dobra wielu narodów, warto jednak przypomnieć, że my walczyliśmy bardzo często w poczuciu owej wspólnoty ojczyzn, jaką mimo wszystko jest Europa. Powie ktoś, że szczytne hasło „Za naszą i waszą wolność” wypisywaliśmy wówczas, gdy w ucisku, miażdżeni przez otaczające nas góry, szukaliśmy skądkolwiek pomocy, własną solidarnością odwołując się do cudzej. Ale obchodzona w tym roku rocznica odsieczy wiedeńskiej przypomina o krucjatowym charakterze wielu naszych dawnych wojennych inicjatyw. Tracić jednak z pola widzenia nie można, bowiem nie wypada, tych przejawów

szowinizmu, którego nam też ani w przeszłości, ani dziś nie brakuje. I znów nie należy bilansować naszego z ich szowinizmem, bo to do nikąd nie prowadzi. Bo tylko między państwami można prowadzić — zazwyczaj jałowe — pertraktacje. Narody nie muszą się rozbrajać z rakiet, czołgów czy samolotów, ale z fobii, z kompleksów, z resentymentów. A w tej dziedzinie nawet jednostronne „rozbrojenie” ma szansę skuteczności — to znaczy „rozbrojenia” strony przeciwnej.

Góry — nawet te zachodnie — nie ulegną — przynajmniej w naszej ludzkiej, to jest pokoleniowej perspektywie — erozji i nie rozsypią się, obniżając do poziomu doliny. To nieprawda, że w naszej epoce cuda już się nie zdarzają: mamy z nimi na co dzień do czynienia, tylko często ich nie dostrzegamy, zabiegani, udręczeni własnym bytem mijamy obojętnie inne, te, które się wynoszą ponad zwyczajność swym zaangażowaniem w ogólnoludzką czy ogólnonarodową los człowieka. Cuda mają też często charakter zbiorowy i do takowych zaliczyć należy fenomen narodzin „Solidarności”. Tylko, że w naszej epoce nie ma już cudów teatralnie-transcendentalnych: święci nie podróżują na obłoczkach nad polami bitew, a już szczególnie tych, które toczą się w obrębie społeczeństw. Więc trzeba ludzi niejako nawoływać do cudów, do tych indywidualnych, aby w swojej codzienności znajdowali odwagę, by się po stronie cudu opowiedzieć, a także do zbiorowych. Bo czy możemy własną zbiorową rezygnacją, własnym zbiorowym wygodnictwem przysypać mogilnym kopczykiem „Solidarność”, która tylko w warstwie organizacyjnej została rozbita, ale „jeszcze nie zginęła”?

A w dziedzinie stosunków z naszymi sąsiadami trzeba, poprzez zbiorową dobrą wolę, zrobić wszystko by nieprzyjaciół wczorajszych czy dzisiejszych przeobrazić w przyszłych przyjaciół, lub przynajmniej w rzetelnych partnerów koegzystencji wolnych ojczyzn. Kisiel ma rację, powtarzając z upotem, że musimy sami dogadać się z Rosjanami. Tylko nie ma racji, adresując to dogadywanie się do sowieckiej wierchuszki, do tych lodowych turni *ancien régime'u*. Pomyłka polega na tym, że z równie jak PZPR izolowaną od społeczeństwa „elitą władzy” pertraktować bez pośrednictwa rodzimych gauleiterów po prostu się nie da i w ogóle nie ma z nimi o czym pertraktować, bowiem do pertraktacji potrzebny jest partner, a nie szuler!

Polacy nie pertraktować, ale rozmawiać muszą z Niemcami i z Rosjanami — z pierwszymi wyzbyci poniżającej świadomości ekonomicznej niższości, z drugimi bez kulturowo-cywilizacyjnej wyższości. I nie znaczy to, by zaraz wszyscy potomkowie Piasta Kołodzieja mieli bratać się, przepijać, całować z dubeltówki. Roz-

mowy z narodami trzeba rozumieć przenośnie, jako zbiorową rozmowę jednostek z nimi samymi, bowiem tego rodzaju rozmowa zacząć się musi niezbędnie od podstawowego pytania: kim ja jestem we współczesnym świecie? To już pierwszy, podstawowy stopień do osiągnięcia szacunku w stosunku do obcych.

Nie jest wcale dziwne, że *Kultura* — działająca spoza granic kraju — obrała drogę kładzenia pomostów pomiędzy narodami Europy środkowej. Wielu Polakom to się nie podoba, ale przecież nie chodzi o to, by znajdować łatwy i aktualny poklask, lecz aby spoglądać perspektywicznie, to znaczy oswobodziwszy się ze zniewolenia umysłowego w kraju i dojmującego wychodźstwa poza krajem. Jedynym bowiem słusznym spojrzeniem na te problemy jest spojrzenie z perspektywy wolnego sumienia.

Polska i Polacy pozostaną na tej równinie obok Ukraińców, Białorusinów, Litwinów, Słowaków i innych nacji. Ani im przewodzić politycznie nie mogą, ani się ekonomicznie uzależniać. I nikt nie skruszy ani nie przesunie gór, które tę dolinę grodzą. W naszym więc własnym interesie jest wyzwianie się spod cudzej opresji, ale równocześnie wyzwianie samych siebie z resentymentów i kompleksów. I żadna wyciągnięta do nas dłoń nie powinna być odrzucana. A góry też nie muszą być srogimi barierami i tym, co rzuca tylko cień na dolinę. Wizja aż dziecinna w swej naiwnej dobroduszości, landszaft nieomal odpustowy, a przecież wcale nie tak nierealny, jakby się to w pierwszej chwili mogło wydawać.

Tylko tyle, że chcąc, trzeba też umieć zaczynać od samych siebie. Więc nie „jednostronne rozbrojenie”, ale właściwe spożytkowanie wolności.

Józef SZRETT

LIBELLA

12, Rue Saint-Louis-en-l'Île — 75004 Paris

Métro: Pont Marie.

Tél.: 326-51-09.

KSIAŻKI POLSKIE • KSIAŻKI FRANCUSKIE DOTYCZĄCE POLSKI I EUROPY WSCHODNIEJ • PRZEKŁADY Z JĘZYKA POLSKIEGO NA FRANCUSKI

Katalogi bezpłatne wysyłamy na każde żądanie

Grudzień 1983.

DO POLAKÓW PO ŚWIECIE ROZSIANYCH!

Życie naszego narodu i przyszłe jego wyzwolenie zależą od tego, jaka jest jego zdolność teraźniejsza do duchowego opierania się sowietyzacji. Nie możemy liczyć na bierne przeczekanie sowietyzmu w nieokreślonej nadziei na nieokreślone siły zewnętrzne, które by nas miały wyzwolić. W najbliższej przyszłości ogniskiem naszego wysiłku musi być pomoc tym rodakom naszym w kraju żyjącym, którzy zajmować się będą wychowaniem młodych pokoleń, utrzymywać niezbędne więzi nasze z cywilizacją europejską i tradycją chrześcijańską, nie dopuszczać do zerwania naszej historycznej ciągłości kulturalnej, zwalczać znieprawienie języka polskiego przez żargon sowiecki. Tradycyjna ofiarności Polaków poza Polską musi być zdwojona, aby pomóc sprawie oświaty narodowej. Potrzebne będą w najbliższym czasie znaczne środki na różne cele oświatowe i kulturalne, m.in. na wydawanie podręczników dla młodzieży szkolnej i studenckiej w tych dziedzinach, gdzie kłamstwa oficjalne są najdokuczliwsze i najgroźniejsze: w historii, naukach społecznych i różnych dziedzinach wiedzy humanistycznej. Niezbędna jest także pomoc dla młodych uzdolnionych ludzi, którzy z powodów politycznych nie mogą znaleźć miejsca w życiu akademickim, ale mogą uprawiać poważną pracę naukową ważną dla naszej kultury. Powstała w Polsce tajna Rada Edukacji Narodowej, a obok niej Społeczny Komitet Nauki i Zespół Kultury; ciała te decydować będą wedle własnego rozeznania o rozdziale dostępnych środków i jest naszą powinnością w porozumieniu z nimi sprawę oświaty narodowej wspierać. Wzywamy wszystkich Polaków do przekazywania najhojniejszych darów na rzecz oświaty narodowej. Zbierane one będą na dwóch kontach bankowych, z których jednym zarządza Fundusz Pomocy Krajowi w Londynie, drugim zaś Fundusz Pomocy Niezależnej Literaturze i Nauce Polskiej w Paryżu.

Fundusz Pomocy Krajowi

Edward Raczyński (przewodniczący), Lidia Ciołkoszowa, Kazimierz Irane-Osmecki, Jan Kazimierski, Maria Leśniakowa, Ludwik Łubieński, Ks. Jerzy Mirewicz, Artur Rynkiewicz, Kazimierz Sabbat, Stefan Soboniewski, Zygmunt Szadkowski, Edward Szczepanik, Franciszek Wilk, Andrzej Zakrzewski, Jerzy Zaleski, Tadeusz Zenczykowski.

Fundusz Pomocy Niezależnej Literaturze i Nauce Polskiej

Czesław Miłosz (przewodniczący), Stanisław Barańczak, Mirosław Chojecki, Józef Czapski, Maria Danilewicz Zielińska, Jerzy Giedroyc, Feliks Gross, Gustaw Herling-Grudziński, Konstanty Jeleński, Zygmunt Kallenbach, Wojciech Karpiński, Leszek Kołakowski, Sławomir Mrozek, Krzysztof Pomian, Olga Scherer, Wiktor Weintraub.

Czeki i przekazy prosimy wystawiać na:

Fundusz Pomocy Krajowi (kultura i nauka),
43 Eaton Place, London SW1 8BX, England.

Fund of the Continuity of Polish Independent Literature and Humanities
Credit Industriel et Commercial, FEI. 644-42,
79, rue du Temple, 75003 Paris, France.

Cud

Od pewnego czasu stracił bardzo wiele ze swego dawnego splendoru cud Świętego Januarego, patrona i opiekuna Neapolu. Niegdyś upłynnienie się zakrzepłej krwi męczennika w dwóch ampułkach każdego 19 września, w rocznicę męczeństwa, było osią wokół której obracał się neapolitański rok: złym znakiem czy przestrogą, jeśli cud poprzedzały długotrwałe obrzędy propicjacyjne; dobrym znakiem i dowodem przychylności Świętego, jeśli modlitwy i inwokacje odnosiły szybki skutek.

Moja miniaturowa opowieść o cudzie wymaga na wstępie kilku bodaj rysów tła historycznego, a raczej historyczno-legendarnego. Januarius był biskupem Benewentu w okresie prześladowania chrześcijan przez Dioklecjana. W roku 305 odwiedził w Pozzuoli grono współwyznawców. Aresztowany wraz z nimi, miał odmowę pokłonenia się pogańskim bogom przypłacić śmiercią na arenie amfiteatru, gdzie w takich przypadkach wykonawcami wyroku były wypuszczane z podziemnych lochów lwy i niedźwiedzie. W ostatniej chwili sposób egzekucji zamieniono na dekapitację. Ścięto jego i sześciu towarzyszy 19 września, w wulkanicznym rejonie Solfatary. Obciętą głowę biskupa ukryła wierna chrześcijanka, ona też wsadziła do dwóch ampułek trochę jego krwi. Ziemskie resztki męczennika za wiarę spoczęły w neapolitańskich katakumbach Capodimonte. Patronem Neapolu obwołano go w roku 472, gdy apokaliptyczny wybuch Wezuwiusza uczynił z jego grobu cel pielgrzymek i ośrodek błagalnych modłów wiernych. Krew zakrzepła w ampułkach upłynęła się jednak cudownie po raz pierwszy dopiero w roku 1389. Odtąd Święty January stał się nie tylko patronem, lecz i opiekunem miasta. Uciekano się pod jego obronę przed trzęsieniami ziemi, wybuchami wulkanu, epidemiami dżumy i cholery, najazdami

łupieżców, klęskami nieurodzaju i głodu. Obnoszono po mieście w procesjach jego srebrne popiersie (z przechowywanymi wewnątrz szczątkami czaszki i kości), ilekroć cud zbyt odwlekał swoje spełnienie.

Trudno orzec co sprawiło, że blask cudu przygasł od pewnego czasu. Może odegrały tu jakąś rolę dąsy Stolicy Piotrowej na tkwiące w nim przymieszki „chrześcijańskiego pogaństwa”, lub „kultu o posmaku barbarzyńskim”. A może ze śmiercią ostatnich kobiet, które uważały się za „krewne” męczennika (w zaufkach lud nazywał je „wdowami” Świętego Januarego), uroczystej ceremonii wrześniowej w katedrze neapolitańskiej zabrakło głównego elementu dramatycznego: swoistego chóru greckiego, domagającego się cudu to pokornymi suplikami, to wyzwiskami i złorzeczeniami pod adresem opieszałego niekiedy patrona i opiekuna miasta. Może wreszcie po tylu stuleciach zużył się bądź osłabł sam, niezniszczalny zdawałoby się, rytuał wiecznego oczekiwania cudu. Jakąkolwiek wskaże się przyczynę, faktem jest że od dziesięciu chyba lat cud w pustawej katedrze ma więcej cech pośpiesznej rejestracji urzędowej w obecności dostojników kościelnych i przedstawicieli władz miejskich, niż tłumnego święta ludowego u ołtarza wiary i nadziei, w obliczu tajemnicy przemienienia krwi martwej w żywą.

Ale we wrześniu tego roku zaszła rzecz niezwykła, miasto zostało nagle wytrącone z postępującego procesu obojętnienia. Normalnie krew męczennika upłynnia się najwcześniej po półgodzinnych modlitwach i inwokacjach. Tym razem wyciągnięto ze skarbca katedralnego, ku zdumieniu nielicznych świadków cudu, ampułki z już gotującą się krwią. Wielowiekowa kronika cudu odnotowała jeden tylko podobny wypadek: we wrześniu 1647 roku, po plebejskiej rewolucji Masaniella w Neapolu, krew w ampułkach była już upłynniona w momencie otwarcia skarbca.

U progu XVI stulecia Królestwo Neapolu przeszło pod panowanie Hiszpanii i stało się Wicekrólestwem, z władcą w Madrycie i jego namiestnikiem w neapolitańskim Pałacu Królewskim. Nie było kolonią, lecz „kopalnią”. Tak określił je w następnym stuleciu Filip IV w liście do ambasadora hiszpańskiego w Rzymie: „Zbyt wielkim ciosem dla naszej monarchii byłaby utrata Neapolu, który był dla nas zawsze żywą kopalnią, zaopatrującą nasz tron w wojska dla prowadzenia wojen i w pieniądze oraz środki dla utrzymania wojsk. Pozbawieni tego Królestwa, nie moglibyśmy innych ani bronić ani wspierać”.

Problem stanowiła metoda eksploatacji „kopalni”. W dziele wyciskania trybutu, który co dwa lata musiano wpłacać do kas w Madrycie, wicekról hiszpański polegał na radach i pomocy

patrycjatu neapolitańskiego. Było obowiązkiem, i zarazem przywilejem, neapolitańskiej partii arystokratyczno-szlacheckiej sprawować pieczę nad „kopalnią” tak, by regularnie wpłacany trybut miał tendencje zwykłe, wzbogacając zarówno dalekiego władcę jak jego lokalnych administratorów. Posługiwano się przeważnie śrubą podatkowo-celną, wymierzoną w ludność. Obkładano stopniowo podatkami i cłem wewnętrznym wszystko, co zdołało jeszcze tej śrubie umknąć. W dołach plebejskich rosła egzasperacja. Miarę przepełniło zarządzenie wicekróla w grudniu 1646 roku, przed świętami Bożego Narodzenia, o akcyzie od owoców przywożonych z okolic miasta na Plac Rynkowy. 26 grudnia wicekról Rodrigo Ponce de Leon, książę d'Arcos, przyjechał jak w każdą środę tygodnia na mszę do kościoła Carmine na Placu Rynkowym. Tłum kobiet i mężczyzn otoczył natychmiast jego karocę, uniemożliwiając jej podjechanie do bramy kościoła. Zaułków napływało coraz więcej ludzi. Wzmagaly się krzyki, proszono o zniesienie nowej akcyzy. Książę d'Arcos, pobladły ze strachu, wychylił się z okienka karocy i obiecał prośbę rozpatrzyć. Pozwolono mu wejść do kościoła. Ale po mszy wołał nie ryzykować przejazdu miastem i do Pałacu Królewskiego wrócił morzem. Tego dnia wieczorem czyjaś ręka krwią zachlapała godło królewskie na postawionej świeżo budce akcyzy. W pierwszych dniach stycznia 1647 roku ktoś ją podpalił. Podpalaczem okazał się Masaniello.

Był rybakiem i sprzedawcą ryb, miał wówczas dwadzieścia siedem lat. Postawny, silny, o śmiałym spojrzeniu, w podartych portkach z płótna żaglowego, w rozchełstanej na piersiach koszuli, z siecią zarzuconą na ramię. Opisywano później jego instynkt przywódcy i naturalny wdech, bardzo niezawodny od inteligencji i wykształcenia dobrze urodzonych. Czegóż zresztą o nim nie pisano, gdy jak meteor zatoczył łuk na niebie siedemnastowiecznej Europy! Jak silnie musiał przemawiać do wyobraźni! Powstawały albo były planowane dramaty o nim, u Lessinga miał wystąpić jako *Hercules furens*. Spinoza upozował się na niego właśnie w swoim młodzieńczym autoportrecie rysunkowym.

Wicekról nie dotrzymał obietnicy, akcyzę utrzymano w mocy. Masaniello poświęcił następne miesiące agitacji. Mury miasta pokryły się napisami nawołującymi do oporu, złośliwymi wierszykami, skargami na ucisk i wyzysk. Wybuchły w tym czasie gwałtowne zamieszki na podobnym tle w Palermo, co podziślało jak dodatkowa podnieta. Garnizon hiszpański w Neapolu był nadwątlony. Masaniello zmobilizował trzystu wyrostków i ukuł hasło, które według historyków było sekretem powodzenia rewolucji: *Viva il re di Spagna, mora il mal governo* — „Niech żyje król Hiszpanii, niech skona zły rząd”. Powiada jeden z history-

ków: „Tak długo i uporczywie je powtarzał, aż odcisnęło się w pamięci i duszach jego chłopców, którzy śpiewali je jak słowa piosenki, przebiegając ulicami i zaułkami miasta”. Wierność koronie hiszpańskiej, bunt przeciw wicekrólowi i jego administracji arystokratyczno-szlacheckiej: neapolitańskim diukom, hrabiom i baronom wymykał się w ten sposób z rąk straszak interwencji zbrojnej Madrytu. Chłopcy Masaniella, prócz słów „piosenki”, szerzyli wiadomość o przygotowaniach do krwawego porachunku w dniu tradycyjnej kawalkady wicekróla i szlachty 23 czerwca, w wilię Świętego Jana. Książę d'Arcos postanowił kawalkadę odwołać.

Rewolucja wybuchła 7 lipca. Na Placu Rynkowym sprzedawcy odmówili płacenia akcyzy i owoce wysypali na bruk. Masaniello przemówił do tłumu: „To ja podpaliłem kiedyś budkę akcyzy, spalmy teraz wszystkie urzędy celne w mieście”. Mówił także, że wybiła godzina wyzwolenia, zapowiedział walkę do ostatniej kropli krwi („jeśli pójdziecie za mną”), Neapol polecił opiece Boga, przesławnej Paniienki Najświętszej z kościoła Carmine i Świętego Januarego. Hasło rozszerzono na: „Niech żyje Bóg i król Hiszpanii, niech skona zły rząd”. Na czele swoich chłopców, uzbrojonych tylko w kije, ruszył do boju. W ciągu jednego dnia, za sprawą „cudu solidarności” (jak to określa dziejopis), garstka wyrostków-oberwańców pociągnęła za sobą całe miasto, oczywiście z wyjątkiem partii arystokratyczno-szlacheckiej. Rozbijano więzienia, arsenały i zbrojownie, opróżniano składy, z dymem puszczano urzędy i rezydencje najbardziej służalczych i znienawidzonych patrycjuszów, rozbrajano strażę, wykonywano doraźne wyroki śmierci, wtargnięto nawet do Pałacu Królewskiego. „Neapol płonął jak Troja”. Przerażony wicekról gotów był znieść wszystkie akcyzy i opłaty celne, wprowadzone od czasów Karola V. Żądano już jednak więcej: nie tylko taniego chleba i złagodzenia śruby podatkowo-celnej, lecz „przywilejów obywatelskich” nadanych ludności przez Karola V. Naprzeciw zranionej Potęgi Pałacu stanęła nowa, pełna wigoru Potęga Ludu. Historycy podkreślają ze zdumieniem „porządek w chaosie rewolucji”, wojskowy i cywilny. Dwóch kolejnych dni starczyło, by miasto znalazło się w rękach ludności. Wymieniony dziejopis napomyka o społecznym „cudzie solidarności”; pospolity plebs źródło cudu upatrywał i okrzykiwał w osobie Masaniella, nazywając go to Świętym Janem Chrzcicielem, to Aniołem Bożym.

„Przywileje obywatelskie” Karola V, które miały lud zrównywać ze szlachtą w prawach głosowania i wybierania na niższe urzędy (dając mu możliwość ich obrony *etiam armata manu*), były bardziej mitem niż rzeczywistością. Nikt ich nigdy nie widział,

przekazywano wieść o nich z pokolenia na pokolenie, żyły w ludowej legendzie. Ale teraz, wśród szczęku broni i przy łunie pożarów, nie wolno było ich istnienia podawać w wątplenie. Zrozumiał to natychmiast mediator kościelny, kardynał Ascanio Filomarino, arcybiskup Neapolu. I on, z udziałem Masaniella oraz jego doradców, „zrekonstruował” mityczne „przywileje obywatelskie” Karola V w dwudziestu trzech punktach uroczystych Umów. Zostały przedstawione ludowi do zatwierdzenia w kościele Carmine; zebrani zatwierdzili je tym goręcej, że podczas ich odczytywania spalił na panewce zamach na Masaniella przygotowany przez zatwardziałych członków partii arystokratyczno-szlacheckiej. Zostały nazajutrz zaprzysiężone przez wicekróla w obecności kardynała i Masaniella na balkonie Pałacu Królewskiego, na oczach tłumu wypełniającego po brzegi plac przed Pałacem. Masaniello zgodził się przywdziać na tę okazję szamerowany mundur „generała ludowego”, uprzedziwszy że go się zaraz potem pozbędzie, by wrócić do swoich łachów rybaka i sprzedawcy ryb. Ucałował nogi wicekróla i kardynała, wezwał do rozbrojenia i bezwzględnego odład posłuszeństwa namiestnikowi królewskiemu w Neapolu. Postanowiono, na wieczystą rzecz pamiątkę, wznieść na Placu Rynkowym trójpomnik Filipa IV, księcia d'Arcos i kardynała Filomarino wokół kolumny symbolizującej dumny i śmiały lud neapolitański.

Wszystkie rewolucyjne zdarzenia, które dotychczas w ogromnym skrócie opowiedziałem, rozegrały się w ciągu tygodnia. Nadszedł moment tragedii. W spojrzeniu na nią zapisy kronikarzy i opinie historyków są rozbieżne: z jednej strony mowa o „tragedii nagłego oblędu Masaniella”; z drugiej o „tragedii niepokojów i obaw przywódcy rewolucyjnego po niespodzianym zwycięstwie”.

W nocy z 14 na 15 lipca Masaniello majaczył, bełkotał nieśkładnie jak w gorączce, miotał się na łóżku, sięgał często po butelkę. Rano wstał i oświadczył, że „chce dalej rozkazywać i komenderować”. I istotnie wziął się do „rozkazowania i komenderowania”. Domagał się „pieńka dla zaczajonych zdrajców”, zagrzewał do nowych podpaleń, szafował konfiskatami mienia „podejrzanych” i nominacjami na urzędy „zaufanych”. Nie odważano się powściągać go w „ciągle obfitszych i kapryśniejszych zapędach tyrańskich”, ale zaczęto po cichu zadawać sobie trwożliwe pytanie czy nie oszalał. Ludność była zmęczona, pragnęła spokoju i wytchnienia od gwałtów. Z poduszczenia szlachty wśród towarzyszy Masaniella zawiązał się spisek, rozważano projekt zgładzenia wczorajszego „triumfatora”. Wicekról, wtajemniczony w zamiary spiskowców, odradzał mord. Uważał co prawda „generała ludowego” za „wariata godnego łańcuchów”, lecz prze-

mowała go lękiem myśl o reakcji „tak zezwierzęconego ludu” na skrytobójstwo. Bardziej stosowne, zważywszy okoliczności, wydawało mu się internowanie Masaniella pod strażą w jego własnym domu, a później izolowanie go w jakimś odległym zamku aż do końca „choroby”. Wicekrólewskiej radzie towarzyszył nakaz szybkiego wzmocnienia załogi Pałacu Królewskiego. Gdy Masaniello wrócił wieczorem do domu, zatrzasnęła się pułapka internowania. Związano go, dom otoczono strażą. W nocy lud nie próbował go uwolnić, ani nie szturmował Pałacu Królewskiego.

A jednak Masaniello zdołał wypłatać się ze sznurów i uciec. I to następnego już dnia o świcie. Ukrył się w kościele Carmine. Na 16 lipca w samo południe zapowiedziana tam była *Festa della Madonna del Carmine*, z udziałem kardynała Filomarino. Wiadomość o ucieczce Masaniella sprowadziła do kościoła spiskowców; wiedzieli przypuszczalnie gdzie się ukrył. Wkrótce po ingressie kardynała zbieg wyszedł z kościelnej kryjówki. Na jego widok zapanowała cisza. Rozstępowano się przed nim, gdy w swoich rybackich szmatkach, z pręgami od sznurów na rękach, szedł ku ambonie. I z ambony przemówił do zebranych. Przypomniat nędzę miasta przed rewolucją. Jemu (ciągnął coraz donośniej i drżącym głosem) zawdzięcza obecnie Neapol nadzieję lepszej przyszłości. Jaką zgotowano mu za to odpłatę, jakiej doczekał się za wszystko nagrody? Stoi oto przed swoim ludem niby bandyta pod pręgierzem. Zginie na pewno, zginie może jeszcze dzisiaj. Zginie on, Masaniello, który w łachmanach nędzarza poprowadził nędzarzy do zwycięstwa! Potrafią je bez niego utrzymać?

Dość zamazany jest dalszy ciąg przekazu kronikarskiego. Masaniello zdarł jakoby z siebie rybackie szmatki, stanął na ambonie nagi, „wulgarnymi gestami i słowami wyrażając swoją urazę i bezsilną wściekłość, jakby chciał nieczystościami obluźać święty przybytek”. Milcząca, skruszona żałość zebranych ustąpiła naraź miejsca gniewnym i szyderczym okrzykom. Biada temu, kto śmie bezczęścić świątynię Boga! Biada nagiemu błaznowi!

Kardynał kazał go zaprowadzić do klasztoru obok kościoła i schować w pustej celi. Zamknął się w niej na klucz sam, wystraszony nagle, przybity, roztrzęsiony, w atakach płaczu. Niebawem pod drzwiami celi zjawili się spiskowcy. Prowodyr grupy, bliski towarzysz Masaniella, wezwał go do otwarcia drzwi. Na dźwięk dobrze znajomego głosu Masaniello przekręcił natychmiast klucz w zamku. Wpadli do środka, położyli go trupem kilkoma wystrzałami z rusznic. Jeden ze spiskowców obciął mu nożem głowę i jak opętany popędził z nią do Pałacu Królewskiego.

go, pokazując ją po drodze przechodniom z okrzykiem: „Niech żyje król!”. Ciało bez głowy wyrzucono na śmietnik nad morzem. Jakiś miłosierny ksiądz na próżno błagał, by mu pozwolono „godnie pochować tego co uwolnił od szlacheckiej opresji miasto”.

Wicekról sownie wynagrodził spiskowców. Tym, który mu pierwszy złożył w Pałacu Królewskim gratulacje z okazji *fausto evento*, „pomyślnego wydarzenia”, był kardynał Filomarino. Wczesnym wieczorem wicekról konno objechał miasto, wszędzie witany brawami i wiwatami. Zatrzymał się kilkakrotnie i głośno zapewnił, że nienaruszalne pozostają dwadzieścia trzy punkty zaprzysiężonych Umów. Na dowód swej wiarygodności polecił zwiększyć liczbę robotników, przeznaczonych do budowy trójpomnika na Placu Rynkowym.

Późnym wieczorem jednak, po powrocie wicekróla do Pałacu Królewskiego, okazało się że nie ma chleba w piekarniach i sklepach. Do ciżby ludzkiej koło Porta Capuana, oślepiającej, słabo protestującej, podjechał na koniu kawaler Sanfelice ze znanego rodu neapolitańskiego: „Będziecie jeść chleb wypiekany z ziemi. Teraz, kiedy wasz Masaniello gryzie ziemię, zaczniemy was wieszać”. Nazajutrz chleb sprzedawano, ale po starej cenie za bochenek o grubo niższej wadze. Tłum obległ Pałac Królewski. Wicekról uciekł tajemnym przejściem do warownego Zamku. „Tego było dosyć — pisze historyk, — aby lud wrócił wszystkimi myślami do swojego Masaniella. Wygrzebano jego ciało z nadmorskiego śmietnika, obmyto je i ubrano w mundur generała ludowego, odnaleziono jego głowę i przytwierdzono ją do korpusu, po czym w imponującym i wzruszającym orszaku pogrzebowym, z rozwiniętymi chorągiewkami i w takt werbli żałobnych, przy świetle pochodni i biciu w dzwony, poniesiono trumnę z ziemskimi resztkami Masaniella na wieczny spoczynek do kościoła Carmine, oplakując go jako dobroczyńcę, czcząc w nim świętego i męczennika”.

19 września, w okolicznościach historycznych które wykraczają poza ramy tej opowieści, krew Świętego Januarego była już (jak się rzekło) upłynniona w momencie otwarcia skarbca. Wśród wielu interpretacji tak prędkiego cudu, wśród wielu wysnuwanych zeń wróżb, jedna ludowa refleksja uderzyła kronikarza. Szeptano mianowicie w pobożnym skupieniu, że poprzez wieki „zadzierzgnęła się święta i krwawa nić między dwiema obciętymi głowami”.

Wracam do punktu wyjścia mojej małej opowieści. A w tym roku? W tegorocznym błyskawicznym upłynnieniu się zakrzepłej krwi Świętego Januarego mieszkańcy Neapolu wyczuli jakiś

związek ze świeżą, nieprzerwaną i niepokojącą, serią wstrząsów sejsmicznych w Pozzuoli i Solfatarze, miejscach skazania i kaźni biskupa Benewentu. Znak należy uznać za dobry, czy za zły? Któż z nas na to pytanie potrafi odpowiedzieć, żyjąc w ustawicznym zawieszeniu między Cudem i Wulkanem?

Gustaw HERLING-GRUDZIŃSKI

Listopad 1983

BBC — POLISH SECTION

The BBC requires a Programme Assistant (journalist-translator) for its Polish Section in London. Applicants with perfect Polish must have: — A degree level education, a thorough knowledge of English, the ability to translate quickly and accurately, a good microphone voice, an interest in current affairs. Journalistic and/or broadcasting experience would be an advantage.

Write, giving brief c.v., within 14 days to:

Recruitment Officer Language Services,
BBC, P.O. Box 76, Bush House, Strand,
London WC2B 4PH, England.

Please quote reference X2850/K and enclose an addressed envelope for reply.

Notatki o bojkocie

W Zaduszki 1982 roku na cmentarzu powązkowskim kwestowali aktorzy i inni znani ludzie. Znani głównie z telewizji. Ale wszyscy oni już telewizję bojkotowali, podczas gdy wówczas władze koniecznie chciały ten bojkot złamać; w gazetach pełno było biadania, że przez brak aktorów na szklanym ekranie ginie kultura narodowa.

Podchodzili ludzie, wkładali pieniądze do puszek (zbiórka była na konserwację zabytkowych grobów), ściskali aktorom ręce, do palt przyczepiali święte i opozycyjne znaczki i mówili: to nieprawda, że chcemy was widzieć w telewizji. Jesteście nam potrzebni tutaj. Za to was kochamy, że tam nie chcecie pójść.

Wydawało się jednak, że to już tylko kwestia tygodni, może miesięcy, że po zaznaczeniu protestu, po pewnych targach w sprawie ZASP-u — bojkot się skończy, bo przecież nie może trwać wiecznie. Już prymas dawał błogosławieństwo na powrót aktorów tam, gdzie ich miejsce.

Dlaczego dzisiaj, po roku, ten powrót wydaje się odleglejszy niż wtedy? Na pewno, między innymi, przez te uściski dłoni na cmentarzu, kwiaty przynoszone do teatru, recytacje w kościele. Nie tylko wstyd poddać się po takich chwilach podniosłości, ale i żal byłoby tego wszystkiego, co przecież ciągle trwa, gdzie się jest z ludźmi zupełnie innymi i inaczej niż za kordonem obstawiającym gmachy TV na Woronicza.

Gdyby aktorzy, pisarze, publicyści — ci wszyscy, którzy przystąpili do bojkotu — do niego się ograniczyli, gdyby siedzieli tylko bezczynnie, odwróceniem plecami do władzy, pewnie poczuliby beznadziejność tej sytuacji, zmęcziliby się i po trochu zaczęliby na telefony redaktorów odpowiadać przychylnie. Wróciliby tam, gdzie ich widziano przed Sierpniem. Nie zastanawialiby się, czy

mają jeszcze jakieś inne wyjście prócz tych dwóch: działać w obszarze manipulowanym przez państwo albo milczeć — coraz mniej znaczącym milczeniem.

Czas bojkotu ludzie wypełnili sobie jednak na wiele sposobów. Skoro już — powiedzmy — nie chcieli siedzieć w telewizyjnym studio — poszli do innych ludzi, którzy z kolei przestali siedzieć przed telewizorami. Odbywały się spotkania, uroczyste i zobowiązujące. Aktorzy znaleźli nową publiczność. Okazywała im ona, z bliska, wielką wdzięczność za słowa brzmiące po ludzku. Słowa nabrały wtedy wyjątkowej mocy. Pamiętam, jak w trzecim chyba tygodniu wojny Andrzej Łapicki czytał w kościele św. Anny fragment z Pierwszego Listu do Koryntian: „A ci, którzy płaczą, jakby nie płakali; a ci, którzy się weselą, jakby się nie weselili... przemija bowiem kształt tego świata”. Kiedy to powiedział, miałem wrażenie, że wszyscy czują, że tak właśnie jest. Takie chwile, przeżyte wspólnie, bardzo oddalają od telewizji.



10 listopada 1982, kiedy na Świerczewskiego w okolicach Sądów odbywały się demonstracje z okazji drugiej rocznicy zarejestrowania „Solidarności”, w centrum Warszawy, wezwani do tego przez Region, spacerowali intelektualiści. Na Marszałkowskiej, między Alejami Jerozolimskimi i Placem Konstytucji, od piątej.

Było tam gęsto od milicji i jej najrozmaitszych wehikułów, niebiesko i ciemnozielono. Najeżone bronią patrole szły jeden za drugim i trzeba się było o ich automaty dosłownie ocierać. Bo jednak przyszło bardzo wielu zaproszonych na ten jedyny w swoim rodzaju *five o'clock*. Znajome twarze, charakterystyczne sylwetki: inteligenci przygarbieni od biurka, poważne dziewczyny z brodatymi młodzieńcami, wyniosłe damy. Jak z kuluarów sesji IBL-u albo jak z wernisażu wystawy malarskiej. Wszyscy trochę usztywnieni okolicznościami, zerkają na ZOMO, ale i wymieniają ukłony; dobre wychowanie obowiązuje.

Spacerujemy więc sobie, policja i my. Nikt niczego nie skanduje, nic się nie dzieje — a jednak z punktu widzenia władzy dzieje się coś skandalicznego: intelektualiści chodzą nie tam, gdzie im się każe, lecz tam, gdzie ich wzywa „Solidarność”. Władza siedzi więc gdzieś zbaraniała i przeżuwa zniewagę. Wreszcie — gdy już myślę, że nic się nowego nie stanie — docent S., spacerujący w zasięgu mojego wzroku przed hotelem Forum, podskakuje: pod jego nogami wybuchła petarda, wystrzelona z jezdni, z gazika. Huk, dym, nowe petardy, zomowcy wyciągają pały

z powodu zakłóconego spokoju i rzucają się na przechodniów. Krzyki. Ludzie niosą w kierunku Forum małego chłopca. Uciekanie, gonienie, legitymowanie, bicie. Marszałkowska robi się pusta, *five o'clock* skończony.

I jakże po czymś takim pójść na coctail w Ministerstwie Kultury z okazji przyznania nagród? Nawet jeśli się samemu nie było wtedy na Marszałkowskiej — nie można tego, co tam zaszło, usunąć ze zbiorowej pamięci środowisk twórczych. Ludzie tam byli, widzieli.



Stary numer *Żołnierza Wolności*, jeszcze z marca 1982, a w nim opowieść, jak na poligonie zjawili się twórcy kultury. Ich fotografie i wypowiedzi. Jest tutaj, pamiętamy, Sandauer.

Trochę już przywykliśmy do tego, czym się stał Sandauer w stanie wojennym, zwłaszcza że od kilkunastu lat widać było, jak „bez taryfy ulgowej” traktował głównie pisarzy niemiłych władzy. Kto jednak mógł wiedzieć, gdzie go to zaprowadzi: do *Żołnierza Wolności*! Dalej już w tym kierunku nie ma nic.

Fotografia Sandauera budzi żal: stary wychudły człowiek w kapeluszu z opadającym rondem, patrzy wzrokiem pojmanego. Jakby został wzięty z łapanki. Zaczynam się zastanawiać: czemu nie miał dość siły a choćby i sprytu, aby nie dać się na ten poligon zapędzić?

Nie będę powtarzał tego, co z okazji „sprawy Sandauera” powiedziano o jego charakterze, jego próżności i zawiści. Za tym reżymem wloką się całe tłumy skłóconych ze swym środowiskiem nienawistników i Sandauer jest jednym z nich. Ale przecież nie byle jakim. To krytyk, który całe życie popierał awangardę, lansował Gombrowicza, Schulza, Białoszewskiego, był przeciw socrealizmowi — i to w imię pewnych konkretnych ideałów. Wierzył w to, w co wierzyła awangarda: w eksperyment, odwagę, postęp w sztuce. A teraz w *Żołnierzu Wolności* chwali wychowanie kulturalne w jednostkach wojska polskiego!

Niektórzy dla umysłowej wygodzie oddzielają Sandauera-bojownika o nowe formy w literaturze od Sandauera, smakującego zupełnie z żołnierskiego kotła. Ja jednak myślę, że jest to ten sam człowiek, z tą samą ideologią, tylko w innej sytuacji. Nie ma przecież żadnej sprzeczności między awangardową akceptacją wszystkiego, co w sztuce przynosi czas, a marksistowskim pojmowaniem wolności jako zgody na dziejową konieczność. Historia potwierdzała to w praktyce: klasycy awangardy gotowi byli służyć rewolucji bez zastrzeżeń, z góry godząc się, że postęp wymaga ofiar. W dwudziestolecie międzywojennym awangarda niemal bez wątpliwości komunizowała, cieszyła się myślą, że nowe formy w sztuce

służą nowemu społeczeństwu. Manifesty Malewicza czy Légera dowodzą, że w imię Nowego gotowi byli przejść po trupach wszystkiego, co Stare. Z teoretycznego punktu widzenia, na poziomie wysokiej abstrakcji, sojusz awangardy z komunizmem wydawał się czymś najbardziej naturalnym w świecie.

Potem przyszyły komplikacje. Leninowska i stalinowska taktyka wymagała natychmiastowej skuteczności, także w sztuce. Z trójkątów, kół i kwadratów propagandy sukcesu i nienawiści zrobić się nie dało, znacznie łatwiej było je uczynić symbolem tego, co zniechęcające, niezrozumiałe, obce, wrogie, zdegenerowane, imperialistyczne. Zwyciężył prolet-kult, awangarda przerobiona została na nawóz historii.

Wielu jej przedstawicieli przyjęło to z goryczą pełną pokory: tak musiało się stać na tym etapie społecznej świadomości, nasz czas przyjdzie jeszcze w społeczeństwie bardziej zaawansowanego postępu. Okrucieństwom sił postępu ludzie awangardy nie mieli do przeciwstawienia niczego poza skamleniem, że ich prześladowanie to historyczna omyłka. Majakowski wziął legitymację Rapp-u, stając się patronem kolaborantów. Dlaczego legitymacji nowego związku polskich pisarzy nie ma wziąć Sandauer, gdy władze nic już nie mówią złego na awangardę, gdy historyczna omyłka została naprawiona?

Spotykam R., który powiadamia mnie, a jednocześnie bada, co na to powiem: podejmuje pracę w jednym z centralnych pism. R. jest dobrym dziennikarzem, specjalizuje się w opisywaniu idiozmyzmów życia codziennego w PRL. Widzi je ostro, a wobec komunizmu nie ma złudzeń: jeszcze pamięta mordowanie akowców i działaczy PSL, fałszowanie wyników referendum, krwawe odwety na partyjnych i milicjantach, czerwone legitymacje zjadane przez komunistów na klęczkach, pamięta „leśnych”, którzy dla chłopów skazanych na kolektywizację byli jakąś jednak nadzieją.

Kiedy zbliżał się Sierpień, R. znalazł się wśród osób — jak to nazwano w Porozumieniach — „wspomagających” strajki. Pisał ulotki, sam je drukował, przemawiał na wiecu. Potem organizował „Solidarność”. Był pewien, że niepodległa Polska już się zaczęła, a załatwienie formalności w tej sprawie to tylko kwestia czasu. W pierwszych miesiącach stanu wojennego rwał się do konspiracyjnych działań, ponaglał innych, jakby wszystko zależało od tego, czy reżym wojskowy rozpadnie się natychmiast. Drwił z tych, którzy mówili o pokojowych metodach walki. Pokazywał im uzbrojoną po zęby armię przeciwnika. Maj 1982 roku, kiedy manifestacje, zaatakowane przez ZOMO, zaczęły rzucać kamieniami, uznał za początek prawdziwej walki z komunizmem,

w której zwyciężymy na pewno, bo przecież słuszność zwycięża. „Teraz będziemy — powiedział — bić czerwonych!”.

Wkrótce okazało się ponad wszelką wątpliwość, że w biciu czerwoni mają absolutną przewagę. Wciąż dowodzą tego nam i sobie, jak również tego, że nasza liczebność do niczego ich nie zobowiązuje. Nikt nie powtórzy w bliskiej przyszłości, że stoi za nim dziewięć i pół miliona związkowców. Ci, którzy wierzyli w siłę mas, w siłę pięści wznoszonych ponad głowami, w żelazne sztaby przygotowywane przez robotników w narzędziowniach — musieli poczuć, że nadszedł czas klęski.

R. długo żył wspomnieniami 1945 roku i jego historia powtarza w skrócie tamte dzieje. Broniono Polski przed komunistami siłą, jak się dało i jak długo się dało. A kiedy ten rodzaj walki się skończył, na inny nie starczyło już energii i wyobraźni. Intelktualiści albo szli na emigrację, albo na współpracę, sądząc, że coś ocala, że może trochę pobędą Wallenrodami.

Wszystko wskazuje, że władza nie jest w stanie zrozumieć całej tej historii z bojkotem, ani też ludzi, którzy bojkot podjęli. Starym marksistowsko-leninowskim zwyczajem usiłuje ich działaniom przypisać najbardziej przyziemne motywy: że wolą pisać za dolary a nie za złote, chociaż one nasze, polskie.

Czasem jednak ludzie odpowiedzialni za pacyfikowanie środowisk twórczych (Rakowski, Wasilewski, Urban) zaczynają szukać głębszych racji swych niepowodzeń, czyli naszej niepoprawności. Teoretyzują, wdają się w rozważania o naturze artysty.

Według Rakowskiego artysta nie widzi świata poza sobą samym, powoduje się kaprysami, na polityce się nie zna, właściwie można go prowadzić jak pijanego we mgle, z czego sprytnie korzystają wrogowie socjalizmu. Trzeba poczekać, aż otrzeźwieje. Według Urbana szczególnie poprzewracane w głowie ma artysta polski, któremu marzą się jakieś rządy dusz; trzeba więc wskazać mu pozytywne przykłady twórców Zachodu, którzy zajmują się wyłącznie sprawami sztuki i dobrze się mają. Wasilewski nakreślił szerszą wizję naszych błędów, dostrzegł ich źródła w Kontrreformacji, w odwróceniu od racjonalizmu ku religijnym zabobonom, ale nie wiadomo dlaczego widzi ratunek w odcięciu się od Zachodu a zbliżeniu ze Wschodem, gdzie — zauważmy — co prawda Kontrreformacji nie było, ale i racjonalizm też nie rozkwitł bardziej niż w innych stronach świata.

W wywodach tych, które naprawdę nie wyglądają poważniej niż je tu przedstawiam, jedno zwraca uwagę, i to już należy

traktować serio: z głębi duszy płynąca pogarda człowieka wierzącego władzy do artysty, do intelektualisty. Władza ta uważa cały naród i wszystkie grupy społeczne za zbuntowane stado, sprawiające jej wciąż kłopoty lenistwem i warcholstwem, uczucia swoje musi jednak często hamować, ze względów doktrynalnych i ze strachu: klasa robotnicza to potęga, młodzież — przyszłość narodu. A kim jest artysta? Oszałamiał megalomanem, który w świecie wyraźnie podzielonym granicami brnie przed siebie, nie patrząc na czyj teren, na jakie miny wchodzi. Dworakiem, który jeszcze wczoraj znał swoje miejsce w kamaryli, a dziś — uciekł, i mąci ludziom w głowach. Błaznem, któremu się przywidziała rola proroka i kapłana. Robakiem, którego by można zgnieść jak pluskwę, a on ośmiela się robić jakieś miny przeciw realiom Układu Warszawskiego!

W tym konflikcie wychodzi na jaw stosunek władzy do całej kultury: na przykład Urban powiada, że od aktora można żądać, aby wystąpił w telewizji, nie tylko w teatrze, bo gra w teatrze jest jedynie swego rodzaju przygotowaniem do telewizyjnego występu, i aktorzy grając wyłącznie na żywo przed publicznością to tak, jak konstruktor, który robiłby prototypy, ale broniłby się przed produkcją seryjną. Twórczość artystyczna jest więc według Urbana zaledwie surowcem dla telewizyjnego programu; rzecznik władzy proponuje, by otwarcie uznać ją za teren skazany na łupiestwo: artysta nie ma prawa bronić się przed telewizją. Wszystko co robi jest państwowe, jeśli bierze od państwa jakieś pieniądze.

W istocie jednak chodzi o coś jeszcze poważniejszego. Wydaje się, że artysta szamoczący się z władzą, nie przyjmujący nagród, na pogroźki odpowiadający jeszcze twardszym spojrzeniem, bezbronny a krnąbrny, wciąż zdradzający objawy — jak to powiedział o całym polskim społeczeństwie pewien funkcjonariusz SB — „rozchwiania świadomościowego”, że artysta taki ściąga na siebie całą nienawiść władzy, należną z jej strony jednostce, upominającej się o swe prawa. Bo wszystko co czyni — robi osobiście, nie jako anonimowy przedstawiciel klasy, *everyman*. Łatwo go poznać z twarzy i z nazwiska, co jest i jego słabością i siłą.

Żeby znów zgnoić w PRL człowieka razem z jego prawami, władze będą musiały zrobić to najpierw z polskimi aktorami, pisarzami, malarzami. Jeśli im się to nie uda — z ich punktu widzenia wszystko na nic.



Wiosna 1983. Zachodzę do znajomych T. Pan domu, Stasio T., postać malownicza, znany specjalista w pewnej dziedzinie

plastyki użytkowej, właśnie wrócił z zebrania wyborczego warszawskiego Okręgu ZPAP. Podniecony, rozbawiony, opowiada o totalnym zwycięstwie sił „naszych” nad walczącymi do ostatniej chwili żażarcie siłami „ich”.

Partia wystawiła kandydatów mocnych, nie skompromitowanych zbyt, umiających odwołać się do znanych wszystkim realiów. Oto one: jest wśród plastyków bezrobocie, urywają się etaty w instytucjach poddanych głupio pojętym rygorom reformy gospodarczej, urwały się prawie całkiem prace zlecone i wszelkiego typu chałtury, bo wszędzie kryzys, także w propagandzie i kulturze. Władze to widzą i chciałyby plastynom pomóc, ale jednocześnie zmartwione są tym, co wyprawiał Związek między Sierpniem a Grudniem, uchwałami popierającymi „Solidarność” i wykraczającymi poza statut. A więc — mówi partyjny rzeźbiarz — jeśli wybierzemy kolegów, którzy będą chcieli z władzami pracować i władze z nimi — wszystko będzie O.K. Jeśli nie — przyszłość trzeba widzieć czarno, nie wiadomo, czy Związek w ogóle będzie istniał, a czy wyobrażacie sobie koledzy życie plastyka w PRL — bez Związku?

Wszystko to była święta prawda, inaczej mówiąc: aż nadto konkretne pogroźki, i każdy plastyk o tym doskonale wiedział. Co więc sprawiło, że masowo skreślano partyjnych kandydatów do władz Okręgu i na listę delegatów na Walny Zjazd? Dlaczego podjęto nowe, jeszcze ostrzejsze uchwały? Dlaczego tak się stało we wszystkich prawie okręgach ZPAP: zebrania zamieniały się w manifestacje solidarności środowiska, coś tu ukrywać — przeciw władzy. Z zajęczkami nad głową, patriotycznym śpiewaniem. Dawniej plastycy na zebraniu, od czegokolwiek by nie wyszli, nieuchronnie zaczynali mówić o przydziałach pracowni, stypendiach i emeryturach; teraz, w piętnastym miesiącu wojny, na dnie kryzysu, oklaskują tych, co mówią o pryncypiach moralnych, a okazują niechęć przypominającym o materialnych zagrożeniach i korzyściach.

A przecież artysta-plastyk w PRL we wszystkich sprawach zawodowych, od sklepu z farbami aż po bank wypłacający honoraria — istnieje jako numer legitymacji ZPAP. Władze były pewne, że mają to środowisko w ręku, że plastycy, zagrożeni storpedowaniem Związku, sami wyrzucą za burtę bojowego prezesa Puciatę i cały Zarząd Główny. Tymczasem Puciata odbywał objazd wszystkich okręgowych zebrań wyborczych — witany owacjami, wbrew — zdawałoby się — instynktowi samozachowawczemu zgromadzonych. Partyjni plastycy patrzyli na ten szal ze zgrozą i opuszczali swych kolegów, zanim jeszcze obliczono wyniki głosowania — jakby były one nieważne, bo całą sprawę i tak miał załatwić ktoś inny.

Stasio T., człowiek przytomny i obarczony rodziną, wyrzucony z pracy etatowej za „Solidarność”, nie kryje zaniepokojenia, a nawet strachu o to, co będzie. Nikt z nas nie wie, jak ta władza zemści się na środowisku, a zemści się na pewno, gnębiąc je biurokratycznie i ekonomicznie. A jednocześnie znajomy mój, profesjonalista daleki zawsze od polityki i ideologii, wie, że zrobił jak trzeba głosując na Basię Zbrożną, a skreślając Frycza. Jest mu dobrze z tym, że nie uległ partyjnemu szantażowi, wziął udział w zwycięskiej potyczce z potężnym i wrednym przeciwnikiem. Partia może Związek zamknąć, zabrać siłą, ale głosować on na nią nie będzie. Tyle lat mógł, a teraz nie i koniec. Coś się zmieniło. Na świnię mówi się teraz świnia, i ogólnie wypada być przyzwoitym człowiekiem. Potrzeba ta jest silniejsza niż wszystkie dotychczasowe mody artystyczne.

14 kwietnia 1983. Jestem na Umschlagplatzu, składać kwiaty w czterdziestą rocznicę powstania w getcie. Manifestacja, prawdę mówiąc, niewielka. Ponad tysiąc osób, środowisko wyraźnie inteligentkie, wielu znajomych, prawie wszyscy z kwiatami w ręku. Duża część musi pamiętać, podobnie jak ja, zagładę Żydów w Polsce, nie przyszli więc tutaj tak jak się idzie manifestować przed ambasadę ani wykrzyczeć na ulicy. Miejsce jest naprawdę poważne, stąd kiedyś wywieziono do gazu czterysta tysięcy ludzi, póki kilkuset dalszych w kolejce nie przerwało tego pochodu, chwytając za broń. Mamy do nich wiele spraw, choćby tę wciąż niezakończoną z marca 1968 roku, kiedy Polska Ludowa zamieniła Dworzec Gdański na nowy Umschlagplatz, skąd Żydzi wyjeżdżali nie do gazu co prawda, ale jednak wyrzuceni z naszej wspólnej Ojczyzny. A więc jest o czym myśleć, składając teraz te kwiaty.

Młodzi ludzie w niebieskich mundurach z bezmyślnymi minami legitymują młodych ludzi ubranych normalnie, o twarzach inteligentnych. To Polska Ludowa pokazuje swą władzę; przysłała mrowie milicjantów z wszelkim ekwipunkiem, cały teren jest nimi obstawiony. Przywykli do tego towarzystwa, udajemy się, gdy nadchodzi piąta, w kierunku zamkniętej teraz stacji benzynowej, bo tutaj znajduje się tablica upamiętniająca wydarzenia sprzed czterdziestu lat. Władze miasta stołecznego zadbały, żeby temu miejscu odebrać wszelki patos.

Pierwszy idzie ksiądz Dembowski, rektor kościoła św. Marcina. Nagle — kilkanaście metrów przed tablicą — zajeżdża mu drogę milicyjny samochód, gramoli się zeń gruby kapitan i mówi do księdza coś opryskliwego. Nie słyszę słów, ani odpowiedzi. Potem kapitan niemal wrzeszczy: „Tu nie ma teraz żadnych uro-

czystości!”. Na co ksiądz Dembowski, wciąż stojąc kilkanaście metrów od tablicy, zaczyna „Ojcie Nasz...”. Podchwytuje to od razu chór głosów. Kapitana замуrowało, a potem jakby samo odwróciło na pięcie. Tak odwrócony, tyłem do nas, pilnował czy jednak nie pójdziemy pod tablicę. Ale myśmy poszli wszyscy w innym kierunku, pod Pomnik Getta, gdzie nasze uroczystości się odbyły; dopiero po ich zakończeniu milicja zdecydowała się rozpędzać. Z całego dnia najmocniej jednak zapamiętałem słowa: „Tu nie ma teraz żadnych uroczystości!”.

Miejsce, o którym kto raz się dowiedział, zawsze będzie myśleć ze zgrozą i z nieuchronnym poczuciem winy, gdziekolwiek wtedy był. Taki sam dzień kwietniowy, równo czterdzieści lat po tym, jak skazani na śmierć odważyli się pojąć swój los i zbuntować się przeciw niemu. Nie jednego pacierza by trzeba, żeby dać dowód pamięci, lecz wielu długich mszy żałobnych. A tu — władza wysyła swego funkcjonariusza, i ten jednym szczeknięciem oznajmia, że żadnych uroczystości nie ma.

Ta władza przywykła odpędzać nas od grobów, aresztować zebranych na cmentarzu, porywać kwiaty z pomników. I przywykła w najpoważniejszych dla nas sprawach wydawać takie właśnie policyjne wyroki: to jest, tego nie ma, to będzie. Tylko że na bardzo wielu nie robi to już wrażenia, poza tym, że mierzi.

Rozmowa z W. o malowaniu i wystawianiu obrazów. Nie chodzi już o bojkot, mówi W., mnie się po prostu odechciało. Tak jak było — już być nie może, nie ma do czego wracać. Wyobraź sobie: przerywamy bojkot państwowych galerii, znowu tam idziemy z obrazami — i co? To samo życie artystyczne, wernisaże, urzędnicy z Ministerstwa, atmosfera pobłażliwej tolerancji, kompromisu między fikcją artystyczną i fikcją polityczną. Po co mi to?

Dawne hierarchie wydają się nieważne, dawne tematy jałowe. Dawne układy — byłyby obrzydliwe, gdyby nie to, że najzwyczajniej przestały istnieć: nie ma Związku, nie ma gazet, tych samych co przedtem recenzentów, tylko jakieś kreatury. Mnóstwo ludzi poznikało, młodzież do oficjalnego życia artystycznego nie garnie się. Szła do kościoła na Żytnią, gdy była tam wystawa „Znak Krzyża”. Na wernisaże do „Zachęty” już nie wróci, czasy się zmieniły.

Pytam go, czy wie, że Świrgoń, sekretarz KC od spraw młodzieży, sam młody, jeździ po uczelniach artystycznych i właśnie wśród młodzieży werbuje narybek na miejsce tych, co się od wła-

dzy odwrócili. Partia „da młodym szansę”; chce zacząć edukację środowisk twórczych od zera, wychować sobie całkiem nowe pokolenia artystów, o mentalności działaczy młodzieżowych, którzy wyrastają na działaczy partyjnych, i wszystko partii mają zawdzięczać.

Obaj dochodzimy do wniosku, że powstanie pewnie obszar sztuki zagospodarowany przez takich ludzi; trudno powiedzieć, czy będzie on wyglądał bardziej jak felietony i rysunki w tygodniku *Rzeczywistość*, czy też jak muzyka z dyskoteki. W każdym razie stanie się to bez naszego udziału, bez próby przerabiania fikcyjnego w prawdziwe, bez zacierania granic między tym, co robimy dla siebie i tym, co oddajemy państwu.

W. był młody w czasach Października 1956, wystawiał w Arsenale. Wtedy się spieszył, dręczył się, że nie chwyta rytmu epoki. Teraz, mówi, spieszyć się nie będę. Ma poczucie, że gdzieś tutaj dzieją się sprawy niesłychanie ważne, ale jakby w innym czasie, nie w tempie wydarzeń bieżących, ani nawet postępu, który trzeba doganiać. Opowiada mi o swej rozmowie z przyjaciółmi, paroma malarzami między pięćdziesiątym a sześćdziesiątym rokiem życia. Odnieśli swego czasu sukces, stali się sławni, mają obrazy w znanych muzeach. Otóż powiedzieli oni sobie, że tamto uważają za rzecz zamkniętą, więcej już uznania w życiu im nie potrzeba, publiczność sal wystawowych może o nich zapomnieć choćby na zawsze.

Tego rodzaju myśli ludzie znajdują w sobie, gdy z jakichś względów przychodzi na nich nie mus, lecz właśnie ochota, by się wycofać w świat wartości głębiej przeżywanych. Wielu ludzi z artystycznego parnasu uczy się dzięki bojkotowi żyć w ciszy; ze zdumieniem informują się wzajemnie, że im z tym dobrze.



A przecież ktoś jednak te gazety redaguje, ktoś do nich pisze. W telewizji jacyś ludzie śpiewają piosenki. W radio aktorzy, zwykle co prawda o nic nie mówiących nazwiskach, czytają wiersze i powieści. Mało tego i marne to, ale czy uległości nie będzie więcej?

Czy ludzie potrafią wytrzymać biedę? Rozmowa o ideologii w gościnnym domu państwa S. zesła na podarte prześcieradła, podarte skarpetki i majtki. Pani S. mówiła o tym ze śladem rozpaczony w głosie: garderoba rodzinie się rozlaży, od dawna już trzeba ją cerować i łątać, o kupieniu nowego prześcieradła nie ma mowy. Jeśli się nawet czasem te rzeczy w sklepie pojawiają, ustawia się po nie gęsta, agresywna kolejka na dni i noce. A więc to już nie jest sprawa standardu społecznego, mody, tylko naj-

zwyczajnie wysłania lub niewysłania dzieci na spacer czy do szkoły w złą pogodę, bo nie mają butów i kurtek. Wiadomo przy tym, że wszystkie ceny będą rosły, a niepokornym inteligentom będzie się odbierać możliwość zarabiania. Już się to przecież robi; pewne pociągnięcia organizacyjne, centralizacje, rejestracje wyglądają na przygotowania do długiego szturm, żeby polską inteligencję, zwłaszcza twórczą, wziąć głodem. Przy czym być może określenie „głód” należy w perspektywie pojmować całkiem dosłownie.

Pijąc herbatę (zieloną, bo innej już nie ma w domu) poeta S. mówi: „Najwyżej będziemy razem robić z opon sandały”. Jego żona uśmiecha się, choć blado. Wiele żon traktuje jednak tę sytuację bez uśmiechu, z pełnym poczuciem jej tragizmu. One już mówią swym mężom: nie możemy sobie pozwolić na odmawianie pracy jaką nam dają, nam nikt nie pomoże, dzieci muszą coś jeść.

Upraszczam, oczywiście, krzywdzę dzielne żony. Również i stan majątkowy twórców wcale wyrównany nie jest. Wszyscy niemal mają poczucie, że grozi im ubóstwo, ale każdy jest na nie inaczej przygotowany, i pod względem materialnym i psychicznym. Różnie są zaopatrzone szafy, różna jest odporność na strach. Moment, gdy ludzie mówią: nie możemy sobie na to pozwolić — u każdego wygląda inaczej i kiedy indziej przychodzi. Czasem po bardzo długiej wewnętrznej szarpaninie, która zresztą nieraz dalej trwa, gdy już smutna decyzja zostaje podjęta.

Dawniej byłem po prostu wściekły na ludzi, którzy szli pracować w peerelowskich gazetach, będąc o nich tego samego mniej więcej zdania, co ja. Teraz, kiedy często widzę, jak ci ludzie się męczą, i bardziej mi ich żal, i dostrzegam, że ich sprawa wcale nie jest jeszcze zamknięta. Już niektórzy pracują także dla drugiego obiegu. Takie było ich pierwsze postanowienie, gdy tylko ich znowu przyjęto do pracy.



A jednak żal, że zabrano Dom Pracy Twórczej w Oborach, żal kawiarni w kamienicy Johna na Krakowskim Przedmieściu, Domu Plastyka na Łobzowskiej w Krakowie. To są już tereny zagarnięte przez ludzi władzy, przez jej nowe związki twórcze. Jeszcze mamy tam wstęp, ale jakby z łaski, te domy przestają dla nas istnieć.

Różnie z nimi bywało, kompromisy i łajdactwa twórców także i tam miały swe miejsce, ale przecież choćby wszystkie te pokoje w Oborach, w samym pałacu i w oficynie wielu z nas

wspominać musi z sentymentem! Powstawały tam książki, łączyły się przyjaźnie i romanse, i tam spiskowało się przeciw władzy, bodaj czy nie nieustannie. Władza położyła temu kres, czemu trudno się dziwić — ale nie wiadomo, czy nie tolerowałaby nadal dysydenckich stolików w literackiej kawiarni, czy nie pozostawiłaby twórcom wielu dawnych przywilejów, nawet i statusu pół-pupila, pół-opozycjonisty — gdyby tylko twórcy chcieli wrócić do starego układu z władzą, do — jak to było za Gomułki i Gierka — aktów kontrolowanego nieposłuszeństwa przeplatanych aktami powściągliwej lojalności, do kapryśnego życia artystycznego, gdzie jednak wszyscy niemal godzili się na istnienie pewnych tabu. A jeśli ktoś tabu naruszył, to zwykle — zadowolony — udawał przynajmniej, że zrobił to przypadkiem, że się godzi na wspólne nadrzędne racje. Miałem czasem wrażenie, że szef kultury i propagandy sekretarz KC Łukaszewicz, wściekając się na takie uniki i oszustwa, lubi je w końcu, bo pozwalają na twórców patrzeć jak na krnąbrne nieraz, ale i nieodrodne dzieci reżymu.

Wszyscy — partyjni dygnitarze, twórcy posłuszni i nieposłuszni — jakoś się jednak spotykali na wspólnym terenie. Teraz takich spotkań prawie nie ma. Nie szuka się już protekcji, by komuś wydano książkę, zwolniono felieton w cenzurze: felieton i książkę można wydrukować gdzie indziej. Nikt nie stara się przekonywać wydziału kultury KC, że awangardy prześladować nie należy, że można ją włączyć w plany rocznicowych imprez kulturalnych. Oni mają swoje imprezy, my swoje. Drogi nasze się rozchodzą coraz bardziej, o nic już ludzi władzy nie prosimy, jak tylko o to, by nas zostawili w spokoju. Na co oni oczywiście nie chcą przystać, i — coraz bardziej rozjuszeni — myślą tylko, jakby nas batem zmusić do opamiętania. Już wiedzą, mówił to Rakowski, że „z częścią środowisk twórczych dialogu nie będzie”. Trudno dziś orzec jak duża to część, na pewno jednak dość duża, by popsuć ekstrawagancką a jałową zabawę w życie artystyczne, które z prawdziwym życiem w Polsce albo nie ma nic wspólnego, albo wykoślawione jest półprawdami.

Kończy się epoka dwuznacznych kompromisów, mieszaniny pogróżek i łask, epoka cyganerii artystycznej z partyjnego dworu.

Posłuszny władzom Związek Literatów rodzi się pod znakiem dużego skandalu: sfałszowane okazały się w wielu przypadkach podpisy pod publikowanymi w prasie deklaracjami poparcia dla grupy partyjnych literatów, którzy nowy związek zakładają. Sprostowania drukował *Tygodnik Powszechny*, *Polityka* a nawet *Try-*

buna Ludu. Z oszustwa tego nikt się jednak nie tłumaczy — i tak wiadomo, jak sprawa wygląda.

Nową organizację pisarzy zakładają partia i SB. Po Bohdana Czeszkę przyjechała do jego dachy na Mazurach milicja i zawiozła na zebranie założycielskie; bynajmniej się nie opierał. Podpisy pod wspomnianymi deklaracjami organizowali między innymi nie mający nic wspólnego z literaturą partyjni funkcjonariusze.

W Rzeszowie wezwano do Komitetu Wojewódzkiego trzech spośród nielicznych pisarzy mieszkających w tym mieście. Byli członkami PZPR, dano im więc partyjne polecenie wpisania się na listę tych, którzy popierają nowy Związek. Jeden rozkaz wykonał, dwaj pozostali złożyli legitymacje. Ci dwaj to emeryt i nauczyciel. Od razu partia zapowiedziała, że nauczyciela wyrzuci się ze szkoły, a i emeryt nie będzie miał w Rzeszowie łatwego życia.

Co skłoniło obu tych pisarzy do zachowania tak bohaterskiego? Mają pewnie przyjaciół, wobec których nie chcą stracić twarzy, i pewnie nie życzą sobie, by ich nazwiska, choć mało znane, poszły w Polskę jako nazwiska kolaborantów. Wzięli udział we wspólnym proteście twórców wobec przemocy, mimo że są bezbronni, jak tylko może być bezbronny wobec władzy obywatel PRL na prowincji.

W tym przypadku naprawdę można powiedzieć: „niebo gwiazdziste nade mną, prawo moralne we mnie”. Prawo takie obowiązuje niezależnie od życiowych okoliczności, od tego gdzie kto mieszka i jaka jest jego sytuacja rodzinna, od niczego. Ostatnie wstrząsy, jak się zdaje, ujawniły wielu polskim twórcom, że mają w sobie ów kategoryczny imperatyw, choć bez niego może byłoby im czasem w tej trudnej sytuacji wygodniej. Jest to dość tajemnicze zjawisko, nie sposób jednak go nie zauważyć. Tym zapewne tłumaczyć należy, że marksistowski relatywizm moralny, stosowany teraz na użytek chwili przez Rakowskiego, Urbana i Passenta, a sprowadzony w gruncie rzeczy do ulubionego powiedzenia milicjantów: „z nami nikt nie wygra” — trafia w próżnię. Coś każe wielu ludziom zachowywać się przyzwoicie w sytuacji, zdawałoby się, beznadziejnej.

Czas jest dzisiaj trochę, a może więcej niż trochę, apokaliptyczny. Kilka razy w ciągu ostatnich lat świat wokół nas przewracał się do góry nogami: Sierpień '80, najazd 13 grudnia, bezprzykładowy kryzys gospodarczy, „Solidarność” w podziemiu, „Solidarność” na ulicach, miasta opanowane przez tysiące czołgów,

miasta opanowane przez miliony ludzi idących na spotkanie z Janem Pawłem II. I wreszcie atmosfera nadciągającej wojny, którą wywołuje dla swoich celów propaganda: te przemarsze wojsk, krążenie samolotów w TV, wznoszenie się rakiet na wyrzutniach. Wiemy, oczywiście, że to nie znaczy wcale, że naprawdę ma być wojna, mimo wszystko jednak ten propagandowy teatr robi wrażenie — zwłaszcza, że gołym okiem widać co się dzieje, jak TO się sypie, jak z całego totalitarnego porządku powoli zostaje, odślania się coraz bardziej, armia.

Pewnie, wielu to paraliżuje i skłania do uległości, w innych jednak wywołuje poczucie końca jakiegoś świata — jeśli nie końca świata w ogóle, której to okoliczności w osobistych planach jednak się nie uwzględnia. Można powiedzieć, że z Apokalipsą jesteśmy oswojeni: nasza codzienność jest niesamowita, sklepy wyglądają jak obrabowane, towary i instytucje znikają nagle, pojawiają się instytucje-widma, jakby się ziemia ruszała. Istotnie — „przemija kształt tego świata”.

Jeśli się w tym klimacie nie ulegnie panice, filozofii „ratuj się kto może”, zaczyna się widzieć pewne rzeczy dość jasno, a przynajmniej z dużą determinacją. Po dwuznacznościach i krętownicach historii, w jakich uczestniczyliśmy — wszystko stało się jednoznaczne, na krętownicach nie ma miejsca; nadszedł czas ostatecznej próby sił i trzeba się po prostu opowiedzieć wyraźnie, cokolwiek by się działo.

Paweł MORGA

KONTRAST-OFFSET-DRUCK

BREITENSTEINSTRASSE 33 • D-8209 SCHLOSSBERG-ROSENHEIM
TELEFON 08031 / 77 77

Jedyna w RFN POLSKA DRUKARNIA WYDAWNICZA wykonuje:
książki, broszury, czasopisma, katalogi, prospekty, karty świąteczne,
zaproszenia, odezwy, ulotki, blankiety
i tp. organizacyjne, społeczne, prywatne i reklamowe druki.
Skład elektroniczny — także „na wynos” —
zapewniający najwyższą jakość druku.
Solidne wykonanie — ceny umiarkowane !

Aresztowanie

Gdy będą Cię brali z ulicy, ryżawy blondyn uchwyci Cię mocno pod ramię i wsunie Twój dowód, ledwie rzuciwszy okiem, do kieszeni skórzanej kurtki. Inny esbek, o wypukłych, przeświecających oczach wilczka, uchwyci Cię pod drugi łokieć. W tym momencie na czas dłuższy staniesz się przedmiotem, przedstawianym na szachownicy w ramach nie znanych Ci dotąd reguł.

Później, gdy będą Cię już rozbierać do naga (dwóch przytrzyma za ręce, jeden wywracać będzie kieszenie i wprawnymi palcami przesuwając po szwach spodni i kurtki, dwóch pozostałych obserwować uważnie Twoje reakcje), po raz pierwszy odmówisz złożenia podpisu. Wówczas też po raz pierwszy zadziałają reguły, których dotąd nie znałeś. Przystojny młody człowiek na ciągłym półśmiechu, o twarzy asystenta uniwersyteckiego, przesłoniętej szklami w modnych oprawkach, podpisze się za Ciebie. Potem siądzie z westchnieniem ulgi i, ciągle na półśmiechu, powie z rozbijającą szczerością: No, nareszcie!

I. SYSTEM

Na czym polega system? Przede wszystkim na pozbawianiu Cię nadziei. Nadziei w sens i celowość tego, co robisz/robiłeś Ty i Twoi koledzy z organizacji. Nadziei, iż w ogóle może być lepiej. Na początek temu systemowi perswazji ma służyć niemal idealne odizolowanie jednostek osadzonych w Twoim Areszcie. Ogromny kompleks pawilonów więziennych warszawskiego Mokotowa wyda Ci się upiornie pusty za każdym razem, gdy klawisz wyrwie Cię z celi na korytarz — na przesłuchanie, do lekarza, na spacer lub po paczkę od najbliższych...

(— Podpiszcie tu, że kwitujecie odbiór.

Podpisać musisz w ciemno, nie znając zawartości.

— Od kogo paczka do was?

— Pewnie od matki. Albo od żony.

— Ano, zaraz zobaczymy, co to za żona.

— Panie oddziałowy, żonę zostaw mi pan w spokoju!

— Coście tacy nerwowi? Różne tu zdarzają się prezenty od tych waszych żon...

Kostka masła rozkrojona na dwie części, kawałek ciasta — na trzy, szampon, rozarty na dłoni, badany jest na smak i zapach.

— Dobra, zbierajcie to do torby. Ale już, prędko!)

System polega na tym, abyś poczuł się maksymalnie ubezwłasnowolniony od pierwszego do ostatniego dnia pobytu w „zakładzie”. Niewolnik? Skądże, przysługiwać Ci będą rozliczne prawa. Na przykład prawo do pisania odwołań, skarg i zażaleń do władzy na różnych szczeblach: od naczelnika przez Prokuraturę Generalną i Ministra Sprawiedliwości aż po Radę Państwa. Ktoś będzie pisał nawet do Sekretarza Generalnego ONZ. System jest głęboko humanitarny — będziesz miał swoje prawa.

Ale „póki co”...

(— Mydlić się!

Półrozkaz, półinformacja, wwarknięta przez półotwarte pancerne drzwi. Po chwili wkroczy fryzjer-skazaniec z krzeselkiem i brzytwą.

— A wy co, nie golicie się?

— Panie oddziałowy, mam uczulenie, brzytwą nie mogę się golić. Zapuszczam brodę.

— Brodę, powiadacie? Jak lekarz stwierdzi, że się nie możecie golić, to inna sprawa. Ale jakeście tu przyszli ogoleni, to i macie prawo wyjść stąd ogoleni. Mydlić się!

— Panie oddziałowy, ale czy golenie to jest prawo, czy obowiązek więźnia?

— Jaki tam znów obowiązek? To jest wasze prawo, a ja wam z niego tylko każe skorzystać. No, mydlić się!)

Są też prawa, których Ci nie odbierze ani kławisz, ani naczelnik. Prawo do miski z ok. 2000 kalorii w kawie zbożowej, chlebie żytnim i marmoladzie z buraków, okraszonej odrobiną margaryny, w tłustej zupie nieokreślonego koloru i smaku i w brązowym sosie z kartoflami o oczkach tak czarnych, iż zasłużą na miano „wkładki z pieczarkami”. Prawo do półgodzinnego spaceru, którego nie pozbawia się nawet najzatatwardzialszych przestępców: morderców, gwałcicieli i tych, którzy mieli zamiar obalać władzę ludową. Wszyscy pójdziecie (osobno — celami!) na betonowy spacernik o powierzchni 25 metrów kwadratowych. I mało któremu przyjdzie do głowy myśl, iż depczecie po szcząt-

kach poprzedniego pokolenia przestępców — oficerów AK, WiN-u, WP, KOP-u, chowanych właśnie tu, pod murem, we wczesnych latach 50-tych.

Prawo do korespondencji. W ramach tego prawa będziesz mógł spodziewać się otrzymania po trzech-czterech tygodniach pierwszej ostrożnej kartki z domu („... obyś nam był zdrow, dobrej myśli i nie martwił się o nas. Dziś próbuję Ci przesłać nieco niezbędnych rzeczy...”). Ale Twój kolega otrzyma pierwszą wiadomość z domu po pięciu tygodniach — 11 listów naraz.

System polega na ciągłym, choć najdosłowniej wyrwykowym dialogu Władzy z Tobą i Tobie podobnymi. Dialog będzie szczególnie intensywny od godziny 9.00 do 12.30, gdy oficerowie śledczy będą robić Wam przerwę na obiad, oraz po obiedzie do godziny 16.00, gdy każdy urzędnik ma ochotę (i prawo!) kończyć dzień pracy. Z wyjątkiem pierwszej doby, gdy atakować Cię będą szturmem frontalnym, licząc na Twe załamanie w pierwszym podejściu, nocne przesłuchania będziesz mógł włożyć między legendy. Albo może między lektury — najlepiej Arthura Koestlera, pamiętników Andersa lub Wata. Będą nawet dni, gdy dialog zamiera i życie w celi toczyć się będzie rutynowym trybem (punktowane takimi atrakcjami jak posiłki, sprzątanie, gra w inteligencję lub papierowe szachy, dodatkowe spaceru pojedynczo lub parami (w celi o powierzchni 11 metrów będziecie mogli chodzić parą od drzwi do zakratowanego podwójnie okna — 7 kroczków w jedną, 7 w drugą stronę — pod warunkiem, iż pozostała dwójka przykucnie na kiblu). Będą też inne dni, gdy skrzypiące i trzaskające drzwi na poziom śledczy nad Waszym III Oddziałem prowokować będą gniewne grepsy denerwujących się kolegów...

(— Co oni dzisiaj — nagłego popędu na przyjazd papieża dostali?

— Naszych do gazu biorą. Jutro na spacerniku zobaczycie, jak krematorium będzie dymić).

O Boże!

II. DIALOG

Dialog z Tobą prowadzony będzie więc w kilku etapach i z różną intensywnością, do czasu gdy wreszcie, jako nie rokującego wkładu do dzieła porozumienia, przeniosą Cię do przechowalni-limbo na niższych oddziałach pawilonu, gdzie będziesz oczekiwał dalszego rozwoju wydarzeń.

Do dialogu przygotują Cię wstępnie kryminaliści na Mostowskich, gdzie trafisz pod koniec emocjonującego pierwszego-druhiego dnia, jako szósty aresztant w zatłoczonej podziemnej celi.

Wejdiesz, uśmiechając się bez przekonania, i spytasz się, kto tu starszy...

(— Charakterniak?

— ?

— Daj spokój, widać, że polityczny. Za „Solidarność”?

— Za „Solidarność”.

— To jesteś w porządku. Możesz się witać. Cwela pod celką nie mamy.

— ?

— No, cwela. Nic, nauczysz się. Na początek — podstawa. Jak się szamie, nie ruszać generała, nie odlewać się.

— Generała?

— No, tu w kacie jest generał, albo Wojtek. To taki zwyczaj, że kibel zawsze nazywa się po 1-szym sekretarzu. Ty goły jesteś? Z ulicy?

— Tak.

— W porządku. Szluga możesz brać bez pytania. Mamy też mydło. Każ bojowi dać drugi materac, bo od betonu ciągnie, a kurwy nigdy sami nie dadzą, jak się nie upomnisz. Z nami nie zginiesz, nawet zielone w celi mamy. Ty, ale w klapę uderzać nie będziesz?

— W klapę?

— Daj spokój, on jest w porządku).

Złodzieje, włamywacze. Arystokracja. Wieczorem, przy cmiącym świetle zakurzonej żarówki, na trzyosobowym barłogu pod ścianą, wybuchnie...

(— Nazwiska, adresy, kontakty?!

— Nic nie wiem, nie powiem!!! O kurwa twoja mać — połamiesz!

— Nazwiska, lokale, kontakty?!

— Nic nie wiem, nie powiem! Teściowa wszystkich zna!

— Nazwisko, adres teściowej?

— Na Bródnie od pięciu lat.

— A ty kurwo, no to masz za teściową! Zaraz ożyje i przez ciebie przemówi.

— O kurwa, połamiesz!)

To nie awantura. To złodzieje trenują przed przesłuchaniem, wyłamując sobie kolejno stawy w palcach i dźgając łokciem w zębra.

(— Przepraszam, czy tu biją? — Powtórzysz pytanie Piwowskiego.

— To zależy. „Solidarność” — tylko jak wezmą z demonstracji, albo jak widzą, że młody i już się łamie. Nas boje biją po komendach.

— Boje?

— No, mundurowi. Głowy mają jak boje).

Problem stanie ponownie, gdy oficer SB spyta Cię parę dni później, życzliwie...

(— No, jak pan się czuje?

— Zastraszony i zaszczuty.

— Zaszczuty? Czy ktoś tu pana bije, lub grozi biciem?

— Jeszcze nie. Ale pańscy koledzy paznokcie zrywali AK-owcom. Znam takiego...

— Jacy koledzy, o kim pan mówi?

— No, wtedy nazywaliście się MBP, ale co za różnica?

— Panie, co to z nami ma wspólnego? To pan nie wie, kto tu wówczas pracował?!).

Winni są Żydzi i cykliści. W jakiś obłędny sposób upiory wielkiej wojny błakają się w zakamarkach wojny naszej małej i wciąż jeszcze, choć z rzadka, odzywają się szyderczym chichotem.

Może pewnego dnia Twoim uprzejmym rozmówcą będzie młody barczysty blondyn, bijący Cię na głowę stopniem naukowym i wciąż szczerzący pełny garnitur zębów w uśmiechu. Może spytasz go, dlaczego żonie jednego z ukrywających się, balansującej już na krawędzi choroby psychicznej i zdecydowanej na porzucenie zarówno fantazji o drugiej Japonii, jak i generalskiego realizmu drugiego Bangladeszu, konsekwentnie odmawia się paszportu...

(— Przypuszczam, że w zamiarach władz może być dokonanie jakiejś korzystnej transakcji wymiennej.

— No, nie słyszał pan o Eichmanie? On był pierwszy, który wymieniał Żydów na ciężarówki.

— A w jakim stosunku chcielibyście NAS na ciężarówki wymienić? Sztuka za sztukę?

— No nie. Was jest znacznie mniej, to i proporcja byłaby inna. Zresztą, kto mówi o ciężarówkach? Potrzebne są traktory, może nawozy sztuczne...

— Pan żartuje?

— Nie, dlaczego? Trzeba być realistą w życiu).

Realizm, pragmatyzm. Pojęcia używane nie tylko hasłowo, ale dosłownie na co dzień. Tu, na Rakowieckiej, zdecydowanie teraz nie biją. Tu kręcą się młodzi, przystojni mężczyźni w świetnie skrojonych sztruksach (Pewex? Odrzuty z eksportu? Włamanie do Marcina?) i z kwarcowymi zegarkami na rękach. Niemal każdy z nich mógłby być Twoim kolegą z uczelni. Co ich przyciągnęło do tego zawodu, którego prestiż społeczny w Polsce niewyższy jest od prestiżu grabarza? Najmocniej przepraszam grabarzy...

(— Czy może pieniądze?

— Jakie tam pieniądze — od 14 do 20 tysięcy, zależnie od stanowiska i usługi lat. Wielu przeważnie leci z początku na poczucie władzy, ale to po paru latach tępieje i przestaje odgrywać rolę motywacji. Po prostu — jaką lepszą pracę może dostać w Polsce chłopak po prawie lub psychologii, jeśli jest z małego miasteczka a nie ma tatusia z plecami?

— Mieszkanie?

— To też, ale ja, na przykład, dostałem swoje dopiero po trzech latach, a i to szczęśliwym trafem.

— Inni czekają 12 lat i nie mogą dostać.

— Panie, my naprawdę jesteśmy normalni. I kłopoty mamy podobne, jak wszyscy).

Bardzo, wręcz rozpaczliwie, pragną uchodzić za normalnych ludzi. Pytanie

(— A syn w szkole nie wstydzi się za tatusia?)
rozwściecza przynajmniej co drugiego. To słaby punkt systemu, który, musząc opierać się na janczarach, nie zbudował (jeszcze!) wokół nich ochronnej, wysokiej bariery przywilejów, dających pełny komfort materialny i neutralizujących poczucie wyobcowania z tkanki społecznej.

(— Przecież to wszystko psychopaci, mówi z pogardą socjolog, art. 276, par. 1.

— Niebezpieczni?

— Nie w tym znaczeniu. Psychopata to człowiek o wybitnym przeroście pewnych predyspozycji psychicznych i ostrym niedoborze innych. W tym sensie np. każdy polityk z samej definicji musi być psychopatą albo szybko zakończyć karierę. Nasi śledzie muszą odczuwać jakąś rozkosz spełnienia w pozornie swobodnym dysponowaniu losami innych jednostek. Spójrz na klawisz — to samo).

Nie zgodzisz się z socjologiem. Wyrazisz przypuszczenie, że jest to po prostu próbka społeczeństwa, poddana długotrwałej obróbce do momentu aż stwardnieje i zatraci te „inne predyspozycje”. Ale i najtwardsza próbka zdarza się, że pęka.

Klawiszom nie wolno prowadzić prywatnych rozmów z „osadzonymi”...

(— Ubierajcie się!

Jest paczka od rodziny. Rytualne, lecz tym razem dość pobieżne przeczucie zawartości.

— Panie oddziałowy, żona grypsów nie przysyła, a żyletki dla mnie też tu nie ma.

— Myślicie, że ja nie wiem? Po trzydziestu latach pracy wystarczy mi raz spojrzeć na gościa i wiem, czego się trzymać. Ale taki regulamin...

— Ciężką ma pan pracę. Przecież mordercy też się tu zdarzają...

— Ciężką?! PANIE, to katorga, nie praca! A przecież ja wiem, że większość PANÓW w tym pawilonie, to niewinni...).

Jaskrawe przekroczenie regulaminu — ba, podważenie celowości systemu represji przez małeńkie kółeczko tegoż systemu, które powinno się kręcić, nie rezonować.

Na inną nutę może rezonować oficer śledczy, przybierający wygodną pozę cynika i utrzymujący dystans do następstw zamachu stanu...

(— Jednego nie mogę zrozumieć. Po co było atakować milicję, UB (sic!), prokuraturę? Przecież gdybyście przejęli władzę, to i tak na nas musielibyście się oprzeć!

— Władzę? Za bardzo przejmuję się pan lekturą *Trybuny Ludu*. Natomiast jak partyjny oficer może dopuścić myśl o słuszeniu komukolwiek innemu, niż rządzącej partii?

— No właśnie, rządząca! Przecież ta partia już dawno, jeszcze w 1980 roku, przestała rządzić, a teraz to właściwie przeszka rządzić.

— Więc jak długo macie zamiar rządzić WY — wbrew społeczeństwu, nawet wbrew fasadzie partii? I do czego to doprowadzi?

— Jak długo? Wie pan, że rządzi się kijem i marchewką. Najskuteczniej marchewką, gruby kij trzymając za plecami. W naszym przypadku trzeba kijem — tak długo, aż marchewka nie odrośnie. Jak długo? A choćby i 20 lat! A do czego to ma prowadzić? Proszę pana, przecież zawsze mniejszość rządzi większością, wymuszając swą wolę. Czytał pan „Księcia” Machiavellego? (Oficer wymawia to nazwisko „maczjawelli”).

— Fragmentami.

— No właśnie. Ja czytałem. Jak pan sądzi — czy człowiek jest z natury istotą dobrą, czy złą?

— Według etyki chrześcijańskiej — z natury dobrą, choć błędzącą. Według marksistów — na pytanie postawione w kategoriach metafizycznych nie może być w ogóle odpowiedzi.

— No właśnie. Więc według Machiavellego, człowiek jest z natury swej zły i zadaniem władzy jest nie dopuścić do ujawniania się złych instynktów jednostek i grup ludzkich. Stąd konieczność stałego trzymania ludzi w ryzach, właśnie systemem kija i marchewki.

— „Każda władza deprawuje, zaś władza absolutna deprawuje absolutnie”. To podobno Lord Acton, nieco późniejszy. Więc wy jesteście ci od pilnowania, ci których już nie trzeba pilnować?

— Nas pilnuje dobre prawo).

Dopiero w wiele tygodni później i w innej celi dowiesz się, że Twój oficer-erudyta zaczerpnął cały swój zasób wiedzy o „maczawellim” z bryku KTT w *Polityce*. Mimo woli, poczujesz się trochę wystrychnięty na dudka.

III. DIALOG c.d.

Nie wszystkie dialogi z władzą są dyskursem niedouczonego filozofa. Niemal każdy może jednak prowadzić do iluminacji ducha, jeśli duch jest wystarczająco odporny.

(— No i co? Władzę chcieliście przejmować, robotnikami się zastanialiście, a teraz zostaliście na lodzie. Już tylko mała część inteligencji was popiera. Co ja mówię — inteligencji? W zasadzie już tylko z młodszymi pracownikami nauki są jeszcze kłopoty. Ale i to minie.

— Kiedy?

— Niech się tylko półki zapełnią, zobaczycie jak ludzie zmieniają poglądy!

— To pan sądzi, że ludziom tylko o kiełbasę chodzi?

— No, a o co chodzi? O co ludziom chodzi?

— Jeśli pan wszystkie procesy historyczne analizuje przez pryzmat własnego brzucha, to *pazdrawlaju*).

Ryk gniewu wyrzuci Cię na korytarz. Widać trafiłeś w słaby punkt.



Przesłuchania mają doprowadzić do załamania się nadziei w przesłuchiwanym. Stąd ścisła izolacja od otoczenia oraz obowiązkowy kapuś „pod celką”, który w ciągu pierwszego tygodnia lub dwóch będzie próbował wypompować z Ciebie informacje (choćby to były tylko szczegóły Twego pożycia z żoną lub kłopoty z dzieckiem), którymi następnie ma zaskoczyć Cię śledź. Temu samemu celowi służyć będą szyderstwa, szantaż, znacznie rzadziej obelgi lub groźby. Kluczowe są pierwsze dni/tygodnie, kiedy będą próbowali brać Cię szturmem. Jeśli nie zmięknieś i konsekwentnie będziesz odmawiał odpowiedzi na wszelkie pytania w sprawie, doczekasz się być może mimowolnego komplementu.

Po którymś z kolei przesłuchaniu wyjdiesz na galerijkę sprowadzającą Cię z poziomu śledczego do poziomu mieszkalnego i staniesz u drzwi, czekając, by klawisz Cię przepuścił. Może wówczas, sam niewidoczny, usłyszysz tuptanie Brzucha, śpieszącego do Twojego kolejnego śledzia.

(No i jak, inspektorze? Mięknie, mówi coś?

— A gdzie tam! Zaciął się skurwysyn, jak kasa pancerna).

Być może poczytasz to sobie za jeden z najbardziej wyszukanych komplementów, jaki mogłeś w tych okolicznościach usłyszeć.

Nie wszyscy będą umieli się zaciąć. Załamanie może przyjść po kilku dniach, gdy za podwójnie zakratowanym, matowym oknem (15 cm prześwitu pod samym sufitem) rozbłyśnie słońce, zapachnie Ci bez, usłyszysz głos młodej kobiety nawołującej z oddali, zza muru...

(— Tomaszku, wracaj do domu natychmiast!)
i monotonny refren Piotra Fronczewskiego...

(*Nie rycz, mała, już nie rycz!*)

Ja znam te wasze numery...)

... i gdy zdasz sobie sprawę, że jesteś tu na długo. Wkrótce zresztą, i nie bez złośliwej satysfakcji, utwierdzi Cię w tym przekonaniu Twój wychowawca, wypisując Ci talon odzieżowo-higieniczny...

(— Spodnie, grzebień, papier toaletowy, szampon... No, co jeszcze? Mówcie prędko. Radzę sweter, bo zima przyjdzie, jak co roku. Słuchajcie, następnego talonu nie dostaniecie ode mnie wcześniej jak za sześć miesięcy. Więc namyślcie się dobrze).

I oto któregoś dnia może Cię opanować przemożna chęć wyjścia „stąd” niemal za wszelką cenę. Właśnie wówczas niektórzy się załamują. Być może zauważysz, jak stosunkowo łatwo łamię się w śledztwie wiele kobiet...

(— Mają bardziej od mężczyzn rozbudzoną wyobraźnię, głębsze i wrażliwsze życie wewnętrzne, fatalnie znoszą izolację i poczucie zagrożenia. Łatwiej wierzą, gdy „dobry śledź” uśmiechnie się i obieca że już wkrótce wyjdą).

Tak Ci powie socjolog. Tymczasem wieczorami, z okna jednej z cel, płynąć będzie wzdłuż ściany pawilonu smutne wezwanie, rzucane stentorowym męskim głosem...

(— Koledzy! Przestańcie wreszcie gadać! Zaczniście odmawiać zeznań).

Zauważysz, być może, jak często załamują się w śledztwie ludzie młodzi, bez doświadczenia płynącego z uprzednich konfliktów z władzą. Z nimi częściej postępuje się brutalnie. Twardszy kręgosłup okazują się mieć ludzie starsi, zwłaszcza inteligenci, którzy łatwiej widzą swą walkę i niedolę w kontekście procesu historycznego, nieuchronnie prowadzącego do zwycięstwa. Kiedy?

„Po wielkich pożarach dziejowych, ognie dziedziczą poeci, popioły — uczeni” (Wincenty Rzymowski).

Kto odziedziczy spadek po „Solidarności”?

Po paru miesiącach celi i pierwszych, oficjalnie aprobowanych lekturach coraz częściej będziesz popadał w historiozoficzne refleksje.

IV. LEKTURY I REFLEKSJE

Refleksje będą się rodzić ze spontanicznych obserwacji, bądź w trakcie lektur i ich analiz. Gdy wprowadzą Cię po raz pierwszy do Mostowskich, czekać już będzie stosik wystrzępionych książek o tytułach, których nie zapamiętasz i treści, której nie będziesz ciekaw. Natomiast dobrze zapamiętasz okrągłą pieczętkę, zdobiącą każdy tom: Ministerstwo Bezpieczeństwa Publicznego.

Na Rakowieckiej będzie podobnie (oczekiwać będą autorzy: Erenburg, Panow, Paustowski), lecz pieczętki już inne: na starszych — Więzienie Nr 1, na nowszych — Centralny Areszt Śledczy w W-wie. Tu już dowiesz się, że biblioteka Centralnego Aresztu dysponuje imponującą liczbą 40 tysięcy tomów i natychmiast złożysz zamówienie na katalog, by wyrwać się z zakłętogo kręgu Paustowskich. Wówczas zaczną się kłopoty.

Katalog dostaniesz. Ale gdy otworzysz go na literze „M”, stwierdzisz, że Mickiewicz, to literatura drugiego obiegu. W miejsku, w którym spodziewasz się znaleźć wieszczą, widnieć będzie MICHTA, płk prof. dr Norbert, z dziełami, których tytułów ani treści nie będziesz ciekaw. Znajdziesz wprawdzie zarówno Greene’a jak i France’a, Sienkiewicza i Singera, lecz Twą uwagę zwróci ostrzegawcze notki, nagryzmolone przy wielu nazwiskach: „Uwaga, czerwony!”. Przy jednej z pozycji — cały komentarz: „Czas czytania zalicza się podwójnie na poczet odbywanej kary” (Głowacki W., „Partyjne kierownictwo i praca partii w radach narodowych”). Książka J. W. Borejszy „Patriota bez paszportu” opatrzona ostrzegawczą czerwoną gwiazdą. Chyba trochę na wyrost. No, ale cóż, takie czasy.

Poezja, historia — rewiry zakazane. („Odbierzcie narodowi jego historię, a...”, któż to, kotku, powiedział, ach któż?). Tymi dziedzinami twórczości, nadmiernie pobudzającymi do snucia analogii i refleksji, rządzą specjalne katalogi, dostępne za specjalnym pozwoleniem. Nie łudź się, że pozwolenie dostaniesz. Najważniejsze, że księgozbiór liczy 40 tysięcy tomów. Ta liczba idzie do sprawozdań. Ile tomów jest udostępnianych, powie może kiedyś eks-szablista i szpieg NATO, Jerzy Pawłowski, zatrudniony w więziennej bibliotece. Zostało mu jeszcze kilkanaście lat.

Gdy już przejdiesz przez kwarantannę kapusia i wielogodzinnych przesłuchań, gdy już trafisz do „normalnej” celi, w której jeden z kolegów będzie chodził na przesłuchania z szachami pod pachą, aby czasu nie marnować, gdy po wielu, wielu tygodniach

i denerwujących przerzutkach z celi do celi, mających na celu utrzymać Cię w stałym poczuciu niepewności, gdy więc nastąpi Twoja mała stabilizacja i znajdziesz się wśród swoich, przyjdą krótkie śpięcia...

(— Xawer, na miłość Boską, czy musisz się codziennie myć? Bądźże choć raz demokratą! Bądź sobą! Czy zawsze musisz naśladować innych?)

(— Nie meldować się Szczurowi! Wszyscy tu siedzą niewinnie. Meldowanie oznacza akceptację istniejącego zła. Xawer, w imieniu Komisji Krajowej polecam Ci nie meldować celi!)

Szczur to wasz „wychowawca”. Podporucznik służby więziennej, wzrostu półtora łokcia, wyzywać się będzie w odmownym załatwianiu wszelkich próśb i podań oraz w tłumaczeniu „osadzonym”, że on, jako politolog, ma większe ambicje niż dogadzanie aresztowanym. Na widok jednej gwiazdki więcej drętwieć będzie w służbistym zachwycie. Politolog!

...oraz dyskusje poważniejszej natury, coraz częściej przeradzające się w walkę na cytaty z lektur oraz z pamięci...

(— Choćbyśmy aniołkami byli, i tak musieliby uderzyć, bo myśmy im cały system podmywali, nie tylko w Polsce. Partia już się rozpadła, a z chwilą uzyskania dostępu do telewizji oni w ogóle przestaliby istnieć, bo przecież ten system opiera się wyłącznie na kłamstwie i pozoracji. Przestaliby być widzialni i słyszalni.

— Markiz de Custine, w dzienniku z podróży do Rosji w 1839 roku, napisał: „Dać Rosji wolną prasę, a w trzy dni carat przestanie istnieć”. Co się przez 150 lat zmieniło?

— *„Każdy listopad cicho mży,
A ja, na narodowej mszy,
Powtarzam, że się nic nie zmienia,
Prócz kształtu tych tu chmur i prócz
Fasonu czamar, burek, kurt,
A sypką rdzą przeżarty klucz
i dziś otwiera zgrzyty furt”*. To Witek Dąbrowski, już śp.

— Dziwna rzecz: gdyby Marsjanin przybył na Ziemię i dowiedział się, że podzielona jest z grubsza na dwie sfery wpływów — filozofii duchowej człowieka i filozofii materialistycznej — zadziwiłby go paradoksalny efekt tego podziału. Oto ujrzałby, iż terytoria opanowane przez wpływy filozofii duchowej cierpią na nadmiar dóbr materialnych, zaś terytoria opanowane przez doktrynę materialistyczną — na ich stały i ostry niedostatek.

— Choćbyśmy aniołkami byli... To prawda. Ale czy nie należało, patrząc obecnie wstecz, takiego biegu spraw od początku przewidzieć i ludziom o tym mówić? „Bo przecie nic nie znaczy

wola, rozum, serce ludzkie, gdzie nie ma dobrego układu sił, (...) gdzie za ścianą skok w inny świat, gdzie po naszej stronie ściany biedno i autorytetu nie wspiera ani kredyt, ani inwestycje, tylko policjant". To Melchior Wańkowicz. Więc czy warto było. Co do mnie, powtórzyłbym wszystko niemal dokładnie tak samo. Najpiękniejsze lata... Ale czy urodzą się owoce z drzewa klęski?

— Już się rodzą. Na naszych oczach. „Solidarności”, a zwłaszcza pamięci o ataku na nią, o poderwaniu się do walki, nie już nie wymaga ze społecznej świadomości. „Pewne cechy nie przemijają. Cnoty poświęcenia (...), szlachetności i odwagi. Choćby posiadali je ludzie oddani złym sprawom. Choćby owoc ich starań historia odrzuciła. To zostaje. Cnoty, których nie pokrywa rdza, których potomni będą się uczyć”. To z Terleckiego — „Dwie głowy ptaka”.

— Właśnie grają w Dramatycznym.

— To wkrótce przestaną.

— Więc czy urodzą się owoce z drzewa klęski?

— Już się rodzą. Weź sprawę programu. Ile to krzyku było, że nie mamy krótkiego, zwięzłego programu. Ludziom cierpliwości nie starczało, aby czytać dokument Zjazdu Krajowego. A teraz? Nasz program można zawrzeć w jednym słowie — solidarność. Ludzka solidarność przez małe s, solidarność, wobec której na dłuższą metę bezradne okazały się i policja i propaganda. Nie dać stargać więzów zaufania między ludźmi. Nie dać się zsowietyzować.

— A zresztą wróćmy do pokłosa przegranego Powstania Styczniowego. Przecież to dopiero była klęska! Co, według Terleckiego, mówi oficer kontrwywiadu, przysłany z Petersburga dla zbadania tła powstania?

„Nie wszystkie narody kończą swoją historię. Kończą ją te, które tracą poczucie odrębności. Nie ma sposobów materialnych, które takiej amputacji mogą dokonać (...). Myślę, że częścię następuje to za sprawą środków duchowych (...). Dlatego skuteczniejsze, jak mi się wydaje, bywają takie środki, które do utraty poczucia narodowej odrębności prowadzą nie drogą gwałtownych rozwiązań. Dlatego też sądzę, że należało za wszelką cenę nie dopuścić do wybuchu powstania”.

— Należało, należało, ale zgnieść nas mogli już tylko siłą, i na próżno Rakowski teraz odbywa striptisy telewizyjne. To wszystko o co stoimy, musi się odrodzić.

— Bo nieprzemijającą zasługą „Solidarności” okazało się w końcu to, że nie tylko przemówiła autentycznym głosem, ale też do końca nie dała się zblatować. Ani przed, ani po grudniu. Ileż to razy próbowali nas wmanewrować w swoje ciepłe układy. Bez skutku. Nie daliśmy się zblatować).

V. EXIT

Gdy po kolejnej przerzutce zobaczysz w nowej celi zdumioną twarz kolegi z tej samej sprawy, twarz nie widzianą od wielu miesięcy, zrozumiesz, że obaj jesteście na wylocie. Zrozumiesz, że macie być objęci „dobrodziejstwem amnestii”, która wielu innych zatrzyma w tych czerwonych murach, budowanych jeszcze przez cara. Obaj zrozumiecie, że w *tej celi* „na bank” jesteście na podsłuchu. Przecież to ich ostatnia szansa, żeby się jeszcze czegoś dowiedzieć do sprawy, której zespół śledczych ani nie rozwikłał, ani nie zrozumiał. „Policja, panie, wie tylko tyle, ile jej ludzie powiedzą” — tak podobno stwierdził niegdyś carski policmajster. A może to był Fouché? Twój kolega nie powiedział ani słowa — będziesz tego pewien, nie musząc się pytać. On zaś nie spyta się Ciebie. Też będzie pewny.

Mimo to, gdy w pewien czas później uchyli drzwi klawisz...

(— Nazwisko? Pakujcie się!)

...podzieliś się jednak z kolegą wszystkim, co masz — po połowie. Jak przy wszystkich poprzednich przerzutkach, gdyś zawsze zostawiał część swych ruchomości starym kumpłom, po to aby wejść w solidarne posiadanie swojej części wśród nowych. Papier toaletowy, pasta do zębów, mydło, kiełbasa z paczki... Nie będziesz wiedział ani dokąd idziesz, ani jak długo ma jeszcze siedzieć Twój kolega.

Sprawdzą Cię do kabaryny i klawisz rutynowo będzie przetrząsał Twoje rzeczy, zwłaszcza korespondencję i notatki. Po raz pierwszy nie wytrzymasz i skłamiesz...

(— Czego pan szuka? Słowo, że grypsów nie ma. Wszystko, co trzeba, mam w głowie.

— Wiem, wiem. Tak tylko muszę przejrzeć. Ale po co was wypuszczają, sam nie rozumiem. Przecież nie miną trzy miesiące, a połowa z was znajdzie się tu z powrotem).

Objuczony tłumokiem z pościelą odbędziesz jeszcze długą drogę bezludnymi korytarzami jednego, potem drugiego pawilonu. Jeszcze tylko nie dać się sfilmować telewizji, jeszcze nie dać się sfotografować przy kwitowaniu odbioru pieniędzy i zegarka...

(DTV: „Po złożeniu wyjaśnień, dotyczących charakteru swej działalności przestępczej i zobowiązaniu się do zaniechania tej działalności, został zwolniony i powrócił do domu”).

Oni dobrze wiedzą, jaka to perfidna broń, więc będą się starać).

...i młody przystojny porucznik, prowadząc Cię ku stalowym, szarą minią wymalowanym wrotom, spyta Cię kpiąco...

(— No i co? Warto było tu siedzieć? Powiedźcie sami).

I wtedy do gardła podejda Ci emocje tłumione miesiącami, i odpowiesz niepotrzebnie głośno...

(— Drugi raz zrobiłbym dokładnie to samo!)

On i tak wzruszy niedowierzająco ramionami. Jest przecież kółeczkiem systemu, w który Tyś się wkręcił niczym ziarno piasku. Jedno z wielu ziaren, na których system w końcu się zatrze. Musi się zatrzeć.

A chciałeś odpowiedzieć inaczej, tylko w chwili zaskoczenia Demokryt ulotni Ci się z pamięci.

— „Poznanie więzienia jest krokiem ku wolności”. Jeśli się już żyje, trzeba przekonać się, jak to jest, aż do końca. *Volenti non fit iniuria*.

POST-SCRIPTUM

Do Ob. Naczelnika
Centralnego Aresztu Śledczego
02-521 Warszawa - Mokotów.

Podziękowanie

Składał na ręce Ob. Naczelnika podziękowanie dla zespołu pracowników więziennictwa, pod których opieką pozostawałem przez wiele miesięcy. Przez cały czas traktowany byłem humanitarnie, ani razu (w przeciwieństwie do mego kolegi Seweryna Jaworskiego) nie zostałem pobity, a szyderstwem, poza oficerami śledczymi MSW, obdarzył mnie jedynie Ob. Wychowawca III Pawilonu. Centralny Areszt Śledczy jest przykładem sprawnej na ogół organizacji pracy. Na skutek powstrzymania się od bardziej jaskrawych form przemocy niż okresowa attenda ZOMO, kierownictwu udało się uniknąć żywiołowych przejawów desperacji wśród więźniów. Jedynie sporadycznie zauważyłem fakty nadużywania alkoholu przez pracowników służby więziennej, a i to bez skutków mających cechy przestępce.

Pozwalam sobie wyrazić głębokie przekonanie, że osiągnięcie wyższego szczebla realnego socjalizmu w Państwie, którego interesy Ob. Naczelnik reprezentuje na swoim odcinku pracy, będzie możliwe z chwilą, gdy władzy państwowej uda się nakłonić cały naród polski do pracy i życia w warunkach dyscypliny utrzymywanej w zakładzie, którym Ob. Naczelnik kieruje.

XAWER, syn Andrzeja
Pawilon III, Oddz. III i I
Cele: 7, 22, 14, 13, 19.
Nr konta:

Ochotnik

Dla kogoś rozwiedzonego w średnim wieku najlepszym rozwiązaniem jest pływanie. Wypełnia czas i figurę, pozwala milczeć i nikogo nie słyszeć, odnaleźć spokój, a także większość przyjemności fizycznych i estetycznych. Po bezosobowym i bezkonfliktowym kontakcie z chłodną wodą, masażu wszystkich mięśni i dosłownie wszystkich zakamarków skóry śpi się lepiej i spokojniej niż po seksie, a wstaje czystym zarówno na duszy, jak i ciele. Poczucie niezależności, lekkości i wręcz lotu, gdy z szeroko otwartymi oczami pruje się wodny błękit, rozrzucając ramiona jak skrzydła i pławiąc tors, brzuch i podbrzusze w elastycznym, uległym żywiole — jest również silniejsze i pewniejsze niż w seksie.

Pływanie bardzo szybko stało się więc jego najsilniejszą potrzebą zarówno fizyczną, jak i psychiczną, najwyższym priorytetem, nałogiem. W deszczu, śniegu, zawieruchę woda wydawała się jeszcze przyjemniejsza i przytulniejsza, zapewniając mu niezależność nawet od pogody. Gdy po pracy inni śpieszyli do swych kłopotów domowych — on w samochód i na pływalnię. Czuł wyzwolenie tym pełniejsze po czternastu latach śpieszenia do domu, gdzie żona niecierpliwie czekała z obiadem (który chciała mieć jak najszybciej z głowy) i z wszelkimi innymi pretensjami. A co można było po takim obiedzie? Rozwalić się przed ogłupiającym telewizorem i oglądać to, co interesowało żonę i dzieci, tracąc sylwetkę, kondycję i własne ja, a w nocy walczyć ze zgałą.

Teraz rzadko ktoś na niego czekał i nigdzie mu się nie śpieszyło w nudnej, biurokratycznej, prowincjonalnej stolicy, gdzie kobiety były brzydkie jakby dla samej zasady, albo tak skomputeryzowane, że — jak to ładnie określił rzeczoznawca Hłasko — „i świętemu by nie stanął”. Pierwszego lata wolności miał

największy kłopot z wybraniem kierunku ucieczki na urlop, bo było ich 360, ale problem ten rozwiązała mu wojna.

Dla świeżo wyzwolonego mężczyzny w średnim wieku wojna ma prawdziwy urok. Odwrotnie niż dla dwudziestolatka, który ma jeszcze wszystko przed sobą, a zatem wszystko do stracenia. Rozwiedziony mężczyzna w sile wieku i pełni sił z reguły już niczego się nie boi i jest bardzo dobrym żołnierzem, ale mało kto o tym wie, bo bierze się maminyh synków, którzy dopiero co utworzyli oczy i mają tak mało rozumu i odporności psychicznej, że tracą głowę i giną, albo wracają bez głowy. Zaciąg powinno się zaczynać od tych w średnim wieku. Przekonalibyśmy się, że wystarczyłoby samych ochotników — zarówno rozwiedzionych, jak i żonatych.

Ten zaciąg był w liberalnych granicach wieku, bo była to najbardziej liberalna armia w świecie. Wprawdzie i tak miał o dziesięć lat za dużo, ale codzienne pływanie uzupełniło mu ubytki z okresu małżeńskiego w mięśniach barkowych, piersiowych, udowych i pośladkowych, obciągnęło mu nieźle skórę, a włosy nabrały grubości, puszystości i młodości od chlorowanej wody i trzeba było je tylko trochę przyczernić na piersiach i skroniach.

Kupił sobie zielone jeansy, koszulę w szaro-zieloną kratę, ciemne okulary i plecak, a swoje trzy doniczki zaniósł do sąsiadki, żeby je raz na tydzień podlewała. Spytała, kiedy wróci, ale właśnie na to pytanie nie umiał odpowiedzieć. Może za parę dni (jeśli go nie wezmą), może za miesiąc (jeśli się nie uda przeciągnąć urlopu), a może wcale. Jeśli długo nie będzie wracał, to roślinki są oczywiście jej. Mówiła tylko po hiszpańsku i nie miał pewności, czy się rozumieli, ale uśmiechała się bardzo życzliwie i dopiero tego dnia zauważył, że jest naprawdę ładna. A może tego dnia kobiety zaczęły mu się znowu podobać.

Ochotnika można poznać po chodzie, po wyrazie twarzy, zdeteminowanym, beztroskim spojrzeniu, a także po sposobie wydawania pieniędzy, bo ochotnikowi wszystko wydaje się bajecznie tanie. Ochotnik przyciąga więc spojrzenia kobiet na ulicach, nawet w godzinach szczytu. Po przyjeździe do Nowego Jorku lubił chodzić po Lexington Avenue, zwłaszcza w porze lunchu i koło piątej, gdy wysypywały się z biur najlepiej ubrane i uczesane, najpiękniejsze i najbardziej wysofistykowane dziewczyny świata. Pod tym względem Nowy Jork i Waszyngton to były dwie zupełnie odmienne planety. Kiedy raz po takim krzepiącym na duchu spacerze wszedł do autobusu i usiadł przy samym wejściu, przeglądając pasażerki w głębi wozu, poczuł, że ktoś niespokojnie się porusza tuż przy jego boku. Przez ciemne okulary nie zauważył, że usiadł przy kimś, kto siedział jeszcze bliżej wej-

ścia, między nim a otwartymi drzwiami z przyćmioną szybą. Kiedy zwrócił tam głowę, znalazł się twarzą przy twarzy ładnej i eleganckiej szatynki również w ciemnych okularach, w nieokreślonym wieku i ze zdeterminowanym spojrzeniem „ochotniczek”, jak jego. Mógł jej nie zauważyć wsiadając, ale wcale go to nie usprawiedliwiała i mogła się czuć obrażona, więc uśmiechnęła się, patrząc w jej usta.

— Czego się tak uśmieszasz? — spytała z pretensją w głosie.

— Bo jestem zakochany...

— Ooo... — odrzekła niepewna, czy to nie jeszcze jeden afront. — A w kim?

— W Nowym Jorku — odpowiedział.

— Ja też... — uśmiechnęła się, odzyskując pewność siebie.

— Więc jesteście oboje zakochani. To się dobrze składa...

Odlot odkładano z dnia na dzień i z nocy na noc. Trzeba było w biurze werbunkowym zostawiać każdorazowy dzienny lub nocny numer telefonu (przy zapewnionej wzajemnej dyskrecji) i być zawsze gotowym. Biuro mieściło się w brooklyńskim porcie, jak za niepamiętnych czasów, choć zwerbowanych już od dawna nie ładowano na statki, lecz na samoloty. A i noce były romantyczne jak za dawnych czasów, gdy w objęciach kochanki czekało się na hasło, wezwanie, obowiązek, który miał rozdzielić — jak w piosence — może na zawsze. Są to najpiękniejsze noce naszego życia, te, o których wiemy, że mogą być nasze ostatnie, i jest to stanowczo najpiękniejsze rozwiązanie — dla miłości. Żyjemy wtedy jak prawdziwi bohaterowie, jak w piosence, romansie, w transie, jakbyśmy cały czas śpiewali. A i sprawność fizyczna jest o wiele większa — bez presji, bo wiadomo, że i tak tę kobietę trzeba zostawić.

Telefon zadzwonił już dobrze po północy. Rano w kolejce podziemnej wielkie litery na czołówkach gazet głosiły sensacyjną wiadomość. To już o nim czytano i to z jakim zainteresowaniem, choć był jeszcze tutaj, w nowojorskiej kolejce podziemnej i patrzył na to własnymi oczami. Czego więcej potrzeba facetowi, który przez czternaście lat nie wzbudzał zainteresowania u własnej żony? Czego więcej mu trzeba, gdy widzi, że znowu jest traktowany serio, że znowu się liczy? Czy nie z tego biorą się niektóre wojny?

Strzelali od rana do wieczora, a od wieczora do rana tłukli się samochodami po wyboistych drogach do osad, których trzeba było strzec pod nieustannym bombardowaniem komarów. Kiedy przejeżdżali we dnie przez niedawno zajęte miasteczka i wsie, ludzie wychodzili z domów, żeby im pomachać rękami i chus-

teczkami, pozdrowić uśmiechami — kobiety i dzieci ze szczerą wdzięcznością, mężczyźni z pewnym ociąganiem. Pierwszy raz w życiu był wyzwolicielem, pierwszy raz doznawał tego wspaniałego uczucia, którego naprawdę trzeba zaznać zanim się umrze, i pomyślał sobie, że już choćby dlatego warto być ochotnikiem. Prasa, radio i telewizja skupiały całą uwagę na cierpieniach ludności cywilnej, jakby to była wielka nowość. Jakby nigdy przedtem nie było wojny, albo jakby kiedykolwiek była wojna bez cierpienia ludności cywilnej, choć wojna przecież na tym głównie polega. Cierpienia żołnierzy są zawsze znikome w porównaniu z losem wsi i miast. Żołnierz, który ginie, nie cierpi. Cierpi tylko jego cywilna rodzina — do końca życia. Żołnierz cierpi od ran i okaleczeń, ale też nie bardziej niż cywil. Nigdy nie było takiej wojny, żeby bardziej cierpieli żołnierze. I nie powinno być, bo nie oni są odpowiedzialni, a walczą głównie o życie.

Żołnierz cierpi z powodu brudu, upału, komarów. Do potłuszczeń, oparzeń, skaleczeń szybko się przyzwyczajają, a pod ogniem nieprzyjacielskim ból przechodzi jak ręką odjął. Dłonie ma zawsze zbolące od nierozstawiania się z bronią, którą trzeba zabierać wszędzie: do jedzenia, do spania i do latryny. „Tym się właśnie różni od żony” — wyjaśniają instruktorzy. Latryny to coś, czego nigdy przedtem nie doświadczili młodzi ochotnicy z Nowego Jorku i nie wiedzą, jak kucać, jak wstawać. „Kiedy się wraca do rodzinnego kraju, to całuje się ziemię, ale ja gdy wrócę, pocałuję sedes” — zapewniał dwudziestoletni nowojorczyk Jechiel. Natomiast bardzo dobrze spało się z bronią, lepiej niż bez niej i dlatego każdy nadawał jej jakieś ładne żeńskie imię. A spało się, gdzie tylko się dało i gdzie się nadarzyła okazja. Na gołej ziemi, na betonie, na żużlu, na skrzyżowaniu dróg, po których z hukiem toczyły się piętrowe transportery czołgów, na strzelnicach, czekając na swoją kolej, nawet na koncercie elektrycznych gitar. Najlepiej oczywiście spało się w zacisznym bunkrze na wykładzie z topografii lub udzielania pierwszej pomocy, a instruktor, żeby zadać słuchaczowi pytanie kontrolne, musiał go najpierw obudzić.

„Jesteśmy małą armią i musimy ciągle być w ruchu” — pouczał dowódca, wyganiając ich w nocy z namiotów. „Jesteśmy za małym wojskiem, żeby czekać na wroga. Musimy iść do niego, zanim on przyjdzie do nas i musimy być od niego wytrzymalsi, silniejsi, dzielniejsi. Nasz rozkaz to tylko absolutne minimum. Trzeba zawsze wykonać trochę więcej, trochę lepiej, trochę szybciej. Dać z siebie więcej niż każą i trochę więcej niż się może”. W najtrudniejszych forsownych marszach, w największym upale i w górach towarzyszyły im pojedyncze dziewczyny. Bez rynsztunku, bo nie ma cudów, tylko z rolką papieru toaletowego

u pasa, żeby wycierać im spocone twarze. Był w tym wyraz uznania, nagrody, wręcz pieszczoty. Czasem czekały gdzieś za zakrętem, albo za gajem, podjeżdżały jeepami z wodą. Ich obecność, lub świadomość, że były w pobliżu, że czekały, że podjadą, powodowała, że nikt nie odstawał, że każdy chciał jak najdzielniej się sprawić, dziarsko wyglądać, nie okazywać zmęczenia, nie być gorszym od nikogo, dać z siebie więcej niż mógł.

Dbający o kondycję rozwiedzeni mężczyźni w średnim wieku bywają nie mniej wytrzymali od młodych, a mają pewniejszą rękę, bardziej opanowaną, większą zdolność koncentracji. Jak ujeżdżone konie, dokładniej wykonują rozkazy, sprawniej wchodzi w żołnierską uprząż, a czasem wykazują prawdziwy talent, którego u siebie długo nie znali. „Jeśli ja mogę, to i wy możecie!” — śmiała się instruktorka, ćwicząc ich w takt skocznej muzyki aerobics, niemordowana, gietka tygrysica, która uczciwie wszystko wykonywała przed nimi, a potem wraz z nimi, wyciskując z nich ostatnie soki, a rozwiedziona mężczyzna w średnim wieku nie ustępował ani na krok i nie opuszczał ani jednego taktu, aż chłopcy, którzy mogli być jego synami, nie ukrywając podziwu wołali: — Ile ty właściwie masz lat?!

Nie pojechał na przepustkę do Tel-Awiwu, bo to, co się daje z siebie ponad stan, odzyskać można tylko podczas snu, a w Tel-Awiwie nie było mowy o spaniu. Pojechał do najbliższej miejscowości nadmorskiej, wszedł do hoteliku, zwałił się na białe łóżko i spał do późnego popołudnia. Kiedy wyszedł na plażę, powiewały nad nią czarne flagi z powodu wysokiej fali, ale jemu prócz snu najbardziej było potrzebne pływanie i nie zamierzał się cofać przed żadną flagą.

Słońce rozszrebrało wodę, która jak wielkie faliste zwierciadło odbijała promienie we wszystkie strony i raziła nimi w tak oślepiający sposób, że z brzegu nie było widać nic prócz tego rozpromienionego srebra i piany i z pewnością nikt ze straży nie mógł zauważyć go w wodzie.

— Uważaj, bo tu prąd mocno znosi i ostre skały rosną blisko brzegu — zawołał wysoki szczupły młodzieniec, przechodząc krańcem plaży, między lądem a wodą, przekrzykując szum i dudnienie fal.

Ochotnik w średnim wieku nurkował pod fale, grał z nimi w chowanego, zgadując, kiedy wychylić się, żeby nie dostać falą w łeb, żeby uprzedzić o ułamkach sekundy jej strzał i złapać powietrza przed atakiem kolejnych fal. Woda huśtała jak muzyka, pobudzając do tańca ramiona i nogi, a równocześnie przynosiła ogromną ulgę mięśniom, ścięgom i kościom, odprężenie, jak po dawno zaskłużonym stosunku. Nie szczędził kopnięć i ciosów, bo

facetowi w średnim wieku przyływ energii sprawia radość, jakiej się nie zna w młodości, gdy energii jest zawsze za dużo i wydaje się, że nigdy jej nie zabraknie. On już wiedział, że czas ma swoje granice i że nie wystarczy przyczernić sobie wąsów i skroni. Że zabawa w wojsko też była już może jego ostatnią, że następny raz może być już tylko dla tamtych dwudziestolatków z Brooklynu. Powinien był zostać ochotnikiem o dwadzieścia lat wcześniej, a nie marnować życia na posadzie w oczekiwaniu na emeryturę. Na posadzie jak kura na jajach. Na posadzie, na której nas sadza i trzyma żona. Aż wysiedzi się dzieci. A kiedy się już wysiedzi, odchodzą — i dzieci i żona. Odchodzą nawet jeśli się samemu odchodzi, bo odchodzenie jest obustronne i jednoczesne, niezależnie od tego, kto pierwszy je zadeklaruje. I kto więcej straci. Najbardziej szkoda talentu, który się zmarnowało. Powinien był zostać ochotnikiem o dwadzieścia lat wcześniej. Może umiałby lepiej od innych ratować. Zarówno cywilów, jak i żołnierzy. Bo na tym właśnie polega wojna — na ratowaniu zarówno siebie, jak i innych. Nie na zabijaniu, lecz ocalaniu. Każdego kogo się da, wszystkiego co się da. Nie na wysyłaniu zabójców, lecz ratowników. Nie najgorszych, ale najlepszych. Najbardziej utalentowanych. Bo jeśli wojna jest złem, jeśli jest złem koniecznym — w wojsku jedyny ratunek.

Zachłannie połykał oczyma seledyny, szmaragdy, błękity nieba i morza. Gogle pływackie sprawiały, że pod wodą czuł się jak ptak w przestworzach. Jego oczom zmęczonym od żółtego, rudego, czerwonego koloru palących się i spalonych wzgórz potrzeba było tego szmaragdu i błękitu jak napoju chłodzącego i błogosławili cudowną harmonię, którą tak łatwo można znaleźć, wszechobecną równowagę, genialną formułę, która pozwala nam lawirować i nie wpadać na zawsze do piekła ani do raju, bo i jedna i druga skrajność dla naszej natury jest nie do zniesienia. Wynurzył się i uniósł na fali, próbując ogarnąć oczyma proporcje tych trzech elementów — powietrza, ziemi i wody — ale na powierzchni nie było widać nic prócz srebrzystego blasku, a w szumie fal usłyszał głos: „Adoni! Adoni!”

Rozejrzał się dookoła, ale nic nie widział prócz blasku rażącego zarówno z nieba, jak i wody i srebrzystych fal, które nie przerywały zapamiętałych skoków. „Adoni! Adoni!” — wołała wzburzona woda, nie od brzegu, ale od horyzontu, tam gdzie nie było nic oprócz blasku. Wzniósł się na fali wysoko jak tylko mógł, a potem jeszcze wyżej. Głos musiał być skierowany do niego. Nie widział nikogo, ale ktoś jego widział, bo za każdym razem, kiedy się wznosił na fali, słyszał „Adoni! Adoni!”

Popłynął w stronę horyzontu. Co jakiś czas zatrzymywał się i wznosił na fali, żeby usłyszeć „Adoni! Adoni!” i tym głosem

się kierował. W pewnej chwili pomyślał, czy to czasem nie morska złuda albo jakaś inna podejrzana siła odciąga go coraz dalej od brzegu, coraz bardziej w toń, ale gdy postanowił, że po raz ostatni się wzniesie i jeśli nic nie zobaczy, zawróci — zobaczył dwie dziewczynki. Jedna z twarzą ku niebu z trudem chwyciła powietrze, zachłystując się wodą i pianą, a druga przytomnie trzymała się na powierzchni, wołając „Adoni! Adoni!”. Nikt nie mógł ich dojrzeć ani usłyszeć od brzegu, tylko on, nielegalny pływak, i nie było czasu na szukanie pomocy, bo prąd je zabierał od brzegu, a i tak wydawało się za daleko, żeby kogoś holować przy takiej fali pod prąd. Nawet samemu już trudno było wrócić do brzegu, ale nikt inny nie mógł tej dziewczynki uratować, więc nie było żadnego wyboru. Popychany niewidzialną ręką prądu, szybko znalazł się przy nich, ujął tonącą pod ramię i podniósł wysoko jak tylko mógł, żeby nabrała powietrza i żeby Bóg ją mógł lepiej widzieć.

Trudno płynąć pod prąd nawet dwiema rękami, gdy ciężka fala raz po raz wali w tył głowy i prawie zawsze wtedy, gdy chce się złapać powietrza, a co dopiero jedną ręką i pod ciężarem, który wciska pod wodę tak, że płynie się cały czas z zanurzeniem jak łódź podwodna i tylko od czasu do czasu można się poderwać, żeby łyknąć nową porcję powietrza, jeśli fala pozwoli, to znaczy, jeśli nie nakryje w tym właśnie momencie, uderzając w tył głowy, bo wtedy trzeba bez paniki zanurzyć się znowu i uparcie płynąć dalej, aby nie dać znieść się prądowi — bez powietrza, na ostatnich rezerwach w płucach, a potem, jeśli trzeba, bez płuc, dając z siebie więcej niż się ma, a przy tym pracować ciągle ramieniem, żeby nie dać się wyprzeć ze zdobytego terenu aż do następnego desperackiego skoku w górę po łyk powietrza i ciągle pamiętać, żeby to ramię wzniesione jak peryskop było dostatecznie wysoko, bo jeśli ramię unoszące dziecięcą głowę będzie za nisko, to cała walka może okazać się na nic.

Nigdy przedtem nie ratował nikogo z topieli, nie znał żadnych teorii ani instrukcji, ale czuł zadziwiającą pewność siebie, jakby doskonale wiedział, co i jak robić, bez zastanawiania się ani wahania, jakby był zawodowym ratownikiem i Bóg wie, ile razy to robił. Bił się z wodą bez żadnej paniki. Nawet w najtrudniejszych chwilach, gdy zmagił się z własnymi płucami i mięśniami, serce mu było posłuszne, zawzięcie i równo pracując i wiedział, że się za nic nie podda i nie wypuści z ręki swojej zdobyczy, która z jakiegoś powodu stała się dla niego cenniejsza niż życie. W każdym razie nie mniej cenna.

Błogosławił teraz sam siebie za to, że przez całą zimę codziennie pływał i błogosławił wojsko, które ćwiczyło w nim

wytrzymałość i uczyło, jak dawać wszystkie siły. Wiedział, że dał je z siebie wszystkie, a potem jeszcze trochę — tak jak go uczono — kiedy ślaniając się i robiąc bokami jak zajechny koń wyszedł na brzeg z dziewczynką na rękach i złożył ją delikatnie na plaży jak komuś w darze. Miała nie więcej niż jedenaście lat, oddychała równomiernie choć ciężko i oczy miała przymknięte ze zmęczenia. Klęknął przy niej z dziękczynną modlitwą w sercu i czuł nieprzepatą chęć, żeby ucałować ziemię, lecz gdy zbliżył usta do piasku, przeszył go nagle lęk. Och, nie! Znowu?... Wiedział, że to już stanowczo było nad jego siły, ale podobnie jak przedtem nie miał wyboru, więc się podniósł i posłusznie zawrócił ku morzu.

Znów nie widział nic oprócz blasku i płynął w morze jak w słońce, popychany niewidzialną siłą. „Adoni! Adoni!” — słyszał wołanie, to znaczy jego wspomnienie, bo z tej odległości rzeczywistego nie mógłby słyszeć. Wzniósł się parę razy na fali, wysoko i jeszcze wyżej, nim usłyszał to rzeczywiste — tym razem chyba wyłącznie do Boga, daleko, bardzo daleko — i przeniknął go zimny dreszcz, jakby usłyszał wyrok. Nie strach. Strach czuł tylko w tamtej chwili na plaży, zanim wstał i zawrócił do wody. Wtedy, gdy zdawało mu się, że miał jakiś wybór i przeląkł się — że źle wybierze. Na szczęście trwało to krótko, bo wyboru naprawdę nie było. Wszystko odbywało się tak, jakby nie on podejmował decyzje. „Adoni! Adoni!” — wołał głos i on sam wołał tym głosem, bo wiedział, że to było stanowczo nad jego siły, nawet gdyby dał z siebie znacznie więcej niż miał. Był to więc wyrok. Wyrok, którego się spodziewał, ale zawsze jest taki nieprzyjemny dreszcz, kiedy się go usłyszy. Płynął posłusznie i z rezygnacją jak na rozkaz, wobec którego nie ma się nic do powiedzenia i wiedział, że tak najlepiej, nawet jeśli gorzkawy był jego spokój.

Dziewczynka trzymała się wciąż na powierzchni i próbowała rozgarniać wodę, ale jej ramiona były za drobne dla tych fal i miała rozpacz w oczach. „Nie bój się, nie zostawię cię!” — powiedział z takim przekonaniem, że od razu się uspokoiła. Powiedział to z prawdziwym przekonaniem, bo wiedział, że jej nie zostawi, ale nie przyrzekł jej, że wyjdą z tej wody, bo tego jej przyrzec nie mógł. Już parę razy przedtem żegnał się z samym sobą i to uczucie znał, ale tym razem były inne okoliczności. O wiele lepsze. Widział to jasno i wyraźnie. Lepsze niż można sobie wymarzyć. Było to coś z uzasadnieniem i sensem, jak dobre zakończenie, z puentą. Czego więcej można chcieć? Co więcej można w życiu osiągnąć niż dobre, sensowne zakończenie? Jak w dobrym utworze — najważniejsze jest zakończenie. A życie to utwór i każdy jest swego życia autorem, choćby nie wiem ile

odpowiedzialności zrzucał na innych. A jak niewielu osiąga dobre, sensowne zakończenie, choć jest takie realne i osiągalne. Do tego trzeba nie tylko talentu, świadomości i woli. Trzeba jeszcze i szczęścia, to znaczy — okoliczności. Że trochę wcześniej niż się spodziewał? Ale za to nigdy ohydneho raka i powolnej egzekucji z wyroku jakiegoś miernego lekarza, który go za późno wykrył. Nigdy tego bezradnego umierania, podczas gdy najbliżsi rozkradają dom. Nie ma większego zaszczytu niż wyrok bezpośrednio od Boga, twarzą w twarz, pod Jego własnym niebem.

Jak łódź podwodna sunął cały czas pod wodą, wytknąwszy tylko głowę dziewczynki jak swą osobistą flagę. Nic mu już nie groziło, bo to był już jego własny wybór. Przyjął go za własny. Był to „wybór, kiedy nie ma wyboru”, o jakim wspomniała raz mądra poetka, również już w średnim wieku. Płynął dusząc się cały czas, bo fale przykrywały go za każdym razem, kiedy wychylał głowę. Może za słabo się wychylał, może nie miał już siły, żeby się dźwignąć wyżej, może mu się już tylko zdawało, że się wychyla. Fale przykrywały go tak regularnie, że jeśli mu się udawało złapać trochę powietrza, to tylko przypadkiem, gdy woda nagle sama przed nim się rozchylała, gdy przypadkiem znalazł się na grzbiecie fali, która w tej samej chwili spod niego umykała, rzucając go jeszcze głębiej.

Nie czuł więcej płuc i płynął jakby ich nie miał. Nie wiedział już, czy pije wodę, czy nie, „oddychając” bez wynurzania się jak ryba. Nie czuł rąk ani nóg, nie wiedział, jak i czym się porusza, a serce zaczęło mu podchodzić do gardła i zdawało mu się, że musi je z siebie wykrztusić, żeby go nie udusiło. Wstrząsnął raz jeszcze ramieniem, a przynajmniej wysłał taki sygnał w tę stronę, żeby się upewnić, że wznosi się tam wciąż jego flaga. — Żeby tylko jej nie wypuścić... Zwłaszcza w tym decydującym momencie. Żeby nie skapitulować... Żeby tylko się nie dać... Właśnie teraz, gdy jeszcze czas... Jeszcze nie jest za późno... Ratować się... Teraz, ona lub ja!... Teraz!... Nie dać się!... Dlaczego?... Bo nie!... Przecież szkoda... Czego?... Wszystkiego... *So what the hell!*... — zaklął w swoim przybranym języku, który ma krótkie słowa, jakich potrzeba przy resztach świadomości i miała to być jego ostatnia myśl na tej planecie, ale wtedy właśnie stał się cud. Z dna morskiego wyrosła ostra skała i uderzyła go boleśnie w nogę. Ocknął się, a skała urosła jeszcze wyżej, pozwalając mu oprzeć stopę, a potem przywrzeć obu stopami i wspiąć się, żeby wynurzyć głowę. Słowem cud, jakie często zdarzają się w tamtym kraju. A od brzegu szedł mu naprzeciw tamten wysoki młodzieniec.

Dziewczynki wystraszone uciekły, żeby nikt nie doniósł ro-

dzicom o ich przygodzie, a ochotnik w średnim wieku padł na piasek i leżał wiele godzin bez ruchu. Noc nadeszła, ale jemu nie chciało się wstawać, bo jeszcze nigdy nie był tak zmęczony. I tak szczęśliwy. Powalony na wznak świętował swoje największe zwycięstwo. Była to jego największa bitwa. I przyrzekł sobie, że nigdy nie przestanie być ochotnikiem.

Henryk GRYNBERG

NOWOŚCI WYDAWNICZE

BIBLIOTEKA « KULTURY »

TOM 375 — ZYGMUNT KORYBUTOWICZ

GRUDZIEŃ 1970

Pierwsze źródłowe opracowanie wypadków
w Stoczni Szczecińskiej.

Str. 160.

Cena F. 55,00.

TOM 377 — ARTHUR KOESTLER

CIEMNOŚĆ W POŁUDNIE

Przełożył Tymon TERLECKI
Przedmowa Władimira BUKOWSKIEGO

Znana książka niedawno zmarłego pisarza, odsłaniająca mechanizm
procesów stalinowskich (książka ta była opublikowana w nr. 16/17
Kultury w roku 1949).

Str. 206.

Cena F. 70,00.

TOM 378 — JACEK KACZMARSKI

WIERSE I PIOSENKI

Wybór utworów znanego dziś na całym świecie polskiego poety
i piosenkarza.

Str. 144.

Cena F. 45,00.

Życie duchowe - umysłowe i artystyczne

Proszę osób.

Nie, nie powiem panie i panowie, jak to było w zwyczaju mówić jeszcze do niedawna. Nie zacznę mojego przemówienia w tak staroświecki sposób, ponieważ tu będzie mowa o przyszłości, czyli zaczniemy od dnia dzisiejszego, współcześnie, wystrzegając się starannie starych nawyków. Zaś zróżnicowania, odmiany, rozróżnienia dzisiaj należą już do przeszłości, między innymi różnice płci. Pozwoli mi to zresztą uniknąć zakłopotania, a nawet wręcz kłopotów. Bowiem nawet gdybym chciał nadal uprawiać to godne pożałowania i niesłuszne skądinąd — choć prawdę mówiąc nie wiem skąd — rozróżnienie na kobiety i mężczyzn, to musiałbym wymienić kobiety najpierw, a mężczyzn potem, jak to właśnie było starym zwyczajem, albo najpierw mężczyzn, a kobiety później, co zwyczajem nigdy wprawdzie nie było, ale też nie mógłbym postąpić inaczej. Bowiem linearność naszej ludzkiej mowy, nieubłagany fakt, że nie możemy wypowiedzieć dwóch słów jednocześnie i musimy je wypowiadać po kolei sprawia, że jedno z tych słów musi być powiedziane najpierw, a drugie potem, względnie drugie najpierw, a pierwsze potem, co i tak sprawi, że to drugie, jeżeli wypowiedziane najpierw, stanie się pierwszym. Lecz coś by się stało, gdybym powodowany owym starym obyczajem wymieniał kobiety na pierwszym miejscu, czyli rozpoczął mój wykład od tradycyjnego: panie i panowie? Nie-trudno przewidzieć. Oto niektóre osoby spośród tu zgromadzonych, te, które niegdyś rozróżniano od innych osób opatrując je mianem pań, poczułyby się urażone. Ależ dlaczego? Ano dlatego, że dając im pierwszeństwo niechybnie zostałbym posądzony o kurtuazję, czyli paternalistyczny protekcjonalizm. A więc o to, że

czuję się wyższy, ponieważ rozmyślnie ustępować na plan dalszy, zachowywać się kurtuazyjnie — może tylko ktoś, kto uważa, że będąc wyższym może sobie na to pozwolić. Niech mnie więc Bóg broni, abym na pierwszym miejscu wymienił panie, a na drugim panów, nawet gdybym chciał popełnić ten straszny błąd rozróżnienia. Pod pozorem kurtuazji dałbym dowód mojego poczucia wyższości nad płcią odmienną, co by mnie naraziło na niezawodne i sprawiedliwe jej oburzenie. Lecz ten sam Bóg niech mnie broni również przed wymienieniem panów na pierwszym pozorów, które by należało demaskować, czyli bez tak zwanego płaszczyka kurtuazji, wręcz i bezpośrednio dałbym wyraz temuż samemu poczuciu wyższości. Na szczęście już nie muszę, przedstawiony powyżej dylemat mamy już poza sobą, niniejsze rozważania mają charakter li-tylko studiów historycznych, których celem jest ukazać grozę, w jakiej żyliśmy gdyśmy rozróżniali. Uświadomić nam przebytą drogę postępu, abyśmy lepiej umieli docenić, proszę zgromadzonych tu osób, dzień dzisiejszy. Czyli tym bardziej uzasadnioną żywić nadzieję, że przyszłość, która będzie tematem niniejszego wykładu przyniesie nam jeszcze większą ulgę. Dodam tylko, aby zakończyć wstęp i ostatecznie zażegnać jakiegokolwiek podejrzenia, jeżeli takowe żywione są jeszcze wobec mojej osoby przez te osoby, które niegdyś zwano kobietami, że przy pierwszej katastrofie morskiej, lotniczej czy lądowej w jakiej wypadnie mi uczestniczyć będę kopał bez różnicy wszystkie osoby, które znajdują się między mną a łodzią ratunkową, czy innym narzędziem ocalenia. Zapewniam, że będę odpychał i tratował nie czyniąc żadnych różnic między mężczyznami i kobietami, zgodnie z założeniem, że takie różnice nie istnieją.

Tak, proszę osób, nie rozróżniać i nie odróżniać, na tej drodze leży zbawienie. *Distinguo* — rozróżniam, to łacińskie słowo było kiedyś dewizą filozofów, metodą uczonych i praktyką życia codziennego. I cóż z tego wyniknęło? Tylko różności, odmienności i nierówności. Na szczęście spostrzegliśmy się w porę i diametralnie zmieniliśmy kierunek. Nie różnice, ale podobieństwa nam teraz przyświecają, zaś od podobieństw przechodzimy do tożsamości. Miejmy więc nadzieję, więcej, miejmy pewność, że skutki będą równie odwrotne jak przyczyny. Na tej drodze dojdziemy do jedności wszech rzeczy i wszech zjawisk, czyli do boskości. Bo czyż jedność, jedyność, nie jest cechą boską? I nawet obalenie różnicy między tym, co sakralne, a tym co świeckie paradoksalnie, lecz tylko na pozór paradoksalnie, doprowadzi nas zatem do świętości, jedynej, wspólnej i wszechogarniającej. Wyniknie z tego boskość, choć malkontenci, zacofańcy, obrońcy dawnego stylu twierdzą złośliwie, że wyniknie z tego kupa.

Lecz zanim dojdziemy do boskości, czy też do kupy, jak twierdzą nasi wrogowie, coś jeszcze pozostaje nam do zrobienia. Mianowicie należy znaleźć klucz uniwersalny do idei. Umysł ludzki przejawia wciąż jeszcze pożałowania godną skłonność do produkowania idei różnych i przeciwstawnych, jako przykład wymienię choćby ową prognozę kupy, jako przeciwstawną prognozie boskości. Ach, jakże nas wszystkich męczą sprzeczności, zwłaszcza tych, którzy posiadając ideę jedynie słuszną muszą jednak wciąż udowadniać jej słusność, mimo, że od początku była ona, jest i pozostaje słuszną. Udowadniać, to znaczy bronić jej przed argumentami idei z nią sprzecznych, wciąż żywych lub wciąż się odradzających, choć przecież niesłusznych. Przypatrzmy się, jaka jest kolejność tego procederu.

Najpierw tworzymy ideę, potem dopiero usiłujemy przekonać innych o jej słusności. Jest to praca żmudna i niewdzięczna. Argument opiera się argumentowi, a nawet jeżeli mu w końcu ulega, to wkrótce pojawia się nowy argument, który zajmuje miejsce pokonanego towarzysza i wysiłek przekonywania trwa nadal, aż należy ze smutkiem stwierdzić, że nigdy nie ma mu końca. Nigdy nie można uznać z całą pewnością, że ostatecznie uwieńczony został powodzeniem. Czy tak być musi? Czy nie ma na to rady?

Otóż tak być nie musi i jest na to rada. Przystępuję do zasadniczej części mojego wykładu.

Czy wszyscy widzą przedmiot, który trzymam w rękach? Dla tych, którzy siedzą w ostatnich rzędach dokonam krótkiego opisu. Jest to przedmiot wykonany z drewna, najlepiej dębowego, długości około sześćdziesięciu centymetrów, z jednego końca cieńszy, z drugiego grubszy. Cieńszy koniec może być owinięty taśmą gumową dla pewniejszego uchwytu, grubszy koniec może być okuty żelazem lub tylko nabity stalowymi ćwiekami. Przedstawiam państwu tylko model podstawowy, bez okuć i uchwytu, warianty i ulepszenia mogą się mnożyć w nieskończoność, zależnie od lokalnej tradycji, materiałów, poziomu technologii, możliwości wytwórczych, inwencji producenta i preferencji użytkownika. Niemniej wszystkie odmiany wywodzą się z tego samego, niezmiennie prostego modelu, zwanego pałą.

Zastosowanie jest następujące. Gdy spotykamy kogoś na drodze, niezwłocznie bijemy go pałą po głowie. Należy bić na tyle mocno, aby obezwładnić, jednak nie na tyle, aby bity stracił przytomność całkowicie. Przystajemy więc bić w momencie, kiedy on już leży, lecz choć unieruchomiony — zachowuje bierny kontakt z otoczeniem, w tym wypadku z nami. Dopiero wtedy przystępujemy do rozmowy. W tym celu znajdujemy ideę, do której chcemy go przekonać. Już pierwszy rzut oka na sytuację pozwala

ocenić zalety naszej metody. Po pierwsze — zapewniamy sobie całkowitą dowolność w wyborze idei. Możemy zaproponować rozmówcy cokolwiek nam przyjdzie do głowy, zarówno ideę przygotowaną zawczasu, jak i coś, co się nam nasuwa w ostatniej chwili pod wpływem natchnienia. Nie jesteśmy skrupowani przedwczesną eliminacją, tym mniej mozolnym opracowywaniem szczegółów. Jest to bardzo przyjemne poczucie wolności myślenia, nieznane myślicielom ortodoksyjnym.

Po drugie — a pierwsze wynika z drugiego — nasz partner jest dostatecznie oszołomiony, aby przyjąć nasze tezy bez kłopotliwych kontrargumentów. Przekonujemy go o słuszności naszych poglądów natychmiast, skutecznie i trwale, ponieważ przy pierwszych oznakach powrotu do pełnosprawności wystarczą dodatkowe, nawet niezbyt silne uderzenia, aby utrwalić w nim głębokie przekonanie, że mamy rację.

Teraz jasne się staje, dlaczego nazywamy ten oto tutaj zdemontowany przedmiot uniwersalnym kluczem ideologicznym. Klucz, ponieważ otwiera drogę przekonaniom, ideologiczny, ponieważ ma zastosowanie w świecie idei, uniwersalny, ponieważ nadaje się do wszystkich idei bez wyjątku. Znaczenie tego wynalazku trudno ogarnąć od razu, właśnie ze względu na jego prostotę. Ale czyż największe odkrycia nie były zarazem najprostsze? Ziemia krąży wokół słońca, a nie słońce wokół Ziemi — twierdzenie to jest tylko prostym odwróceniem twierdzenia, które je poprzedzało, a jednak jego implikacje i konsekwencje są niezmiernie. Podobnie i ja odkrywam, że wystarczy tylko odwrócić proceder: bić najpierw, a rozmawiać potem, a nie odwrotnie jak to czyniono do tej pory, aby skutki okazały się wprost oszałamiające.

Nie będziemy więc przedłużać naszego zebrania rozpatrywaniem tych skutków w szczegółach, ponieważ aby to uczynić musielibyśmy mieć do dyspozycji tyleż czasu, ile nas dzieli od tej historycznej chwili, od naszego odkrycia, do samego kresu ludzkich dziejów. Dodam tylko, że egzemplarze uniwersalnego klucza ideologicznego, w estetycznym wykonaniu i po umiarkowanych cenach są do nabycia w szatni przy wyjściu. Uprasza się o rozpoczęcie dyskusji dopiero po opuszczeniu budynku, na placu.

Sławomir MROŻEK

Wiersze

Barbara SADOWSKA

★★

dziurawe mam ręce
wypadają mi z moich
pierwsze drobne czereśnie
tego roku
nie doniosę ich chyba
do Ciebie
syneczku

★★

na skrywku papieru
obrażam prokuraturę
sąd
i rząd
dzieckiem
którego nie uda
wam się zabić

★★

szukam najciemniejszego
kąta świata
czekam na zbłąkaną
kulę
która uwalnia mnie
od pytań

Barbara SADOWSKA

Natalia GORBANIEWSKA

★★

A jutro nie odnajdziesz nawet śladu
cienia co ślizgał się za mną po ścianie.
Uśmiecham się, bryłeczka lodu
w żrenicy gorzką łzą zostanie.

Jak mika w małym domku do zabawy
nie daje zajrzeć za okienek ramy,
nie można również nic wyczytać z twarzy,
na której dzień poprzedni pożegnany,

a nowy chociaż przyjdzie, to nie teraz,
i niewidoczny ślad po łzach i niemy,
i tylko zamieć drzwi zamyka i otwiera,
którymi wszyscy kiedyś stąd wyjdziemy.

Natalia GORBANIEWSKA

styczeń 1971
Butyrskie więzienie, szpital,
w przeddzień odjazdu do Kazania.

(Z rosyjskiego przełożył Radosław NOWAK)

Archiwum polityczne

List z Londynu

Koniec lata i wczesna jesień to w Wielkiej Brytanii okres kongresów, tak więc było i teraz. Pierwsze zebrały się związki zawodowe, po nich nowa partia socjaldemokratów, tuż za nimi liberałowie, wreszcie *Labour Party*, a na końcu konserwatyści.

Wielka Brytania jest prawdziwą demokracją, o kierunku jej polityki decydują wybory, o ten kierunek w sprawach zewnętrznych i wewnętrznych toczy się teraz walka, więc oczy wszystkich skierowane były na Brighton, Salford, Harrogate i Blackpool, gdzie zapadały decyzje mogące w ciągu kilku lat zmienić oblicze kraju.

Przed wyborami powszechnymi wydawało się, że liberałowie w aliansie z socjaldemokratami potrafią zmienić układ partyjny i zepchnąć socjalistów na trzecie miejsce, ale nic z tego nie wyszło, a kongres liberałów pokazał, że pewno dobrze się stało. Mimo wysiłków przywódcy, Davida Steela, kongres został opanowany przez najmłodszych delegatów, których zachowanie nie odbiegało daleko od chuligańskich wybryków wyrostków na meczach piłki nożnej. Wrzaski, przerywanie mówcom, obelżywe epitetety, wszystko to stwarzało atmosferę zupełnie niezgodną z wieloletnią tradycją partii i z jej nazwą.

W rezultacie kongres został zmuszony do przyjęcia wniosku nakazującego partii popieranie tych, którzy domagają się przyłączenia Północnej Irlandii (Ulsteru) do południowego, niezależnego państwa, do wycofania brytyjskich oddziałów i zastąpienia ich oddziałami Narodów Zjednoczonych. Takie załatwienie sprawy oznaczałoby w chwili obecnej wojnę domową podobną do libańskiej, bo rząd południowej Irlandii dziś tego przyłączenia nie pragnie, a 65 % mieszkańców Ulsteru to protestanci i pro-brytyjscy lojaliści, którzy o swoje prawa będą walczyć. Wnioskiem tym liberałowie pomogli tylko irlandzkim terrorystom (IRA), którzy stworzyli tam sytuację zupełnie niemożliwą. Cała partia, nie wyłączając przywódcy, wypadła słabo.

O ileż poważniej wypadł przywódca socjaldemokratów, dr David Owen (kongres socjaldemokratów odbył się wcześniej, ale przemawiał on także na kongresie liberałów). Od razu było widać, że to jednak były członek rządu, w którym zajmował poważne stanowisko (był ministrem spraw zagranicznych w rządzie Callaghana). Stoją jednak przed nim wielkie trudności, bo choć góra jest wybitna, partia nie posiada dołów i liczy zaledwie 60.000 członków. Jest to typowy twór młodych inteligentów, 50 % członków ma poniżej 45 lat, ponad 60 % to urzędnicy, businessmeni i wolne zawody. Musi ona powiększyć swój stan posiadania, a o to trudno, bo wyborcy nie wiedzą, jaki jest jej program. Ponadto ci, którzy boją się socjalizmu, nie mają zaufania do tworu stworzonego przeciw przez byłych członków *Labour Party*. Dlatego dr Owen wypowiedział kilka opinii, mających go odciąć od socjalizmu: potępił monopol związków zawodowych, zaatakował znacjonalizowane przedsiębiorstwa i biurokrację. Czyniąc to, przesunął się jednak na prawo i znalazł się na podwórku konserwatystów: powtórzył znaną opinię pani Thatcher, że kraj bardzo potrzebuje nowej hierarchii zasad, na których opiera się życie narodu, zdecydowanie poparł posiadanie obronnych rakiet nuklearnych. W rezultacie po kongresie socjaldemokratów nadal nie wiadomo, czym zasadniczo różni się od konserwatystów.

◆
Ile tysięcy funtów musieliby zapłacić konserwatyści genialnemu agentowi, który potrafiłby zdobyć dla nich miliony głosów w różnych, odległych zakątkach kraju? Nawet gdyby były pieniądze, nie wiadomo czy taki geniusz by się znalazł, a tymczasem mają go za darmo. Ukochany beniaminek prasy, Arthur Scargill, przywódca Związku Górników, znowu się odezwał. Scargill pojechał do Moskwy, by zobaczyć, „jak działają prawdziwe związki zawodowe” i tam złożył telewizyjne oświadczenie, że największymi wrogami pokoju są prezydent Stanów Zjednoczonych Reagan i przywódczyni konserwatystów, stojąca na czele rządu Wielkiej Brytanii.

Mieszkańcy tutejszych wysp są na ogół flegmatyczni, rzadko się unoszą i trudno ich wyprowadzić z równowagi, ale zawsze wpadają w gniew, gdy Brytyjczyk za granicą wypowie się źle o własnym kraju. Cóż dopiero, gdy zrobi to na wrogim gruncie, gdzie czai się potencjalny przeciwnik Wielkiej Brytanii. Na głowę aroganckiego związkowca posypały się gromy, podniosła wrzawę prasa, w kierownictwie *Labour Party* zacisnęły się pięści, a tymczasem niesforne Arthurek po powrocie do kraju posunął się jeszcze dalej. Do piśmka *News Line*, wydawanego przez „Rewolucyjną Partię Robotników”, napisał list, w którym znalazły się zdania:

„Jeżeli są jakieś wątpliwości odnośnie mego stosunku do 'Solidarności' w Polsce, proszę mi pozwolić na ich wyjaśnienie.

Jestem w opozycji w stosunku do 'Solidarności', bo rozumiem, że jest to organizacja antysocjalistyczna, której celem jest obalenie socjalistycznego państwa”.

Ten niepoczytalny wyskok miał miejsce już po otwarciu w Blackpool kongresu związków zawodowych, więc delegaci musieli się nim zająć. Umiarkowany przywódca elektryków, Frank Chapple, nazwał Scargilla idiotą, który przejeżdża pół świata, by spotkać się z komunistycznymi dyktatorami, a jednocześnie próbuje powstrzymać związki zawodowe w Wielkiej Brytanii od rozmów z własnym rządem. Trevor Bell, stojący na czele urzędniczej sekcji Związku Górników, zapowiedział, że wezmą się do swego prezesa, a Terence Duffy, generalny sekretarz Związku Mechaników, złożył oświadczenie:

„Nie rozumiem, jak przywódca związku zawodowego może popierać morderstwa i więzienia. Jak długo przetrwałby on w Polsce? Gdyby tam powiedział to, co powiedział tutaj, znalazłby się w więzieniu”.

Liczne inne wypowiedzi miały podobny charakter.

Z niczym nie liczący się Scargill pewno by się nie uspokoił, gdyby nie zagroził mu bunt w jego własnym związku. Podnieśli go Polacy, którzy pracują w tutejszych kopalniach, wsparli ich Ukraińcy i nagle ton aroganta zupełnie się zmienił. Poczuł, że jego własny grunt, tak dotychczas pewny, zachwiał mu się pod nogami. Nie tylko wycofał się ze swych wypowiedzi, ale obiecał, że się to nie powtórzy.

Ta afera zaciążyła nad kongresem związków, ale wyszła im na dobre, bo przyczyniła się do szeregu umiarkowanych uchwał. Przede wszystkim zdecydowano, że więzy z Labour Party są zbyt bliskie i należy je rozluźnić. Związki nie mogą być narzędziem w rękach partii, należy pohamować strajki jako instrument politycznej presji. Len Murray, generalny sekretarz związków, wiedząc, że wielu związkowców głosowało na konserwatystów, powiedział:

„Członkowie związków głosowali. My to respektujemy. Nie możemy stawiać sprawy tak, jakby nasz związkowy ruch był jakąś alternatywą rządu”.

Kilku złośliwych dziennikarzy napisało, że nowy przywódca socjalistów jest tylko młodszym wcieleniem odchodzącego demagoga, Michaela Foota, i że Labour Party będzie nadal topnieć, ale tak nie jest. Neil Kinnock i jego zastępca, Roy Hattersley, tworzą dobry tandem, obydwaj zaledwie przekroczyli czterdziestkę, pierwszy jest bardziej bojowy, drugi umiarkowany, zostali wybrani w pierwszym głosowaniu, będą ze sobą współpracować i ten wybór socjalistycznego kongresu należy uznać za jego poważny sukces. Od razu odbiło się to w opinii publicznej i w najnowszym Gallupie socjaliści, którzy dotychczas wlekli się

o 20 punktów za konserwatystami, zmniejszyli dystans do siedmiu.

Nie oznacza to, że nowy przywódca będzie miał łatwe życie. Zjednoczenie rozbitej partii jest możliwe jedynie przy jedności programu, a jakże o tym mówić, gdy kongres przyjął jednocześnie dwie rezolucje. Jedna nakazała kierownictwu, by dążyło do całkowitego nuklearnego rozbrojenia kraju, druga, by rozpoczęło z Rosją rozmowy o obopólnej rezygnacji z rakiet o głowicach nuklearnych. Pierwsze hasło kosztowało partię miliony głosów, tak samo jak upieranie się przy wycofaniu Wielkiej Brytanii ze Wspólnego Rynku. Socjaliści, rozumiejąc że są niepopularni, udają, że przesuwają się na prawo. Taktyka jest dobra, odzyskują stracony teren.

Dnia 14 października przewodniczący konferencji konserwatystów przerwał obrady i zawiadomił delegatów, że minister przemysłu i handlu, Cecil Parkinson, zrezygnował ze swego stanowiska. W tym samym dniu miał on otworzyć w Blackpool nową stację helikopterów i odpowiednia metalowa tablica z jego nazwiskiem została już tam przymocowana. Zdjęto ją w pośpiechu i otwarcia dokonał mąż pani Thatcher.

Był to dramatyczny rezultat osobistej afery 53-letniego ministra, który zrobił błyskawiczną karierę, był doskonałym przewodniczącym partii konserwatystów (czysto administracyjne stanowisko), wydatnie przyczynił się do wygrania wyborów, zajął w rządzie poważną pozycję i był nawet wymieniany jako ewentualny następca obecnej przywódczyni i przyszły premier. Cały ten dorobek zawałił się, bo wyszła na jaw jego afera miłosna z dawną sekretarką, Sarą Keays, która w styczniu spodziewa się jego dziecka. Parkinson od wielu lat jest żonaty i ma trzy dorosłe córki.

Można być innego zdania, można aferę przyrównywać do podobnych afer w innych krajach i wzruszać ramionami, ale nie zmieni to faktu, że życie publiczne w Wielkiej Brytanii tak właśnie wygląda. Scargill mógł pojechać do Moskwy i tam wygłaszać opinie przeciwko własnemu rządowi; Ken Livingstone, przewodniczący Rady Wielkiego Londynu, mógł spotykać się z irlandzкими terrorystami; socjalistyczny poseł, William Hamilton, może co pewien czas rzucać jadowite uwagi o rodzinie królewskiej (ostatnio przycichł, bo ożenił się z rojalistką) i nikt nie domaga się ich ustąpienia. To są sprawy polityczne, na to pozwala demokracja. Co innego prywatne sprawy ludzi, którzy reprezentują kraj, korzystają z wielu przywilejów, są chronieni przed możliwością fizycznego ataku, otrzymują ze skarbu państwa wysokie wynagrodzenie. Wtedy opinia publiczna reaguje inaczej, bo chce w nich widzieć ludzi bez skazy. Trudno, nie można mieć wszystkiego.

Sprawa ta zaciążyła nad obradami konserwatystów, ale ich nie zwichnęła i nie skierowała w niewłaściwym kierunku. Powtórzono wszystkie wyborcze hasła, zapowiedziano, że nie zmieni się polityka monetarna i antyinflacyjna, potwierdzono determinację posiadania kosztownych broni nuklearnych i należenie do Wspólnego Rynku, obiecano dalsze próby zmniejszenia bezrobocia.

A jednak popularność konserwatystów zmniejszyła się. Dlaczego? Czy tylko dlatego, że wzmocnili się socjaliści? Nie. Przede wszystkim dlatego, że wygrali wybory i rządzą. Przemięta euforia, zaczęły się szare dni, pozostały dawne trudności, a ten kto rządzi, w prawdziwej demokracji jest zawsze na cenzurowanym.

Pokojowa nagroda Nobla przyznana Lechowi Wałęsie wywołała szereg wypowiedzi tutejszej prasy, na czołowych miejscach i na ogół bardzo przychylnych. Właściwie tylko jeden *Guardian* zakwestionował słuszność wyboru, sugerując, że Wałęsa raczej zagroził pokojowi w Europie.

Ten sposób myślenia wywodzi się z filozofii wolnych i sytych, którzy nie interesują się losem zniewolonych i umierających z głodu i którzy bardzo chętnie ich poświęcą, byle tylko panował spokój, bo wtedy sytym i wolnym nic nie grozi. Na jak długo? O tym lepiej nie myśleć. Według tej logiki w okresie hitlerowskiego zagrożenia nagrodę pokoju należało przyznać zwolennikowi jak najdalej idących ustępstw. Jednak wtedy stało się inaczej, wtedy, tak samo jak teraz, w stolicy Norwegii znaleźli się ludzie, którzy poważali się na odważną i słuszną decyzję. W roku 1935 nagrodę otrzymał niemiecki pacyfista, Carl von Ossietzky, walczący z nieludzkim systemem nazistów; laureat w dniu przyznania mu nagrody znajdował się w obozie koncentracyjnym.

Chyba najtrafniej ujął cały problem *Times* w artykule redakcyjnym, któremu dał tytuł: „Człowiek pokoju”. Wskazał w nim na najbardziej podstawową cechę działania Wałęsy: mimo naporu milionowych mas „Solidarności”, którymi powodował narastający od wielu lat gniew, potrafił nie dopuścić do gwałtów i przemocy. Tak właśnie działa człowiek, który w erze broni nuklearnych, gdy użycie militarnej siły może doprowadzić do zagłady całego świata, walczący przeciw o ludzkie prawa dla swego narodu, potrafi go pohamować i ograniczyć swoje działanie do pokojowego i godnego protestu.

W artykule *Times'a* znalazł się także fragment z przemówienia Wałęsy, przygotowanego na majowy występ w Harvardzie, gdzie otrzymał honorowy doktorat, które zostało odczytane w czasie jego nieobecności:

„Miliony ludzi znowu stały się obywatelami... Zmiany jakie zachodzą w stosunkach pomiędzy ludźmi, a także pomiędzy ludźmi i instytucjami, są w mniejszym stopniu powodowane przepisami praw-

nymi, raczej powoduje je nowa świadomość... System prawny pozostaje nadal nie zmieniony, bardzo natomiast zmienił się stosunek doń ludzi. Do niedawna ludzie pracujący w tym samym pokoju bali się siebie, dziś tworzą sekretną jednostkę Solidarności”.

Times mógł skorzystać z tego cytatu tylko dlatego, że dosłownie o dzień wcześniej otrzymał najnowszy numer agencji *Uncensored Poland News Bulletin*, wydawanej przez Studium Spraw Polskich w Londynie. Jest to organizacja, która powstała na wiosnę 1980 roku, gdy „Solidarność” szła naprzód i cały świat interesował się nią i szukał uczciwych informacji. Na początku prowadziła ją Aleksandra Stypułkowska, a po jej śmierci funkcję tę przejął Jan Radomyski, który wraz z Antonim Pospieszalskim redaguje powyższy biuletyn. Prenumeruje go już około stu odbiorców i nie byle jakich: amerykański Departament Stanu, brytyjskie Ministerstwo Spraw Zagranicznych, liczne ambasady, wielkie pisma o światowym zasięgu, agencje prasowe, amerykańskie i brytyjskie uniwersytety, stacje radiowe, centrale związków zawodowych, sowietolodzy.

Klasyczny przykład mądrego, niezwykle ważnego działania bez hałasu i autoreklamy.



Przez szereg tygodni telewizja pokazywała wieloodcinkowy, kiczowaty film *The Winds of War*, oparty na głośnej powieści Hermana Wouka pod tym samym tytułem. W filmie znalazły się jaskrawe akcenty antypolskie (ostrzejsze niż w książce) i do polskich londyńskich pism posypały się listy słusznie oburzonych czytelników. W akcji tej nie wziąłem udziału, uważam bowiem, że protesty w polskich pismach, czytanych wyłącznie przez Polaków, w takiej sprawie niczego nie zafatwiają.

Tak się złożyło, że kilka lat temu poznałem Hermana Wouka. Jest on amerykańskim Żydem i bardzo poczytnym pisarzem, którego książki rozchodzą się w setkach tysięcy egzemplarzy. Podjął on plan napisania dużej powieści na tle ostatniej wojny i po pierwszym, wspomnianym powyżej tomie zaplanował drugi, w którym miały się znaleźć sceny z Oświęcimia. Do jego rąk trafiło amerykańskie wydanie mojej książki *Fighting Auschwitz*, zainteresował się nią i nawiązał ze mną kontakt. Zależało mu na informacjach z pierwszej ręki ode mnie jako autora i byłego oświęcimia.

Wouk przyjechał w tym celu do Londynu i spotkaliśmy się na rozmowę. Znałem, oczywiście, pierwszy tom jego powieści, więc na wstępie powiedziałem, że jest w niej dla Polaków niesprawiedliwy. Okazało się, że Wouk zna te sprawy wyłącznie z drugiej ręki i że potrafi spokojnie słuchać. Rozmowa nasza przeciągnęła się ponad normalne spotkanie, zachęciłem go, by korzystał z mej książki jak najszerzej, on przyznał, że jego informacje były jednostronne, że nie znał wielowiekowej historii Żydów w naszym kraju i że postara się spojrzeć na te sprawy inaczej.

Po kilku latach otrzymałem egzemplarz drugiego tomu, noszącego tytuł *War and Remembrance*, z autorską dedykacją. Jest to tom potężny, liczy ponad 1000 stron, ale przeczytałem go dokładnie. Nie ma w nim akcentów antypolskich, choć sceny w oświęcimskim obozie stwarzały doskonałą okazję.

Józef GARLIŃSKI

„Ostpolitik” Watykanu

Miałem już kiedyś sposobność sprecyzować na tych łamach, że Jan Paweł II kontynuuje watykańską *Ostpolitik*. Nadał jednak tej akcji nowy rozmach, odpowiadając na wyzwanie państwowe-go ateizmu reżymów totalitarnych chrześcijańskim orędziem o poszanowanie praw człowieka. H. J. Stehle, autor książki o polityce wschodniej Watykanu („Die Ostpolitik des Vaticans”, 1983, II wyd.), twierdzi, że sprawdzianem ewentualnego powodzenia tej polityki stała się Polska. Stehle jest zdania, że papieżowi potrzebne jest wykazanie, że Kościół silny (taki jak polski) nie destabilizuje żadnego reżymu, ale przeciwnie, zdolny jest do mobilizowania sił moralnych w każdym ustroju. Jeśli więc zachodzi możliwość uśmierzenia nieufności komunizmu sowieckiego wobec Kościoła — brzmi wniosek Stehlego — mogłoby to nastąpić w najbardziej skuteczny sposób właśnie w Polsce, gdzie znajduje się niewrażliwy punkt tej nieufności.

Aktualne trudności odczuwane w watykańskiej polityce wschodniej (trudności, ale nie kryzys!) wypływają z napiętej sytuacji międzynarodowej. Nie doszło jednak do zablokowania wszelkich kontaktów dyplomatycznych. We wrześniu, podczas wizyty Papieża w Wiedniu, mons. L. Poggi, nuncjusz do specjalnych poruczeń, był w Sofii. Władze bułgarskie zobowiązały się do pewnych ulg i koncesji na rzecz drobnej wspólnoty katolickiej (70 tysięcy wiernych obydwu obrządków wobec 7 milionów prawosławnych). Władzom tym zależało na przełamaniu izolacji międzynarodowej i wykazaniu, że nie mają nic do ukrycia w związku z poszlakami o udział obywateli tego kraju w spisku i zamachu na Papieża (Watykan *nota bene* był i jest nadal bardzo ostrożny w wyciąganiu wniosków z tej mętnej afery).

Pod koniec października doszło do nominacji dwóch ordynariuszy w Rumunii oraz do pierwszej oficjalnej pielgrzymki ru-

muńskich katolików do Rzymu. Wprawdzie nominacje te są tymczasowe, bo nieobsadzone diecezje w Timoszara i Oradea do czasu mianowania biskupów będą zarządzane przez zwykłych kapłanów, ale w każdym razie jest to pewien krok naprzód. Trzeba bowiem brać pod uwagę, że na sześć diecezji rzymsko-katolickich w Rumunii tylko jedna posiada biskupa ordynariusza. Jest nim Antal Jakab w Alba Julia (ma on biskupa pomocnika — diecezja liczy ok. 450 tysięcy wiernych), który brał udział w obradach ostatniego zgromadzenia synodalnego. Wśród pozostałych diecezji dwie — w Bukareszcie i Satu Mare — są zarządzane przez kapłanów nie mianowanych przez Stolicę Apostolską, a trzecia w Jassach posiada ordynariusza mianowanego w 1978 roku przez Pawła VI. Do tej pory nie udało się nic zrobić dla katolików obrządku bizantyjskiego (jest ich ok. 1.500 tysięcy czyli o 300 tysięcy więcej niż rzymskich katolików) po likwidacji tego Kościoła w 1948 roku i przymusowym wcieleniu do patriarchatu prawosławnego. Czterej biskupi rumuńscy rytu wschodniego są tolerowani przez władze, ale nie wolno im sprawować swych funkcji. Abp A. Silvestrini, sekretarz Rady d/s Publicznych Kościoła (zwany „watykańskim ministrem spraw zagranicznych”) ponownie wezwał 7 września 1983 — na konferencji madryckiej — do uznania istnienia tego Kościoła tam, gdzie został zdelegalizowany, w Rumunii i na Ukrainie.

Na Węgrzech sytuacja kościelna rozwija się lepiej (wszystkie diecezje są obsadzone) o czym świadczy między innymi fakt przyjazdu do Rzymu na ostatnią kongregację generalną jezuitów prowincjała z Budapesztu, mimo, iż zakon ten nie jest jeszcze prawnie reaktywowany. Świadczy o tym także fakt niedawnej wizyty delegacji Episkopatu Polski w Esztergom, gdzie Ks. Prymas zrobił aluzję do możliwej wizyty Papieża na Węgrzech. Nie jest wykluczone, że dojdzie do niej w 1985 roku (prawdopodobnie w przyszłym roku Papież odwiedzi Jugosławię). Rzecz charakterystyczna, że troska Watykanu, jeśli chodzi o Węgry, nie dotyczy stosunków z władzami państwowymi (układają się one dość prawidłowo), lecz koncentruje się niemal wyłącznie na sprawach wewnątrzkościelnych. Dla prężności danego Kościoła lokalnego nie wystarczą bowiem ramy instytucjonalne — potrzebne są przede wszystkim umiejętności kierownicze i zapał pasterski, a to właśnie na Węgrzech szwankuje i stanowi źródło powstawania i dynamizmu tzw. wspólnot podstawowych czyli spontanicznych grup wiernych, w niektórych wypadkach kontestujących odnośnych biskupów. Ostatnio, dzięki staraniom Watykanu i samego Papieża, pewne negatywne przejawy, związane z działalnością grup, zostały zredukowane.

Do konkretnych, aczkolwiek skromnych, osiągnięć w dziedzinie polityki wschodniej trzeba zaliczyć nominacje biskupów na Łotwie i na Litwie. Nie byłyby one możliwe bez milczącej zgody Moskwy. Pozostaje wciąż otwarta sprawa biskupa Stepanowiciusa, administratora apostolskiego Wilna, który od z górą 25 lat przebywa na wygnaniu poza obrębem swej diecezji. Stanowisko

Moskwy jest nadal ambiwalentne. Udzielane koncesje podlegają specyficznej logice opartej na gestach wobec międzynarodowego autorytetu Stolicy Apostolskiej. Nie przeszkadza to jednak ani odmówieniu biskupowi Povilonisowi z Kowna zezwolenia na udział w Synodzie, ani tym bardziej skazywaniu kapłanów. 3 grudnia 1983 trybunał w Wilnie skazał ks. Tamkeviciusa na 7 lat obozu pracy przymusowej za „działalność antypaństwową”. Był on członkiem Komitetu Praw Wierzących i cieszył się wielkim mirem wśród młodzieży.

Największą niespodziankę stanowi przejaśnienie na odcinku stosunków Watykanu z Czechosłowacją. 2 grudnia 1983 Papież i kardynał Casaroli przyjęli ministra spraw zagranicznych Chnoupka. Od czasów Benesa była to pierwsza wizyta czechosłowackiego ministra spraw zagranicznych w Watykanie. Dotychczasowe kontakty były podtrzymywane na szczeblu szefa praskiego Urzędu d/s Wyznań. Wizyta ministra Chnoupka była na rękę dyplomacji watykańskiej z dwóch powodów. Po pierwsze: chodziło o przekazanie Moskwie za pośrednictwem Pragi gotowości podjęcia przez Stolicę Apostolską mediacji pomiędzy dwoma supermocarstwami. Kardynał Casaroli potwierdził po powrocie z Waszyngtonu, że zarówno Reagan, jak i Andropow odpowiedzieli pozytywnie na apel pokojowy Papieża z 26 października. Drugim powodem była chęć wykorzystania tej szansy dla poprawy położenia Kościoła i wiernych w Czechosłowacji. Od stycznia 1980 roku przerwane są wszelkie kontakty pomiędzy Watykanem i Pragą. Po czterech latach więc, w styczniu 1984 roku, mons. Poggi uda się ponownie do Pragi. Sytuacja Kościoła jest tam dramatyczna. Na 13 diecezji tylko 3 mają biskupów ordynariuszy. Trwają rozmaite restrykcje i szkany administracyjne w stosunku do duchowieństwa. Organizacja księży kolaborantów *Pacem in terris* ingeruje bez żenady w wewnętrzne sprawy Kościoła i podważa autorytet kardynała Tomaška. Władze zareagowały bardzo ostro na watykański dekret z 1982 roku, zabraniający kapłanom przynależności do tej organizacji. Przy okazji wizyty Papieża w Polsce prasa czechosłowacka publikowała niewybredne ataki na Watykan i na osobę samego Papieża. Pogorszenie się sytuacji międzynarodowej, a zwłaszcza zerwanie kontaktów na linii Waszyngton-Moskwa, umożliwiło nawiązanie kontaktów pomiędzy Watykanem i Pragą i równocześnie obudziło nadzieję, jeśli nie na zwrot w dotychczasowych stosunkach, to przynajmniej na pewne rozluźnienie więzów krępujących hierarchię, kler i wiernych w tym kraju.

Dominik MORAWSKI

Pisane 11 grudnia 1983 r.

POST SCRIPTUM (18 grudnia)

Prasa włoska podaje dziś sensacyjną wiadomość o podróży Prymasa Polski do Moskwy na zaproszenie Patriarchy prawosławnego Pimena. Nie jest jeszcze jakoby ustalone, czy zatrzyma się w Rydze u kard. Vaivodsa,

wykluczona natomiast jest jego wizyta na Litwie. Informacja ta, zdementowana tutaj przez miarodajne polskie czynniki kościelne, wiąże się z listopadowym pobytem Prymasa w Budapeszcie. Na pytanie pewnego węgierskiego dziennikarza, czy następną podróż odbędzie do Moskwy, ksiądz Prymas dał do zrozumienia, że gotów jest pojechać także tam, ale po uprzednim odwiedzeniu Kościoła katolickiego na Litwie. Informacja ta nabiera szczególnego znaczenia na tle krążących pogłosek o ewentualnej podróży Papieża na Litwę, która byłaby niewątpliwie połączona z wizytą w Zagorsku pod Moskwą. W tym świetle staje się zrozumiałe, dlaczego Prymas odwołał swoją tegoroczną wizytę w USA. Mimo dyplomatycznego *dementi* jego podróż do Moskwy dojdzie zapewne do skutku w niedalekiej przyszłości.

D. M.

Widziane z Brukseli

TRZY LISTY NA TEMAT MADRYTU MIĘDZY WARSZAWĄ,
PARYŻEM I BRUKSELA POD OGÓLNYM HASŁEM
„O WILKU MOWA”...

List nr 1: Leopold Unger do Jerzego Giedroycia

Drogi Redaktorze,

Odsyłam Panu wypowiedź pana Adama Wojciechowskiego z Warszawy (czasowo w Paryżu), poświęconą moim „nad wyraz uproszczonym ocenom” na temat konferencji w Madrycie (*Kultura* nr 9/1983). Wypowiedź ta stanowi dokument znamienity i bardzo na czasie. Z dwóch powodów.

Po pierwsze i tak zamierzałem powrócić do *happeningu* madryckiego, jako że moje „uproszczone oceny” były zredagowane i drukowane przed oficjalnym i uroczystym zamknięciem konferencji. List p. A.W. daje mi znakomite, choć smutny pretekst do powrotu do tej tematyki.

Po drugie dlatego, że wypowiedź p. A.W. jest dobrym przykładem intelektualnej (?) metody mistyfikacji, jaką, świadomie lub nie, posługują się ludzie korzystający, dla nadania swoim poglądom pozorów niezależności, z trybun takich jak *Ład*, pismo o katolickim szyldzie i o marginesie cenzury, a więc i zaufania szerszym niż np. *Trybuna Ludu*.

Do wypowiedzi p. A.W. załączam siłą rzeczy obszerniejszy list do Pana, z moim komentarzem na temat wartości konferencji w Madrycie i jakości wypracowania p. A.W.

Leopold UNGER
(nie czasowo w Brukseli)

List nr 2: Adam Wojciechowski do Jerzego Giedroycia

Panie Redaktorze,

Artykuł Leopolda Ungera „Jałta - Helsinki - Madryt” (*Kultura* nr 9/1983) poświęcony ocenie konferencji przeglądowej KBWE w Madrycie zawiera

wiele ocen nad wyraz uproszczonych np. „Zwyciężyła znana teza sowiecka: im gorzej tym bardziej dialog jest potrzebny”. W związku z tym należy przypomnieć słowa szefa delegacji amerykańskiej Maxa Kampelmana wypowiedziane na początku konferencji (17 listopada '80), stwierdzające, że pomimo zasadniczej niezgodności dwu systemów politycznych: „Jesteśmy zmuszeni do współistnienia a nawet do współpracy”.

Słowom Kampelmana wtórowały niby echo słowa sekretarza stanu Schultza na zakończenie konferencji, który wyłożył zebranym „najgłębszą istotę” procesu KBWE, polegającą na „... historycznym wysiłku niwelowania okrutnego podziału pomiędzy Wschodem a Zachodem w Europie”. George Schultz powiedział: „Jest to wysiłek, który musi trwać ponieważ ucieleśnia najbardziej podstawowe interesy, najgłębsze przekonania i wysokie nadzieje wszystkich ludzi w Europie”. Może więc mamy do czynienia nie tyle z „tezą sowiecką” ile z tezą amerykańsko-radziecką??!

Pan Unger ułatwia sobie pracę wybierając z tekstu komunikatu madryckiego kawałki, które pasują do tezy, z którą zasiadł do pisania artykułu, ale nie zadaje sobie trudu żeby odpowiedzieć na zasadnicze pytanie, które nasuwa proces pohelskiński: dlaczego konferencja madrycka, w przeciwieństwie do belgradzkiej z 1977 roku, zakończyła się sukcesem, pomimo wyraźnego zaostrzenia się sytuacji międzynarodowej. W braku innego proponuję czytelnikowi własne wyjaśnienie, które przedstawiłem na łamach tygodnika katolicko-społecznego *Ład* (nr 42/1983) pisząc: „W Belgradzie, gdzie horyzont *détente* zaczynał się dopiero chmurzyć, doszło do próby politycznego dyskontowania treści komunikatu przez rywalizujące bloki państw w Europie (...), państwa neutralne nie odegrały wtedy roli mediatorów. Inaczej w Madrycie, wobec pogarszającego się klimatu w stosunkach międzynarodowych głos państw neutralnych zabrzmiał jak dzwonek alarmowy. Uczestnicy uświadomili sobie, że w takim momencie trzeba uratować forum KBWE, jako jedynie funkcjonujące forum dla szukania punktów wspólnych lub zbieżnych, łączących narody europejskie”.

Nade wszystko p. Unger nie dostrzegł związku pomiędzy konferencją madrycką a zarejestrowaniem Solidarności. W kraju niewiele ludzi pamięta — nie mówiąc już o emigracji, że istniał ścisły związek pomiędzy datą zarejestrowania Solidarności (10 listopad) a terminem rozpoczęcia konferencji madryckiej, który przypadał w dniu następnym. Trzeba przypomnieć, że działacze Solidarności regionu Mazowsze zapowiedzieli strajk ostrzegawczy w regionie na 12 listopada na wypadek niezarejestrowania Solidarności. Do strajku jednak nie doszło ponieważ władze podjęły decyzję o rejestracji związku w przeddzień rozpoczęcia konferencji. Pamiętam ten fakt doskonale ponieważ proponowałem taki właśnie wybór terminu p. Antoniemu Macierewiczowi, ówczesnemu doradcy politycznemu p. Bujaka.

W Madrycie decyzja władz polskich wywołała niebywałe zaskoczenie a razem przyjazne reakcje uczestników konferencji, co zostało odnotowane w niektórych przemówieniach wstępnych. W mojej ocenie decyzja ta przyczyniła się do przełamania impasu w konferencji, który dokonał się w nocy przed rozpoczęciem właściwej konferencji. Rozwojem sytuacji najbardziej byli zaskoczeni Amerykanie, którzy przesunęli o tydzień wystąpienie otwierające szefa swojej delegacji i dokonali w nim poważnych zmian.

Piszę o tym nie tylko dlatego, żeby opublikować fragment mojego tekstu w *Ładzie*, usunięty przez cenzurę, ale przede wszystkim dlatego, żeby przypomnieć dramatyczny moment rejestracji Solidarności, oraz wskazać na związek pomiędzy konferencją a decyzją władz o jej zarejestrowaniu. Już choćby dla tego samego faktu warto było, żeby się konferencja odbyła.

Na koniec drobne sprostowanie dotyczące dostępu do ambasady amerykańskiej w Warszawie. Pan Unger pisze, że to kpina. Jest inaczej. Wprawdzie przed wejściami do ambasady stoją codziennie posterunki milicyjne,

ale funkcjonariusze nie są uzbrojeni ani w kałasznikowy ani nawet w pałki i zachowują się wyjątkowo poprawnie. Do ambasady mają dostęp obywatele polscy posiadający paszporty. Można też dostać się do ambasady przed i po zakończeniu urzędowania, kiedy nie ma już posterunków. Robię to co tydzień, kiedy odbieram tygodnik *Newsweek*, odkładany przez *press section*; robi to samo kilkunastu znanych mi ludzi. Trzeba stanowczo p. Ungerowi doradzić pisanie prawdy, całej prawdy i tylko prawdy. Kiedy p. Unger pisywał do gazet w Polsce, również nie stosował się do tej zasady, jeżeli mię pamięć nie myli. Cóż, jak powiadają Włosi: *Il lupo perde il pelo ma non il vizio* (Wilk zmienia sierść ale nie zmienia złych przyzwyczajęń).

Adam WOJCIECHOWSKI
(czasowo w Paryżu)

Paryż, 14 listopada 1983 r.

List nr 3: Leopold Unger do Jerzego Giedroycia

Drogi Redaktorze,

Mógłbym ten list zacząć tak jak Pan A.W. i mógłbym napisać, że list p. Wojciechowskiego „zawiera wiele ocen nad wyraz uproszczonych”, i że p. Wojciechowski (fragment elegancki choć stylistycznie kulawy) „ułatwia sobie pracę wybierając z tekstu artykułu Ungera w *Kulturze* kawałki, które pasują do tezy, z którą zasiadł do pisania artykułu”. Wtedy jednak moja odpowiedź choć właściwie wystarczająca, byłaby za krótka, nie pedagogiczna. Odpowiadam więc szerzej, myśląc przede wszystkim nie o p. Wojciechowskim, ale o jego czytelnikach. Mam bowiem nadzieję, że tak jak ja zaproponowałem Panu opublikowanie dla użytku Czytelników *Kultury* pełnego tekstu obu listów, tak p. A.W. postara się jakąś drogą (wiem, że w *Ładzie* nie będzie to możliwe), doprowadzić moje poglądy na temat jego poglądów do wiadomości jego czytelników.

Wypowiedź p. Wojciechowskiego sprowadza się właściwie do trzech lekcji. Dwie pierwsze dotyczą polityki, trzecia dotyczy moralności, obowiązku pisania całej prawdy i roli wilka w historii. A więc po kolei.

Sukces?

Zarzut pierwszy: Unger nie zadał sobie trudu, aby odpowiedzieć na pytanie „dlaczego konferencja madrycka, w odróżnieniu od belgradzkiej, zakończyła się sukcesem?”.

Moja odpowiedź jest prosta, choć długa. Nie tylko nie zadałem sobie trudu aby odpowiedzieć na pytanie dlaczego konferencja madrycka zakończyła się sukcesem, ale zadałem sobie dużo trudu (szkoda że p. A.W. tego nie zauważył), aby udowodnić, że zakończyła się ona całkowitym fiaskiem. Dziś, w kilka tygodni po uroczystościach madryckich mogę dodać, że zakończyła się także skandaliczną farsą.

Pomiędzy zakończeniem mojego artykułu pt. „Jałta - Helsinki - Madryt”, który się tak bardzo nie spodobał p. A.W., a zakończeniem konferencji w Madrycie, wydarzył się bowiem pewien wypadek nad morzem Japońskim w rejonie Sachalinu, gdzie sowieccy młodocy bohaterko stracili rakieta powietrze-powietrze południowokoreański Boeing 747 wraz z 269 cywilami na pokładzie. Pan A.W., który jak wynika z zakończenia jego listu, łatwo udziela lekcji pisania prawdy, zapomniał o tym drobiazgu. Konferencja madrycka nie zapomniała.

Pan A. W. powołuje się na cytaty z przemówień w Madrycie. Pan A.W. czytał je jednak niedokładnie. Gdyby czytał dokładnie, to dowiedziałby się co myślą o tym fajerwerku z Kamczatki nie tylko panowie Shultz i Kampelman, ale także ulubienicy p. A.W. z krajów neutralnych, takich jak np. Szwajcaria, Austria czy nawet Finlandia. Stanowisko jakie p. Kampelman zajął nie wymaga cytowania, wystarczy przytoczyć wypowiedź na ten temat świadka bliższego geopolitycznie panu A.W., a mianowicie ambasadora sowieckiego Kondraszyna. Przemówienie swego amerykańskiego kolegi nazwał on „najbardziej agresywnym, kłamliwym, obraźliwym i godnym pogardy wystąpieniem, jakiego zdarzyło mu się wysłuchać w toku konferencji madryckiej”.

P. A.W. powołuje się na tezę p. Shultza o „konieczności niwelowania podziału”. Ja też tak uważam i to właśnie w moim artykule powiedziałem, wspominając (czego p. A.W. także nie zauważył) o nieuchronnej w jakimś punkcie zbieżności interesów supermocarstw. Pytanie tylko, gdzie taki punkt się sytuuje?

Dla p. A.W., który o 747 w ogóle nie wspomina, leży ten punkt całkowicie poza zbrodnią nad Sachalinem. Rozumowanie to jest jednak niebezpieczne. Jeżeli bowiem interesy supermocarstw zakładają wyeliminowanie takich zbrodni jak zbiorowy mord na 269 niewinnych pasażerach, to logicznie biorąc ofiary z kopalni Wujek, a także w ogóle cała sprawa polska się nie liczą. Być może tak jest, ale ja się z taką strategią nie zgadzam.

Jasne, należy starać się o utrzymanie nici dialogu. Pytanie tylko jakim kosztem? Uważam, że „niwelowanie różnic” za cenę milczenia nad sachalińską czy polską (*toute proportion gardée*) trumną, prowadzi prosto, choć może powoli, do katastrofy.

Nie tylko ja tak uważam. Obaj przytoczeni przez p. A.W. politycy też zaczynają tak uważać. P. Shultz został przykrojony przez p. A.W. według najlepszych wzorów *Trybuny Ludu*. Zanim amerykański minister wspominał o „niwelowaniu”, przedłożył konferencji w Madrycie pełny katalog łamania przez Moskwę praw człowieka i obywatela w ogóle, wewnątrz ZSSR i poza jego granicami (Polska), poczynając od podpisania układu w Helsinkach aż po Boeinga nad Sachalinem. Wniosek p. Shultza był lodowato prosty: teza sowiecka o absolutnej bezpieczeństwu ZSSR oznacza absolutne zagrożenie dla reszty świata. Jest to stanowisko nie do zaakceptowania dla USA. To jest właśnie „różnica”, którą należy przede wszystkim „niwelować”.

Szkoda czasu na detale. Któryś z dyplomatów neutralnych

określił zakończenie konferencji madryckiej jako „szczyt nie-dialogu”. Inny — jako „trzeci (po dnie morza Japońskiego i inwektywach propagandy sowieckiej) pogrzeb ofiar z Sachalina”. Inny jeszcze nazwał przemówienia końcowe „mowami pogrzebowymi” i zastanawiał się gdzie wreszcie, po madryckiej pantomimie, nastąpi kolejny strzał sowiecki. P. Howe, brytyjski minister spraw zagranicznych, przypomniał swego rodaka Orwella i jego rok 1984, co rzeczywiście pozwoliło umieścić końcową fazę konferencji w bardziej prawidłowym kontekście.

Żeby zrobić przyjemność p. A.W., powołałam się jeszcze na p. Kampelmana. P. A.W. cytuje słowa ambasadora amerykańskiego z początkowej fazy Madrytu. Ja przytoczę to, co on miał do powiedzenia na zakończenie. Wniosek tego członka partii demokratycznej, którego *Wall Street Journal*, pismo raczej nie postępowe, proponuje Reaganowi na sekretarza stanu po nowych wyborach, sprowadza się do podwójnej tezy: a) system sowiecki stanowi uosobienie i imperium zła. Totalitaryzm sowiecki wyzwala bowiem najbardziej diabelskie cechy człowieka; b) siła ZSSR polega wyłącznie na jego potędze wojskowej i na naszym, zachodnim strachu.

Oraz na — to już jest mój dodatek — naiwności, żeby nie użyć innego określenia. Czego artykuły, takie jak p. A.W., są bardzo charakterystycznym przykładem. Według p. Kampelmana i jego kolegów, zachodnich i neutralnych, lepszy jest zły czy cyniczny koniec niż żaden. Dwa są źródła tej filozofii. Przede wszystkim niemoc Zachodu zajęcia jednolitego stanowiska dla skontrowania ZSSR. Europa utonęła w mleku i maśle w czasie szczytu w Atenach; ONZ jest sparaliżowana i skorumpowana, egoistyczne interesy uniemożliwiają jakąkolwiek wspólną akcję. Wystarczy przypomnieć reakcję Europy na interwencję amerykańską w Grenadzie, aby uzmysłowić sobie, że „niwelować podziały” warto na razie na Zachodzie.

Z drugiej strony, wszyscy zachodni i neutralni uczestnicy konferencji w Madrycie byli zgodni co do tego, że przyjęcie, wbrew wszystkiemu co zaszło między Wisłą a morzem Japońskim, dokumentu końcowego w Madrycie, utworzy coś w rodzaju stałego sądu nad ZSSR, permanentnego pręgierza, pod którym każdy skrzywdzony będzie mógł postawić Andropowa, jeżeli naturalnie będzie on w ogóle mógł jeszcze stać o własnych siłach.

Pan Kampelman wołał w części nie cytowanej przez p. A.W.: „Porozumienie w Madrycie, to są słowa. My czekamy na fakty”. I doczekał się: 51 osób w sowieckim gułagu za próbę sprawdzenia jak ZSSR realizuje zobowiązania madryckie, wszyscy dysydenci wyciszeni, Sacharow powoli duszony w Gorki, pacyfiści na Łubiance, emigracja żydowska w punkcie zero. Jak za Stalina. A w Polsce? Jaki jest dziś wpływ Madrytu na KOK i generała, a wkrótce marszałka Jaruzelskiego?

Jeżeli na tym ma polegać proces „niwelowania okrutnego podziału” to zgadzam się, że konferencja w Madrycie zakończyła

się, jak tego chce p. A.W., sukcesem. Obawiam się jednak, a raczej spodziewam się, że jak wynika z początku instalowania eurorakiet i interwencji na Grenadzie, ulubieni mówcy p. A.W. to znaczy panowie Shultz i Kampelman są innego zdania.

Związek?

Zarzut drugi: Unger nie dostrzegł „związku między konferencją madrycką a zarejestrowaniem 'Solidarności'”. Rzeczywiście nie dostrzegł, bo takiego związku nie ma. Nie będę się zastanawiać czym się kieruje p. A.W., wypowiadając taką tezę: naiwnością czy złą wiarą. Jest to zresztą sprawa wtórna, nie intencje się liczą, a skutki. Przyjrzyjmy się temu bliżej.

P. A.W. twierdzi, że „Solidarność” zarejestrowana została 10 listopada, albowiem konferencja madrycka zaczynała się na-
zajutrz. Jest to hipoteza łatwa do podważenia. Sam p. A.W. zresztą ją obala, przypominając, że na 12 listopada zapowiedziany był strajk „Mazowsza”, czyli Warszawy. Czym się kieruje p. A.W. przypuszczając, że władze w Warszawie działały pod strachem Madrytu, a nie pod strachem strajku w Warszawie? Dlaczego tańce i gadulstwo 35 dystygowanych dyplomatów w mieście odległym o 2,5 tys. kilometrów potrafiły zmusić władze polskie do nadania legalnego bytu pierwszemu niezależnemu syndykatomu w historii obozu komunistycznego, a nie potrafiły przeszkodzić zamachowi stanu 13 grudnia 1981, a potem kolejno likwidacji tego samego związku oraz wszystkich innych stowarzyszeń twórczych, w skrócie mówiąc łamaniu w czasie trwania konferencji wszystkich absolutnie paragrafów porozumień z Helsinek, których porozumienie w Madrycie miało być uroczystym powonieniem?

P. A.W. wspomina, że właśnie fragment o związku między zarejestrowaniem „Solidarności” i konferencją madrycką cenzura z „Ładu” wyrzuciła. Nie rozumiem dlaczego. Cenzura działała zapewne w pośpiechu. Wszak gen. Jaruzelski także chce przekonać Polaków, że działa pod presją zagraniczną i że ich, Polaków, postępowanie, manifestacje, zrywy, strajki, „Solidarności”, grudnie 1970, kopalnie Wujek itd., nie mogą w warunkach polskiej geopolityki mieć i nie będą miały żadnego wpływu na ich własny los. P. A.W. skorzystał z czasowego pobytu w Paryżu, aby swój pogląd na związek Madrytu i „Solidarności” upowszechnić. Skoda, że nie miał nic więcej do powiedzenia, szkoda, że przed napisaniem listu do *Kultury* nie porozmawiał znowu z p. Macierewiczem na temat wpływu konferencji w Madrycie na losy „Solidarności”, KOR-u i Polaków w ogóle. Niestety, kontakt z p. Macierewiczem nie był możliwy. Mimo „sukcesu” konferencji madryckiej, p. Macierewicz pozostaje mianowicie w podziemiu, inaczej bowiem znalazłby się tak jak wielu jego kolegów w więzieniu, gdzie musiałby, być może, w ramach wyroku, czytać artykuły p. A.W. w piśmie *Ład* poświęcone analizie sukcesu madryckiego.

P. A.W. opisuje *dolce far niente* przed i w ambasadzie USA w Warszawie. Przypomina mi to zachwyt młodego urzędnika na temat swego szefa: szalenie miły, zawsze gościnny i bardzo hojny w podarki. Wobec ciebie? — zapytano. Nie, wobec mojej siostry — odpowiedział. P. A.W. może naturalnie chodzić po *Newsweek*, ale na zasadzie „siostry”. Czy mam mu dać adresy ludzi, którzy mają inny statut „rodzinny” w Warszawie, nie mówiąc już o Moskwie czy Pradze? MO zachowuje się poprawnie? Nic dziwnego wobec „siostry”! Czy mam dać p. A.W. adresy osób, wobec których MO czy ZOMO zachowały się inaczej?

Pewien inny Polak, „osoba prywatna”, niejaki Lech Wałęsa, nie ma statutu „siostry” i być może dlatego jemu akurat nie udało się dotrzeć do ambasady USA. Samochód, który go wiozł do *chargé d'affaires* USA w Warszawie, p. Daviesa, został zawrócony z drogi przez „poprawnie zachowującą się” policję pozostającą pod rozkazami jednego z uczestników porozumień w Madrycie i skierowany zamiast w aleje Ujazdowskie do Gdańska, co nie jest zupełnie po drodze.

P. A.W. udziela mi wielostronnej lekcji uważnego czytania ale sam nie przeczytał uważnie artykułu, z którym polemizuje. Napisałem mianowicie o otwartych drzwiach, które on tak energicznie wywala, że dokument madrycki może być bardzo istotnym czynnikiem presji moralnej, skutecznym instrumentem działania, itd. itp. pod warunkiem oczywiście, że Zachód będzie tego chciał. Zachód jednak nie chciał i nie chce lub nie może. Pisanie takie jak pana A.W. umacnia Zachód w tej niemożności i w tym niechceniu. Skoro bowiem wystarczy sama obecność 35 gentlemanów w dobrym, madryckim hotelu, aby wymusić na komunistycznej władzy historyczną decyzję o nadaniu legalnego życia największej herezji w historii sowietyzmu, to po co ryzykować wiosny i zrywy na wschodzie i przeszkadzać śpiącemu kapitulantwu Zachodu?

Stanowisko p. A.W. (i inne podobne) jest bardzo szkodliwe także i z innych, mniej ważnych niż kapitulancie, przyczyn. Po pierwsze, zgoda na jednogłośnie przyjęcie dokumentu, co do którego z góry wiadomo, że będzie przez większość „wysokich umawiających się stron” całkowicie gwałcony we wszystkich paragrafach i to natychmiast, poczynawszy od dnia podpisania, stanowi dramatyczne źródło demoralizacji w stosunkach międzynarodowych. *Vide* — rząd PRL poczynawszy od 13 grudnia 1981.

Po drugie, zawieranie poważnych układów z rządami takimi jak ZSSR czy PRL na temat np. wolności słowa czy zrzeszania się, w warunkach kiedy wiadomo, że wszystkie te zasady są tam powszechnie, codziennie, dokładnie gwałcone i ośmieszane, stwarza złudzenie symetrii między systemami i jednoznaczności pojęć np. dziennikarza czy działacza związkowego w USA i ZSSR, w Wielkiej Brytanii i w Polsce.

Po trzecie, w imię skuteczności konferencji typu „madryckiego”, Zachód nie tylko pomaga ZSSR (nie warto tego tłumaczyć, napisałem to w poprzednim, jak mówi p. A.W. „kawałku”

o Madrycie), ale wpada w dodatkowe pułapki, takie np. jak w sprawie zagłuszania zachodnich radiostacji. To zagłuszanie właściwie przeszkodziło Wałęsie, który nie chciał być czasowo w Oslo, w odbiorze sprawozdania z uroczystości wręczenia jemu samemu nagrody Nobla. Szkoda, że p. A.W. nie skorzystał z czasowego pobytu w Paryżu aby ustosunkować się, właśnie w kontekście Madrytu, do sprawy zagłuszania i do wyroku na Zdzisławu Najderze, co uczyniło bardzo wielu jego kolegów, przebywających nie czasowo w Polsce.

Prawda?

W tych warunkach jedynym oryginalnym i trafnym wkładem p. A.W. w dyskusję Wschód-Zachód jest jego lekcja moralności na temat pisania prawdy. Z tym zastrzeżeniem tylko, że to co jest oryginalne, nie jest trafne, a to co jest trafne, nie jest oryginalne. Jest to stara metoda codziennie praktykowana między Bałtykiem a Morzem Japońskim. P. A.W. formułuje postulat absolutny domagając się ode mnie bezwarunkowego pisania „prawdy i tylko prawdy”. Kiedy jednak oskarża Ungera o to, że „kiedy pisywał do gazet w Polsce, nie stosował się do tej zasady”, pan A.W. tchórzliwie chroni się wybiegiem „jeżeli mnie pamięć nie myli”.

A jeżeli go pamięć myli? Co będzie wtedy z postulatem pisania tylko całej prawdy? Czyżby brak pamięci usprawiedliwiał pisanie kłamstwa? P. A.W. jest już zapewne nie czasowo w Warszawie. Kiedy następnym razem będzie znowu czasowo w Paryżu, radzę mu aby nie ufał swej pamięci i jeżeli będzie znowu chciał polemizować z moimi „nader uproszczonymi” poglądami, żeby zaopatrzył się w uczciwie i zgodnie z prawdą, którą tak ukochał, wybranymi cytatami nie tylko z przemówień Kampelmana, ale także artykułów, tych pisanych dziś i tych, jeżeli je odnajdzie i jeżeli go pamięć nie myliła, pisanych kiedyś przez wilkołaka Ungera, który zmienił sierść (*hélas* — włos rzeczywiście zbierał), ale nie zmienił tego co p. A.W. uważa za złe przyzwyczajenia.

Jak wynika z wypowiedzi p. A.W. jemu istotnie nie można tego zarzucić. Jeżeli bowiem artykuł Ungera na temat Madrytu jest dowodem jego złego charakteru, to treść i jakość listu Wojciechowskiego świadczy istotnie, iż ma on całkiem nadzwyczajny charakter. Zupełnie bez związku z wilkami, choć może nie bez związku z zoologią w ogóle.

P. A.W. popisuje się znajomością włoskich przysłów. To dobrze świadczy o jego erudycji. W zamian zacytuje mu słowa Francuza La Rochefoucauld. „Prawda — powiedział on pod adresem takich polityków jak p. A.W. — czyni światu mniej dobra, niż zło jakie powodują jej pozory”.

Na koniec, powrót do Madrytu. Podczas trwania konferencji wszystkie posiedzenia rozpoczynały się od sygnału dźwiękowego

zaczepniętego ze starego madrygału hiszpańskiego. W fazie końcowej pewien dyplomata, jeden z tych na których p. A.W. się powołuje, zauważył przy dobrym obiedzie, że po zbrodni sacharowskiej madrygał należałoby zastąpić fragmentem jakiegoś żałobnego *requiem*. Ja dodałem, że jeszcze bardziej na miejscu byłoby rozpoczynanie posiedzeń od minuty milczenia.

Szkoda, że p. Adam Wojciechowski z tej minuty nie skorzystał.

Leopold UNGER

Pisane 19 grudnia 1983, wraz z najlepszymi życzeniami Nowego Roku oraz coraz lepszej pamięci.

„SACHAROWSKIE PRZESŁUCHANIA”

Lizbona była w tym roku gospodarzem kolejnych, czwartych spotkań poświęconych zagadnieniom praw człowieka w Związku Sowieckim, które noszą nazwę „Sacharowskich przesłuchań”. Tradycyjnie już spotkania przybierają formę procesu sądowego. Na ławie przysięgłych zasiadają znane osobistości świata nauki, kultury i polityki, zasłużone w walce o obronę praw człowieka i obywatela. Świadczenia składają rosyjscy emigranci — literaci, dziennikarze, pracownicy nauki, ale też prości robotnicy. Wielu z nich to przyjaciele i współpracownicy Andrieja Sacharowa.

Tegoroczne „przesłuchania” przebiegały w szczególnej atmosferze. Mario Soares, obecny premier Portugalii, roztoczył nad konferencją osobisty mecenat. Wraz z nim w spotkaniu uczestniczyli przedstawiciele wszystkich ważniejszych partii politycznych w Portugalii (z wyjątkiem komunistów), przywódcy stowarzyszeń prawnych, dziennikarskich i młodzieżowych, związkowcy, pracownicy nauki i wielu innych. Na ławie przysięgłych zasiadali, między innymi, Alain Besançon, André Glucksmann, Jean François Revel, Jerome Shestack i Richard Pipes. Grupie rosyjskiej przewodził Kronid Lubarski. Obecna była prasa, radio i telewizja.

Telewizja i radio przygotowały specjalne audycje poświęcone zagadnieniom praw człowieka w Europie Wschodniej. Prasa zamieściła szereg komentarzy i wywiadów na te tematy. Szczególną uwagę poświęcono kwestii prześladowań wszelkich niezależnych inicjatyw w Związku Sowieckim, zarówno politycznych, społecznych jak i kulturalnych. Przedstawiono formy represji stosowanych przeciwko działaczom na rzecz demokracji i praw człowieka. Dużo miejsca poświęcono obecnej sytuacji samego Andrieja Sacharowa, przebywającego na wygnaniu w mieście Gorki.

Specjalny punkt programu poświęcony był Polsce. Delegacja Biura Zagranicznego Solidarności (Krzysztof Pomian i Jan Zielonka) obszernie omówiła zakres działań Solidarności. Zwrócono uwagę na konsekwencje szeregu nowych aktów prawnych, instytucjonalizujących *de facto* system represji w Polsce. Przedstawiono zasięg niezależnych inicjatyw społecznych, mających na celu ochronę polskiej nauki i kultury. Podkreślono wagę międzynarodowej solidarności z Polską i znaczenie walki o prawa człowieka w Europie Wschodniej. W dyskusji zwrócono uwagę na podobieństwa i różnice w niezależnej działalności politycznej w Polsce i w Związku Sowieckim oraz wymieniono uwagi na temat konsekwencji kryzysu w Polsce dla całego bloku wschodniego.

Kraj

Wywiad z KOS-em

PYTANIE: — Powstanie KOS-a było jedną z pierwszych odpowiedzi na narzucenie stanu wojennego. Co możecie powiedzieć o przyczynach i okolicznościach waszego zawiązania się?

KOS: — Powstanie KOS-a było odruchem, spontaniczną reakcją początkowo niewielkiej grupy ludzi na gwałt dokonany na społeczeństwie polskim. KOS nie powstał w efekcie teoretycznej analizy sytuacji, ani uprzedniej pracy koncepcyjnej. Pierwszym naszym działaniem było napisanie i rozklejenie, już drugiego dnia wojny, na ulicach Warszawy odezwy — ulotki, wzywającej ludzi do oporu i nie poddawania się przemocy. Czuliśmy po prostu, że musimy dać natychmiast wyraz naszej postawie. Potem dopiero zaczęliśmy myśleć o możliwościach zainicjowania szerokiego ruchu społecznego, który mógłby połączyć wszystkich ludzi odmawiających poddania się przemocy. Byliśmy niewielką grupą zaprzyjaźnionych ze sobą i ufających sobie nawzajem ludzi, nie pełniliśmy w „Solidarności” eksponowanych funkcji, nie byliśmy też znanymi działaczami opozycji, dzięki temu udało się nam uniknąć internowania. Odnaleźliśmy w sobie nawzajem oparcie w pierwszych najtrudniejszych dniach i pomyśleliśmy, że wszyscy inni, podobni do nas ludzie, mogą pójść tą samą drogą łącząc się we wspólnym oporze. Z doświadczeń pierwszych dni wojny zrodziła się nasza koncepcja ruchu KOS-ów. Zdawaliśmy sobie od początku sprawę z rozmiarów klęski, jaką poniosło społeczeństwo, wiedzieliśmy, że nie da się jej odwrócić jednym zrywem. Wiedzieliśmy więc, że musimy wypracować takie formy opozycyjnego działania, które będą mogły sprostać sytuacji jawnej przemocy. Oznaczało to konieczność poddania gruntownej rewizji dotychczasowych programów i strategii politycznej opozycji. Naszym celem w pierwszych tygodniach wojny było jednak przede wszystkim to, by pomóc ludziom wyjść z szoku, pokazać im, że w istniejącej sytuacji można znaleźć względnie bezpieczne

formy działania, nie dopuścić do zatomizowania społeczeństwa i rozbicia więzów wzajemnej solidarności.

PYT.: — *Co to oznaczało w praktyce?*

KOS: — Zaproponowaliśmy organizowanie się ludzi w małe grupy oporu, które nazwaliśmy KOS-ami — Kołami Oporu Społecznego. KOS-y miały łączyć się w sieci pozbawione hierarchicznej struktury. Każdy z członków już istniejącego KOS-a mógł założyć następne koło. Łączność pomiędzy poszczególnymi kołami utrzymywana więc była przez założycieli, należących jednocześnie do dwóch kół. Każde z kół miało pełną swobodę działania i przejawiania inicjatywy, dostosowania form oporu do specyfiki środowiska, warunków lokalnych i wymagań konkretnej sytuacji. Idea była więc wspólna — jej realizacji różnorodne. Aby umożliwić przepływ informacji i dyskusji, aby stworzyć wspólne forum wymiany idei i doświadczeń zaczęliśmy wydawać pismo KOS, zrazu nieregularne, potem ukazujące się dwa razy w miesiącu. Pierwszy numer opublikowaliśmy w styczniu 82, w sierpniu 83 ukazał się numer 37.

PYT.: — *Do spraw pisma powrócimy za chwilę, powiedzcie coś więcej o organizacji KOS-ów.*

KOS: — Ważne dla nas były dwie sprawy: bezpieczeństwo angażujących się w pracę kół oporu ludzi i ich aktywność. Bezpieczeństwo chcieliśmy osiągnąć ograniczając maksymalnie możliwości infiltracji naszego ruchu przez agentów SB. Stąd pomysł, by KOS-y, pięcioosobowe grupy, zakładane były przez ludzi nawzajem dobrze się znających, zaprzyjaźnionych i pewnych siebie, stąd anonimowość całej sieci, ograniczająca bezpośrednią znajomość tylko do grupy najbliższych współpracowników. W powoli rozrastających się sieciach KOS-ów mało było wpadek. Nasze struktury okazały się jak dotąd odporne na inwigilację. Brak uhierarchizowanej struktury w ruchu KOS-ów pozostawiał poszczególnym kołom pole do przejawiania własnej inicjatywy bez oglądania się na dyrektywy „góry”, której nie było.

PYT.: — *A na czym wobec tego polegała rola Komitetu Oporu Społecznego?*

KOS: — Komitet to pierwsza piątka. Pierwsza chronologicznie, a nie hierarchicznie. Funkcje Komitetu wynikają z naszego poczucia odpowiedzialności za zainicjowany przez nas ruch. Staraliśmy się od początku formułować i wyrażać to, co jest dla społeczeństwa ważne, określając realne możliwości działania. Nie możemy się, rzecz jasna, opierać w naszych sądach na badaniach opinii publicznej (choć staramy się tę opinię poznawać), nie posiadamy też mandatu płynącego z demokratycznych wyborów, dlatego nie przypisujemy sobie roli przywódców. W naszych de-

klaracjach i wypowiedziach programowych kierujemy się zbiorem podstawowych wartości, których powszechnej akceptacji społeczeństwo dało wyraz w okresie przedgrudniowym i których akceptację potwierdza swoją postawą do dziś.

PYT.: — *Ale przecież nawet najszlachetniejszy zbiór zasad nie wystarczy dla codziennej działalności. Czym więc się w niej kierujecie?*

KOS: — Amorficzna i niehierarchiczna struktura naszego ruchu zmusiła nas stosunkowo wcześnie do stworzenia dokumentu, który spełniałby rolę koniecznego w takiej sytuacji spoiwa i zarazem drogowskazu. Dokumentu, który stwarzałby coś w rodzaju wspólnej platformy ideowej dla tak złożonego i różnorodnego ruchu. Tak powstał na przełomie kwietnia i maja 82 — „Program KOS-ów”.

PYT.: — *Jakie są podstawowe tezy tego programu?*

KOS: — Wyszliśmy z założenia, że sytuacja polityczna, jaka zaistniała w Polsce po 13 grudnia, oznacza ostateczną degenerację totalitarnego systemu komunistycznego, który zasięgiem swej kontroli obejmuje tylko to, na co jest w stanie wpływać przemocą lub groźbą jej użycia. Stąd wszelkie rachuby na polityczny kompromis muszą być złudne, jednocześnie zaś rachunek sił jasno dowodził, że społeczeństwo nie jest w stanie systemu tego przemocą obalić. Dlatego proponowaliśmy trzecią drogę — poza kompromisem i konfrontacją — drogę budowania niezależnego (podziemnego) społeczeństwa. Jesteśmy zdania, że jest to zarówno cel sam w sobie jak i środek zbliżający nas do osiągnięcia celu ostatecznego naszej walki, jakim jest demokratyczna, niepodległa Polska. Propagujemy walkę bez uciekania się do przemocy. Przemoc bowiem w sposób nieuchronny degraduje tych, którzy się nią posługują i w konsekwencji uniemożliwia osiągnięcie takich celów jak wolność i demokracja. Program nasz deklarował poparcie i współudział we wszystkich formach oporu organizowanych przez władze podziemnej „Solidarności”. Jednocześnie propagował określone konstruktywne formy działania takie jak: tworzenie i rozwijanie niezależnego obiegu informacji (prasa, wydawnictwa), tworzenie niezależnych instytucji życia społecznego umożliwiających swobodny rozwój oświaty, kultury i nauki poza systemem państwowym, rozwój różnorodnych form pomocy społecznej, rozwój niezależnych organizacji społecznych i politycznych.

PYT.: — *A jak to wygląda w praktyce?*

KOS: — Rozpoczęliśmy od własnej gazety. Dwutygodnik KOS to przede wszystkim pismo publicystyczno-dokumentacyjne. Publi-

kujemy artykuły komentujące sytuację polityczną, a przede wszystkim różne koncepcje działania niezależnego ruchu społecznego. W piśmie naszym ukazują się także oświadczenia i inne dokumenty Komitetu Oporu Społecznego i władz „Solidarności”. Stale współpracują z nami zespoły reprezentujące niezależne instytucje społeczne: Zespół d/s kultury, redagujący wkładkę *Kultura Niezależna*, Komitet Helsiński, redagujący dział *Praworządność*, Społeczny Komitet Nauki, redagujący dział *Nauka Niezależna*. Współpracują też z nami korespondenci ze środowisk wiejskich i z... wojska. Staramy się też poświęcać dużo uwagi problematyce związkowej i zakładowej. Dzięki temu pismo nasze spełnia rolę integrującą różne środowiska, a także coraz bardziej rolę opiniotwórczą.

PYT.: — A co oprócz pisma?

KOS: — KOS od początku wziął na siebie rolę inspiratora i koordynatora niezależnych społecznych inicjatyw. Za sprawę najważniejszą uznaliśmy rozwój niezależnej oświaty. Zespół Oświaty Niezależnej zorganizowany z naszej inicjatywy rozpoczął działalność już wiosną 82. Do jego najważniejszych zadań należało inspirowanie powstawania kół samokształceniowych wśród młodzieży licealnej, w środowiskach studenckich i robotniczych. Zespół zaprojektował wydawanie serii publikacji z różnych dziedzin wiedzy humanistycznej na użytek uczestników ruchu samokształceniowego. *Zeszyty Edukacji Narodowej (ZEN-y)* wydawane przez Wydawnictwo Społeczne KOS mają stać się nie tylko pomocą dla kół samokształceniowych, lecz także ofertą wydawniczą dla autorów prac popularyzatorskich z różnych dziedzin humanistyki. Zespół wydaje również pismo oświaty niezależnej: *Tu Teraz*, które ma propagować formy niezależnego kształcenia w różnych środowiskach społecznych. W czerwcu 82 powstała Rada Edukacji Narodowej, pierwsza instytucja niezależnego społeczeństwa, która patronuje ruchowi Oświaty Niezależnej. W chwili powstania Zespołu d/s Kultury i Społecznego Komitetu Nauki KOS udostępnił im łamy swego pisma i zainicjował współpracę tych niezależnych instytucji.

Stawiamy opór niszczeniu przez władze PRL kultury polskiej, a najskuteczniejszą formą oporu jest stwarzanie faktów: niezależnych pism literackich, niecenzurowanych wystaw plastycznych, wydawanie książek, tek graficznych, nagrywanie i rozpowszechnianie kaset, organizowanie przedstawień teatralnych, koncertów. To wszystko już się robi. Dzięki istnieniu kręgów przyjacielskich — takich jak KOS-y — kultura niezależna rozwija się mimo totalitarnych ambicji państwa. KOS współpracuje też od początku z Komitetem Helsińskim. Komitet Helsiński redaguje rubrykę naszego pisma poświęconą problemom praworządności. Mamy wydawać także *Zeszyty Komitetu Helsińskiego*, informujące opinię publiczną o faktach łamania praw człowieka w PRL.

PYT.: — Padła nazwa Wydawnictwo Społeczne KOS. Co to jest?

KOS: — Zaczynaliśmy od zera. Nie mieliśmy nawet maszyny do pisania. Najpierw przysparzała nas zasłużona oficyna wydawnicza „Kraś”. Na powielaczu, a potem offsecie „Kreśu” drukowane były pierwsze numery KOS-a. Równolegle staraliśmy się o uruchomienie własnej bazy poligraficznej. Brak sprzętu zmusił nas do twórczych poszukiwań. W ten sposób powstała sieć małych drukarek sitowych, tworzonych przez zespół niezwykle pracowitych i odważnych młodych ludzi, związanych z naszym ruchem. Liczymy na dalszy rozwój tej formy poligrafii, na możliwość szkolenia i wyposażania w niezbędny sprzęt drukarni kosowych w terenie. Brak sprzętu powodował jednak dotąd opóźnienia w naszej produkcji wydawniczej, co odbiło się niekorzystnie zwłaszcza na wydawaniu tak potrzebnej serii, jaką są *ZEN-y*. Mimo intensywnych akcji ze strony SB i pewnych strat, jakie ponieśliśmy, nasza sytuacja poligraficzna ulega systematycznej poprawie, którą zawdzięczamy głównie pomocy przyjaciół z Zachodu.

PYT.: — Może trochę liczb ilustrujących waszą produkcję wydawniczą?

KOS: — Pismo KOS ukazuje się w nakładzie zmiennym od 6 do 15 tys. egzemplarzy. Pismo *Tu Teraz* w nakładzie 3 tys. egzemplarzy. *ZEN-y* w nakładach od 5 do 7 tys. egzemplarzy. Wydajemy także druki okolicznościowe: ulotki, plakaty, pomagamy też w druku rozwijającym się małym piśmkom zakładowym i środowiskowym. Wszystko to rzecz jasna nie zaspokaja nawet nikłego procentu potrzeb czytelnich.

PYT.: — Kończąc część informacyjną wywiadu, chciałbym zapytać jeszcze, jak oceniacie zasięg waszego ruchu w całym kraju?

KOS: — Odpowiedź na to pytanie jest niezwykle trudna. Wynika to ze specyfiki naszego ruchu i warunków, w jakich działamy. Wiemy o istnieniu KOS-ów w większości wielkich miast w Polsce, a także o KOS-ach działających w małych miastach i miasteczkach. Niektóre z tych sieci wyłoniły własne Komitety i rozpoczęły wydawanie własnych pism. Z częścią tych struktur utrzymujemy stały kontakt. Z oczywistych powodów nie możemy jednak mówić o tym dokładniej.

PYT.: — Przejdźmy teraz do drugiej części naszej rozmowy. KOS, choć powstał spontanicznie, nie powstał jednak w politycznej próżni. W jakim stopniu uważacie się za kontynuatorów dawniejszych struktur opozycyjnych, takich jak KOR, ROPCio czy KPN i jakie są wasze stosunki z „Solidarnością”?

KOS: — Ruch KOS-ów nie jest prostą kontynuacją żadnej istniejącej dotąd struktury opozycyjnej, nie jest też agendą NSZZ

„Solidarność”. W jakimś stopniu jesteśmy spadkobiercami całej opozycji przedgrudniowej, jako że definiujemy się jako anty-totalitarny ruch społeczny. Z tradycji tej najbliższe są nam doświadczenia KSS KOR. Chodzi tu zwłaszcza o dwie grupy spraw: styl działania i zespół wyznawanych wartości, w tym politycznych. Podobnie jak KOR staramy się działać konkretnie, proponować środki i sposoby opozycyjnych działań. Podobnie jak dla KOR-u, szczególnie istotna jest dla nas obrona konkretnych, indywidualnych ofiar bezprawia. Wyznajemy podobny do KOR-u zespół wartości etycznych, idea samorządnej Rzeczypospolitej przyświeca naszym działaniom na rzecz tworzenia niezależnego (podziemnego) społeczeństwa. Zapewne tak jak i oni mamy pewne „przechylenie socjaldemokratyczne”. Wszystko to nie oznacza, że nie dostrzegamy błędów w działaniu KOR-u, ale szczegółowe mówienie o tym przedłużyłoby bardzo naszą rozmowę. Pragniemy też zwrócić uwagę na znaczenie, jakie miało zdjęcie przez — skądinąd często działającą niefortunnie — KPN tabu z hasła niepodległości. Niepodległość Polski jest dla nas niekwestionowanym ostatecznym celem prowadzonej z reżymem walki.

Jesteśmy przekonani, że propagując i realizując idee niesformalizowanego szerokiego ruchu społecznego tworzącego niezależne (podziemne) społeczeństwo czerpiemy z dorobku całej przedgrudniowej opozycji.

PYT.: — *A wasze stosunki z „Solidarnością”?*

KOS: — Realizujemy w praktyce idee pluralizmu jako podstawy niezależnego społeczeństwa. Nasza działalność jest zgodna z programem TKK — „Solidarność dziś”. Wszyscy członkowie Komitetu i zapewne znakomita większość członków Kół Oporu Społecznego to członkowie Związku, uczestniczący w akcjach ogłaszanych przez podziemne władze „Solidarności”. Ruch nasz jest jednak organizacyjnie od „Solidarności” niezależny i podejmuje także działania na własną rękę. Podstawowe sprawy są rzecz jasna konsultowane z władzami Związku, a zasadnicze akcje uzgadniane i podejmowane na zasadach ogólnie w ruchu „Solidarności” obowiązujących. Nasza autonomia wynika z tego, że jesteśmy ruchem społeczno-politycznym, a nie związkiem zawodowym. Daje to liczne korzyści, jak choćby możliwość większej aktywności KOS-a w kwestii polityki międzynarodowej, niż to jest możliwe dla normalnych agend związkowych.

PYT.: — *„Solidarność” działa nie tylko w kraju, ale i za granicą. Jaki jest wasz stosunek do emigracji solidarnościowej i czego od niej oczekujecie?*

KOS: — Po raz pierwszy jest chyba tak, że emigracja nie musi wobec społeczeństwa pełnić roli wiodącej. Społeczeństwo nie zostało rozbite, większości przywódców nie zdołano zmusić do opuszczenia kraju. Zasadnicza walka rozgrywa się tu — w kraju.

Zadaniem obecnej emigracji powinno więc być wspieranie naszej walki, a przede wszystkim pomoc w tworzeniu niezależnego społeczeństwa. Działania emigracji powinny naszym zdaniem zmierzać w czterech głównych kierunkach: — mobilizacji opinii światowej w sprawach Polski, pomocy materialnej dla kraju w ogóle, a dla podziemia w szczególności, uczestnictwa w toczących się w Polsce debatach programowych i politycznych oraz działania na rzecz międzynarodowego porozumienia emigrantów z różnych krajów totalitarnych. Dobrze byłoby, żeby polska emigracja stała się środowiskiem zintegrowanym, umiejącym dbać o własne interesy i interesy każdego Polaka, który znalazł się poza granicami kraju, aby realizowała praktyczne idee solidarności.

PYT.: — *Jak oceniacie rolę Kościoła w obecnej sytuacji politycznej w Polsce i znaczenie jakie miała wizyta Papieża?*

KOS: — Kościół w Polsce pełni rolę unikalną. Fakt, że polski Kościół katolicki potrafił w kraju totalitarnym zachować pełną niezależność sprawił, że od początku panowania komunizmu w Polsce stał się on źródłem nadziei, wolnościowych aspiracji społeczeństwa, a także realnym oparciem dla konkretnych działań opozycyjnych. Ogromną zasługą kardynała Wyszyńskiego było to, że polski Kościół nie dał się, jak Kościoły w innych krajach obozu, zastraszyć, a następnie podporządkować totalitarnemu systemowi. Wybór papieża Polaka umocnił w szczególności sposób pozycję Kościoła w naszym kraju. Okres między Sierpniem a Grudniem pokazał, jak dalece religijność społeczeństwa polskiego stała się źródłem wartości, moralnym oparciem w działaniu na rzecz wolności i kryterium wyboru metod walki z przemocą. Proces ten jest żywy i trwa nadal. Siła sprzężenia postaw religijnych, patriotycznych i wolnościowych ujawniła się z całą mocą podczas tegorocznej wizyty Papieża. Po raz pierwszy w systemie totalitarnym przemoc okazała się jawnie bezsilna wobec woli całego społeczeństwa dawania świadectwa duchowym wartościom. W tym właśnie upatrujemy największe znaczenie wizyty Papieża w naszym kraju; ewentualne polityczne konsekwencje jego rozmów z Jaruzelskim są tu zdecydowanie mniej istotne. Przy okazji pragniemy zaznaczyć, że nie uważamy, jakoby Kościół miał obowiązek reprezentować polityczne interesy społeczeństwa polskiego lub jakiegokolwiek jego organizacji. Tym niemniej w bardzo wielu obszarach naszej walki (godność pracy, swoboda sumienia, poszanowanie osoby ludzkiej) Kościół na mocy swojej religijnej misji ma — jak to było wielokrotnie przypomniane przez Papieża — obowiązek bronić interesów społecznych i robi to. Nie oznacza to jednak, że Kościół ma za społeczeństwo prowadzić walkę z przemocą i bezprawiem. Wiara jest jednym ze źródeł siły społeczeństwa. Przenoszenie duchowej siły i inspiracji płynących z wiary na grunt konkretnych działań społecznych jest obowiązkiem nas wszystkich, a zwłaszcza niezależnych organizacji i instytucji społecznych. W tym kontekście należy rozpatry-

wać także możliwość ewentualnego kompromisu między Kościołem a władzą. Niezależnie od tego, czy do kompromisu takiego dojdzie i jaka byłaby jego treść (a niektóre wypowiedzi Prymasa Glempa wzbudzają w tej materii uzasadniony niepokój) — walka o podmiotowość społeczną i elementarne prawa ludzkie będzie się toczyć nadal i Kościół pozostanie w tej walce naszym sprzymierzeńcem.

PYT.: — *Powracając do waszych wcześniejszych rozważań, chciałbym zapytać o znaczenie proponowanego w waszej publicystyce rozróżnienia między ruchem społecznym i politycznym?*

KOS: — To bardzo ważne pytanie. Pod pojęciem „ruch społeczny” rozumiemy taką formę zbiorowego działania, która jednoczy ludzi różnych poglądów i przekonań do walki o realizację jednego, nadrzędnego celu, który w danej sytuacji jest dla społeczeństwa najważniejszy. Dla społeczeństwa polskiego celem takim jest obecnie obalenie totalitaryzmu i zbudowanie demokracji. Zauważmy przy tym, że nasi przeciwnicy także tworzą swego rodzaju „ruch społeczny”. Pod hasłami podporządkowania jednostki państwu łączą się i neostalinowcy, i zwolennicy rządów wojskowych, i neofaszyści — choć różnice polityczne między nimi są dość znaczne. Rzecz jasna zasięg „społecznego ruchu w obronie totalitaryzmu” jest w naszym kraju niewielki. W anty-totalitarnym ruchu społecznym mogą uczestniczyć wszyscy demokraci i przeciwnicy totalitarnego reżymu — niezależnie od tego, jakie ich zdaniem cele winna przysła demokracja realizować. Można więc określić ten ruch jako federację demokratycznych środowisk społecznych i politycznych. Zwróćmy uwagę, że zjawisko „federowania” się różnych ugrupowań politycznych w ramach ruchu społecznego nie jest specyficznie polskie. W podobny sposób funkcjonują na Zachodzie ruchy pokojowe czy ekologiczne.

PYT.: — *Co z przyjęcia takiej formuły ruchu wynika dla jego praktycznych działań?*

KOS: — Bardzo wiele. Przede wszystkim to, że jest to ruch właśnie, a nie organizacja. Tak więc Komitet Oporu Społecznego może wydać oświadczenie określające stanowisko ruchu w jakiejś sprawie, poszanowanie tego oświadczenia przez poszczególne ogniewa ruchu zależeć będzie od jego zgodności z postawami uczestników, z wartościami, które decydują o ich uczestnictwie we wspólnym działaniu. Komitet nie ma więc prawa do tego, by określać jednoznacznie charakter polityczny ruchu KOS-ów; stwierdzenie, że jest to ruch np. socjaldemokratyczny, liberalny czy konserwatywny byłoby zwykłą uzurpacją. Tak rozumianym ruchem nie sposób kierować. Komitet nie może wydawać poleceń organizacyjnym, może jedynie wspierać określone inicjatywy lub z nimi współdziałać. Jak już stwierdziliśmy, Komitet zajmuje się głów-

nie działalnością koncepcyjną. I tak dla przykładu, już latem ubiegłego roku opowiedzieliśmy się zarówno przeciwko konfrontacji jak i przeciwko dążeniu do kompromisu z reżymem, z naszej inicjatywy powstała w grudniu ubiegłego roku „Deklaracja Solidarności”, która wyraźnie przyczyniła się do wzmocnienia w ruchu perspektywy niepodległościowej i tak dalej.

PYT.: — *A „Deklaracja w obronie pokoju”?*

KOS: — Zbieranie podpisów pod nią jeszcze trwa, tak że za wcześniej na jej ocenę, z pewnością jednak otwiera ona nowy kierunek naszej działalności.

PYT.: — *Deklaracji tej towarzyszył „List do pacyfistów zachodnich”, w którym krytykując niektóre aspekty ich działalności proponujecie im zarazem współpracę. Czy rzeczywiście upatrujecie w nich sojuszników? I szerzej, gdzie na Zachodzie są wasi sojusznicy?*

KOS: — Historycznie sojusznikiem XIX-wiecznych powstań polskich była zawsze europejska lewica, podczas gdy prawica zajmowała, w najlepszym wypadku, stanowisko wyczekujące. Wiązało się to z kwestią obrony europejskiego *status quo*, bądź jego kwestionowaniem. Sytuacja uległa zmianie w naszym stuleciu, po powstaniu Związku Sowieckiego. Sojusz europejskiej lewicy z bolszewickim totalitaryzmem, podobny do sojuszu prawicy z faszyzmem, sprawił, że lewica właśnie bezwarunkowo popierała Sowiety, a tym samym zajmowała stanowisko często jaskrawo sprzeczne z interesami Polski. Widzieliśmy to w 1918, 1920, 1939, 1944-1945. Wydaje nam się, że obecnie lewica odzyskuje autonomię i że powraca do swej historycznej roli sojuszniczki niepodległościowych dążeń, także i w Europie Wschodniej. Widać to na przykładzie choćby polityki rządu prezydenta Mitterranda. Zarazem część europejskiej prawicy wyraża także postawy nam życziwe, co wynika z bardziej niż uprzednio realistycznej oceny polityki sowieckiej. Wreszcie wiążemy duże nadzieje z polityką europejską obecnej administracji amerykańskiej. Nie dlatego, iżbyśmy uważali, że wolnościowe aspiracje społeczeństwa polskiego stanowią dla niej wartość autonomiczną, lecz dlatego, że jej konsekwentne przeciwstawianie się sowieckiemu ekspansjonizmowi zwiększa nasz margines bezpieczeństwa. Wszystko to jednak są sojusznicy taktyczni, wyrażający poparcie dla naszego ruchu i chroniący nas częściowo przed represjami, lecz niezdolni do przekształcenia europejskiej sytuacji geopolitycznej, do przełamania spuścizny Jałty. Sojuszników strategicznych jeszcze nie mamy, ale wiemy przynajmniej, gdzie ich szukać. A więc przede wszystkim wśród ruchów demokratycznych i narodowych innych krajów bloku. Dlatego właśnie niezwykle wysoko cenimy wieloletnią działalność *Kultury* na niwie zbliżenia między narodami tej części świata. Sojuszników strategicznych dostrzegamy

również na Zachodzie w tych ruchach, które stawiają na rozwój autonomii europejskiej, emancypacji naszego kontynentu spod politycznego nadzoru supermocarstw. Oczywiście nie myślimy tu o naiwnych działaniach części ruchu pacyfistycznego. Gdyby jednak ten ruch skierował ostrze swych działań także przeciwko Moskwie, jako głównemu źródłu napięcia w świecie — a taka ewolucja nie wydaje się nam niemożliwa — to mógłby stać się naszym poważnym sojusznikiem. Innymi słowy w doborze sojuszników naszego ruchu kierujemy się przede wszystkim względami ogólnymi, a nie szczegółowo politycznymi. Bliskie są nam wszystkie ruchy antytotalitarne. Zagrożenie dla świata upatrujemy zresztą nie tylko w totalitaryzmie sowieckim. Solidaryzujemy się z walką Argentyńczyków i Chilijczyków z rządzącymi nimi dyktaturami wojskowymi. Uważamy za błędne zamykanie się w dwubiegunowej wizji świata. To prawda, że obalenie Pinocheta może być wykorzystane przez Sowietów dla nasilenia infiltracji. Znaczy to jednak, że trzeba wspierać chilijski ruch demokratyczny, nie zaś Pinocheta. Każdy miesiąc jego rządów zwiększa podatność Chilijczyków na sowiecką propagandę. Nie możemy uważać tych, którzy walczą z amerykańską dominacją w Ameryce Łacińskiej za agentów Kremla, podobnie jak — mamy nadzieję — polski ruch wolnościowy nie jest w Ameryce Południowej traktowany jako ruch inspirowany przez CIA.

PYT.: — *Czy istnieje waszym zdaniem w Polsce kultura polityczna, a jeśli nie, to jak ją stworzyć?*

KOS: — Kultura polityczna jest pochodną doświadczeń politycznych społeczeństwa, tzn. jego możliwości uczestnictwa w życiu politycznym, a przynajmniej możliwości zapoznawania się z różnorodnością politycznych stanowisk. W świetle tego kryterium stan kultury politycznej w Polsce nie może być zadowalający. Dodatkowym czynnikiem jest tu fakt, że właściwie całość myślenia politycznego w Polsce, tak po jednej jak i po drugiej stronie barykady, konstytuuje się wokół kwestii władzy, dokładnie zaś zasadności i konieczności jej istnienia bądź obalenia. Kwestia ta, rzecz oczywista priorytetowa, przesłania całość obszaru politycznej refleksji. Jedyną drogą pogłębienia kultury politycznej jest stworzenie możliwości prezentacji różnorodnych stanowisk politycznych we wszystkich istotnych dla Polaków zagadnieniach. Ma to mieć charakter nie tylko doraźny, służący aktualnym decyzjom taktycznym, ale także i opiniotwórczy sprzyjający rozwojowi kultury politycznej. Temu celowi między innymi służy opracowywanie co pół roku numerów programowych KOS-a. Zarazem nie sposób nie zauważyć, że podczas najostrzejszych starć ostatnich trzech lat ogromne masy ludzkie zachowywały się w sposób nacechowany niezwykle poczuć odpowiedzialności i politycznej kultury. Łącząc w swym działaniu determinację i realizm, nie ulegając licznym próbom prowokacji, wykazywały zbiorową polityczną mądrość nie spotykaną na ogół w wystąpie-

niach masowych. Owa prerefleksyjna „kultura polityczna” stanowić powinna podstawę dla wszelkiego myślenia politycznego na poziomie konceptualnym.

PYT.: — *Jak oceniacie obecną sytuację polityczną w Polsce i perspektywy jej rozwoju?*

KOS: — Sytuacja naszym zdaniem jest trwale niestabilna. To znaczy, że istniejący układ sił uniemożliwia stabilizację, zaś sam jest zasadniczo niemodyfikowalny. Pisaliśmy o tym wielokrotnie. Teraz więc tylko kilka postawowych tez: baza społeczna reżymu skurczyła się do jego bezpośrednich beneficjentów oraz części aparatu przemocy. Poza tą grupą społeczną nie ma on zwolenników. Grupa ta jednak jest zdeterminowana do tego, by bronić systemu za wszelką cenę, gdyż z nim związane jest jej „być albo nie być”. Z tych samych powodów reżym nie może liczyć na jakiekolwiek poparcie spoza tej grupy. Społeczeństwo w swej masie jest głęboko wrogie władzy i mogłoby w innych okolicznościach dać temu wyraz z postaci aktów przemocy. Terror — podstawowa broń reżymu — uniemożliwia nawet pokojowe manifestowanie niezadowolenia. „Solidarność” reprezentuje nadal społeczne ideały i emocje, lecz nie może skutecznie sterować zachowaniami ofensywnymi społeczeństwa ze względu na wspomnianą barierę terroru. W tej sytuacji w sposób zadowalający mogą rozwijać się przede wszystkim pozakonfrontacyjne manifestacje oporu — od bojkotu nowych związków poprzez rozwój podziemnego czasopiśmiennictwa i oświaty po ruch KOS-ów. Reżym musi znaleźć sposób na stymulowanie pożądanych przez siebie zachowań społecznych — wzrost wydajności pracy, spadek aktywnego poparcia dla podziemia — społeczeństwo potrzebuje zaś legalnych obszarów wolności, gdzie mogłoby artykułować swe postawy w sposób ograniczony, ale za to bezpieczny. Potrzeby te mogłyby zostać zrealizowane tylko poprzez kompromis między reżymem a Kościołem, do którego obie strony wyraźnie dążą. Podziemie nie jest w stanie temu kompromisowi zapobiec, ani nie powinno tego czynić — nie jesteśmy przecież zwolennikami postawy, że „im gorzej tym lepiej”. Rzecz w tym, że kompromisowi temu sprzeciwia się Moskwa, która nie po to tłumila ognisko „zarazy demokratycznej” w Polsce, by teraz tolerować „zarazę religijną”. Tak więc sytuacja jest trwale niestabilna. Można się spodziewać naprzemiennych okresów pewnej „liberalizacji” i wzrostu terroru — bo z niego reżym nigdy nie zrezygnuje — ale nie zasadniczych zmian. Przynajmniej w ciągu 2-3 lat.

PYT.: — *A co dalej?*

KOS: — To w dużym stopniu zależy od nas. Ruch kosowy powinien ochraniać i rozszerzać zasięg ogólnokrajowej sieci różnorodnych niezależnych struktur społecznych, przygotowywać

kadry dla ruchu oporu, dyskutować warianty strategii i taktyki walki z reżymem. Można spodziewać się narastania rewindykacji ekonomicznych w związku z systematycznie pogarszającą się sytuacją bytową rodzin. W tym roku miały miejsce nieliczne jeszcze lokalne strajki ekonomiczne. Ruch ten dość szybko będzie narastał. Trzeba szkolić działaczy w technice walki ekonomicznej, trzeba nam jak najwięcej wygranych strajków, choćby tylko w sprawach lokalnych i pozapolitycznych. Trzeba odtworzyć poczucie możliwości zwycięstwa.

PYT.: — *No dobrze, ale co temu poczuciu może odpowiadać w rzeczywistości? Jak jest możliwe zwycięstwo?*

KOS: — Na to pytanie istnieją dwa rodzaje odpowiedzi. Jedna z nich wiąże szanse zwycięstwa z przewidywanymi zmianami na Kremlu, czy z modyfikacjami międzynarodowego układu sił. Hipotezy takie rozpatrujemy także i my, jednakże nie z nimi wiążemy nasze zasadnicze nadzieje. Dla nas zwycięstwo to sprawa teraźniejszości, a nie przyszłości. Każdy działacz KOS, każdy numer podziemnej gazety, każde nowe Koło Oświaty Niezależnej, każdy zdemaskowany fakt bezprawia, każdy akt solidarności z prześladowanymi — to konkretne, wymierne zwycięstwo nad komunistycznym totalitaryzmem. Siłą reżymu jest bowiem nasz strach, wzajemna izolacja i poczucie bezsilności. Tylko w oparciu o nie przemoc może być skuteczna. Każde więc konkretne działanie przełamujące barierę strachu i poczucie bezsilności — to tworzenie już dziś kawałka wolnej Polski. Bez tego, przy najbardziej nawet sprzyjającej koniunkturze międzynarodowej, zwycięstwo nigdy nie będzie możliwe.

PYT.: — *A czy jest ono możliwe w ogóle?*

KOS: — Od Sierpnia 80 wiemy, że nadzieja jest dużo bardziej realistyczna niż strach i poczucie bezsilności, pozwala bowiem trafniej przewidywać przyszłość. Dlatego jesteśmy — na dłuższą metę — optymistami.

Wstęp do programu opozycji

Traktuję poniższy tekst jako wstęp (a raczej projekt wstępu) do programu NOWEJ opozycji, to znaczy tej, która zrodzić się musi obecnie po politycznym upadku „Solidarności”. Zdaję sobie sprawę, że słowa „upadek Solidarności” mogą wzbudzić oburze-

nie w ludziach, przywykłych do reagowania czysto uczuciowego, zwłaszcza po efektownym uczczeniu przez Zachód Lecha Wałęsy, jednakże fakty są bezlitosne i co się u nas stało, to się szybko nie odstanie. Fakty owe zaś są takie, iż z trzech legalnych i realnych sił politycznych, których przedstawiciele spotkali się ze sobą w Warszawie w listopadzie 1981 (Glemp, Wałęsa, Jaruzelski) pozostało dziś na warszawskiej „urzędowej” arenie politycznej tylko dwóch: Kościół i władza. Przedstawiciele trzeciej siły, „Solidarności”, przeszli w najlepszym wypadku do podziemia, nie rokującego im, wobec systemu policyjno-wojskowego i znużenia społeczeństwa, wielkich sukcesów wewnętrznych, choć nawet ich symbol — Wałęsa — został przez Zachód tak wspaniale uhonorowany, co dało chwilową radość Polakom. Ale Zachód niewielki ma nadal wpływ na wewnętrzne sprawy polkańskiej „strefy wschodniej” i pod adresem szlachetnych dawców nagrody Nobla postawić by można gorzkie a odwieczne pytanie: czy Polacy zawsze honorowani być mają jedynie za piękną klęskę? Tak bowiem czy owak tylko polityczne fakty są historycznymi faktami, co uznane zostało milcząco i przez Kościół podczas podróży Papieża (zgoda na wyeliminowanie Wałęsy z oficjalnych spotkań).

„Solidarność” przegrała w grudniu 1981 fizycznie, zresztą, jak się okazało, wcale do tej przegranej ani psychicznie, ani organizacyjnie nie przygotowana (brak wyobraźni politycznej?), jednak jej osiągnięcia w dziedzinie przebudzenia usypianej latami świadomości narodowej są ogromne, zwłaszcza w drugiej, masowej fazie, kiedy z ruchu „klasowo” robotniczego przekształciła się w swego rodzaju ogólnonarodowe, bezkrwawe powstanie. Nie ma już w społeczeństwie po „Solidarności” powrotu do psychicznej dominacji i wszechobecności dawnego, urzędowo kłamliwego języka, czego zdaje się nie rozumieć ekipa Jaruzelskiego, usiłująca za wszelką cenę wskrzesić „drętą mowę”, co zresztą uniemożliwia jakkolwiek autentyczność polityczną także i w ich własnej partii, boć ludzie żyją tam w ukrywanym przekonaniu, że służą absurdowi. Społeczeństwo oduczyło się mówić udawanym językiem, stąd też między innymi dalsze trwanie a nawet rozwój pozalegalnego ruchu wydawniczego, a tego — zwłaszcza wobec bezmyślnego (z punktu widzenia samych władz) zniszczenia organizacji pisarskich — tak łatwo stłumić się nie da.

Oczywiście obudzenie społecznej i narodowej świadomości, pętanej przez lata sztuczną urzędową frazeologią nie było wyłączną zasługą Wałęsy i jego związkowych towarzyszy, bo psychiczna możliwość ich działania przygotowana została w kraju przez sięgający jeszcze końca lat siedemdziesiątych ferment, potęgujący się aż do swego rodzaju „okresu burzy i wrzenia” 1976-1981. Nigdy nie będzie dosyć podkreślenia zasług osamotnionych nieraz i nie-

rozumianych pionierskich grup „Ruchu”, KOR-u, Ruchu Wolnych Demokratów, Ruchu Młodej Polski, KPN, DiP-u, TKN-u, „Spotkań”, a także od lat działającego katolickiego ośrodka klubowego i oazowego ruchu „Światło-Zycie”. Te i tym podobne organizacje, działające często samotnie i w najcięższych warunkach wskrzesiły pluralizm, obudziły świadomość, stopniowo unicestwiły wśród młodych paraliżujące działanie „drętwiej mowy”. Ale dopiero ruchy robotnicze 1970 (ten jeszcze bez udziału inteligencji), 1976, 1980 nadały całemu procesowi rozmach ogólnospołeczny i wyprowadziły go na autentyczną polityczną arenę.

Mimo to jednakże ów patriotyczny zryw „Solidarności” został stosunkowo łatwo rozbity i szybko, znacznie za szybko, przeszedł do historii. Dlaczego tak się stało?

Myślę, że w pewnym stopniu zadecydowała tu właśnie owa firmowa „robotniczość” ruchu, w której zawierała się wewnętrzna sprzeczność, co sprawiło, że nie był on całkiem właściwą odtrutką na doktrynę i frazeologię marksizmu-leninizmu. Owa polska „przodująca klasa robotnicza” (od takiej to, zatracającej o miłą marksizmem, terminologii nie może oderwać się do dzisiaj mój uwieczniony przyjaciel Adam Michnik, choćby w znanym artykule „O oporze”) wyrosła wszakże, choć nie zawsze o tym wie, z naszego komunizmu i jego doktrynalnego myślenia, nie zaś z obiektywnych praw historyczno-ekonomicznych, które u nas od 38 lat postawiono na głowie. W istocie marksistowski mit klasy robotniczej jako siły przodującej w państwach wielkoprzemysłowych dawno już stracił wszelką aktualność właśnie w krajach najbardziej rozwiniętych (USA, RFN, Japonia, Kanada, Szwecja etc.) i okazał się jedną z dyletanckich, błędnych przepowiedni wiadomych inteligenckich proroków z brodami. W kapitalizmie „klasa robotnicza” nie wzrasta dziś ilościowo, ani nie rośnie we wpływy, ani nie jest rewolucyjna. Inaczej (o paradoksie!) dzieje się na Wschodzie, gdzie zmaistrowano ją sztucznie, w myśl wymagań doktryny, a, jak się okazało, ku własnej zgryzocie. Bowiem gdy „klasa” owa rzeczywiście uwierzy, że ma być przodującą, wtedy staje się skutecznym narzędziem do rozbijania... właśnie reżymu komunistycznego. Co dawno już przewidział redaktor Jerzy Giedroyc, zgola nie robotnik, ale prorok, jak się okazuje, z prawdziwego zdarzenia.

Nadaje się więc ta klasa do rozbijania ustroju, ale niezbyt się nadaje do budowania na jego miejsce nowego. Bowiem prawdziwa reforma, a raczej zmiana naszego ustroju, czyli odejście od tzw. „marksizmu-leninizmu” musiałaby przede wszystkim uderzyć właśnie w ową klasę robotniczą, stworzoną przez reżym w dużym stopniu dla celów doktrynalnych, pozaekonomicznych (ów

proces odciągania ludzi od indywidualnej produkcji wiejskiej czy miejskiej i zaprzęgnięcia ich do pracy w chronicznie nieopłacalnych, częstokroć dotowanych w dewizach hutach lub stoczniach opisywałem wielokrotnie, m.in. w książeczce „Na czym polega socjalizm?”, w artykułach drukowanych w *Kulturze* pt. „Bezsilność publicystyki” i „O nadwiślańskim popłątaniu”, w powieści „Romans zimowy” etc.).

I oto bardzo szybko w dynamicznej działalności robotniczych związków „Solidarność” pojawiła się podstawa hamująca sprzeczność. Nie można bowiem jednocześnie zwalczać koncepcji państwa wszechmocnie opiekuńczego, arbitralnie zatrudniającego wszystkich, a zarazem zdawać się na to opiekuństwo, domagając się od tegoż państwa hojniejszych świadczeń. Albo albo... I nie ma demokracji politycznej bez demokracji gospodarczej, czyli bez uwłaszczenia społeczeństwa.

Siła państwa komunistycznego polega właśnie na państwowej produkcji, od której wszyscy zależą — to jest istota lewicowego totalizmu. Kto chce podgryźć tę siłę, ten podgryzie, przynajmniej początkowo, również samą produkcję i musi być na to z góry, programowo przygotowany. Tymczasem „Solidarność” okazała w tej dziedzinie kompletną nieznajomość istoty rzeczy oraz bezradność, co objawiło się już późną jesienią 1980, gdy biurokratyczno-partyjny aparat zarządzania przemysłem zaczął się rozmontowywać, produkcja spadała z dnia na dzień, a władze patrzyły na to chętnie, rade, że mają na kogo zwalić winę za bankructwo ustroju, a przy okazji podgryźć opozycję. Pamiętam te sprawy dobrze, bo na próżno namawiałem wówczas (publicznie i prywatnie) ludzi z „Solidarności” do słownego przynajmniej opowiedzenia się, co właściwie ma się stać z polską produkcją, z przerwanymi, nonsensownymi inwestycjami, z monopolistycznym handlem zagranicznym, z zagranicznymi długami. Niestety, działacze „Solidarności” woleli wówczas kłócić się o wolne soboty i inne świadczenia, czyli dopraszać się o większe opiekuństwo ze strony zwalczanego państwa, pozostawiając w rękach tegoż państwa całą ekonomiczną gestię, czego nawet w słownej propagandzie nie próbowali kwestionować. Później dopiero miał przyjść czas na przeróżne dywagacje o „samorządności” i „autogestii”, czyli na dyskusje, jak osłodzić herbatę bez dosypywania cukru, samym tylko mieszaniami. Ale i na to było już za późno. Wielu ludzi zorientowało się, że w decydującym momencie krachu produkcyjnego „Solidarność” nie wiedziała, co robić. W ten sposób opozycja podważona została w opinii zanim jeszcze doszło do decydującego ataku. Wtedy sprawę bagatelizowano, ale teraz się ją pamięta, stąd też dzisiejsza nieufność i nierychliwość starszego społeczeństwa.

Mówię „starszego”, bo młodzież to osobna grupa, podobnie jak robotnicy nie znająca wielu spraw dotyczących realiów i historii naszego ustroju, gdyż, jak i robotnicy, wychowana przez ten ustrój w rozmyślnej nieświadomości. Pali się owa młodzież do jakiejś walki, zawiedziona, że umknęło jej „powstanie”, umie układać krzyże z kwiatów, czekać na cud i śpiewać „Boże coś Polskę”, lecz nie potrafi publicznie sformułować, poza wolnościowymi ogólnikami, jakiegokolwiek konkretnego postulatu ustrojowego, który mógłby wprawić rządzących w merytoryczne zajątkowanie. Przeżyłem już kilka powstań oraz powstańczych dynamizmów i wiem dobrze, że nie zastąpią one programu, choć mogą się stać bezkierunkowym paliwem historii. Ale w tej chwili nie chodzi mi o nieświadome paliwo, o materiał wybuchowy, lecz właśnie o kierunek czyli o program. Z czyjej świadomości ma się on wyłonić?

Robotnicy jako siła programotwórcza proponująca nowy ustrój zawiedli, bo zawieść musieli — zbyt silnie związani byli i są z opiekuńczo-komunistycznym myśleniem i z państwowymi formami produkcji, aby móc się temu państwu w samej jego gospodarczej istocie sprzeciwić. Dziś zresztą jest już na ich nową rolę za późno, autorytet i znaczenie grupy robotniczej spada mimo usiłowań Wałęsy, bo dzięki błędom ekipy Gierka i późniejszym kredytowym — ujawnionym wreszcie — kataklizmom rozwiązał się nimb mitu produkcyjnego, który to mit tak czy owak funkcjonował w Polsce Ludowej przez lat 35. Mit produkcyjny usiłują jeszcze dziś utrzymać niepoprawni prowincjonalni dyrektorzy, pseudotechnokraci, korzystający z faktu, że niefortunna reforma gospodarcza dała im niebacznie swobody finansowo-inwestycyjne. Ale bez praw rynkowych jest to już tylko gospodarcza wiatrologia, która nie wskrzesi autentycznego produkcyjnego dynamizmu w państwowym przemyśle. Jednocześnie z utratą dynamizmu psychicznego grupa robotnicza maleje wręcz ilościowo — jak zresztą na całym świecie — masę ludzi przeszło na wczesne emerytury, wielu usiłuje odpłynąć do rzemiosła lub po prostu na wieś — klasa owa przestaje być nawet rzekomym podmiotem czy jądrem społeczeństwa, jakim miała się stać w koncepcji marksowsko-leninowskiej. Poza tym ulega ona wciąż (zwłaszcza w okresie biedy) propagandzie państwa „opiekuńczego”, demagogii „urawniłowki”, złąconej ze zreżymie przez „Wronę” stosowaną, odwracającą uwagę kampanią antyspekulacyjną. Gdyby kiedyś w grę wchodził program reform, mający na celu odtworzenie gospodarki rynkowej i uwłaszczenie, uprodukcjonienie społeczeństwa, uwolnienie produkcji z kleszczy kierowanej doktryną biurokracji, wówczas grupa robotnicza przestanie być siłą napędową przemian, zmieni się jądro i istota opozycji, także jej skład społeczno-osobowy

i frazeologia. Trzeba to z góry zrozumieć, rozumie to zresztą i laureat Wałęsa, który w kilku już swych zagranicznych wywiadach opowiedział się przeciw wprowadzeniu w Polsce gospodarki wolnorynkowej a za zachowaniem „ulepszanego” czy „zreformowanego” socjalizmu. Cóż, Wałęsa zajmuje tutaj stanowisko klasowe, jak przystało na przywódcę robotników, ale nas tutaj ono wszakże nie obowiązuje. Nieraz politycy formułowali swe programy w „bezklasowej próżni” i dopiero potem obrastały one w — czasem nawet nieoczekiwaną — treść społeczną. A cóż dopiero mówić o wstępie do programu! Zawsze można spróbować, zwłaszcza, gdy mało kto się dziś taką czynnością zajmuje...



Zacznijmy od paru truizmów historycznych — przypominać je nigdy nie zawadzi. Jesteśmy od 38 przeszło lat w rękach sowieckich, czy, jeśli kto woli, rosyjskich. Dzięki naciskowi sowieckiemu wprowadzony został w Polsce ustrój, zwany marksizmem-leninizmem. Oczywiście, wprowadzenie tego ustroju to była cała skomplikowana epopeja, realizowana poprzez różne etapy, walki, taktyczne cofnięcia się a potem nowe ataki, poprzez kolejne „skurcze i rozkurcze”, realizowana częstokroć rękami ludzi nie całkiem świadomych, takich, co to „chcieli dobrze”, jak np. Osóbka, Bobrowski, Szwalbe, i do dziś wcale nie zdają sobie sprawy, że odegrali w sumie rolę nie mniej ukierunkowaną niż pp. Cyrankiewicz, Minc czy Zambrowski. Natomiast oporowi poszczególnych grup społecznych w Polsce oraz kolejnym zrywom narodowym zawdzięczamy fakt, że dzisiejszy ustrojowy i psychiczny polski model różni się *in plus* od schematu, przeznaczonego w zasadzie przez wschodniego hegemonia dla „satelickich” krajów Europy środkowej i wschodniej (główne różnice to indywidualna gospodarka na wsi, rządzący duszami Kościół katolicki, odradzająca się wciąż umysłowa samodzielność inteligencji twórczej etc.).

Marksizm-leninizm jest formą sowieckiego zniewolenia w wielu płaszczyznach: duchowej, gospodarczej, organizacji życia codziennego itd. Nie ma potrzeby na tym miejscu pisać o tym szczegółowiej — napisano już w tej materii tomy, choć do dzisiaj jeszcze Zachód niedostatecznie obznajomiony jest z sugestywną, mutacyjną siłą sowieckiego stylu życia (znakomity opis tej nie-uświadamianej częstokroć sugestywności zawierają książki Zinowiewa). Kładę tu nacisk na sowieckie pochodzenie całej metody i koncepcji, co w paradoksalny sposób bywa w dzisiejszej Polsce zapominane. Główna dialektyka i argumentacja naszego dzisiejszego oporu koncentruje się wokół władzy, policji, „Wrony”, partii, Jaruzelskiego czy Rakowskiego, a bardzo niewiele się

mówi o Rosji, nie dostrzegając słonia w menażerii, czy też udając, że się go nie dostrzega. Jest to podtrzymywanie sowieckiej mityfikacji, usiłującej udowodnić światu, że to, co się dzieje w krajach satelickich nie zostało pierwotnie narzucone z zewnątrz, lecz jest wynikiem normalnych, autentycznych procesów i konfliktów historycznych. Jest to także dowód braku męskiej odwagi, która nakazywałaby przyznanie się do rzeczywistej grozy sytuacji: że jesteśmy sam na sam ze zgoła nie słabnącym Wschodnim Imperium.

Tą grozą natomiast operuje, choć w zawołowanej formie, reżym. Twierdzi, że nasz ustrój (nie nazywa się go dziś na ogół „marksizmem-leninizmem”, lecz eufemistycznie „socjalizmem” czy „realnym socjalizmem”) jest nieuchronnym warunkiem pozostawania w obecnej sytuacji geopolitycznej, a bez tego stracimy byt państwowy, przez co rozumie się „byt narodowy”. Przy okazji propaganda nasza bardzo wychwala ów obecny byt państwowy, dając do zrozumienia, że jeśli będziemy opierać się ustrojowi, dającą zasadniczych zmian, to Rosjanie przejdą do bezpośredniej okupacji, zarzucając gestię pośrednią, jaką jest państwo satelickie, rządzone polskimi rękami.

I oto właśnie mamy sedno sprawy dla niniejszych rozważań programowych, opartych na hipotezie „roboczej” lecz prawdopodobnej, że ogólna sytuacja geopolityczna w Europie przez długi jeszcze czas nie ulegnie zmianie (obowiązkiem „programotwórcy” jest znaleźć w swych rozważaniach miejsce także, a może przede wszystkim, dla ewentualności najbardziej niesprzyjającej). Sedno sprawy, sedno mojej propozycji da się ująć w następujące pytanie: jak można wypróbować autentyczność owego twierdzenia obecnej naszej komunistycznej władzy, że ich rządy i ich postulaty ustrojowe są absolutnym warunkiem naszej obecnej sytuacji wobec Moskwy? Jak można to wypróbować z najmniejszymi stratami społeczeństwa i kto ma w tym kierunku naciskać, zważywszy, że próba „wałęsowska” już zakończyła się negatywnie?

Przedtem jednak kilka jeszcze uwag o państwie. Osobiście bardzo sobie cenię państwo, nawet satelickie, zwłaszcza, że spędziłem w nim większą część mego życia (prawie 40 lat!) i że nie spodziewam się dożyć innej formy polskiej państwowości, bo nie wierzę ani w wojnę, ani w nacisk Zachodu, ani w rychły upadek Moskwy. Jedyna to więc organizacyjna forma polskości do której przywykłem i którą chcę uczynić przedmiotem moich rozważań — wiem, że stwierdzenie takie nie spodoba się niejednemu z moich przyjaciół na emigracji, ale muszę przecież pisać to, co myślę.

Przywykłem również do terytorialnego kształtu dzisiejszego polskiego państwa, do tego, że mieszkamy we Wrocławiu i w

Szczecinie, które to miasta w latach bezpośrednio powojennych były mi tak obce. Polskość na tych ziemiach krzepnie z każdym pokoleniem, a odepchnięci od Wschodu, musimy i będziemy tam mieszkając (celowo odpatetyczniam tę sprawę, nie będę bredził o „odwiecznych piastowskich ziemiach, które po wiekach powróciły do Macierzy”, wolę mówić o miejscu zamieszkania współczesnych Polaków). Nie mam więc wątpliwości co do samej idei państwa w takim, uznanym z konieczności i nawet już z sentymentu miejscu, mam za to wątpliwość, czy rzeczywiście nasz opór przeciw absurdalnemu i obiektywnie szkodliwemu ustrojowi musi prowadzić do zniszczenia owego państwa i do bezpośredniej, krwawej okupacji. Nie przeceniam roli opinii światowej, zdolnej zdaje się głównie do „aktów łaski” w rodzaju nagrody dla Wałęsy, nie przeceniam determinacji Zachodu, mimo wszystko jednak nie sądzę, aby ZSSR po Afganistanie i Polskim Sierpniu chciał i mógł decydować się na podobnie brutalny wyczyn słonia wśród porcelany. To raczej pewno grupa Jaruzelskiego, chcąc utrzymać się przy władzy, ze strachu przed odpowiedzialnością i zmianami wmawia nam taką ewentualność — prawdopodobnie też wmawia Rosjanom, że polska opozycja ustrojowa równoznaczna jest z antyrosyjskością. Operuje przy tym reżym różnymi przykładami polskich zachowań, często zresztą wywodzącymi się z prowokacji lub nie zawsze fortunnego choć psychologicznie zrozumiałego akcentu, kładzionego przez nas na historię: nie zawsze jednak należy mieszać obrachunki historyczne z polityką, nie w każdym wypadku wspominać trzeba Katyń czy pakt Ribbentrop-Mołotow, choć i zakłamywanie tych spraw dało po latach rezultaty przeciwne do zamierzonych.

Ważnym elementem dzisiejszej polskiej sytuacji może także być fakt, że ekipa wojskowa Jaruzelskiego, wobec kurczowego a bezsensownego (z punktu widzenia samychże polskich komunistów, jeśli jeszcze są i chcą być brani na serio) wyjąłowania Partii z ludzi samodzielnie myślących, uważa się za ostatnią możliwą alternatywę rządów satelickich w Polsce — ekipy zastępczej jakoś nie widać. Może więc oni naprawdę wierzą, iż „po nich potop”?

Być może, iż rzeczywiście tak myślą, perspektywa Polski widziana z tzw. „Białego Domu” (siedziba KC przy Nowym Świecie) bardzo jest podobno dziwna i oderwana od życia. Ale mean-dry psychiki komunistycznej elity, nieznane bliżej społeczeństwu, nie mogą być wiążące dla opozycji (przyszłej, jaką zakładam), która będzie się odradzać i będzie prowadzić opór przeciwko niszczącemu Polskę ustrojowi. Zaś opór wymagać będzie programu, uwzględniającego wszelkie realia sytuacji i mogącego stanowić pożywkę myślową dla wszystkich, którzy w najbardziej nawet

absurdalnych okolicznościach chcą jednak normalnie myśleć. A także i przede wszystkim — pożywkę dla przyszłych pokoleń młodzieży.

Program taki powinien w swoim założeniu uwzględniać dwa punkty: a) opozycja wewnętrzna nie może być utożsamiana z ruchem antyrosyjskim, stawiającym na zmianę sytuacji europejskiej czy światowej, na odwrócenie zależności geopolitycznych. Nie może być utożsamiana, gdyż to nie jest nasze zadanie, to zadanie ewentualne dla Zachodu, który tę sytuację geopolityczną zmaistrował i w gruncie rzeczy nadal bojaźliwie jej się trzyma, mimo gestów Reagana czy nagrody dla Wałęsy (paradoksalnie jest to nagroda POKOJOWA, gdy przecież pokój oznacza dalsze zniewolenie Europy środkowo-wschodniej!). Dozbrojeniowa polityka Reagana służy temu, aby dogadać się z Rosją jak równy z równym, w tym „dogadaniu się” sprawa polska odegra na pewno minimalną rolę. Zaś liczyć na Zachodnią Europę chyba nikt nie zamierza — dawno już skończyły się czasy ostatniego tu politycznego „manicheizmu” i wojownika Churchilla, tak zresztą pod koniec drugiej wojny bezsilnego. Nie możemy walczyć o wolność dla „Zachodu”, skoro on sam się do tej walki nie pali. Obowiązkiem odważnego (bo przechodzącego do porządku nad tradycyjnymi odruchami uczuciowymi) myślenia politycznego jest przyjęcie założenia, że zostaniemy pod Rosją i w tej wschodniej sytuacji musimy szukać wyjścia. Przykładanie do działań i dążeń naszej opozycji zachodnich wzorów prawno-moralnych i parlamentarno-demokratycznych (w czym celuje inny mój przyjaciel, Jan Józef Lipski) jest absurdem, choćby nawet bohaterskim, jest ułatwianiem sobie sytuacji duchowej, wynikłym z obawy przed spojrzeniem twarzą w twarz bezwzględnemu złu, które nam grozi. Żadne demokratyczne normy prawne u nas nie obowiązują i żaden Zachód ich dla nas nie wyegzekwuje — dowodów chyba nie brak. Owszem — ewentualny nacisk Zachodu można czasem wyzyskiwać, ale najważniejszy jest nacisk wewnętrzny, ujęty jednak w ramy jakiegoś programu.

To byłby punkt a), który trzeba uwzględnić, a teraz punkt b), mianowicie: przyszła opozycja musi uwolnić się od tradycji i frazeologii ruchu przede wszystkim „robotniczego”, zwłaszcza, gdy tak zwana po marksistowsku „klasa robotnicza”, zawiedziona po upadku „Solidarności”, ma teraz tendencję do ustrojowej bierności, do zdania się na dobrą wolę „państwa opiekuńczego”, względnie do samolikwidacji w postaci odpływu do rzemiosła, półlegalnych zajęć usługowych czy wręcz na wieś. Łączy się to ze sprawą koniecznych reform gospodarczo-społecznych, które muszą iść w kierunku przeciwnym niż przyzwyczajano ludzi u nas w ciągu ostatnich lat 38. Odwrót od deficytowej, skompro-

mitowanej ostatecznie państwowej produkcji wielkoprzemysłowej ku oparciu się na myśleniu wolnorynkowym jest konieczny — inaczej marazm gospodarczy nie opuści już tego sfrustrowanego społeczeństwa. Trzeba szukać NEP-owskich form nowej produkcji i dostosować do tego wymianę zagraniczną — naturalnie „zbiorowe” zarządzanie deficytową fabryką czy stoczną („autogestia”) nie prowadzi do niczego poza bałaganem. Plajtujących gigantów nikt prywatny oczywiście nie przejmie, długa będzie (jeśli w ogóle uda się ją wymusić) droga do nowych form władania indywidualnego — jedynej postaci zarządzania produkcją, jaka odpowiada zmiennej, nowoczesnej technologii. Państwo, które chce być racjonalne a nie doktrynalne, ryzykować nie może, prywatny przedsiębiorca — owszem, bierze na siebie odpowiedzialność. Trzeba go odrodzić, dać mu możliwość działania.

Lecz oczywiście największą możliwą przebudowę naszego ustroju ma jedna dotąd jako tako zdrowa, bo wciąż jeszcze indywidualistyczna i pluralistyczna forma produkcji — ROLNICTWO. Rolnictwo to naturalnie nie tylko oranie ziemi i sianie ziarna, lecz cały przemysł pomocniczy i pochodny, hodowla, młyny, rzeźnie, kuźnie, przetwórstwo, rybołówstwo, przemysł skórzan, drzewny oraz spożywczy w najszerszym rozumieniu. Gdyby udało się te nie całkiem jeszcze przez komunizm zmarnowane dziedziny oddać w ręce prywatne tak jak ziemię, lub autentycznie spółdzielcze, nastąpiłoby odrodzenie gospodarcze, zrównanie wsi z miastem, odpływ nadmiaru rąk z przemysłu i biurokracji, można by zacząć myśleć o uzdrowieniu naszej struktury społecznej. Oczywiście, rzecz wymaga zdecydowanego nacisku i to wyraźnie ukierunkowanego, a wsi trudniej jest strajkować niż hutom czy stoczniom. Z tym, że wieś ma autentyczniejsze argumenty niż „socjalistyczne” miasto, a środki nacisku (produkcja żywności!) bardziej skuteczne. Jak na razie sprawą, jak słyhać, zajmuje się Kościół, ale przy nastawieniu politycznym obecnie rządzącej ekipy trudno się tu spodziewać głębszych przemian strukturalnych. Oto zadanie dla nowej opozycji!

Opozycja ta winna zacząć od nacisku społeczno-gospodarczego, nie zaś spieszyć się do zachodnich form demokracji politycznej, co było jednym z błędów „Solidarności”, a co w naszych warunkach (44 lata braku autentycznego życia publiczno-politycznego) przybrać musi postać karykaturalną. Najpierw zdemokratyzować trzeba „bazę”, czyli uwłaszczyć społeczeństwo, a potem dopiero zająć się „nadbudową”. Wolny jest ten, kto posiada środki produkcji — tak zresztą twierdził i „sam” Karol Marks. Trzeba widzieć ukrytą nieraz zależność między przyczyną a skutkiem.

Powyższe uwagi to szkic wstępu do przyszłego programu, a może po prostu tylko konkretna zachęta do wstępnej dyskusji. Wyraziłem w niej postawę własną, nie żadnej grupy, redakcji czy organizacji, postawę zresztą, którą próbuję skryształizować od wielu lat, czego dowody znaleźć można w mojej rozproszonej po świecie, ale jednak dostępnej twórczości. Nie było tu miejsca na wiele jeszcze ważnych spraw, m.in. na omówienie obecnie działalności Kościoła w Polsce. Kościołowi zarzuca się dziś pewien „przechył” państwowy (czy państwowotwórczy) oraz działania niezręczne — osobiście sędzę, że są to zarzuty niesłuszne, bo w sumie Kościół nie może odgrywać innej roli niż odgrywa, roli Trzeciej Siły pomiędzy postawą „powstańca” a postawą ślepej służebności, sprowadzanej często do służalstwa wobec absurdów doktryny. Chwała Bogu, że taka niezależna siła jeszcze istnieje, podgryzanie jej byłoby politycznym szaleństwem, pod jej tylko skrzydłami rodzić się może nowa opozycja, czego przedsmak widziałem w znanych Tezach Rady Społecznej przy Prymasie. Ale oczywiście decydujące słowo muszą tu mieć ludzie świeccy — Kościół nam życia politycznego nie stworzy ani nie zastąpi: to nie jego rola.

Nie chciałbym również, aby ewentualna dyskusja o niniejszym szkicu ugrzęzła na jałowym biegu mało ambitnych rozważań „czy Rosjanie się zgodzą”. Na ogół bowiem stwierdzenie, że przytomny opozycjonista czyli przeciwnik marksizmu w Polsce próbować musi wymuszania reform przy konkretnej sytuacji geopolitycznej i nie może liczyć na żaden realny sukces bez ewentualnych sowieckich ustępstw likwidowane jest stwierdzeniem, że Rosjanie nigdy się na „finlandyzację” nie zgodzą, bo konformizm ustrojowy to ich bezwzględny warunek (tak jakby ustrój był absolutem i jakby w Polsce nie było prywatnego rolnictwa, potężnego Kościoła i innych wymuszonych właśnie przez lata oporu przejawów odrębności). Osobiście uważam twierdzenie, że na Rosjanach trzeba wymusić reformy za mniej utopijne niż twierdzenie, że mamy pobić Związek Sowiecki gołą ręką i sami. Przypomnienie, że dążąc do zmiany ustroju nie chcemy popełniać romantycznego samobójstwa oraz wywracać na własną rękę mapy Europy i świata nie jest potrzebne Rosjanom, lecz nam samym. Gdy zrozumienie w jak rzeczywistość ciężkich warunkach politycznych i ogólnościowych będzie musiała działać każda polska opozycja stanie się myślową własnością wszystkich Polaków, przywróci nam ono godność (bo nie posiada godności ten, co się łudzi i okłamuje, choćby pięknie i wzniośle), przywróci męskość i realizm, zaś przeciwnikom wytrąci z rąk szantażowy argument, że dążenie do oddolnych reform i do uzyskania narodowej tożsamości w dziedzinie ustrojowej jest samobójczym, a więc anty-

narodowym szaleństwem. A jeśli, po latach głoszenia i konsekwentnych działaniach opozycyjnych z naszej strony uwierzą w to również i Rosjanie, będzie to nie tylko naszym, ale i ich dorobkiem myślowym. Oni też nie są wszechwiedząco niezmienni, oni też muszą się uczyć. Coś niecoś się już zresztą w Polsce nauczyli, dajmy im okazję do dalszej nauki, nie zostawiając tego „szkolenia” w rękach partii i jej satelitów, co byłoby dowodem sporego, choć nieuświadomianego kompleksu niższości. Walka o konkrety nie może być nigdy tak beznadziejna, jak walka o chimery.

Stefan KISIELEWSKI

Paryż, październik 1983

Spotkanie trzeciego typu?

Mark Twain napisał kiedyś, że człowiek chętnie pracowałby tylko cztery dni w tygodniu, a trzy odpoczywał. Po czym dorzucił: ale kim ja jestem, żeby udzielać rad Panu Bogu? Przypomniała mi się ta historia, kiedy redaktor Giedroyc poprosił mnie o napisanie kilku słów na marginesie programowego artykułu Stefana Kisielewskiego.

Artykuł ten, jak wszystkie teksty Kisielewskiego, budzi podziw ostrością sądów, samodzielnością myślenia i śmiałością ocen. I jak wszystkie artykuły Kisielewskiego skłania do dyskusji, bo zawiera twierdzenia sporne. Skupię się tylko na jednym zagadnieniu, które autor uważa — z mojego punktu widzenia słusznie — za „sedno sprawy”, sedno swoich propozycji programowych. Będąc z zawodu historykiem, dobrze znam znikomą wartość programów i najdoskonalszych choćby planów na przyszłość. Wiem jednak zarazem, że wybór celów nie jest bez znaczenia, a zwłaszcza wybór wrogów i przyjaciół. Na tym polega „sedno sprawy” propozycji programowych Kisielewskiego. Doskonale znając Polskę (mało kto może się z nim w tej dziedzinie równać), Kisielewski nie wie, kto dzisiaj jest jej wrogiem. To znaczy oczywiście dobrze wie, gdzie się on znajduje, ale nie wie, co sobą przedstawia.

Stefan Kisielewski naturalnie nie jest jedyny, ale i jego miał na myśli Lenin, notując w 1921 roku: „Na podstawie moich bezpośrednich obserwacji z lat emigracji muszę stwierdzić, że tak zwane oświecone warstwy Zachodniej Europy i Ameryki nie są w stanie zrozumieć ani tego, na czym polega dzisiejszy stan rzeczy, ani jaki jest realny stosunek sił; warstwy te należy uznać

za głuchonieme i w postępowaniu wobec nich wychodzić z tego założenia...”.

Słowo „dezinformacja” jest dziś w modzie. Wiele się na Zachodzie mówi o „sowieckiej dezinformacji”, mając na myśli preparowane przez moskiewskich specjalistów fałszywe dokumenty, kłamliwe pogłoski itp. Największym jednak sukcesem sowieckiej dezinformacji było zakamuflowanie samej istoty systemu sowieckiego, przedstawienie go jako normalnego ustroju państwowego, przedłużenia Rosji. Należy zwrócić uwagę na szczególną rolę Polaków w „głuchoniemej” interpretacji ustroju sowieckiego. Najlepszy wyraz znalazła ona w tytule dzieła wybitnego historyka Jana Kucharzewskiego — „Od białego caratu do czerwonego”. Kucharzewskiego łatwo zrozumieć: pisał swoją historię Rosji w latach dwudziestych, kiedy natura Związku Sowieckiego mogła jeszcze łudzić, zwłaszcza Polaków, mających wielowiekowe porachunki z Rosją.

Historycznej koncepcji trudno dowieść, a jeszcze trudniej ją obalić. Sprawdzianem poglądów Kucharzewskiego — nie na Rosję, a na Związek Sowiecki — była amerykańska polityka zagraniczna, którą sterowali przez wiele lat historycy dotknięci „syndromem Kucharzewskiego”. Wniosek był logiczny: jeśli Związek Sowiecki jest „czerwonym caratem”, dawną Rosją lekko pokrytą lakierem pseudomarksistowskiej ideologii, to należy z nim prowadzić „dialog”, należy pertraktować.

Lenin wiedział co mówi, nazywając wroga — Zachód — „głuchoniemym”, wiedział, że Zachód ani nie jest zdolny usłyszeć rzeczywistego postania systemu sowieckiego, ani nie jest w stanie o nim mówić, bowiem nie zna jego języka.

W tym miejscu pora wrócić do propozycji Stefana Kisielewskiego. Zaleca on rozmowy, dialog „ponad barierami”, ponad głową ekipy Jaruzelskiego. Ale z kim? Czytając publicystykę Kisielewskiego uważnie i z ogromnym upodobaniem, wiem, że znajomość Sołżenicyna i Zinowiewa wpłynęła na jego widzenie Związku Sowieckiego. Píše on np. „podkreślam sowieckie pochodzenie całej metody i koncepcji”, po czym natychmiast zaczyna pisać o Rosji i Rosjanach. Wie, że miesza dwa pojęcia, gotów jest jednak używać ich, jakby były synonimami.

To właśnie mam na myśli mówiąc, że Stefan Kisielewski proponuje dialog, nie wiedząc, z kim chce rozmawiać ani w jakim języku, skoro nie zna języka, jakim mówią w Moskwie. W amerykańskim filmie „Spotkania trzeciego typu” przybysze z kosmosu i mieszkańcy Ziemi odkrywają, że wspólnym językiem dwóch obcych sobie cywilizacji może być muzyka. Stefan Kisielewski powinien lepiej niż ktokolwiek wiedzieć, że jego muzyki w Moskwie nie pojmą.

Fakt, że „od ponad 38 lat znajdujemy się w sowieckich, czy — jeśli kto woli — rosyjskich rękach” nazywa Kisielewski historycznym truizmem. Chciałoby się dokładnie wiedzieć, o czyje ręce chodzi. Nie jest to bynajmniej semantyczna drobiazgowość. Pierwszy z dwóch głównych punktów programu Kisielewskiego

głosi, że polska opozycja ustrojowa nie może być równoznaczna z antyrosyjskością. Jeśli jednak przyjmiemy — jak to robi autor programu — że „rosyjski” i „sowiecki” są synonimami to znaczyć to będzie, że opozycja nie może być antysowiecka. Tymczasem w rzeczywistości nie może ona być prosowiecką. Sowiecka ideologia nie dopuszcza neutralnego do niej stosunku: kto kogo, powiadał Lenin. Dodając: *tertium non datur*.

Program Kisielewskiego wychodzi z geopolitycznego faktu, który uważa za niewzruszony: „zostaniemy pod Rosją”. Błąd: zostaniemy pod Związkiem Sowieckim. Margrabia Wielopolski czy Dmowski mogli rozmawiać z okupantem rosyjskim, bo władali wspólnym językiem. Dzisiaj takiego języka nie ma.

Tow. Stalin uczył, że krytyka (zwłaszcza kiedy miałaby dotyczyć jego) powinna być „konstruktywna”. Świadom jestem, że moja krytyka jest „niekonstruktywna”. Wydaje mi się jednak, że program opozycji powinien się zaczynać od ścisłej definicji wroga. Stefan Kisielewski zaczyna swój artykuł od stwierdzenia, że po „Solidarności” nie ma w społeczeństwie powrotu do kłamliwego języka. Jeśli jest to prawda — to wielkie zwycięstwo. Czy trzeba rzucać w zamian za to hasła, w których główny sens najważniejszych słów (rosyjski? sowiecki?) pozostaje niejasny, mglisty, zwodniczy? Czy po tym jak — według bardzo słusznego spostrzeżenia Kisielewskiego — marksistowska frazeologia, podtrzymująca złudzenia, stała się jedną z przyczyn klęski „Solidarności”, należy budzić nowe złudzenia i wiarę w możliwość „dialogu”, nie wiedząc z kim?

Michał HELLER

Grudniowe rekolacje

Przed 13 grudnia 1981 roku w „Solidarności” występowały dwa sprzeczne ze sobą sposoby rozumowania. Jedni powiadali: „Trzeba za wszelką cenę dążyć do porozumienia z rządem. Jest ono możliwe, bo rząd chce się porozumieć”. Drudzy replikowali: „Trzeba za wszelką cenę frontalnie zaatakować, bo rząd — choć słaby i nieudolny — dąży do demontażu i rozbicia 'Solidarności'. Sukces jest możliwy, bo strajkiem generalnym można wymusić na rządzie niezbędne ustępstwa”. Te dwa rozumowania występowały nierzadko u tych samych działaczy, którzy w regionach starali się hamować radykalizm załóg, a na posiedzeniach Komisji Krajowej reprezentowali punkt widzenia tychże załóg. Z perspektywy

dwóch lat powstaje pytanie: który z tych sposobów rozumowania — „radikalny” czy „umiarkowany” — był słuszny? Moja odpowiedź brzmi: żaden.

Z perspektywy wyraźnie widać, że konfrontacji z rządem nie można było w tym momencie wygrać. Nawet gdyby „Solidarność” zdecydowała się na czynną obronę strajkujących fabryk, na walki uliczne i wywołanie buntu w wojsku (co było możliwe), to nikt nie powinien żywić złudzeń co do dalszego biegu wypadków. „Towarzysze radzieccy”, zgodnie ze swą obietnicą, nie opuściliby Polski. Lekcja grudniowa — a także późniejsze wydarzenia — powinny wyleczyć związkowych radykałów z iluzji, jakie dawać mogło upojenie rozmiarem siły „Solidarności” w społeczeństwie.

Wszakże te wydarzenia ukazały z równą wyrazistością, że i „umiarkowany” sposób rozumowania był fałszywy. „Solidarność” nie mogła znaleźć porozumienia z rządzącą ekipą. Bowiem koncepcja porozumienia tej ekipy wzorowana była na stalinowskim modelu stosunków między państwem a społeczeństwem. Społeczeństwo — w tym ujęciu — to był ogół poddanych „państwa”, zaś samo „państwo” było własnością partyjnej „nomenklatury”.

Ilustracją tego były podjęte przez aparat władzy działania po 13 grudnia 1981 roku: ich wspólnym mianownikiem było dążenie do likwidacji pluralizmu instytucjonalnego. Ani przez moment nie miała ta władza zamiaru prowadzić poważnych rozmów na temat porozumienia z reprezentacją społeczeństwa. Taka już jej natura: komuniści, kiedy mogą — totalizują, porozumiewają się tylko wtedy, kiedy muszą. To godne jest zapamiętania: działania pogrudniowe traktować należy jako rzeczywistą realizację przedgrudniowych deklaracji o dialogu i odnowie.

Społeczeństwo zbuntowane, domagające się praw obywatelskich i podmiotowości, przypominało więźniów zbuntowanych przeciwko administracji aresztu. Ta administracja mogła posługiwać się prośbą i groźbą (przed 13 grudnia) lub jawną przemocą (po 13 grudnia), ale cel miała wciąż ten sam: więzienną normalizację.

W tym sensie był to zaiste konflikt nierozwiązywalny: naczelnik aresztu nigdy nie uznał podmiotowości więźniów, zaś więźniowie nigdy swego statusu nie mogli zaakceptować jako naturalnego.

To powinno być lekcją — także na dziś — dla zwolenników „porozumienia za wszelką cenę”. Wypowiadając tę krytyczną uwagę, mam i siebie na myśli, bo i mnie zdarzyły się tego typu wypowiedzi.

Zrozumiałem to ostatecznie dopiero w więzieniu. Dopiero tu, słuchając wynurzeń funkcjonariuszy służby więziennej i służby

bezpieczeństwa, pojąłem z całą jasnością, że jedyny realny stosunek społeczny w Przodującym Ustroju, to strukturalny, uniwersalny konflikt więźniów z kławiszami. Dla funkcjonariusza „dialog” zawsze będzie formą przesłuchania. Oczywiście — różni bywają przesłuchujący. Są wśród kławiszy „liberałowie” i jest „twardogłowy beton”, zwolennicy perswazji i rzecznicy pejcza; są tacy, co czekają na pomoc z więzień zaprzyjaźnionych. Są i więźniowie rozmaici, „radykałowie” i „umiarkowani”; zwolennicy buntów i rzecznicy strategii przetrwania, są „niezlomni”, są „organizmicy”, są i „kapusie”. Także i więźnienia mają ostrzejszy lub łagodniejszy rygor: częstsze lub rzadsze widzenia, krótsze lub dłuższe spacerzy, lepsze lub gorsze wyżywienie. Wszakże kławisze pozostają kławiszami, więźniowie więźniami, a więzienie więzieniem.

Polacy, którzy utworzyli w sierpniu 1980 roku „Solidarność”, byli więźniami, którzy się zbuntowali i zapragnęli żyć jak wolni ludzie.

Czy z uwag powyższych wynika, że do porozumienia „Solidarność” nie powinna była dążyć oraz że w przyszłości jest ono niemożliwe? Nic bardziej fałszywego.

Dorzuć do tych uwag — pozostając przy tak bliskiej mi alegorii więzienia — że areszt, o którym tu mowa znajdował się na okręcie, który tonął. W takiej sytuacji naturalny stosunek między kławiszami a więźniami mógł ulec zmianie. Stało się inaczej. 13 grudnia kławisze zamknęli więźniów w okratowanych pomieszczeniach, zaś statek osiadł na mieliźnie. Zaczął dryfować, bo nie mógł płynąć normalnie, mając zepsutą maszynownię. Dryfuje tak do dziś.

Ale dziś nic już nie jest tak, jak było przedwcześniej. 15 miesięcy życia w wolności wiele więźniów nauczyło. To była wielka lekcja podmiotowości, niezwykle duchowe odrodzenie narodu. Gdyby nawet już nic więcej dobrego w życiu nie miało spotkać ludzi z „Solidarności”, to każdy z nich może sobie powiedzieć: przez te 15 miesięcy żyłem jak człowiek, a nie jak bydlę. Od dwustu lat powtarzają sobie te słowa najlepsi synowie tego narodu, i dzięki temu, że mogą je sobie powtarzać — że istnieją owe antrakty wolności — naród polski ocalił własną twarz, własną godność, własną prawdę.

Zarzuca się nieraz Polakom, że są romantykami i nie liczą się z realnym układem sił. Więzień, który chce wydostać się na wolność musi być romantykiem, musi mierzyć siły na zamiary, musi pragnąć niemożliwego i musi uczynić odwagę składnikiem swego realizmu. Dopiero po brutalnym uświadomieniu sobie tego faktu, starannie omijanego przez biadolących partyjnych publicystów, można zapytać, czy i na ile wydarzenia ostatnich lat zwery-

fikowały pozytywnie stereotyp „polskiego szaleństwa”, Polaka-ułana, co szablą atakuje czołgi.

Bez wątpienia utwierdziły one przekonanie, że Polacy nigdy z niewolą się nie pogodzą i nigdy nie będą dobrowolnymi więźniami. Jednak ukształtowany w ostatnich latach model polskiego oporu niewiele ma wspólnego z ułańskim stereotypem. Ułańskiej odwadze towarzyszy wielka rozważa polityczna. W sferze celów, siły mierzone są na zamiary; w sferze realizacji — zamiary podług sił. Od 1976 roku Polacy nie demonstrują żadnego szaleństwa. Manifestują swą wolę wolności, zespoloną z zadziwiającym instynktem politycznym i poprawnym odczytywaniem znaków czasu. Dość stwierdzić, że żadna ze społeczności podbitych przez komunizm nie wytworzyła tak szerokiego, wielowątkowego i skutecznego oporu, jak ci „romantycy”, którzy podobno tylko „kochają umierać”. Dlatego ktokolwiek hołduje jeszcze tym nierozsądnym schematom, winien ich się pod wpływem wydarzeń — wyrzec.

Dotyczy to zwłaszcza sytuacji po 13 grudnia 1981 roku. Przywódcy „Solidarności” i inni liderzy opinii publicznej poprawnie odczytali intencje polityki generała Jaruzelskiego, słusznie ocenili układ sił i obrali sposób działania, który okazał się skuteczny. Po dwóch latach wojskowych rządów opór społeczny nie został rozbity.

Rzec by można, że po 13 grudnia Jaruzelski nieprzerwanie realizował scenariusz przewidziany przez przywódców „Solidarności”, którzy słusznie nie wierzyli w deklaracje o „kontynuowaniu odnowy”. Scenariusz ten zasadzał się na przekonaniu, że kierunkiem działania władzy będzie stopniowa totalizacja życia zbiorowego, likwidacja pluralizmu, niezależności i samorządności. I tak też się stało.

Żadne kompromisy nie mogły ocalić wysp podmiotowości społecznej, które wyłoniły się między sierpniem a grudniem. Przywódcy „Solidarności” i związków twórczych mieli do wyboru: albo likwidować podmiotowość własnymi rękami, albo pozostawić to szczytne zajęcie partyjnym i wojskowym komisarzom. Wybrali opór, prawdę i godność. Powiedzieć to trzeba wyraźnie: usunięci dziennikarze i plastycy, aktorzy i rektorzy wyższych uczelni, filmowcy i literaci zapisali swym postępowaniem piękną kartę historii polskiej inteligencji i udokumentowali wierność najlepszym narodowym tradycjom. Należy im się za to wielki szacunek i wdzięczność całego społeczeństwa, którego stali się — zgodnie z przesłaniem polskiej kultury — duchowymi wyrazicielami.

Nie są to czcze frazesy. W 1953 roku, decydując się na opór okupiony więzieniem, ks. Prymas Stefan Wyszyński ocalił Koś-

ciół katolicki w Polsce. Dziś, decydując się na opór, polscy artyści i intelektualiści ocalili nie tylko honor polskiej kultury, ale i jej najistotniejszy sens.

Jaruzelskiemu bardzo zależy na pozorach. Polski świat kultury nie stał się jednak tym razem listkiem figowym dla poczyniań władzy, której jedynym mandatem jest przemoc, a jedyną legitymacją — kłamstwo.

Front odmowy środowisk nie został złamany, tak jak nie został złamany opór całego społeczeństwa. Jest to wszakże tylko przejaw konfliktu „nomenklatury” ze społeczeństwem. Źródła podstawowych napięć tkwią gdzie indziej.

Sytuacja gospodarcza jest równie zła jak była, po dwóch latach rządów generałów nie można już braku mięsa i masła, herbaty i kawy, sera i sznurka zwać na woluntaryzm i arogancję Gierka i Jaroszewicza, ani też na strajkującą „Solidarność”. Ponowne wprowadzenie reglamentacji na masło i margarynę, publiczne deklaracje Jaruzelskiego na forum RWPG, że pokrycie kartkowego zaopatrzenia w mięso staje się wielce problematyczne — to sygnały, że sytuacja gospodarcza jest gorsza niż to się wydaje przeciętnemu obserwatorowi. Sowiecka pomoc nie pomogła w przełamaniu kryzysu i rządzący generałowie powoli dochodzą do druzgocącej wiedzy, że wprawdzie przywódcy sowieccy bez trudu mogą do Polski przysłać czołgi, ale jednak kredyty dolarowe przysłać mogą tylko zniechęceni Amerykanie.

Bez kredytów i reformy kryzys jest niemożliwy do opanowania w najbliższych latach, a kluczem do jednego i drugiego jest porozumienie ze społeczeństwem. Nikt nigdy jeszcze nie osiągnął wzrostu wydajności pracy przy pomocy gromkich apeli i świszczącej nahajki. Sami generałowie przyznają w chwilach szczerości, że „jest źle, a będzie gorzej”, ale niewiele z tego wynika. Ta ekipa nie jest zdolna do porozumienia ze społeczeństwem.

Tradycyjny aparat partyjny w naturalny sposób ciąży ku metodom sprawdzonym w poprzednich epokach — i dlatego jest naturalną bazą „betonu”. Do Jaruzelskiego nastawiony jest nieufnie, gdyż ten centralne stanowiska w partii i administracji obsadził swoimi wojskowymi. Generałowie i pułkownicy są kierownikami kluczowych wydziałów w Komitecie Centralnym, sekretarzami Komitetów Wojewódzkich, wojewodami i ministrami. Jest ich coraz więcej i nic nie wskazuje, by zamierzali z tych posad zrezygnować. Przeciwnie: w propagandzie pojawił się nowy akcent; mówi się, że „wojskowi są dysponowani znakomicie do realizowania pozawojskowych zadań”, że „część kadry wojskowej na dłużej wsparła instancje partyjne i instytucje wojskowe” etc. Płk Stanisław Kwiatkowski, bliski gen. Jaruzelskiemu organiza-

tor nowego Centrum Badań Społecznych, napisał wprost: „Obecny aparat to przeważnie partyjni urzędnicy (...) przyzwyczajeni do pracy biurowej (...) przyzwyczajeni do działania jedynie wewnątrz struktur władzy (...) dzisiejsze kadry 'zawodowych rewolucjonistów' nie potrafią przeciwstawić się przeciwnikom”.

Po tej wypowiedzi w aparacie zawrzało. Jeden z polemistów — aparaczyk — przypomniał, że po 13 grudnia „aparaczyzy” ryzykowali życiem, stając przed ludźmi, zaś przedstawiciele wojska czynili to „rzadko”. Ta polemika odzwierciedla wysoką temperaturę konfliktu. Konflikt — mówiąc brutalnie — dotyczy nie tyle metod sprawowania władzy — generałowie nie są większymi „liberałami” niż „beton”, choć są może nieco mniejszymi doktrynerami — co sposobów doboru do aparatu. Awans wojskowych zablokował drogi tradycyjnych karier. Jak w nieśmiertelnym polskim dowcipie; generałowie różnią się z „betonem” w kwestii agrarnej: generałowie chcą, żeby „beton” był w ziemi, a „beton”, chce, żeby generałowie byli w ziemi.

Atakowany przez „beton” M. F. Rakowski utrzymuje swą posadę wyłącznie dzięki poparciu generałów. *Polityka* drukuje peany na temat wojska, choć nie bardzo jest za co generałów chwalić. Chcąc więc znaleźć dla swych nowych szefów jakiś tytuł do chwały, podkreślają ci publicyści niezwykły geniusz Jaruzelskiego, który w grudniu 1981 roku ocalił swą władzę, a bez zamachu wojskowego bez wątpienia by ją utracił. Bardzo to możliwe — powiedzmy ze swej strony — że by ją utracił, ale nie na rzecz „Solidarności”. Natomiast uznawanie za sukces faktu, że partia rządząca bez przerwy przez 37 lat musiała wprowadzić wojsko do fabryk, nie dysponując innymi instrumentami perswazji i prezentowanie tego jako głównego osiągnięcia dwuletnich rządów generałów — jest otwartym przyznaniem się do politycznej klęski.

Ten brak sukcesu służy „betonowi” do rozwijania tezy, że skoro „łagodne” metody Jaruzelskiego nie skutkują, sięgnąć należy po środki bardziej radykalne. Przywódcy sowieccy — jak się wydaje — mniemają podobnie, ale bardziej radykalną ingerencję w polskie sprawy utrudnia im trudna sytuacja międzynarodowa. Tu należy szukać przyczyn względnej wyciszenia „betonu” w ostatnim czasie. Wygląda na to, że naczelnik więzienia chwilowo opanował pałacową rebelię co bardziej pryncypialnych klawiszów. Jednak na długą metę kurs „betonu” — może z pewnymi modyfikacjami — będzie zapewne jedyną drogą. Ponieważ Jaruzelski okazał się niezdolny do politycznego rozbicia „strażników świętego ognia” marksizmu-leninizmu, ci albo będą dyktować mu swą politykę „twardo do nikąd”, albo w sprzyjającym momencie przegryzą mu gardło.

W publicystyce partyjnej pojawiają się nieraz nawiązania do

doświadczeń sowieckiego NEP-u, który pozwolił na częściowe choćby uruchomienie energii społecznej i zaspokojenie potrzeb rynku. Są to jednak pozory, barwy ochronne. Kto chce zrozumieć mechanizm rządzący światem „nomenklatury” atakującej społeczeństwo, pochylić się winien nad dziełem politycznym Józefa Wissarionowicza Stalina.

Przypominam tu osobę Towarzysza Językoznawcy nie gwolitaniej demagogii, ale dlatego, że w oficjalnym przemówieniu, wygłoszonym w Warszawie z okazji rocznicy rewolucji bolszewickiej, przywołał tę postać dobrodzieja Polaków Stefan Olszowski, członek Biura Politycznego KC PZPR i minister Spraw Zagranicznych. Olszowski, przypominając treść porozumień jałtańskich i wypowiedzi Stalina z Jałty, nieopatrznie przypomniał, jakim ludziami i jakim okolicznościami zawdzięczają Polacy komunistyczne rządy.

Powiedzmy więc i my słów parę o Stalinie. Był człowiekiem genialnym. Nikt z tak żelazną konsekwencją nie potrafił rozbijać więzi społecznych, nikt z tak przewidującą dalekowzrocznością nie budował teorii państwa i prawa w Przodującym Ustroju. Ideą Stalina była budowa systemu totalitarnego bez szczelin wolności, społeczności więziennej opartej na wzorach teokratycznych, w której on sam był bóstwem i arcykapłanem. Ten geniusz kłamstwa umiał posługiwać się językiem w sposób tak mistrzowski, że zdołał opętać filozofów i artystów, obrońców pokoju i przyjaciół dzieci, także amerykańskich mężów stanu, którym wyłumaczył w Jałcie, że w imię pokoju, realizmu i porozumienia Związek Sowiecki powinien rządzić połową Europy. Zrozumieć Stalina to opanować klucz do zrozumienia współczesnego komunizmu.

Ten jeden z największych zbrodniarzy XX wieku był politycznym realistą. Wbrew rozlicznym interpretacjom szukającym korzeni jego działań w dogmatach doktryny marksizmu-leninizmu, Stalina nie wiązała żadna ortodoksja. Tworzył dogmaty, by cementować swój aparat, pomyślany na kształt skrzyżowania ducha religijnej sekty z etyką praktyczną bandyckiego gangu. Dogmaty ideologiczne uzasadniały politykę, ale nigdy nie wyznaczały jej kierunku. Krwawy Gruzin nie był doktrynerem. Zawsze był politykiem chłodnym i przebiegłym, którego siłę stanowił całkowity brak skrupułów. Umiał wyznaczać sobie cele cząstkowe i zawierać etapowe sojusze, umiał dokonywać wielkich reorientacji politycznych i umiał czekać na dogodny moment.

Nade wszystko jednak umiał być konsekwentny. Jego wizja polityki zakłada stopniowe podporządkowanie sobie wszystkich sfer życia wszystkich żyjących ludzi. Oglądane z tej perspektywy, wielkie czystki przestają być irracjonalnym szaleństwem dyktatora,

a stają się elementami przemysłanej i długofalowej koncepcji uśmiercania społeczeństwa. W jego państwie na instytucje zrodzone z autentycznych więzi społecznych nie było miejsca. Jego państwo było więzieniem ludzi i narodów w najbardziej dosłownym sensie tego słowa.

Powtórmy wszakże — był realistą. Atakował tylko słabszych.

Trudno bez podziwu — choć i nie bez przerażenia — myśleć, co ten człowiek potrafił zrobić np. z rosyjską Cerkwią. Każdy chrześcijanin troskający się dzisiaj o pokój na świecie powinien dobrze przemyśleć tę stalinowską lekcję pokojowej koegzystencji Kościoła chrześcijańskiego z państwem komunistycznym.

Przypominając Stalina, przypomniał Stefan Olszowski te treści komunistycznej polityki, o których sami komuniści w epoce *détente* mówili nader niechętnie. To przypomnienie jest szczególnie cenne w kontekście refleksji o stosunkach państwo - Kościół w chwili obecnej.

Wizyta papieska w Polsce raz jeszcze unaoczniała nastroje społeczne, ukazała ponownie prawdziwą twarz polskiego katolicyzmu, zasięg jego wpływów i ogrom jego autorytetu. Była to bez wątpienia spektakularna porażka władzy, choć wizyta stworzyła klimat sprzyjający dialogowi generałów ze społeczeństwem. W komunikacie z Konferencji Episkopatu z dnia 25 sierpnia 1983 roku biskupi pisali: „Ubolewać jednak należy, że nie została wykorzystana szansa stworzona przez wizytę papieską ku autentycznemu porozumieniu narodowemu”. „Restrykcyjne przepisy”, które „na nowo wzniecają niepokój” zajęły miejsce dialogu. „Gdy zaś dialog — stwierdzili biskupi — pomiędzy rządem a narodem przestaje istnieć, pokój społeczny jest zagrożony, a nawet całkiem zanika”. Konkluzje biskupów brzmiały: „Trudny obecnie moment w dziejach ojczystego kraju może stać się drogą do społecznej odnowy, której początek stanowić mogą rzetelnie realizowane umowy społeczne, zawarte w sierpniu 1980 roku przez przedstawicieli władzy państwowej z przedstawicielami świata pracy. (...) Aby (...) niepokój nadal nie wzrastał, potrzebne jest otwarcie się władzy na słuszne oczekiwania społeczeństwa, reprezentowanego przez liczące się siły społeczne”.

To jasne stanowisko wskazuje, że mylili się tak opozycyjni krytycy Kościoła, jak i jego prorożimowi chwalcy. Kościół nie chce być i nie będzie instytucją reprezentującą polityczne aspiracje społeczeństwa; nie chce też być i nie będzie elementem oficjalnego świata władzy. Jest i pozostanie nauczycielem jednych i drugich oraz obrońcą i apostołem chrześcijańskich wartości, które są deptane przez kłamstwo i przemoc. Tak należy rozu-

mieć — przypomnianą przez Papieża Jana Pawła II — zorganizowaną pomoc dla prześladowanych oraz szeroki patronat nad działalnością środowisk kulturalnych (np. udostępnienie budynków kościelnych na ekspozycje malarskie, spektakle teatralne, wieczory autorskie, koncerty, pokazy filmowe).

To stanowisko stało się dla aparatu władzy sygnałem alarmowym. Aparat nie chce dyskusji na te tematy, ale zamknąć ust Kościołowi nie jest dziś władny. W tej sytuacji próbuje się sięgnąć po tematy zastępcze. W prasie partyjnej znów pojawiły się publikacje z typowo stalinowską argumentacją. Powiada się więc, że państwo nie ogranicza swobody kultu religijnego, ale nie będzie tolerowało wykorzystywania tej swobody dla celów politycznych. Zakres tych celów wyznaczać będą — rzecz prosta — partyjni specjaliści od Kościoła. Powtarza się, że dialog państwa z Kościołem świetnie się rozwija, ale zarazem ponawia się ataki na wieszanie krzyży w szkołach czy szpitalach; poszczególnym kapłanom grozi się postępowaniem karnym, zaś hierarchii dyskretnie przypomina, jak grzeczne są Kościoły chrześcijańskie w innych krajach, zwłaszcza w ZSSR.

Szerzej niż dotąd reklamowane są poczynania pism i stowarzyszeń ateistycznych, zaś partyjne tygodniki próbują ożywić stare resentymenty antyklerykalne. W tygodnikach tych zaroiło się nagle od liberałów przerażonych wizją kościelnego obskurantyzmu; na światło dzienne wyszli z podziemia entuzjaści pornografii i przerywania ciąży, co w propagandzie purytańskich zazwyczaj komunistów budzi niejakie zdziwienie. Są to zwykle próby zwęksławiania polemiki z katolicyzmem na teren dla siebie nader dogodny. Łatwiej spierać się z biskupami o aborcję i antykoncepcję, rozwoju i pornografię, niż o pluralizm związków zawodowych, cenzurę, praworządność i demokrację życia publicznego. Rozwijanie tych tematów ma na celu zepchnięcie Kościoła na pozycję obrony anachronicznej obyczajowości i wewnętrzne podzielenie go.

Czasem — np. w wydaniu tygodnika *Polityka* — jest to robione wcale zręcznie i katolicy biskupi nie powinni tych poczynania lekceważyć. Artykuły zamieszczone w *Polityce* przynoszą bowiem ten nieoczekiwany efekt, że aktywizują polemistów o niezbyt wygórowanych możliwościach perswazyjnych, co na dłuższy dystans prowadzić może do zamącenia obrazu. „Broń mnie Boże od przyjaciół, od wrogów sam się obronię” — to przysłowie przypominało mi się podczas lektury artykułu katolickiego działacza, który żądał karnego ścigania aborcji. Nie wiedział poczwieć, że tym artykułem, chętnie opublikowanym przez *Politykę*, zagrał przez innych napisaną rolę w cudzym spektaklu.

Z taką satysfakcją *Polityka* przedrukowała wywiad z ks.

Küngiem, krytykującym Papieża Jana Pawła II za brak swobód obywatelskich w Kościele, jak też starannie odnotowuje każdy krytyczny głos prasy zachodniej.

To wszystko niskie chwytły małych ludzi, ale mogą okazać się częściowo skuteczne. Dlatego — myślę — katolicy biskupi powinni być na ten kierunek ataku propagandy wyczuleni. W cytowanym już komunikacie Konferencji Episkopatu powiedziano wyraźnie: „Polska jest Ojczyzną wszystkich Polaków, bez żadnej dyskryminacji”. Rozwinięcie tej formuły, szerokie opowiedzenie się za pełnią praw obywatelskich dla wszystkich, jednoznaczne odseparowanie się od wszelkiej nietolerancji — także tej obecnej w pewnych kręgach katolickich — uczyni całkowicie jałowymi diatryby „liberałów” z *Polityki* i innych tego rodzaju pism.

Jedno jest pewne: czas pozorowanej idylli minął. Władza boi się Kościoła. Jest ona w pełni świadoma, że póki nie złamie Kościoła, nie złamie też oporu społeczeństwa. Dlatego ataki na Kościół katolicki będą się nasilać — nikt co do tego nie powinien żywić iluzji. Mogą one być stymulowane, czasowo wyciszane, ale trwać będą nieprzerwanie do chwili, gdy Kościół katolicki w Polsce upodobni się do Cerkwi prawosławnej w Związku Sowieckim. Nieprzypadkowo wśród chwytów propagandowych pojawił się — też z klasycznego stalinowskiego repertuaru — argument o związkach Kościoła z podziemiem „Solidarności”. Ideałem dla władzy byłaby sytuacja „Solidarności” wyklinanej z ambon i do tego dąży. Prymas Polski wypowiadający się tak jak Jan Dobraczyński — to sen srebrny o pojednaniu narodowym. Przykład ZSSR czy Czechosłowacji dowodzi, że — na długi dystans — żadne ustępstwa aparatu nie zaspokoja.

Podziemie „Solidarności” może mówić o wielkim i autentycznym sukcesie. Ma prawdziwy tytuł do dumy. Po dwóch latach represji, nagonek i wyroków istnieją struktury podziemne, istnieją centrum i organizacje regionalne. Jest to zjawisko bezprecedensowe w historii Przodującego Ustroju. Nie ulega wątpliwości, że po pewnym czasie — przy sprzyjającej koniunkturze — ruch ten wymusi na władzach komunistycznych respektowanie aspiracji społeczeństwa lub też te władze usunie. Te dwa lata były sprawdzianem siły ruchu i jego zakorzenienia w społeczeństwie. Te dwa lata były dowodem, że dotychczasowymi metodami zniszczyć go niepodobna.

Twierdząc, że „Solidarność” najtrudniejszy etap ma już poza sobą. Stała się niezniszczalna. Zawdzięcza to temu, że okazała się Polakom potrzebna. Jest ruchem ogólnonarodowym i walczącym o podstawowe ogólnonarodowe cele i wartości. Od czasów okupacji hitlerowskiej, od epoki bohaterskiej Armii Kra-

jowej nie było w Polsce ruchu o takiej powszechności. „Solidarność” nie walczy o władzę dla siebie, ale o podmiotowość dla społeczeństwa i w tym tkwi największy sekret jej siły. W odróżnieniu od AK nie jest jednak organizacją typu wojskowego, nie jest konspiracją kierowaną metodami wojskowej dyscypliny. Jest ruchem społecznym, który łączy w sobie potrzebę istnienia kierowniczej centrali wytyczającej główne kierunki działania z szeroką autonomią poszczególnych ogniw i środowisk ruchu. Ten ruch, obecny w każdym zakątku kraju i każdej warstwie społecznej, jest własnością całego narodu i jego nadzieją. Chroni od rozpacz i pozwala realizować realne dobro tu i teraz.

Ogólnonarodowy charakter ruchu jest bez wątpienia wynikiem szczególnej sytuacji. Z czasem pewnie ukształtują się programy alternatywne, które uzyskają społeczny rezonans, albo też rozejdą się drogi ludzi dziś skupionych w „Solidarności”. To wszakże jest futurologia — dziś „Solidarność” jest jedna i zjednoczona, choć świadoma swego pluralistycznego charakteru.

Pluralizmowi, tej jedności w różnorodności, sprzyja istnienie szerokiego wachlarza pism prasy podziemnej. W tych pismach, gdzie artykułują się różne dążenia i tendencje, kształtuje się oblicze „Solidarności”. Dzięki swej prasie jest „Solidarność” ruchem otwartych głów, ruchem uczącym się i poszukującym. Program jest oczywisty: przywrócenie praw obywatelskich i realizacja uchwalonej na Zjeździe idei Rzeczypospolitej Samorządnej. Trzymając się tych kierunkowskazów, działacze „Solidarności” nie pozwolili zepchnąć się w ekstremizm, uniknęli konfrontacji, zaś konsekwentnym organizowaniem oporu wymusili powolną zmianę metod wojskowych rządów. Po dwóch latach obserwujemy ewolucję wojskowej dyktatury ku swego rodzaju „samoograniczającej się kontrrewolucji”. W grudniu 1981 roku generałowie parli do konfrontacji, do „gorącej” wojny domowej, którą musieliby wygrać. Tę muszą przegrać. Nie dziś, to jutro.

Precyzyjnym wskaźnikiem zakresu wpływów „Solidarności” jest bojkot nowych, oficjalnych związków zawodowych. Każdy z robotników bojkotujących te związki płaci za to wysoką cenę: jest przede wszystkim bity po kieszeni. W warunkach narastającej nędzy decyzja bojkotu ma dla większości robotniczych rodzin wymiar heroiczny. A jednak ten codzienny plebiscyt „Solidarność” wygrywa. Polscy robotnicy w ten sposób codziennie oddają głos na rzecz swego związku.

Nęda działa wyniszczająco i jej ciśnienie jest trudne do wytrzymania bez bodźców natury moralnej. Takim bodźcem było dla Polaków przyznanie Pokojowej Nagrody Nobla Lechowi Wałęsie. Nagrodę poprzedziło demonstracyjne przyjęcie Wałęsy przez

Papieża Jana Pawła II; seria publicznych deklaracji przywódcy „Solidarności” na temat potrzeby walki społecznej o porozumienie, wreszcie słynne już spotkanie polemiczne na terenie Stoczni Gdańskiej z M. F. Rakowskim. Tam, replikując na brutalny i demagogiczny atak wicepremiera, Wałęsa — przy entuzjastycznym poparciu stoczniovców — odpowiedział propozycją negocjacji nad porozumieniami („ktoś musi być w tym kraju rozsądny”) i spokojnie skrytykował linię polityczną obecnego kierownictwa partyjnego („socjalizm tak, wasze metody — nie”). Po spotkaniu w Stoczni i kompromitacji wicepremiera agresja propagandowa na Wałęsę osiągnęła wymiary niespotykane. Oskarżono go — zwyczajowo — o zdradę narodową oraz działanie z chęci zysku. Dziennikarze partyjni — a i ministrowie — delectowali się ujawnianiem jakiejś rzekomo podsłuchanej rozmowy Wałęsy z bratem, z której wynikało, że myśli on tylko o dolarach. Była to najwyraźniej projekcja własnych marzeń, gdyż bezpośrednio po otrzymaniu nagrody Nobla Wałęsa oświadczył, że przeznaczą całą jej sumę na organizowaną przez Kościół fundację dla rozwoju rolnictwa. Byłoby śmieszne, gdyby za jakiś czas wyszło na jaw, że na decyzję norweskich jurorów decydujący wpływ miały te nikczemne ataki urzędowych kłamców.

Niewątpliwie jest wszakże, że swą działalnością Wałęsa zasłużył na tę nagrodę tak, jak nikt inny na świecie. Albowiem tak jak Martin Luther King stał się symbolem walki o prawa obywatelskie Murzynów przy wyrzeczeniu się przemocy, tak Wałęsa stał się symbolem pokojowych metod walki robotników w Przedsiębiorstwie Ustroju o pełnię praw obywatelskich. W powszechnym odczuciu nagroda dla przywódcy „Solidarności” była wyrazem uznania międzynarodowej opinii publicznej dla zdelegalizowanego związku zawodowego. Korzystając z glejtu nietykalności — dotychczas komuniści uważają go za „świętą krowę” — Wałęsa mówi głośno to, co myślał działający w podziemiu i uwięzieni członkowie „Solidarności”.

Ten przywódca, a zarazem legalny rzecznik podziemnej „Solidarności”, który wrócił na swe stanowisko elektromontera w Stoczni im. Lenina (taki powrót nie zdarzył się żadnemu ze zdegradowanych działaczy PZPR — ci potrafią być tylko generałami, ministrami albo ambasadorami) jest dziś symbolem walki polskich robotników.

Nie jest to wszakże symbol jedyny. Symbolami są także działający od dwóch lat na nielegalnej stopie przywódcy podziemia w Warszawie i Gdańsku (Zbigniew Bujak i Bogdan Lis), symbolami są skazani na kary więzienia przywódcy robotniczy z Wrocławia (Władysław Frasyniuk i Piotr Bednarz), symbolami są oczekujący na procesy Gwiazda, Jaworski, Modzelewski i inni.

Przywódcy podziemia, działający w niezwykle trudnych warunkach, ścigani i oplukiwani, wykazali w swych poczynaniach wielką wyobraźnię polityczną, rozsądny umiar i żelazną konsekwencję. Przeprowadzili „Solidarność” przez najtrudniejszy okres, czyniąc z niej ogólnospołeczny ruch Polaków zdolnych do walki i gotowych do porozumienia. Do nich przeto w pierwszym rzędzie kieruję poniższe uwagi, żywiąc przekonanie, że dzisiaj ten ruch staje przed nowym trudnym zakretem.

Katastrofalna nieudolność ekipy generałów i antyrobotnicze ostrze ich polityki społecznej ujawniają z coraz większą brutalnością, że droga Jaruzelskiego nie ma żadnej rozsądnej perspektywy. Żadne wojskowe porady i proklamacje nie zmieniają faktu, że po dwóch latach tych rządów ludziom żyje się coraz ciężiej. Ten stan rzeczy — jak się wydaje — rodzi nową falę nastrojów radykalnych. Narastający gniew i głucha nienawiść stanowią mieszaninę wybuchową, która może eksplodować. Coraz częściej padają głosy, że trzeba będzie znów „umierać za Polskę”. Są to wszakże głosy niebezpieczne — i o tym wymiarze chciałbym kilka słów powiedzieć.

Sytuacja międzynarodowa — także z polskiego punktu widzenia — uległa od grudnia 1981 roku istotnym przeobrażeniom. Polska jest nadal częścią sowieckiego imperium i nie dysponuje siłą zdolną do pokonania Czerwonej Armii. Przed dwoma laty czynnikiem hamującym „interwencyjne” dążenia Kremla był lęk przed instalacją rakiet. Dziś sowieckich przywódców nic nie powstrzyma, jeśli uznają sytuację w Polsce za rewoltującą. To może się wydarzyć, gdy „beton” przekona Andropowa, że tylko „bratnia pomoc” ocalić może Polskę przed „kontrewolucją”. Należy uznać raczej za pewnik, że w takiej chwili Kreml nie pośle do Polski grupy negocjacyjnej, lecz dywizję generała Kulikowa. Należy zatem przyjąć, że dziś żaden strajk — także strajk generalny — nie wymusi na komunistach porozumienia, zaś Jaruzelski i jego generałowie zapłacą każdą cenę, by utrzymać się przy władzy. Dlatego — moim zdaniem — nakazem chwili jest wyrzec się myśli o radykalnym uderzeniu na centralne ośrodki władzy. Nie rokuje ono dzisiaj najmniejszych nawet nadziei na sukces, zaś masakrę czyni czymś wielce prawdopodobnym. Sowietkiej interwencji mamy obowiązek uniknąć za wszelką cenę. Patriotycznym nakazem chwili nie jest dziś śmierć za Polskę, ale życie dla Polski.

Dlatego w najbliższym czasie — moim zdaniem — „Solidarność” powinna pozostać przy metodach wypracowanych w ciągu ostatnich dwóch lat. Mają sens okresowe manifestacje, mają sens dobrze przygotowane strajki, mają sens działania długofalowe

(prasa i radio, wydawnictwa i samokształcenie). Nie mają sensu działania zmierzające do totalnej konfrontacji.

Wbrew głosom postulującym tworzenie dziś partii politycznych jestem zdania, że model podziemnej „Solidarności” sprawdził się i wytrzymał próbę czasu. Dobrze się dzieje, że działacze aresztowanych zastępują wciąż nowi — tak powinno być i w przyszłości. Społeczeństwo musi znać przynajmniej tych kilka nazwisk osób, do których ma bezwzględne zaufanie i które są tu, nie za granicą. Emigracja może pełnić — i pełni — niezmiernie doniosłą rolę, ale podziemnego kierownictwa krajowego nigdy nie będzie w stanie zastąpić. Dobrze się dzieje, że regiony i środowiska zawodowe mają szeroką autonomię — to warunek niezbędny istnienia podmiotowości w łonie ruchu. Dobrze się dzieje, że podziemna „Solidarność” pozostawiła członkom związku wolną rękę w szukaniu form działalności legalnej i oficjalnej. Są to niezwykle ważne formy obecności ruchu w życiu społecznym, ale mają one sens tylko o tyle, o ile są podejmowane w wyniku świadomej konsultacji z kierownictwem podziemnej „Solidarności”. Pluralizm form nie może oznaczać tolerancji dla zdrady i zaprzęstwa, a tak właśnie należy określić działalność niektórych byłych działaczy „Solidarności” w nowych związkach zawodowych. Nie są to — na szczęście — przypadki nazbyt liczne.

Innymi słowy: wciąż opowiadam się za strategią „długiego marszu”. Zbliżające się wybory do Sejmu i rad narodowych (o ile znów nie zostaną odroczone) winny być okazją dla sformułowania przez „Solidarność” programów alternatywnych. Dzięki nim ewentualny bojkot wyborów nie będzie li-tylko aktem negacji, ale i gestem pozytywnej opcji za programem wyprowadzenia Polski z kryzysu. Zasadniczy program alternatywny — sformułowany jasno i czytelnie — powinna ogłosić TKK. Powinny wszakże ogłosić swoje programy szczegółowe także ogniw regionalne i środowiska zawodowe. Potrzebny jest zwłaszcza jasno sformułowany zespół niezbędnych postulatów dotyczących prawa narodu do podmiotowości i prawa każdego obywatela do życia w praworządnym państwie.

Powinien zostać również na nowo sformułowany program porozumienia między władzą a społeczeństwem. Nie po to, by stwarzać Polakom iluzję, że takie porozumienie jest dziś możliwe, ale po to, by nie zaprzepaścić szansy na porozumienie wtedy, gdy okaże się ono choć trochę bardziej prawdopodobne, gdy Jaruzelski wspólnie z Olszowskim, Rakowskim i Siwakiem porzuci stanowiska sekretarzy i powędrują na zasłużony odpoczynek. Ustąpienie tych ludzi — odpowiedzialnych za obecny kryzys polityczny — jest niezbędnym warunkiem wyprowadzenia Polski z kryzysu. Oni nie są już zdolni do porozumienia i nie są wiary-

godni jako partnerzy dialogu. Tak jak warunkiem minionego porozumienia z sierpnia 1980 roku było ustąpienie Gierka, tak warunkiem porozumienia przyszłego jest ustąpienie Jaruzelskiego i całej jego ekipy, złożonej z generałów, „betonu” i elokwentnych dziennikarzy ze stajni Rakowskiego. Przez minione dwa lata ci ludzie zrobili wszystko, by dowieść, że nie potrafią wyprowadzić Polski z kryzysu, a ich metody sprawowania władzy nie uzyskały społecznej aprobaty.

Polski dramat nie rozgrywa się jednak wyłącznie na polskiej scenie. O polskim losie stanowić będzie również bieg wydarzeń na scenie międzynarodowej. Tu zaś sytuacja jest tak skomplikowana i niedefinitywna, że jej wynikiem może być zarówno nowa wojna światowa jak i nowa światowa Jałta — porozumienie supermocarstw w skali globalnej. Cokolwiek się stanie, wynik obecnych zmagających mocarstw może mieć wpływ na los Polski. Natomiast Polacy wpływu wielkiego na wynik tych zmagających mieć nie będą.

Owszem, była taka szansa. Gdyby Jaruzelskiemu starczyło wyobraźni, to mógłby wykorzystać papieską wizytę do zwrotu politycznego ku porozumieniu. To mogło mieć wtedy istotny wpływ na klimat międzynarodowy, mogło zahamować wzrost napięcia. Wiązało się z tym ryzyko, ale polityka obrona, polityka represyjna, wiedzie ku pogłębieniu kryzysu.

Po dwóch latach polityki sankcji wobec rządu PRL Ronald Reagan może mieć pełny tytuł do satysfakcji. Jego polityka okazała się skuteczna. Mimo przechwałek Jaruzelskiego, mimo szumnie deklarowanej „reorientacji” w stronę ZSSR, pomoc bratnich partii nie na wiele się zdała. Wystawiając dziś rachunki Amerykanom za sankcje, rząd PRL wystawia rachunek sobie, swojej koncepcji politycznej i swojej zdolności przewidywania. Słuszność mieli ci ekonomiści, którzy już w pierwszych tygodniach stanu wojennego przepowiadali, że bez kredytów i porozumienia władzy ze społeczeństwem żaden rząd nie wyprowadzi Polski z kryzysu. Dlatego też ten rząd ponosi dziś pełną odpowiedzialność za nędzę Polaków, za to, że nie są zaspokojone ich elementarne potrzeby. Droga wyjścia były rozmowy z „Solidarnością”, które wielokrotnie proponowali zarówno przywódcy podziemia jak i Lech Wałęsa. Za aroganckie odrzucenie tych propozycji płaci dziś cały naród. Za tę politykę — nie mam co do tego żadnych wątpliwości — społeczeństwo wystawi ekipie Jaruzelskiego rachunek znacznie bardziej surowy niż ten, wczoraj wystawiony ekipie Gierka. Nasi generałowie przez dwa lata swych rządów zrujnowali nasz kraj w nieporównywalnie większym stopniu, niż Gierkowski promieniści przez lat dziesięć.

Tak więc prezydent Reagan osiągnął w Polsce swe cele. Dopiął tego, że Polacy nie mają żadnych złudzeń, że gdyby nawet amerykański imperializm jakimś cudem ofiarował Jaruzelskiemu kolejne miliardy dolarów, byłyby one w całości zmarnotrawione. Generałowie wierzą, że dolary poprawią sytuację gospodarczą, a zaś przyniesie aprobatę społeczną dla ich rządów. Mylą się: drogą do dolarów i aprobaty społecznej jest porozumienie ze społeczeństwem. Powinien to zdanie dobrze przemyśleć następca Jaruzelskiego na stanowisku przywódcy państwa.

Powinien też przemyśleć nowe akcenty w polityce Stanów Zjednoczonych. Podejmowana coraz częściej przez przywódców amerykańskich krytyka Jałty oznacza w istocie rzeczy krytykę ładu politycznego w Europie, opartego na stalinowskiej interpretacji podziału kontynentu na strefy wpływów.

Niezwykłe nerwowa reakcja przywódców PZPR na każde amerykańskie wspomnienie o Jałcie jest bardzo znamienne. Dla nich Jałta jest podstawową legitymacją sowieckiej dominacji nad Polską i władzy komunistów w Polsce. Dlatego gorączkowo przypominają, że to właśnie Jałta przesądziła o granicy na Odrze i Nysie, miast — zgodnie z polską racją stanu — przypominać, że zachodnia granica została uznana za ostateczną przez oba państwa niemieckie.

Czy krytyka Jałty oznacza zagrożenie polskiej granicy zachodniej? Nie sądzę. Idzie tu raczej o zadeklarowanie, że dyktatury komunistyczne w Europie nie mogą czerpać żadnej legitymacji z porozumień międzynarodowych, zwłaszcza wtedy, gdy ich same nie respektują.

Konferencja jałtańska będzie za rok obchodzić swój jubileusz. Stanowi to dobrą okazję do refleksji nad bilansem tego porozumienia, w którym złowrogi geniusz Stalina zdołał owinąć dookoła palca nieco naiwnego i prostolinijnego Franklina D. Roosevelta. Czy rząd Stanów Zjednoczonych oficjalnie zerwie porozumienie jałtańskie? Nie przypuszczam. Bardziej prawdopodobne wydaje mi się, przynajmniej dzisiaj, przypomnienie treści tamtych porozumień i stwierdzenie, że ich istota została jednostronnie pogwałcona przez Stalina. Bowiem Jałta przynosiła gwarancję, że Polska nie będzie państwem wrogiem Związkowi Sowieckiemu, ale nie gwarantowała honorowania systemu totalitarnych dyktatur komunistycznych nad Polską i połową Europy. Sfałszowane wybory w styczniu 1947 roku były pogwałceniem porozumień jałtańskich, a nie ich realizacją. I ten temat może stać się przedmiotem nowego porozumienia amerykańsko-sowieckiego.

Bez wątpienia wielkim sukcesem polityki sowieckiej jest skupianie powszechnej uwagi wokół tematu równowagi militarnej.

A przecież zbrojenia są sprawą wtórną. Żadne rakiety zainstalowane po obu stronach Łaby nie zagrażą pokojowi, jeśli w ład pokojowy nie będą wmontowane mechanizmy wewnętrznej destruktacji. Trzecia Rzesza rozpętała wojnę nie dlatego, że miała czołgi, ale dlatego, że miała Hitlera, który — jak nikt inny — potrafił pięknie mówić o pokoju i rozbrojeniu. Dlatego zachodni pacyfizm nie ocalił pokoju, a tylko nakłaniał społeczeństwa demokratyczne do kolejnych ustępstw na rzecz zaspokojenia żarłocznych apetytów autora *Mein Kampf*. Walczyć skutecznie o pokój — wtedy i dzisiaj — można tylko walcząc o ład oparty na prawach człowieka. Kto tego nie rozumie, kto uważa, że bezbronność sprzyja pokojowi, ten przygotowuje grunt pod kolejny *Anschluss*, kolejne Monachium, kolejny pakt Ribbentrop-Mołotow.

Ten zaś kto szuka dróg do odprężenia w stosunkach między narodowych winien przewidywać, że problem praw człowieka stać się musi niezbywalnym elementem ewentualnego porozumienia supermocarstw. Nie wystarczą już ogólnikowe formuły Stalina o demokracji, które Roosevelt brał za dobrą monetę; te torują drogę do nowych napięć i konfliktów oraz stanowią fasadę dla totalitarnej przemocy.

W obliczu wielkiego zaostrenia w polityce międzynarodowej bilansu ostatnich dwóch lat w Polsce dokonują także przywódcy sowieccy. Zapewne przyglądają się Polsce z uwagą i nieufnością. Wbrew swym deklaracjom wcale nie lękają się odstępstw od ideologicznej ortodoksji. Lękają się „kontrewolucji” w Polsce, czyli masowych wystąpień przeciwko rządowi komunistycznym. Są to obawy w pełni uzasadnione. Bez odpowiedzi natomiast pozostaje nadal pytanie, czy na Kremlu rozważane są scenariusze alternatywne, czy poza wariantem „siłowym” rozważany jest również wariant kompromisowy. Bowiem problem relacji polsko-sowieckich nadal pozostaje otwarty. Ich przyszłość zależy w znacznej mierze od sowieckiej interpretacji wydarzeń w Polsce. Czy w zgodzie z tezą Stalina przywódcy sowieccy będą w nich dostrzegać efekt „nasilającej się walki klas w procesie budownictwa socjalistycznego” i spisek kontrewolucyjny, inspirowany przez amerykańskie służby wywiadowcze? Czy też odnajdą w nich wyraz nieusuwalnych polskich aspiracji, których istnienie trzeba przyjąć do wiadomości?

Inaczej mówiąc: najbliższy czas może pokazać, czy sowieccy przywódcy potrafią uczyć się na błędach poprzedników i swoich własnych. Czy w porę dostrzegą, że polityka oparta na sile bywa zawodna, czego dowiodło doświadczenie konfliktów z Jugosławią i Chinami?

Sowieccy przywódcy nie są w stanie zrobić z Polski okna wystawowego swej pomocy gospodarczej. Po dwóch latach „reo-

rientacji" prawda ta ujawnia się z całą oczywistością. Mogą natomiast uczynić z Polski okno wystawowe swych intencji pokojowego rozstrzygnięcia konfliktów międzynarodowych. Na to potrzeba odwagi i wyobraźni. Ale w ogóle na przełamanie obecnego kryzysu międzynarodowego potrzeba odwagi i wyobraźni.

Powtórzmy: Polacy nie mają wielkiego wpływu na politykę globalną, choć ewolucja sytuacji w Polsce może sprzyjać lub przeszkadzać odprężeniu. Nie od nas jednak zależy instalacja rakiet, los rokowań genewskich, wojna w Libanie. Dlatego polityka polska winna być dziś ostrożna i zrównoważona. W obliczu możliwych zmian na politycznej szachownicy świata raz jeszcze przypomnieć wypada zasadnicze rysy polityki, jakiej Polacy dziś potrzebują.

Po pierwsze: potrzebują polityki opartej na ciągłym i konsekwentnym demonstrowaniu dążenia do podmiotowości. Z tej perspektywy rola „Solidarności” jest bezcenna. Dzięki niej Polska z dodatku do sowieckiego imperium znów stała się czymś żywym, obecnym w refleksji politycznej całego świata. „Solidarność” dowiodła, że nie jest możliwe trwałe odprężenie w Europie bez respektowania polskiej woli wolności.

Po drugie: potrzebują polityki długofalowej, obliczonej i planowanej na lata, a nie na tygodnie; polityki cierpliwie i konsekwentnie dobijającej się o prawa obywatela i narodu; polityki budowania społecznych więzi poza strukturami życia oficjalnego; polityki budowania suwerennego społeczeństwa w niesuwerennym państwie.

Po trzecie: potrzebują polityki wielowariantowej, otwartej na różne możliwe scenariusze biegu wypadków. Takiej polityki, która zakładać będzie możliwość porozumienia między władzą i społeczeństwem oraz takiej, która polegać będzie na współistnieniu z władzą w warunkach braku porozumienia. Niezbędne są — konstruowane już tu i teraz — różne warianty stosunków polsko-sowieckich. Przywódcy ZSSR powinni mieć świadomość, że mogą mieć w Polsce partnera do negocjacji, że nie są skazani na komunistów jako jedyne gwaranta swych interesów. Co więcej, powinni mieć świadomość, że układ kompromisowy z reprezentacją polskiego społeczeństwa może być lepszym gwarantem ich państwowych interesów niż opieranie się na realizujących koncepcję państwa „garnizonowego” rządach generałów i „be-tonu”.

Po czwarte: potrzebują polityki, która będzie łączyć wizję głębokich strukturalnych przekształceń z realizacją codziennych potrzeb społecznych, wynikających z życia w kryzysie. Budowanie wspólnot „solidarności przeciw kryzysowi” jest równie ważne jak organizowanie manifestacji i konstruowanie programów wiel-

kiej demokratycznej reformy. Demokratyczną reformę może zrealizować tylko społeczeństwo dojrzałe do demokracji. Dojrzeć zaś może i powinno już dzisiaj, funkcjonując w swych autentycznych wspólnotach.

Po piąte: potrzebują polityki opartej na prawdzie. Nie wolno nikogo łudzić obietnicami łatwego i rychłego sukcesu. Nie trzeba bać się prawdy. Prawda nikomu nie odbierze nadziei i nikogo nie przywiedzie do rozpacz. Prawda jest najtrwalszym fundamentem polityki realistycznej i skutecznej, bronią bezbronną i pancerzem obnażonych. By móc przetrwać ten trudny okres, Polakom potrzebne są nie tylko słowa ku pokrzepieniu serc, ale i rachunek ich własnych słabości. Rachunek taki sporządzić może tylko „Solidarność”. I musi go zacząć od siebie. Powinni tę pracę — na zlecenie TKK — wykonać eksperci „Solidarności”, prawnicy, socjologowie, ekonomiści.

Ostatnie dwa lata ujawniły wartość i siłę „Solidarności”. Jak bardzo jest to niezwykły ruch, pokazały nie miesiące między sierpniem 1980 a grudniem 1981, kiedy niejednemu wydawało się, że związek jest trampoliną do kariery, a właśnie te trudne dwa lata bytowania w podziemiu pod rządami generałów.

Jako uczestnik — wprawdzie bierny — tego ruchu, odczuwam nieprzerwanie dumę z moralnej i politycznej postawy „Solidarności”, jej przywódców i szeregowych działaczy. Dlatego właśnie czuję się w prawie postulować, by ruch ten zdobył się na trzeźwy ogląd samego siebie. „Solidarność” musi mieć odwagę jasno sformułować prawdy, dla których była targana tak głębokimi konfliktami przed grudniem 1981 roku. Myślę tu w szczególności o zarażeniu się komunistycznym modelem uprawiania działalności społecznej, o braku kultury polemiki, o ignorowaniu istotnych treści pluralizmu w życiu publicznym. Myślę tu i o tym, że wśród działaczy związkowych znaleźli się nie tylko ludzie słabi i durni, nie tylko osobnicy pijani żądzą władzy, ale także zdrajcy i zwykli przestępcy. Epoka między Sierpniem a Grudniem uwydatniła nie tylko żywotność i talent społeczności Polaków, ale i tkwiące w psychice zbiorowej ciemne zakamarki, efekt długich lat zniewolenia.

W tym sensie zresztą — myślę — generałowie wyświadczyli ruchowi nieświadomą przysługę. Ich represje wymiotły z ruchu brud karierowiczów. Prześladować „Solidarność” nie zniszczą ruchu, lecz go uszlachetnią. W ten sposób pracują dla nas, choć całkiem inne intencje ich działaniu przyświecają. Nas doskonała, a sami podążają w mrok, który jest kołyską ich politycznej śmierci.

Wiem coś o dziwnym paradoksie człowieka, któremu niemal

wszystko zabrano i dlatego musi skoncentrować się na tym, co najważniejsze. Owocem tej sytuacji są powyższe refleksje, które niechaj będą również moją odpowiedzią na propozycję uzyskania wolności za cenę opuszczenia mojej ojczyzny. Otóż: nie! Nie opuszczę Polski, nie zamienię więziennej celi na Mokotowie na mieszkanie w Paryżu lub Wiedniu. Chcę stąd świecić w oczy generałom jak nieustanny wyrzut sumienia.

I stąd chcę się raz jeszcze zwrócić do moich przyjaciół: trwajmy w tym, co najważniejsze; twórzmy to, co możliwe; odwracajmy wzrok od tego, co podłe.

Adam Czartoryski, jeden z wielkich Polaków ubiegłego stulecia, mawiał: „Czyń coś powinien, będzie co może”.

Adam MICHNIK

Radio Wolna Europa

(LIST Z KRAJU)

Nie będzie zapewne z mej strony nadużyciem, jeśli artykuł Bogdana Stasikowskiego „Trzy rozgłoszenie” z październikowego numeru *Kultury* potraktuję jako wstęp do dyskusji na temat zachodnich audycji radiowych nadawanych do Polski. Chciałabym jednak ograniczyć się wyłącznie do uwag na temat Radia Wolna Europa, bowiem bezsporny wydaje mi się fakt, że jest ono najważniejszą rozgłosnią dla polskiego społeczeństwa. Popularność Radia France Internationale, na którą słusznie zwraca uwagę Stasikowski, tłumaczyć można nową formułą audycji, zwłaszcza informacyjnych, nadawanych z Paryża, jednak wpływ i znaczenie RWE są bez porównania większe, już choćby dlatego, że Monachium nadaje kilkanaście razy więcej programów.

W tekście Stasikowskiego zabrakło jednego z najważniejszych wątków a mianowicie sprawy linii politycznej rozgłosni. Ciekawe i — jak mi się wydaje — trafne uwagi krytyczne na ten temat, abstrahując od języka w jakim zostały wyłożone, zamieścił miesięcznik *Niepodległość* w nr. 20. Przytaczam kilka cytatów dotykających istoty problemu:

[Rozgłosnia Polska Radia Wolna Europa] stawia na rewizjonizm (dodawanie ludzkiej twarzy socjalizmowi) oraz wyolbrzymia (lub sama tworzy) walki frakcyjne wewnątrz PZPR. [...] Obok Bernarda Margueritte'a RWE jest w awangardzie propagandy usiłującej rozdmuchiwać problemy walki „liberalnej” frakcji Jaruzelskiego z „twardogłowymi”. W ten sposób walka narodu

z kliką Jaruzelskiego odchodzi na dalszy plan, a główne zainteresowanie kieruje się na fikcyjną grę pozornych frakcji w PZPR. Wydaje się nam, że RWE uważa za ważniejsze wpływanie na członków PZPR niż popieranie opozycji. Jej [chyba jego — radia — przyp. S.B.] celem jest zliberalizowanie PZPR i pokierowanie jej w kierunku rewizjonizmu. (Józef K.: *Stan polskiej emigracji w 1983 roku*).

Autor nie precyzuje wprawdzie, w jaki sposób RWE miałyby traktować „walkę narodu z kliką Jaruzelskiego”, nie sądzę ponadto, aby jedynym układem odniesienia linii programowej radiostacji miała być opozycja; zresztą najpierw należałoby bliżej zdefiniować pojęcie opozycji. Także wysunięty przez autora w dalszej części artykułu postulat „doinformowania rozgłosni zachodnich o problemach podziemia” byłby w pełni słuszny wówczas, gdybyśmy przyjęli, że Wolna Europa „stawia” na podziemiu, co wydaje mi się — mówiąc ogólnie — ryzykowne, zwłaszcza że wpływy i autorytet polityczny struktur tajnych, z TKK włącznie, wyraźnie zmalały. Irytujące jest jednak ciągłe ekshumowanie przez RWE trupa rewizjonizmu i eurokomunizmu. Zarzut ten dotyczy audycji różnego rodzaju — od dziennika radiowego poczynając, gdzie skrupulatnie odnotowuje się krytyczne wypowiedzi zachodnioeuropejskich komunistów o praktyce stosowanej w bloku sowieckim, a na własnych komentarzach rozgłosni (codzienny program „Fakty - Wydarzenia - Opinie”) kończąc.

Odnosi się wrażenie, że głównym autorem RWE omawiającym sprawy krajowe jest Michał Suszycki, którego rozwlekłe, pełne mowy-trawy komentarze nadawane są niemal codziennie. Suszycki jest najbardziej typowym reprezentantem tendencji trafnie scharakteryzowanej w przytoczonym artykule *Niepodległości*. Największą jego troską jest chyba to, że Jaruzelski nie słucha dobrych rad, których udzielają mu liberałowie i pragmatycy z PZPR-u, Daniel Passent z *Polityki* i sam Suszycki. Nie wiem w jakim stopniu RWE świadomie rezygnuje z zajmowania własnego stanowiska wobec najważniejszych problemów kraju, w każdym razie dla Suszyckiego najwyższym autorytetem są przywoływane ciągle opinie o Polsce w zachodniej prasie.

Inny komentator rozgłosni — Mateusz Kielski — stwierdził w nadanym przed kilkoma tygodniami tekście, że Jaruzelski jest „głęboko przywiązany do narodowych tradycji i symboli” oraz porównywał dyktatora PRL z Wielopolskim. Nadawanie takich opinii, nie opatrzonych żadnym komentarzem czy polemiką, budzić musi co najmniej zdziwienie.

Jeśli RWE nie jest w stanie o własnych siłach wyjść poza błędne koło zaklinania reżymu aby był lepszy i mądrzejszy, powinno może zaproponować współpracę publicystom działającym poza krajem.

Niemniej jednak aktualne pozostaje pytanie, dlaczego stanowisko Wolnej Europy wobec najistotniejszych wydarzeń krajowych (międzynarodowych zresztą też) jest dziwnie niejasne bądź

też nie ma go wcale. Nie wiadomo np. dlaczego po przyznaniu Wałęsie nagrody Nobla dyrektor RWE nie wystąpił osobiście przed mikrofonem. Jeśli się nie mylę jest to pierwszy przypadek odstąpienia od zasady, którą stosowano przez lat trzydzieści — dyrektor rozgłosił w chwilach tak ważnych dla społeczeństwa w kraju zabierał głos na antenie.

Wolna Europa nie miała nic do powiedzenia na temat wywołujących w społeczeństwie różne kontrowersje wypowiedzi kardynała Glempa. Można zrozumieć, że rozgłosił niezręcznie jest występować z krytyką księdza prymasa, można jednak urządzić dyskusję, w której konfrontuje się różne stanowiska czy nadać dwa komentarze w formie dwugłosu. Najgorsza zaś jest taktyka uciekania od problemu, którą RWE zdaje się stosować.

Dziennik radiowy również nie jest najmocniejszą stroną Wolnej Europy, zresztą nie tylko z uwagi na opóźnienia informacyjne w stosunku do innych rozgłośni. Denerwują słuchaczy w kraju błędy w nazwiskach czy funkcjach osób powszechnie znanych, np. ze Zbigniewa Bujaka uczyniono nawet przewodniczącego Komisji Krajowej. Zupełnie niezrozumiałe w instytucji obsługiwanej jakby nie było przez emigrantów jest nadużywanie frazeologii propagandy komunistycznej („lud pracujący”, „przywódcy radzieccy”). Częstokroć RWE nadaje też, w wersji niemal nie różniącej się od Dziennika Telewizyjnego — wiadomości o poczynaniach dygnitarzy PRL i ZSRR. Granicę przyzwoitości przekroczyła Wolna Europa określając zestrzelenie południowokoreańskiego samolotu mianem „incydentu”.

Sporo pozostawia do życzenia serwis spraw międzynarodowych w RWE. Słuchaczy nie znających Zachodu wprowadza się w błąd, wybijając słowne protesty czy pozbawione znaczenia politycznego wypowiedzi w obronie „Solidarności” bądź Sacharowa i przemilczając równocześnie troskę Zachodu o jak najlepsze stosunki z Sowietami oraz tendencje neutralistyczne i autofinlandyzacyjne w Europie Zachodniej.

Dziwnie mało miejsca poświęca się polityce amerykańskiej; korespondencje z Waszyngtonu, skądinąd bardzo dobre, nie wystarczają. Zwiększenie ilości audycji na ten temat wydaje się potrzebą chwili, zważywszy na popularność Stanów Zjednoczonych w polskim społeczeństwie (w końcu nie jest dziełem przypadku, że robotnicy demonstrujący w Nowej Hucie skandowali: „Niech żyje Reagan!”). Sprawa sankcji amerykańskich — główna linia uderzenia propagandy reżymu — to też dla Wolnej Europy sprawa drugorzędna. Z drugiej zaś strony brakuje komentarzy na temat napięć pomiędzy państwami zachodnimi na tle gospodarczym, co w PRL wykorzystuje antyzachodnia propaganda.

RWE nadaje codziennie „Przegląd prasy zachodniej”. Audycja ta, przynajmniej w obecnej formie, przynosi słuchaczowi w Polsce, zwłaszcza nieprzygotowanemu, więcej szkód niż pożytku. Po śmierci Breżniewa Wolna Europa obficie cytowała głosy prasy zachodniej chwalejące dyktatora i przypisujące z kolei nowemu gensekowi zamiary liberalne i reformatorskie. Natomiast już

przed paroma laty zniknęła z programu RWE audycja „U naszych sąsiadów”, gdzie m.in. omawiano sprawy sowieckie. Po akcji amerykańskiej na Grenadzie równie hojnie serwowano krytyczne głosy zachodnich dziennikarzy. Nadawanie takich omówień prasowych bez komentarza dezorientuje tego słuchacza krajowego, dla którego RWE jest jedynym kanałem informacyjnym o sytuacji międzynarodowej. Wydaje mi się, że dyskusje o prasie krajowej należałoby zastąpić dyskusjami o prasie zachodniej. Podobnie należałoby zwiększyć ilość programów poświęconych zapalnym punktom na mapie świata, gdzie kieruje się ekspansja sowiecka. Ameryka Środkowa, Bliski Wschód czy Afryka — to problemy prawie w ogóle nieobecne w prasie podziemnej a z drugiej strony całkowicie fałszowane przez reżymowe środki przekazu. Można by przy tym korzystać z zachodnich miesięczników czy kwartalników poświęconych sprawom międzynarodowym. Taką innowację zapowiadał zresztą dyrektor Z. Najder w wywiadzie opublikowanym w maju 1982 roku w *Kulturze*, tymczasem obecnie RWE ogranicza się głównie do dzienników.

Należałoby również więcej uwagi poświęcić emigracji, której rola polityczna i kulturalna automatycznie wzrosła po 13 grudnia. Poszukiwanymi w kraju rarytasami są książki wydawane na uchodźstwie — przegląd nowości wydawniczych czy recenzje wybranych pozycji powinny również wejść do programu Wolnej Europy.

Nie jest moim celem druzgocąca krytyka audycji RWE. Piszę tu o sprawach, które mogą być wynikiem świadomych decyzji (bądź ich braku), należałoby zatem — jeśli tak w istocie jest — poddać je rewizji. Nie wiadomo jakie czynniki i w jakim stopniu decydują o ostatecznym produkcie wychodzącym w eter. Co zależy od autora programu, co od dyrekcji, co od odgórnych ustaleń a co od elementów przypadkowych jak np. czas czy dostępne materiały.

Swych krytycznych ocen nie będę również zestawiała z pochwałami, bo nie chodzi tu o wystawianie cenzurek. Nie mogę jednak oprzeć się wrażeniu, że zbyt często w audycjach RWE dominuje nijakość czy brak stanowiska. RWE, prócz prezentowania własnego stanowiska czy dyskusji z programami i koncepcjami opozycji w Polsce, powinno być także moderatorem dialogu między emigracją polityczną a ośrodkami krajowymi. Nic zmienia to rzecz jasna faktu, że niejako najbardziej elementarną funkcją radiostacji jest informowanie.

Słyszysz się czasem głosy, że RWE uprawia propagandę. Nie bardzo rozumiem dlaczego prawo do uprawiania propagandy mieliby mieć wyłącznie komuniści. Działalność propagandowa wcale nie wyklucza ani rzetelności informacyjnej ani prezentowania różnych opinii. Czasem jednak chwytły propagandowe RWE nie są najwyższej próby jak np. dowodzenie wyższości zachodniej demokracji nad komunizmem za pomocą argumentu, że na Zachodzie wolno demonstrować, krytykować rząd, mówić co się

chce itp. O tym, że system zachodni jest lepszy od systemu sowieckiego wiedzą dziś w Polsce nawet dzieci w przedszkolu.

Nie roszczę też sobie pretensji do obiektywizmu czy prezentowania opinii o RWE typowej dla jakiejś szerszej grupy społecznej. Zresztą mówienie o typowości jest dość ryzykowne, podobnie tzw. „statystyczny słuchacz” nie istnieje w rzeczywistości, jest tylko konstrukcją umysłu. Można chyba przyjąć — w oparciu o strukturę społeczną w Polsce — że największą ilość słuchaczy RWE stanowią robotnicy wielkoprzemysłowi i pracownicy umysłowi średniego szczebla. Ci jednak oczekują od radiostacji czegoś innego niż nieliczna w porównaniu z poprzednią grupą intelektualistów. Innymi znów preferencjami kierują się studenci czy uczniowie szkół średnich — pokolenie bardzo ciekawe, doświadczone i w znacznym stopniu zdeterminowane wydarzeniami ostatnich lat. Wydaje się, że Wolna Europa stara się uwzględnić te różnicowania, nadając specjalne audycje przeznaczone czy to dla robotników, czy dla rolników czy wreszcie dla młodzieży. Cenną pozycją jest wszechnica radiowa, której wykłady powinny zostać wydane drukiem i przesyłane do kraju, podobnie zresztą jak audycje „Z dziejów PRL” Tadeusza Żenczykowskiego. Trudno tu jednak wymienić postulaty, nie wiedząc jakie są możliwości ich realizacji.

Swoje uwagi traktuję jako głos w dyskusji, której RWE stanowczo zbyt rzadko bywa przedmiotem.

Stanisława BOGDAŃSKA



**KSIEGARNIA
POLEMICA**
WYDAWNICTWA POLSKIE
I OBCOJEZYCZNE NA TEMAT
POLSKI I EUROPY
WSCHODNIEJ
ANTYKWARIAT
49, RUE GAY LUSSAC
75005 PARIS
TÉLÉPHONE : 354.25.48
MÉTRO : LUXEMBOURG
AUTOBUS : 21-27 : FEUILLANTINES

Sąsiedzi

W sowieckiej prasie

Na początku grudnia szary sowiecki obywatel, z zawodu szofer, przewodniczący związków zawodowych w małej osadzie na półwyspie Jamał, przejeżdżając z wycieczką przez Paryż postanowił zostać na zgniłym Zachodzie. Pismo *Obozienie* (dodatek do *Russkoj mysli*) ogłosiło pełny wywiad z Jurijem Pietrowiczem Aleksandrowem, człowiekiem, który, jak kiedyś mawiano, wybrał wolność. Jurij Pietrowicz żył na krańcu świata, nad brzegiem Morza Karskiego. Życie w osadzie, do której raz w roku przybija statek, a poza tym można dojechać tylko helikoptrem — najzwyczajniejsze życie najzwyczajniejszych ludzi sowieckich, ich zwykłe troski, kłopoty, nadzieje.

Kolejnego przyływu nadziei doznali Jurij Pietrowicz i jego krajanie, kiedy dowiedzieli się, że wybrano im na wodza Jurija Władimirowicza Andropowa. Dlaczego mieliście nadzieję na zmianę? — pyta Jurija Pietrowicza dziennikarz. Na co Jurij Pietrowicz odpowiada tak, jak gdyby dzień w dzień słuchał zagranicznych radiostacji: „Wiedzieliśmy, że Andropow jest człowiekiem wykształconym, zna obce języki, zna Zachód...”.

Podobnie jak większość mieszkańców osady, Jurij Pietrowicz słucha zagranicznych radiostacji. Naczalstwo o tym wie i nie zabrania. Sowieckiemu człowiekowi mówi się dziś: Słuchaj sobie, słuchaj, tylko nie komentuj. Zezwolenie (nieoficjalne rzecz jasna) na słuchanie „głosów” wytłumaczyć można tym, że władze przekonały się, iż skutecznie zakazać tego nie są w stanie. Jest jednak i inny powód: radia zachodnie stały się dziś ważnym instrumentem dezinformacji ludzi sowieckich. Sowieccy słuchacze własnym środkiem przekazu nie wierzą, wierzą natomiast informacjom z Zachodu, przygotowywanym w rzeczywistości przez moskiewskich specjalistów od dezinformacji.

Jurij Pietrowicz twierdzi, że pokładane w Andropowie nadzieje rozwiąły się. Jego decyzja pozostania na Zachodzie jest tego dowodem. Korzystając ze szczodrego (i na Zachodzie wciąż jesz-

cze nie wyczerpanego) kapitału zaufania, Jurij Andropow bezustannie przykręca śrubę w ZSSR i zwiększa napięcie na całym świecie.

Tak jak płód wyrasta w naturalny sposób z nasienia, tak mnożą się oznaki powrotu do stalinowskich tradycji, przeradzając się stopniowo w siatkę decyzji administracyjnych i akcji ideologicznych.

W szeregu ideologicznych akcji poważną rolę odgrywają nagrody państwowe za 1983 rok. Pilna potrzeba głoszenia chwały Stalina doprowadziła do tego, że między laureatami znalazł się Iwan Stadniuk, nagrodzony za powieść „Wojna”, o której pisałem w *Kulturze* w styczniu 1971 roku, kiedy opublikowano pierwszą jej część. „Epopeja” ukończona została później, w 1974 roku, przypomniano sobie o niej jednak dopiero dziś, kiedy potrzebne jest niehamowane, bezgraniczne opiewanie genialnego wodza armii i Rosji. Drugim obok Stadniuka laureatem jest Aleksander Czakowski za powieść „Zwycięstwo”. O nim z kolei pisałem w latach 1980-1981, kiedy ukazywał się jego wielotomowy gniot. Z nagrodą dla „Zwycięstwa” czekano najwidoczniej, aż zapozna się z nim obecny wódz, bo Czakowski był nadwornym pisarzem Breżniewa.

Zarówno „Wojna” jak „Zwycięstwo” są niezrównanymi dowodami upadku, jaki przeżywa literatura sowiecka. Wbijają one sowieckiemu czytelnikowi do głowy dwa twierdzenia: Stalin wszystko wiedział, przy nim było dobrze; wojna, która kosztowała Związek Sowiecki 20 milionów istnień ludzkich, wywołana została przez anglo-amerykańskich imperialistów. Ci imperialiści dziś znowu się szykują do walki. Aby ich zwyciężyć, potrzebny jest nowy Stalin.

Do spisu jubileuszowych świąt dołączono także „cywilne” osiągnięcia Wodza i Nauczyciela. Gazety odnotowały na przykład uroczyste pięćdziesięciolecie Biełomorsko-Bałtyckiego Kanału, największego obozu koncentracyjnego do czasów Oświęcimia. Biełomorkanał, zbudowany — jak podkreślały jubileuszowe artykuły — „w rekordowo krótkim czasie” pochłonął nie mniej niż ćwierć miliona istnień ludzkich (o tym w gazetach nie piszą). Budowa ta zapisała się zdaniem gazet, „złotymi zgłoskami w dziejach dokonań Kraju Rad”...

Nekrolog Semiona Denisowicza Ignatiewa, podpisany „grupa towarzyszy” (*Prawda* z 30 listopada 1983), zadziwia nawet na tle intensywnej rehabilitacji Stalina. Zadziwiający jest nie tyle fakt samego nekrologu — umarł stary towarzysz, wypada wspomnieć! — i nawet nie fotografia, chociaż to już rzadkość. Niezwykłe jest to, że zmarły towarzysz przeszedł na emeryturę w 1960 roku i od dwudziestu trzech lat pamiętają o nim tylko jego ofiary. I oto nagle: „Świetlana pamięć o Semionie Denisowiczu Ignatiewie na zawsze pozostanie w naszych sercach”. Całe życie w partii, całe życie przepracował S. D. Ignatiew na średnich, a potem wysokich stanowiskach w aparacie. Dzień chwały wybił dla niego,

kiedy towarzysz Stalin osobiście wybrał go na stanowisko, o którym w nekrologu napisano: „W latach 1951-1953 był ministrem bezpieczeństwa państwowego”. To on — typowy urzędnik sowiecki, na którego fotografii rzucają się w oczy jedynie zdobiące pierś ordery i medale — dowodził stalinowskim terrorem w ostatnich latach życia Wodza, to on decydował o torturach, jakim poddano „lekarzy-trucicieli”, żydowskich „morderców w białych chałatach”, jak ich ładnie nazywano w owych czasach.

Kiedy pieją hymny na cześć katów, ceniom ofiar musi być nieswojo, a strach ogarnia tych, którzy czują się potencjalnymi ofiarami następców Ignatiewa i jego pana. Strach bynajmniej nie bezpodstawny. W więzieniach oficjalnie dozwolono na tortury. Jeszcze za Breżniewa wprowadzono „cele nacisku”, to znaczy cele, w których specjalnie dobrani kryminalni bili, torturowali, gwałcili i dręczyli na rozkaz śledczych albo administracji więziennej, usiłując wydobyć od więźniów zeznania. Cele takie istniały na prowincji, poniekąd półoficjalnie. Po dojściu do władzy Andropowa wprowadzono je w więzieniach moskiewskich — w ten sposób stały się instytucją oficjalną. Pierwszego października weszło w życie nowe prawo, pozwalające władzom więziennym i obozowym na przedłużanie wyroków od trzech do pięciu lat za „naruszenie regulaminu obozowego”. Ponieważ za „naruszenie regulaminu” można uznać wszystko, co się nie spodoba naczelnikowi, każdy wyrok sądowy może być automatycznie zastrzygnięty według widzimisię naczalstwa. Praktyka ta stała się popularna w ostatnich latach życia Breżniewa; za Andropowa została zalegalizowana. Sądy natomiast zaczęły działać z nieznanym dotychczas pośpiechem. W październiku filolog Tatiana Trudowa, lat 46, oskarżona o pomoc więźniom politycznym, skazana została na 18 miesięcy łagru w ciągu jednego posiedzenia sądu.

Filozofowie twierdzą, że wszystko jest względne. Niewykluczone, że mają rację. Brutalność przywódców sowieckich i ich głębokie przekonanie, że wszystko im wolno, rozpatrywać można jedynie w zestawieniu z ich poprzednikami czynami. Kolejny rekord brutalności ustanowił przewodniczący Sowietu Narodowości Najwyższego Sowietu ZSSR Witalij Rubin. Na konferencji prasowej dla dziennikarzy zagranicznych sowiecki działacz parlamentarny oświadczył na pytanie o powody bezprawnego wygnania Sacharowa do Gorkiego, że Sacharow „nie jest zdrowy na umyśle”, po czym dodał: „Słyszeliście być może, że wysłał list do USA, w którym wezwał rząd amerykański, aby zrzucił bomby atomowe na Związek Sowiecki”. Witalij Rubin podkreślił: „To fakt”. List, który Sacharow wysłał do swego kolegi fizyka został opublikowany w USA, zachodni dziennikarze go czytali i wiedzieli, że niczego podobnego w nim nie było. Nie przeszłożdziło to sowieckiemu przywódcy łąć bez najmniejszej żenady.

Kiedys, w pierwszych porewolucyjnych latach, wodzowie bolszewicy wierzyli że — jak pisano w czekistowskiej gazecie *Krasnyj miecz* (18 sierpnia 1919): — „Narastała u nas nowa moral-

ność... Wszystko nam wolno, bo my pierwsi w świecie podnieśliśmy miecz nie w celu niewolenia i dławienia, lecz w imię powszechnej wolności i uwolnienia od niewolnictwa". Dziś przywódcy sowieccy wiedzą, że wszystko im wolno, bo wszyscy się ich boją. Toteż bezustannie starają się wzbudzać strach. Andropowa ciągle jeszcze nie widać, ale go słychać: podpisane przezeń oświadczenie, w którym figuruje kara zgotowana Zachodowi za zainstalowanie amerykańskich rakiet w Europie Zachodniej, czytane jest w Związku Sowieckim w radiu i telewizji, publikowane we wszystkich gazetach, „omawiane” na zebraniach; piszą o nim i mówią także w niesowieckim świecie.

Pogróżki już ogłoszone i te, które dopiero obiecano ogłosić, są na razie pogróżkami słownymi. Nie należy jednak lekceważyć ich wpływu. *Prawda* z 21 listopada 1983 skomentowała z dużym zadowoleniem „trudną, ale ważną uchwałę”, podjętą na nadzwyczajnym zjeździe socjaldemokracji niemieckiej, sprzeciwiającą się instalacji rakiet amerykańskich. Z sondażu, przeprowadzonego pod koniec listopada w siedmiu zachodnioeuropejskich państwach wynika, że boją się one i życzą sobie „kontaktów ze Związkiem Sowieckim” oraz prób „kompromisu”. Zachód boi się wojny. Clausewitz mówił, że wojnę rozpoczyna ten, kto się broni. Jeśli nie będzie się bronił — nie dojdzie do wojny. Świat zachodni chce za wszelką cenę uniknąć wojny. Prawie czterdzieści lat temu, latem 1944 roku, Orwell zauważył, że „pacyfiści prawie nigdy nie mówią niczego antyrosyjskiego, choć nie zawsze są rusofilami. Zakładają oni, że jeśli my będziemy się bronić siłą — to źle, a jeśli Rosjanie — to dobrze”.

Kiedy nie starcza płynącego z Moskwy strachu, Zachód zaczyna sam siebie straszyć. Najlepszą ocenę wystawił amerykańskiemu filmowi telewizyjnemu o koszmarze wojny nuklearnej („Następnego dnia”) marszałek Ogarkow: „Widziałem film i myślę, że przedstawione w nim niebezpieczeństwo istnieje”. Prasa sowiecka dużo pisała o „filmie telewizyjnym, który wstrząsnął Ameryką”, odnotowując z zadowoleniem, że mieszkańcy USA bardzo się przestraszyli.

W powszechnej opinii amerykańska spółka telewizyjna wyprodukowała ten film, aby zarobić pieniądze. Pewnie tak i było — po to są kapitalistami. Interesujące jest wszakże, że siłą tej wizji wybuchu atomowego pierwsi zrozumieli przywódcy sowieccy. Veljko Micunovic, poseł jugosłowiański w Moskwie w latach 1956-1958, wspomina w swych pamiętnikach, że na obiedzie u wiceministra spraw zagranicznych Kuzniecowa gospodarz opowiedział, jak w czasie wizyty szacha w Moskwie wyświetlono mu na „tajnym” pokazie film o próbnym wybuchu bomby wodorowej. Szach — opowiadał z zadowoleniem Kuzniecowa — był „załamany” i bez przerwy powtarzał: „Wszyscy musimy walczyć o pokój”. Micunovic dorzuca, że nie powiedział Kuzniecowskiemu, iż tenże sam film równie „tajnie” pokazano Tito w czasie jego wizyty w Moskwie; Tito zrozumiał jednak, że wyświetla się go

wszystkim ważnym gościom, przybywającym do stolicy pokoju. Amerykanie postarali się, aby w poczet „ważnych” gości straszonych w Moskwie włączyć cały świat.

Nie wszystko się oczywiście kremłowskim marzycielom udaje. Zdarzają się, jak powiadają wielbicieli wyścigów, „potknięcia”. Takim „potknięciem” była ucieczka Olega Bitowa, kierownika działu zagranicznego *Literaturnoj gazety*. W poprzednim przeglądzie pisałem o trwodze, jaką wzbudziło zniknięcie Bitowa z festiwalu w Wenecji, o jego „poszukiwaniach” jeszcze jakiś czas po tym, jak wyłonił się w Anglii. Ostatnia wzmianka o Bitowie pojawiła się w *Literaturnoj gazecie* 16 listopada 1983 pod tytułem „Przemycony do Anglii”. 16 listopada znane już było oświadczenie Bitowa, a w nim zdanie: „Zaczęła się nowa epoka stalinizmu”. Oświadczenie nie daje jasnej odpowiedzi na pytanie, które naiwnie powtarza *Literaturnaja gazeta*: „Dlaczego Bitow nagle stał się celem zabiegów wywiadów kapitalistycznego Zachodu?”. Najprawdopodobniejszą odpowiedź przynosi artykuł Paula B. Henze w londyńskim *Survey'u* (tom 27, nr 118/119, jesień-zima 1983). Artykuł ten, zatytułowany „Spisek w celu zamordowania papieża”, napisany został przed ucieczką Bitowa, ale jego autor, wieloletni współpracownik administracji amerykańskiej, w tym także Rady Bezpieczeństwa, drobiazgowo analizuje działalność dziennikarzy *Literaturnoj gazety*. Ich publikacje nie pozostawiają wątpliwości, że po fiasku zamachu gazeta otrzymała zadanie przysłonięcia dymną zasłoną dezinformacji prawdziwych sprawców i skierowania uwagi publicznej na fałszywy trop. Istnieją wszelkie podstawy by sądzić, że Oleg Bitow aktywnie uczestniczył w tej robocie i postanowił „zrzucić z duszy ciężar”.

Napaści prasy sowieckiej na „polskiego papieża” nie ustają. Odgłosy ich znajdujemy w paryskiej *Humanité*, która 8 grudnia 1983 ogłosiła artykuł pt. „Kontr-postęp”; papież oskarżony w nim jest o samowładztwo, podkreślanie swojej narodowości, walkę przeciwko postępowi. Wszystkie te argumenty wykorzystywała szeroko prasa sowiecka.

Jurij Pietrowicz Aleksandrow na pytanie *Obozienia* „Jak reagowano u was na wydarzenia w Polsce?” odpowiada: „Wszyscy nasi robotnicy wiedzieli o istnieniu 'Solidarności’. Po pierwsze z radia (zachodniego oczywiście), po drugie z *Literaturnoj gazety*. Dużo złego pisano tam o 'Solidarności’. Ale i tak rozumieliśmy, czytaliśmy między wierszami”.

Literaturnaja gazeta nadal jest głównym źródłem dezinformacji o Polsce. Inne gazety sowieckie niemal już Polski nie wspominają. *Literaturnaja gazeta* główne uderzenie kieruje dziś na polską kulturę. Pod tytułem „Kontynuując tradycje Jarosława Iwaszkiewicza” opublikowano tam 23 listopada 1983, nr 47, długi wywiad z „prezesem Głównego Zarządu Związku Literatów Polskich”, Haliną Auderską. Wywiad pokrótce przedstawia historię powstania „nowego Związku Literatów Polskich”: inicjatorami było „50 literatów”, których „natychmiast poparło ponad 300

naszych kolegów". Cyfry te robią tym większe wrażenie, że — jak wynika z wywiadu — w poprzednim Związku było zaledwie dwóch pisarzy: przewodniczący Jarosław Iwaszkiewicz i jego zastępczyni Halina Auderska. Pozostali „starali się odegrać polityczną rolę i uczestniczyć w walce opozycji przeciwko rządowi". Odsetek pisarzy w ZLP znacznie się zatem zwiększył. Tak samo było zresztą przed rewolucją październikową, kiedy na przykład w guberni tulskiej żył zaledwie jeden pisarz (nazwiskiem L. Tołstoj); dziś tulski oddział Związku Pisarzy Sowieckich liczy sobie setkę członków. Halina Auderska dzieli się z czytelnikami sowieckimi swoimi planami: za najpilniejsze zadania uważa „przełamanie izolacji, nawiązanie kontaktów z literatami całego świata, a przede wszystkim podpisanie umów o współpracy ze Związkiem Pisarzy ZSSR i naszymi najbliższymi sąsiadami". Pierwszym rezultatem przyszłej umowy ze Związkiem Pisarzy Sowieckich jest zapowiedziane wydanie powieści Haliny Auderskiej „Warszawska syrena" w moskiewskim wydawnictwie „Raduga". Halina Auderska wyraża skromną nadzieję, że powieść jej „podbił serca czytelników Kraju Rad".

Jeden z legionu zawodowych specjalnych korespondentów, przemierzających Polskę za czasów „Solidarności", jeden z tych, których robotnicy „czytali między wierszami", żeby zrozumieć, co się dzieje za Bugiem, ponownie udał się do Polski. Wiktor Coppi (*Literaturna gazeta* nr 41 z 12 października 1983) odnalazł starych przyjaciół, którzy objaśniają mu przyczyny kryzysu i drogi prowadzące do jego przezwyciężenia. Informatorami Coppiego byli: „pisarz Wiesław Rogowski", przede wszystkim jednak „prozaik, dramaturg, publicysta, komunista, sekretarz warszawskiej organizacji partyjnej pisarzy, Józef Lenart". Informatorzy uświadomili specjalnemu wysłannikowi, że wszystkie niechęści Polski wzięły się stąd, że „my" (jak samokrytycznie przyznaje J. Lenart) „lekceważyliśmy problemy pracy ideologicznej"; „zapomnieliśmy — kaja się W. Rogowski — że kształtowanie kadr specjalistów dla państwa socjalistycznego znaczy — niezależnie od wszystkiego innego i przede wszystkim — kształtowanie ich światopoglądu w duchu socjalistycznym".

Artykuł W. Coppiego nosi tytuł „Przełom". Koniecznie (podsumowuje autor) trzeba przełamać kryzys w Polsce, pokonawszy ideologicznych wrogów. Niektórych wrogów Coppi cytuje według listy, sporządzonej przez informatorów: Jacka Bierzina, który poeta został po tym, jak jego zbiorek „że tak powiem wierszy", jak wyraża się Lenart, wydany został przez „tygodnik (???) *Kultura*", wydawany w Paryżu przez polskich antykomunistów — najemników CIA; Jan Józef Szczepański, prezes zarządu Związku Literatów Polskich; Anka Kowalska, „która sławę literacką zdobyła tylko dlatego, że należała do najaktywniejszych działaczy kontrrewolucyjnej grupki KSS „KOR"; Jacek Bocheński, który „wybił się jako naczelny redaktor podziemnego pisma *Zapis*". Szczególną nienawiścią pała W. Coppi do Andrzeja Wajdy. Specjalny wysłannik z Moskwy skorzystał z okazji

i obejrzał w Warszawie „Dantona", którym — jak powiada — „Wajda sam położył własną głowę pod gilotynę". Najwidoczniej nie mógł się doczekać, aż zrobią to zleceńodawcy Coppiego.

Literaturna gazeta optymistycznie patrzy w przyszłość: „Nasi polscy przyjaciele wyjdą z tej bitwy (o „przełom") zwycięsko".

Jak miło, że brudną robotę wykonują za ciebie „przyjaciele"...

Adam KRUCZEK

11 grudnia 1983

Kronika ukraińska

UKRAIŃCY I ŻYDZI

W drugiej połowie października 1983 roku odbyła się w Kanadzie ukraińsko-żydowska konferencja naukowa, poświęcona naświetleniu wzajemnych stosunków w dawnych i najnowszych dziejach. Była to chyba pierwsza tego typu konferencja po wojnie. Na tle wzajemnych resentymców, uprzedzeń i oskarżeń potrzeba takiej konferencji od dawna była już bardziej niż nagląca. Dopiero teraz jednak udało się zasiąść przy jednym stole. Zaważyły tu takie czynniki jak współpraca ukraińskich i żydowskich dysydentów w sowieckiej rzeczywistości gułagów, wpływy Ukraińskiego Instytutu Naukowego w Harvardzie na środowisko uczonych Izraela i wreszcie inicjatywa dwóch politologów z McMaster University w Hamiltonie: Żyda — Astora i Ukrainca — Poticznego. Bez ich zapachu i talentu organizacyjnego prawdopodobnie trzeba byłoby jeszcze kilka lat na takie spotkanie poczekać.

Konferencje hamiltonskie mają już swoją tradycję. Zaczęły się w 1977 roku od pierwszej konferencji polsko-ukraińskiej, której kontynuacją było spotkanie w Monachium na Ukraińskim Wolnym Uniwersytecie. Następnie doszło do konferencji rosyjsko-ukraińskiej, niestety tylko na wpół udanej, a to przede wszystkim na skutek przeszkód ze strony Sołżenicyna. Ukraińscy uczeni przełknęli tę gorzką pigułkę po dżentelmeńsku, ale sprawie dialogu wyrządziła ona niedźwiedzią przysługę.

Mając na uwadze, że od wielu pokoleń stosunki ukraińsko-żydowskie nie ruszyły z miejsca, przedsięwzięcie było niebłahc. I o dziwo, w sumie udało się lepiej niż wszystkie poprzednie spotkania w Hamiltonie i w Monachium. Obydwie strony podeszły do zagadnienia gruntowniej. Tak samo więcej czasu poświęcono dyskusjom o sprawach konfliktowych lub w historiografii i w publicystyce historycznej traktowanych odmiennie zarówno przez Żydów jak i Ukraińców. Dotyczy to głównie epoki Chmielnickiego, kwestii pogromów w czasie zawieruchy rewolucyjnej po upadku Rosji carskiej, udziału Żydów w systemie terroru bolszewickiego w rozmaitych fazach moskiewskiej władzy i postawy społeczeństwa ukraińskiego wobec hitlerowskiej polityki zagłady Żydów w czasie drugiej wojny światowej. Obie strony podjęły się ogromnego zadania całkowitego przeglądu stosunków ukraińsko-żydowskich

od Rusi Kijowskiej do współczesności. (Szczegółowe sprawozdanie z konferencji ukaże się w jednym z następnych numerów *Zeszytów Historycznych*. W niniejszej „Kronice” ograniczam się tylko do ogólnych refleksji).

Poza kilku krótkimi, emocjonalnymi spięciami debata przebiegała w atmosferze bardzo rzeczowej. Dokonano pierwszego w naszej wspólnej historii bilansu wydarzeń i przemian. Większość uczestników była też zgodna co do dalszych zadań wynikających z tego pierwszego spotkania: kontynuacji wzajemnych wysiłków zmierzających do usuwania „białych plam” w dziejach, dyskusji w kwestiach spornych, kształcenia młodych specjalistów, którzy później byłiby w stanie rozwijać myśl i dzieło rozpoczęte w 1983 roku w Kanadzie. Nie obyło się oczywiście bez poruszania spraw polskich choćby z tego względu, że wzajemne współzycie od upadku Rusi Kijowskiej i Halicko-Wołyńskiej aż do rozbiorów Polski odbywało się przeważnie w granicach państwa polsko-litewskiego. Najwięcej na ten temat mieli do powiedzenia prof. Kamiński i prof. Szporluk.

Współczesne stosunki ukraińsko-żydowskie układają się różnie. Na Ukrainie reżym komunistyczny pomawia patriotów ukraińskich o spiskowanie z siłami „syjonistycznymi”, prawdopodobnie mając na uwadze fakt, że istotnie w łagrach sowieckich przyjaźń i współpraca między Ukraińcami i Żydami-dysydentami jest bardzo ściśła. Gorzej jest w diasporze zachodniej. Stara emigracja żydowska ciągle cierpi na dawne resentymenty, zaś nowi przybysze ze Związku Sowieckiego, nawet jeśli pochodzą z Ukrainy, są poważnie nic tyle na wskroś duchowo zsovietyzowani (choć i to można stwierdzić, zwłaszcza w tzw. „małej Odessie” w Brooklynie) ile zrusyfikowani. Stąd też tylko nieliczni Żydzi z nowej emigracji przylgnęli do Ukraińców, jak np. Izrael Klejner, autor wydanej w 1978 roku po ukraińsku rzetelnej pracy pt. „Nacjonalni problemy ostannoï imperii — nacjonalne pyttannia w SRSR otczyna radjanskych dysydentiw”, czy Michał Hejfec, autor wspomnień z pobytu w łagrach i katogach sowieckich lub znakomity poeta Mojsej Fiszbejn, piszący i drukujący swoje wiersze po ukraińsku.

UKRAIŃCY I POLACY

Na tym polu dzieją się rozmaite rzeczy. Dobre i niedobre. Najpierw garść informacji o tych, które napawają radością i otuchą. Tu należy wymienić głos, który przyszedł z dalekiej Kołymy, gdzie pół żywy i pół martwy męczennik o wolność swego narodu — poeta i tłumacz Rilkego i Goethego, syn przemysłowego Zagłębia Donieckiego, Wasyl Stus, w swym potajemnie pisanym pamiętniku, którego fragmenty niemal cudem dotarły na Zachód, wyraża swoje myśli o wydarzeniach w Polsce. Oto jego słowa, wyjęte z ogólnego opisu okropności kołymskich, tchnące rozpaczą i refleksją nad współczesną tragedią Ukrainy (opublikujemy je wkrótce w całości): „Chyba już od czasu pobytu w Kijowie śledzę wydarzenia w Polsce. Niech żyją walczący o wolność. Jakże mnie cieszy ich polska nieugiętość wobec sowieckiego despotyzmu. Ich ogólnonarodowe zrywy są wprost porywające: robotnicy, inteligencja, studenci — wszyscy oprócz wojska i policji. Jeśli wydarzenia będą się dalej tak toczyć, to jutro płomienie ogarną i wojsko. Cóż wtedy poczną Breżniew i Jaruzelscy. W totalitarnym świecie nie ma żadnego innego narodu, który by z równym poświęceniem bronił swych ludzkich i narodowych praw. Polska daje przykład Ukrainie, a przecież psychologicznie my, Ukraińcy, jesteśmy bliscy, może najbliżsi polskiej naturze; brak nam tylko rzeczy zasadniczej — świętego patriotyzmu, który jednoczy Polaków. Jakaż to szkoda, że Ukraina nie chce korzystać z nauk polskiego nauczyciela. Reżymy ZSSR i oficjalnej Polski wykazując znowu swój wrogi wobec ludu i despotyczny charakter, postanowiły wypowiedzieć

walkę narodowi przy pomocy policji. Myślę, że po tym co stało się w Polsce tylko durnie i najpodlejsi szubrawcy mogą jeszcze wierzyć w moskiewskie ideały. Nie wiem, niestety, jakie wrażenie wywarła Polska na narodach ZSSR i całego obozu. Związkowy wariant wyzwolenia mógłby stać się niezwykle efektywny również dla ZSSR. Gdyby zapoczątkowany przez inż. Klebanowa ruch został poparty przez cały kraj, rząd ZSSR stanąłby oko w oko z najbardziej współczesnym przeciwnikiem. Bo szczerze mówiąc: ruch helsiński to zbyt wysoka matematyka dla tego kraju, jak zresztą chyba także i ruch narodowo-patriotyczny. Natomiast walka o mieszkania i kawałek chleba, ruch w imię godziwych zarobków robotniczych to język powszechnie zrozumiały i łatwy do przyjęcia.

Jestem zachwycony polskimi duchowymi zwycięstwami i boleję nad tym, że nie jestem Polakiem. Polska dokonuje epokowego przełomu w totalitarnym świecie i przygotowuje jego ostateczny upadek. Ale czy ten polski przykład stanie się również i naszym udziałem? — oto pytanie epoki. Polska podminowywała Rosję w ciągu całego XIX stulecia i czyni to nadal. Walczącym Polakom przekazuję najlepsze życzenia i wierzę, że reżym polityczny z 13 grudnia nie zdusi płomieni swobody. Mam nadzieję, że w podbitych krajach znajdą się siły, które udzielą pomocy misji walczących o wolność Polaków. W obliczu tych polskich wydarzeń jeszcze dobitniej niż przedtem wyszły na jaw wady poważnego, ale jednocześnie bojaźliwego, ruchu helsińskiego. Gdyby to był ruch masowy pełen inicjatywy, z szerokim programem politycznych i społecznych żądań, gdyby to był ruch z koncepcją przyszłego systemu rządów, wówczas miałby jakieś widoki na powodzenie. A tak — ruch helsiński przypomina raczej niemowlę, które usiłuje mówić basem. Ruch ten był właściwie z góry skazany na zagładę, bo swymi żalosnymi zawođeniami sam wywoływał klęskę”. (Przekład z tekstu ukraińskiego opublikowanego w listopadowym numerze miesięcznika literacko-społecznego *Suczasnist'*).

SEMINARIUM POLSKO-UKRAIŃSKIE

Przy Ukraińskim Wolnym Uniwersytecie w Monachium kontynuuje swoją działalność Seminarium badania stosunków polsko-ukraińskich. Powstało ono w 1975 roku z inicjatywy obecnego wicerektora i profesora prawa administracyjnego, Zinowija Sokoluka, ucznia znanego prawnika Pajnejki, który wykładał początkowo na Uniwersytecie Jagiellońskim w Krakowie a potem na uniwersytecie wileńskim, oraz profesora nauk historycznych Iwana Besaraba, ówczesnego dyrektora ukraińskiej rozgłośni Radia Swoboda. W międzyczasie odbyło się około 30-tu seminariów i wykładów. W 1983 roku tematem zajęć były takie sprawy jak rozwój sytuacji w Polsce po zawieszeniu stanu wojennego i po wizycie Papieża, o sytuacji mniejszości ukraińskiej w PRL oraz o naświetleniu problematyki ukraińskiej w polskich dokumentach o drugiej wojnie światowej. Wykładowcami we wspomnianym okresie byli: Osadczyk, Sokoluk i Witoszynskij — wszyscy trzej z fakultetu nauk prawa, ekonomii i polityki.

W całej dotychczasowej działalności Seminarium ze strony ukraińskiej uczestniczyli: Basarab, Hwatj, Kordiuk, nieżyjący już Korzan, Łewyckij, Majstrenko, Maruniak, Osadczyk, Sokoluk, Truchan. Polski punkt widzenia na rozmaite sprawy przedstawiali zmarli niedawno profesor Sukiennicki i inżynier Kozłowski, przebywający obecnie w USA sławista i poeta Tymoteusz Karpowicz, Wiktor Woroszyński, redaktorzy i działacze polityczni Tadeusz Podgórski, Włodzimierz Sznarbachowski i Wiesław Wawrzyniak.

Bohdan OSADCZUK

W Berlinie zmarł po długich cierpieniach w wieku 69 lat Mieczysław Zarzycki. Absolwent nauk historycznych i ekonomicznych Uniwersytetu Warszawskiego był po drugiej wojnie światowej korespondentem agencji prasowej API i dziennika *Życie Warszawy* w Niemczech. Po 1950 roku zerwał współpracę z reżymem komunistycznym i pozostał na Zachodzie. Początkowo współpracował dorywczo z *Kulturą* używając pseudonimu Witold Kostrzyński. Był szczerym zwolennikiem współpracy polsko-ukraińskiej. Kochał Włochy i znał się na sztuce i kuchni włoskiej. Cześć jego pamięci.

B. O.

Kronika czeska i słowacka

Pod koniec maja aresztowany został w Breźnie słowacki ksiądz Stefan Podolinský, oskarżony o „utrudnianie kontroli państwowej nad Kościołem” (art. 178). W związku z jego sprawą bezpieczeństwa przesłuchiwała w sierpniu słowackie siostry zakonne w Slatiňavach (Czechy), gdzie znajduje się jeden z nielicznych szpitali, w których pozwolono pracować siostram po rozwiązaniu zakonów. ■ W lipcu zmarł w Pradze w wieku 62 lat wybitny poeta i powieściopisarz katolicki Ladislav Dvořák. Objęty zakazem druku od 1969 roku, do 1974 mógł jeszcze drukować prozę dla dzieci. Od 1974 roku jego książki krążyły już tylko w maszynopisach (pierwsze wydanie jego powieści ukaże się niebawem nakładem londyńskiego wydawnictwa emigracyjnego „Rozmluvy”). Przyjacielowi pisarza, dramaturgowi Karolowi Krausowi, nie pozwolono wygłosić przemówienia nad jego trumną. ■ Prasa czeska i słowacka kontynuuje ataki na papieża Jana Pawła II. *Tribuna* zarzuca papieżowi, że podczas wizyty w Polsce ingerował w wewnętrzne sprawy państwa polskiego, łamiąc w ten sposób postanowienia helsińskie. Papież miał się dopuścić m.in. zbrodni wygłaszania kazań na temat „antykomunistycznej działalności zakonników Kolbego”. *Rude pravo* zaś pisze o papieskiej próbie „polityzacji kleru w Polsce”, przy jednoczesnym zakazie działalności politycznej duchownym Ameryki Środkowej i Południowej. Atakowano nawet ogłoszenie roku świętego i św.św. Cyryla i Metodego za patronów Europy jako niedopuszczalne „fałszerstwo historyczne”. ■ W obawie przed wielkim zainteresowaniem prasy zachodniej osobą kardynała Tomaška i sprawę przesładowania Kościoła w Czechosłowacji władze tego kraju dopuściły się podczas wizyty papieża w Wiedniu kolejnej prowokacji. Sfałszowały mianowicie podpis kardynała pod protestem ks. Josefa Zvěřiny, skierowanym do władz w czerwcu 1983 roku i przesłały sfałszowany list do Katolickiej Agencji Prasowej (*Kathpress*) w Wiedniu, która w dobrej wierze nadała mu rozgłos. Następnie agencji służby bezpieczeństwa uzyskali *dementi* kard. Tomaška, który rzeczywiście nie był autorem tego listu. Pozwoliło to władzom czechosłowackim odmówić kardynałowi zgody na wyjazd do Wiednia pod pretekstem rzekomej oszczerczej kampanii, prowadzonej w Austrii. Kiedy ks. Zvěřina opublikował w prasie podziemnej oświadczenie, wyjaśniające całą sprawę, *Rude pravo* i telewizja ogłosiły triumfalnie, że przyznał się do fałszerstwa. ■ W RFN ukazał się pod redakcją przybyłego

niedawno na Zachód pisarza Jiříego Grušy wybór utworów najwybitniejszych młodych pisarzy czeskich objętych zakazem druku. Książka ta, pod tytułem „Die verfeimten Dichter”, została obszernie omówiona w *Sternie* przez Heinricha Bölla. ■ Latem przyjechał do RFN młody pisarz czeski Martin Harníček, zmuszony do wyjazdu szykanami bezpieki. Jego powieść „Maso” („Mięso”), koszmarna wizja katastrofy ekologicznej, jaką zgłotował ludzkość przodujący ustroj, zdaniem niektórych krytyków czeskich prześcignęła wizję Orwella. Książka ukazała się nakładem 68 Publishers w Kanadzie, a niedługo ma wyjść w tłumaczeniu niemieckim. Przy tej okazji warto przypomnieć, że 90 % pisarzy z lat 60-tych objętych jest zakazem druku, a wśród młodej generacji wydającej oficjalnie swe książki nie widać ani jednego rzeczywistego talentu. ■ Piętnasta rocznica najazdu na Czechosłowację została przypomniana przez emigrację czeską, która zorganizowała demonstracje w niemal wszystkich stolicach Europy Zachodniej (jednak udział miejscowych mieszkańców znacznie spadł w porównaniu z dziesiątą rocznicą — świat zapomina...). W Czechach grupa młodzieży z miasta Písek urządziła manifestację, podczas której skandowano „Sowieci won!”. Manifestacja została rozprawiona przez milicję. Karta 77 wydała z okazji rocznicy oświadczenie, w którym upomniała się o wycofanie z CSSR wojsk sowieckich, które według układu z 1968 roku miały tam stacjonować czasowo. Wycofanie wojsk, stwierdza oświadczenie, przyczyniłoby się w znacznym stopniu do rozładowania napięć w Europie Środkowej. ■ Sąd apelacyjny w Usti nad Łabą zatwierdził wyrok skazujący na 14 miesięcy więzienia Ladislava Lisa, rzecznika Karty 77. ■ W Šumperku skazano dwóch działaczy katolickich za rzekomą współpracę z „podziemnymi” zielono-świątkowcami, których liczba ostatnio bardzo wzrosła, budząc niepokój władz. Jiří Schneider otrzymał rok, a Jan Mokřý dziesięć miesięcy więzienia z zawieszeniem. ■ Po Związku Sowieckim także Czechosłowacja wystąpiła z Międzynarodowego Stowarzyszenia Psychiatrów. Augustin Navrátil, działacz katolicki i były „pacjent” szpitali psychiatrycznych skierował do Kongresu Stowarzyszenia w Wiedniu list opisujący swoje doświadczenia. ■ Z 60 techników czeskich i słowackich, uwięzionych jako zakładnicy przez ruch wyzwolenicy UNITA w Angoli, 20 pozostaje nadal w rękach partyzantów, którzy domagają się ich wymiany na własnych towarzyszy. ■ Czechosłowacja liczy obecnie 15 mln 415 tys. mieszkańców, niewiele więcej niż w 1938 roku. Wojna, trzy fale emigracyjne, utrata Rusi Zakarpackiej i wysiedlenie ponad 3 mln Niemców spowodowały znaczny spadek liczby obywateli. Istotną zmianę demograficzną stanowi wzrost liczby Słowaków, którzy w przedwojennej Czechosłowacji stanowili mniej niż 20 % ludności, a obecnie aż 34 %. Na emigracji mieszka 250 tys. Czechów i Słowaków, którzy wyjechali z kraju po sierpniu 1968 roku. ■ Wskutek długotrwałych szykan wyjechał na Zachód znany słowacki historyk Jan Mlynárik (Danubius), którego książka o wysiedleniu Niemców („Tezy o višidleni Sudetských Němcu”) wywołała swego czasu wielką polemikę w niezależnych kołach intelektualnych w kraju i na emigracji. ■ Ukazał się (nakładem 68 Publishers) długo oczekiwany 4-ty tom pamiętników Václava Cerného, obejmujący lata 1945-1968. Książka daje obraz straszliwej dewastacji kultury czeskiej na przestrzeni tych lat, dokonywanej — w początkowym okresie — przy czynnym udziale niektórych obecnych emigracyjnych działaczy socjalistycznych (Antonín Liehm, Jiří Pelikan, Zdeněk Hejzlar). ■ W Pradze odsłonięto pomnik Simona Bolívara, na którym znajduje się napis: „Wielkiemu przywódcy w walce o wyzwolenie Ameryki Łacińskiej spod obcej władzy”.

Alexander TOMSKY

Kronika niemiecka

W RFN przebywała na zaproszenie *Fundacji im. Friedricha Neumanna (Partia Wolnych Demokratów — FDP)* delegacja *Stronnictwa Demokratycznego* z wiceprzewodniczącym Janem Fajęckim na czele. Omówiono m.in. sprawy dotyczące współpracy w dziedzinie kultury. Strona zachodnioniemiecka, w tym wypadku współrządzająca FDP, wysuwa stałe gotowość otwarcia w Warszawie *Instytutu im. Wolfganga Goethego*. Bońskie propozycje są odrzucane na skutek nacisków ze strony NRD, która uzurpuje sobie prawo wyłączności jeśli chodzi o reprezentowanie dorobku kultury niemieckiej. ■ Biuro P.A.I.R.C. w obozie dla uchodźców z Zirndorf k/Norymbergi prowadzi obecnie Piotr Paschka (8502 Zindorf, Heinestrasse 9. Tel.: (0911) 60 82 07). ■ W Gdańsku przebywała liczna grupa młodzieży niemieckiej z parafii pod wezwaniem św. Gerharda w Konstancy (RFN), pomagając przy budowie nowego kościoła w Gdańsku-Oliwie. ■ RFN i NRD „uzgodniły posunięcia”, które mają zapewnić poprawę we wzajemnym ruchu pocztowo-telekomunikacyjnym. Idzie przede wszystkim o skrócenie okresu doręczania listów i paczek; zniesiono roczny limit 12 paczek na jednego adresata w NRD. Ponadto „wprowadzono ułatwienia dla przesyłek zawierających lekarstwa”. Za wymienione „posunięcia” podatnik zachodnioniemiecki będzie płacił 200 mln rocznie. ■ W MSZ w Warszawie odbyła się narada dyrektorów ośrodków informacji i kultury w KDL-ach. Tadeusz Sznurkowski, dyr. OIKP w Berlinie Wschodnim: „W pierwszym półroczu br. wprowadzono na ekrany w NRD 11 polskich filmów, ale z nagraniami, płytami sprawa wygląda gorzej. Zapotrzebowanie jest duże, ale polski przemysł fonograficzny nie nadąża za wymaganiami jakościowymi i ilościowymi stawianymi przez odbiorcę”. ■ Filmowcy zachodnioniemieccy: Elke Jonigkeit i Hartmut Kaminski otrzymali na festiwalu filmowym w Mannheimie nagrodę krytyki filmowej (FIPRESCI) za film dokumentalny *Dzieci Zamajszczyzny (Die Kinder von Himmelerstadt)*. Polacy z festiwalu filmowego w Mannheimie żadnej nagrody nie przywieźli. ■ Władysław Machejek w *Życiu Literackim*: „Nasze wojsko przeszło kilka szlaków bojowych w wojnie z Niemcami, stało się wybitną siłą w pokonaniu Hitlerii i z kolei w gruntowaniu władzy ludowej przeciw bandom reakcyjnym. W grudniu 1981 pod dowództwem gen. armii Wojciecha Jaruzelskiego wojsko uratowało nasz kraj przed powtórką wojny domowej”. Tak, przeciw Hitlerii i przeciw narodowi... ■ Na skutek trudności dewizowych w Warszawie zostały zlikwidowane magazyny konsygnacyjne firm BMW i Mercedes. ■ Polscy specjaliści odrestaurowali w Darmsztacie tzw. *Wielką Salę w Georg-Christoph-Lichtenberg-Haus*. W tym samym mieście architekt Irena Oborska sporządziła plany dla wykonawców robót kamieniarskich w liczącej ponad trzyście lat szkole *Altes Pädagog*. ■ *Transformtheater* z Berlina Zachodniego, którym kieruje polski reżyser Henryk Baranowski, odbył swoje pierwsze tournée, dając dwa przedstawienia *Pokojówek* według Jean Geneta w Düsseldorfie oraz jedno w Kolonii. Wszystkie przedstawienia zostały bardzo przychylnie przyjęte zarówno przez publiczność jak i krytykę. Warto dodać, że *Transformtheater* prowadzi jednocześnie studio kształcące aktorów, w którym aktualnie pobiera naukę stu adeptów. ■ Energicznie działający proboszcz *Polskiej Misji Katolickiej* w Frankfurcie n/Meinem — ks. Kazimierz Kosicki uzyskał z Kurii lokal na potrzeby polskich parafian. Ks. Kosicki objędzia z ruchomą biblioteką skupiska najnowszych uchodź-

ców z Polski w Hesji i organizuje odczyty polskich pisarzy i publicystów emigracyjnych. ■ W Lipsku odbyło się walne zgromadzenie *Towarzystwa Naukowego Jabłonowskich* w 5-tą rocznicę reaktywowania jego działalności. Założycielem towarzystwa był w 1794 roku książę Józef Aleksander Jabłonowski. *Societas Jabloviana* zajmuje się badaniami w zakresie języka polskiego, kultury i historii polskiej w NRD. ■ Wielka susza w okresie letnim wpłynęła ujemnie na ubiegłoroczne plony roślin okopowych w NRD. W związku z tym Polska dostarczyła do Niemiec Wschodnich 60 tys. ton ziemniaków. W zamian za to otrzyma 1.300 samochodów marki *Wartburg*. 6.600 motocykli i 400 tys. metrów gumy pasmanteryjnej. ■ *Lufthansa* proponuje władzom PRL uruchomienie połączeń na trasach: Hamburg-Gdańsk-Warszawa oraz Düsseldorf-Kraków. ■ *Monachijska Süddeutsche Zeitung* zwraca uwagę na trudne położenie uchodźców ubiegających się o azyl, przebywających w obozach w południowych Niemczech. Katastrofalne warunki panują w obozie w Neuburg k/Augsburga. Połowa mieszkańców obozu, liczącego obecnie 400 osób, pochodzi z Polski i CSSR. ■ *Komitet Obrony Solidarności* w Berlinie Zachodnim zorganizował wystawę pn. *Solidarność w sztuce i dokumentacji*. Głównymi wystawcami byli polscy artyści-plastycy z Gdańska (obecnie w Essen) — Barbara Ur i Andrzej Jan Piwarski. Oprócz prac polskich artystów (Ryszard Dąbrowski, Stanisław Konarz-Konarzowski, Ludwik Kołcz i Andrzej Krauze) pokazano obrazy olejne moskiewskiego malarza Josifa Kiblitkiego (obecnie mieszka w Düsseldorfie) i rzeźby Łotysza — Walerij Akksa (Bonn). Przegląd polskiej prasy podziemnej i publikacji książkowych uzupełnił ekspozycję. Wystawę otworzył Edward Klimczak, wydawca i redaktor zachodnioberskiego dwutygodnika *Pogład oraz spiritus movens* całego przedsięwzięcia. ■ W zasadzie w NRD można odmówić pełnienia służby wojskowej powołując się na względy moralne. Osoby, które odważą się z tego skorzystać (ok. 400 rocznie) są powoływane do specjalnych jednostek, głównie budowlanych. Po odpracowaniu służby wojskowej trudno im z reguły dostać się na studia, awansować, znaleźć dobrą pracę. W NRD jest już kilka tysięcy takich osób, stanowią one główny trzon wschodnioniemieckiego ruchu pokoju. ■ Nakładem *Styria Verlag* (Graz-Köln) ukazała się książka ks. Józefa Tischnera pt. *Der unmögliche Dialog. Christentum und Marxismus in Polen (Brak możliwości dialogu. Chrześcijaństwo i marksizm w Polsce)*. Praca została pozytywnie oceniona przez organ *Bundestagu — Das Parlament*. ■ W ciągu pierwszego tygodnia listopada 1983 roku wysłano z RFN do Polski 35.500 paczek. W tym samym okresie 1982 roku przez pocztowy punkt przeładunkowy w Hanowerze przeszło 197.700 paczek. ■ W kopalni węgla brunatnego w Turowie oddano do użytku gigantyczną koparkę (760 ton), konstruowaną przez zachodnioniemiecką firmę *Krupp* (Essen) we współpracy z *Zakładami Metalowymi Famago* w Zgorzelcu. Koparka ma wydobywać w ciągu godziny 6.500 m³ węgla brunatnego. ■ Władysław Bartoszewski, historyk i pisarz, wygłosił przemówienie poświęcone stosunkom polsko-niemieckim na dorocznym walnym zgromadzeniu *Centralnego Komitetu Niemieckich Katolików*. Wystąpienie Bartoszewskiego odbiło się szerokim echem w niemieckich środkach masowego przekazu. Polski historyk wystąpił następnie z odczytem pt. *Der Traum von der Freiheit. Polen heute und morgen (Marzenie o wolności — Polska dzisiaj i jutro)*. ■ Dorota Leszczyńska i Reinhold Vetter opublikowali w renomowanym miesięczniku *Ost-europa* (nr 11-12/1983) obszerną dokumentację związaną z przygotowaniem przez reżym PRL procesem przeciwko czołwce KSS „KOR”. Przetłumaczone na język niemiecki materiały z polskich publikacji opozycyjnych, prasy oficjalnej i emigracyjnej (m.in. z *Kultury i Tygodnia Polskiego*) zostały poprzedzone wnikliwym komentarzem. ■ W październiku 1983 roku minęła X-ta rocznica założenia zachodnioniemieckiej organizacji pn. *Maximilian-Kolbe-Werk (Fundacja im. Maksymiliana Kolbe)*. W ciągu 10 lat

działalności *Maximilian-Kolbe-Werk* przekazał do Polski aż 14,7 mln marek nie wliczając w tę kwotę transportów żywnościowych. Bilans za rok 1982 jest bardzo wymowny: 3.800 b. więźniów obozów koncentracyjnych otrzymało regularną pomoc finansową w wysokości od 30 do 50 marek miesięcznie. Pieniądze są wypłacane w postaci bonów PKO; 1.500 osób otrzymało jednorazową pomoc finansową. Ponadto od 1981 roku wysyłane są do Polski co miesiąc transporty żywnościowe oraz przesyłki indywidualne. Środki finansowe *Fundacji* pochodzą wyłącznie od osób prywatnych — jest ich ok. 9.000, a także ze zbiorów w kościołach. Reżymowe *massmedia* pomijają milczeniem działalność *Maximilian-Kolbe-Werk*. Inicjatorem *Fundacji*, która stawia sobie za cel niesienie pomocy polskim więźniom hitlerowskich obozów koncentracyjnych i członkom ich rodzin, jest 76-letni dzisiaj Alfons Erb, obecnie prezes honorowy organizacji. Adres: Karlstr. 40, D-7800 Freiburg/Br., BRD. ■ Z inicjatywy *Diakonisches Werk*, organizacji Kościoła Ewangelickiego w RFN, zajmującej się poradnictwem i opieką nad uchodźcami, odbyło się w Konstancy nad Jeziorem Bodeńskim sympozjum z udziałem przedstawicieli RFN, Austrii i Szwajcarii. Na spotkaniu omawiano sprawy uchodźców — *Imigracja obcych do Europy Środkowej*. Chodziło głównie o określenie granic możliwości w/w państw, jeśli chodzi o przyjmowanie dalszych imigrantów. Dyskutowano również nad położeniem osób starających się o uzyskanie prawa azylu. Interesy strony polskiej na sympozjum reprezentował Jacek Kowalski, sekretarz *Polskiej Rady Narodowej* w RFN, który uczestnikom przedłożył tekst oświadczenia. Zapelował on do rządu w Bonn o zniesienie dla azylantów zakazu pracy przez pierwszy rok wyjaśniając, iż zakaz ten działa deprymująco na osoby nim dotknięte; jest to szczególnie bolesne dla b. internowanych. Kowalski zwrócił się z prośbą do *Urzędu d/s Azylu* w Zirndorf o przywrócenie zasady, iż azyl przyznany ojcu rodziny obejmuje też jego żonę i dzieci. ■ W Berlinie Wschodnim, nakładem wydawnictwa *Volk und Welt*, ukazały się pierwsze dwa tomy wspomnień Jerzego Putramenta pt. *Ein halbes Jahrhundert (Pół wieku)* w tłumaczeniu Charlotty Eckert. ■ W Polsce przebywała delegacja *Deutscher Akademischer Austauschdienst (DAAD)*. Ustalono zasady i zakres współpracy naukowej w latach 1984-1985. Oświadczenie w tej sprawie podpisali prezes *PAN* — prof. Aleksander Gieysztor oraz prezes *DAAD* prof. Hensgerd Schulte. Od tej chwili wszystkie podania o stypendia *DAAD (Niemiecka Służba Wymiany Akademickiej)* podlegają opiniowaniu i zatwierdzaniu przez *Ministerstwo Nauki, Szkolnictwa Wyższego i Techniki* oraz *PAN*.

Andrzej J. CHILECKI

ODPOWIEDZI CZYTELNIKOM „KRONIKI NIEMIECKIEJ”

ZPU., Velbert (RFN): — Trudno mi się zwracać do kogokolwiek w *ZPU* imiennie, ponieważ list („Radzimy Chileckiemu zajmowanie się własnym i swoich doradców życiem, a nie ogłaszaniem nieprawdziwych wiadomości, celem szkodzenia *Zjednoczeniu Polskich Uchodźców*”) nie jest podpisany pełnym imieniem i nazwiskiem. O stosunkach panujących w *ZPU* świadczy przebieg obrad *X Rady Stowarzyszenia ZPU* w Mannheim (26-27. XI. 1983). Aż wstyd podawać szczegóły. Jeden z delegatów: „Dotychczasowa Rada ponosi osobistą pełną odpowiedzialność za doprowadzenie do zupełnego upadku *ZPU*”. Należy zakładać, że *Sąd Rejestracyjny* będzie interweniował z własnej inicjatywy, gdyż nie czeka się zgłoszenia koniecznych dokumentów (i rozliczeń). W każdym razie na zjeździe w Mannheim nie przedstawiono sprawozdania kasowego, nie było kontroli ksiąg i nie odczytano sprawozdania rzeczowego ustępującej *Rady*.

Ks. F. B., Carlsberg; M. G., Moguncja; J. M., Rüßelsheim (RFN): — W *Marszu Pokoju*, organizowanym w Palatynie (26-28. VIII. 1983) wzięła również udział 28-osobowa grupa *Komiteu Obrony Solidarności (KOS)* z RFN, Francji, Austrii i Szwecji. Rzecznik tej grupy, C. Kamski, podsumowuje wrażenia z przebiegu *Marszu Pokoju* następująco: „Nie chcę wyliczać przykładów szeregu niedociągnięć; należy jednak zwrócić uwagę na fakt, iż ta z pozoru tylko mało ważna, bo techniczna strona marszu, wspierająca ożywionych ideą jego uczestników, może fatalnie zaważyć na losach całej koncepcji. Mam wątpliwości czy tak właśnie przeprowadzony marsz mógł pozyskać dla programu wyzwolenia narodów nowych zwolenników, z pewnością natomiast wielu do niego zniechęcił”. Do moich krytycznych uwag na temat *Marszu* wkraść się istotny błąd. Sprostowanie podaje osobno.

H. J. i M. M., Brema (RFN): — Informacja dotycząca powodów wykluczenia Panów z *Biura Koordynacyjno-Informacyjnego NSZZ „Solidarność”* została zaczerpnięta z *Komunikatu nr 1/82 z dnia 12. IX. 1983 r.*, wydanego przez kolegów Panów, którzy nadal kontynuują działalność *Biura*. W odróżnieniu od Panów nie skorzystali oni z „dobrodziejstwa amnestii” i nie wracają do kraju... Pretensje w sprawie zarzutów stawianych Panom proszę kierować bezpośrednio do wydawców w/w *Komunikatu* (Postfach 101466, 2800 Bremen). Centrala *Niemieckich Związków Zawodowych (DGB)* wstrzymała w końcu września 1983 dotacje na działalność *Biura*, co automatycznie doprowadziło do opuszczenia przez działaczy „*Solidarności*” zajmowanego w Bremie budynku. Szczęść *Grup Roboczych „Solidarności”* i trzy inne polskie organizacje w RFN we wspólnym oświadczeniu wyraziły ubolewanie z powodu postępowania Panów (zgłoszenie się do placówki dyplomatycznej PRL w Kolonii itd.).

Dr L. F., Monachium (RFN): — Autor *Kroniki niemieckiej* podziwia aktywność *Oddziału Rady Narodowej RP w RFN*, w ostatnich dwóch miesiącach. Oby tak dalej.

(ajch)

SPROSTOWANIE

Szanowny Panie Redaktorze!

Do mojej notatki w *Kronice niemieckiej* (*Kultura* nr 10/1983, str. 122) wkraść się przykra nieścisłość spowodowana błędną informacją. Omawiając przebieg *Marszu Pokoju o Wyzwolenie Narodów* napisałem m.in.: „Nie wiadomo po co zabrał głos A. Schröder ze *Stowarzyszenia Niemiecko-Węgierskiego* (b. płk SS)” (*Pogląd nr 16, Berlin zachodni*).

Poczuję się do obowiązku sprostowania. Pan Adolf Schröder nie miał stopnia „pułkownika SS” (w ogóle nie służył w tej formacji), lecz był żołnierzem *Wehrmachtu* i w walkach w Afryce, m.in. pod El Alamein dosłużył się stopnia kaprała (*Obergefreiter*). Mam nadzieję, że p. Adolf Schröder, *Towarzystwo Niemiecko-Węgierskie* i organizatorzy *Marszu Chrześcijańska Służba Wyzwolenia Narodów* w Carlsbergu) oraz Czytelnicy wybaczą mi tę niezamierzoną dezinformację.

Adolf Schröder jest II przewodniczącym *Tow. Niemiecko-Węgierskiego 1970 T.z.* i pełni obowiązki koordynatora w ramach *Europäische Aktionsgemeinschaft (Arbeitsgruppe OST)*. Wystąpienie Schrödera w ramach *Marszu Pokoju* na zamku w Hambach dotyczyło koordynacji wysiłków organizacji emigracyjnych w dążeniu do odzyskania niepodległości przez kraje wschodnieuropejskie.

Łączę najlepsze pozdrowienia

Andrzej J. CHILECKI

Sprawy i troski

Irackie rozmowy (2)

1. Ostatni z mężczyzn jedzących obiad przy stolikach nakrytych eleganckimi obrusami wstał i wyszedł z jadalni. Wtedy podniosło się z krzeseł kilku innych i najpierw powoli, jak gdyby od niechcenia, przypadkowo ruszyli do resztek z biesiady: winogron, pomarańczy, słodczy ledwo napoczętych, butelek wina i pepsi-coli. Kiedy zaczęli dołączać następni zawodnicy, tempo wyszycu wzrosło; jednak okazało się niewystarczające. Czujna obsługa stołówek była tym razem szybsza i już rozpoczęła porządkowanie obfitych stołów. Tym razem dobry deser będzie miała kuchnia. Zawiedzeni mężczyźni wrócili do swoich stołów przykrytych lepiącą się ceratą.

„Ta zabawa trwa codziennie. Już się właściwie nie obruszam. Może, jeżeli jesteśmy nędzarzami, powinniśmy zachowywać się konsekwentnie jak na żebraka przystało. Po co udawać?” — ciągnie swoje rozważania inż. Krzysztof R.

Czytelnikowi należy się wyjaśnienie. Przy eleganckich stolikach jadają Niemcy. Ceratowe przeznaczone są dla polskich specjalistów. Polacy i Niemcy zajmują się utrzymywaniem w ruchu dużego zakładu przemysłowego na południu Iraku.

Granica między Wschodem a Zachodem przebiega nie tylko przez stołówkę. Także w barze-klubie dzieli się goście na gorszych i lepszych. Otóż nie sprzedaje się tam piwa i jeszcze kilku produktów Polakom, chociaż mają tam prawo wstępu. Polska administracja *campu*'u próbowała ustalić specjalne godziny korzystania z basenu kąpielowego dla Polaków, żeby nie przeszkadzała Niemcom. Ale ci ostatni sprzeciwili się temu.

Powody separacji przy posiłkach i w klubie są prozaiczne i nie wynikają z kolonialnych manier Niemców, lecz z wysokości stawek żywieniowych ustalonych w Warszawie. Natomiast część towarów do klubu Niemcy sprowadzają z Europy za dolary. Ponieważ strona polska nie chce w tym partycypować, firmę

niemiecką nie stać na to, aby być dodatkową kasą wymiany walut dla polskiego eksportera.

W ten sposób realizuje się praktycznie znane z lat okupacji hasło *Nur für Deutsche* i dzieje się to za przyczyną polskiej komunistycznej administracji, nawet za granicą.

2. — „Na ten kontrakt z Niemiec przyjechali młodzi brygadziści i pełnią taką rolę” — opowiada inż. Krzysztof R. — „Wśród naszych są nawet doktorzy nauk technicznych, co najmniej inżynierowie z wieloletnim stażem, a pracują bardzo często na stanowiskach robotniczych”. To się nazywa handel: sprzedawać złoto po cenie żelaza.

Jednak wyjeżdżają. Niektórzy szukają przede wszystkim przygody, inni chcą się wyrwać z tego domu wariatów, jak mówią o kraju. Większość jednak chce po prostu zarobić prawdziwe pieniądze czyli dolary, kupić samochód, kolorowy telewizor, radio stereofoniczne i móc jeszcze przez kilka lat po powrocie kupować dzinsy dla swoich dzieci. Doktor nauk technicznych, Waldemar Z., mówi, że chciał się otrzeć o współczesną cywilizację. Na to potrzebne są pieniądze. Marzy także o wyjeździe na narty w prawdziwe Alpy. Uważają go za dziwaka, bo za pierwszą wypłatę kupił kilka książek wartości dobrego zegarka elektronicznego. Szanują go jednak, bo najlepiej zna angielski i umie... pędzić świetny bimber.

Swoje zarobki mogą obliczać rozmaicie. W obydwu krajach nieźle się ma czarny rynek dewizowy, a banki ustalają kilka kursów jednocześnie. Można też dokonywać wymiany za pośrednictwem towarów kupowanych tutaj lub częściej w Turcji. Wtedy trzeba zostać przemytnikiem. Wymaga to pewnej wiedzy, pracy i ryzyka, ale i przelicznik jest najkorzystniejszy.

W wielkościach wolnodewizowych, przy uwzględnieniu oficjalnego kursu dinara irackiego, zarobki wynoszą od 350 do 500 dolarów. Po przemnożeniu tych liczb przez kurs Narodowego Banku Polskiego otrzymujemy zarobki na poziomie dochodów krajowych górników lub... sprzedawców kwiatów i niewielu decydowałoby się na wyjazd za te pieniądze. Magnelem przyciągającym tłumy do bram central handlu zagranicznego jest dopiero przelicznik czarnorynkowy, który sprawia, iż zarobek przekracza blisko piętnastokrotnie przeciętne pensje krajowe. Wynika z tego, że państwo socjalistyczne stosuje wobec obywatela kurs czarnorynkowy, jednocześnie zakazując mu handlu dewizami pod groźbą więzienia. Przyjęte założenie sprawia, że tylko skrajny frajer może być uczciwy wobec takiego prawa.

Ryszard S. mówi — „Jestem tutaj już dwa lata. Pracowałem w kilku miejscach, na różnych kontraktach i zawsze słyszałem to samo, że jesteśmy biedni, że nie stać nas na porządne środki produkcji, nie mówiąc już o sprawach socjalnych”.

Trudno to w pierwszej chwili zrozumieć. Jednak wszystko staje się jasne i oczywiste, jeżeli założymy, że faktycznym celem eksportu z PRL jest to, aby jak najwięcej osób mogło wyjechać

za granicę i prywatnie dla siebie zarobić trochę grosza. „Jeżeli już podpiszemy jakiś kontrakt, to pierwszą moją myślą jest jak zrobić, żeby najwięcej ludzi tam upchnąć. Każdy ma trochę znajomych, rodzinę” — przyznaje szczerze po kilku wódkach mgr Zenon K., pracownik jednej z central handlu zagranicznego. — „Są dwa rodzaje interesów w tym wszystkim. Pierwszy zaczyna się już w kraju, jest to uczestniczenie w decyzjach personalnych; nawet gdyby polegało ono tylko na przekazaniu informacji gdzie i jak załatwić wyjazd. Daje to niezłe profity — od butelki koniaku do kilku tysięcy dolarów. Drugi rodzaj istotnego byznesu to ulokowanie się na eksporcie gdzieś koło żywych pieniędzy, a więc zaopatrzenie, zakupy lub magazyny. Wtedy można wysłać do kraju kilkusetkilogramowe paczki. W tym tkwią podstawowe motywy działania pracowników przedsiębiorstw organizujących eksport, a „zysk dla firmy” jest dobrym hasłem reformy gospodarczej dla przemówień dla mas. Kiedyś mówiło się „dewizy dla kraju” i też daliśmy sobie radę.

Zenon K. jest rozżalony. Załatwił z Anglikami jakiś świetny kontrakt. Był pewien, że zostanie jego kierownikiem: trzy spokojne lata w Iraku, willa, samochód w Warszawie; dyrektor przedstawił mu młodego człowieka i powiedział: „To jest nasz nowy, bardzo zdolny pracownik. Jestem pewien, że dobrze przedstawi go pan Anglikom. Będzie tam kierował naszymi interesami”. Po wyjściu zdolnego pracownika dyrektor wyciągnął koniak i przepraszając zaczął wyjaśniać: „Ja wiem, że to pan tam powinien jechać. Ta cała sprawa to wyłącznie pana zasługa. Ale co mogłem zrobić, jego teść jest wiceministrem i na pewno pójdzie w górę. Będzie bardzo przydatny dla naszej firmy”.

Polskie kontrakty zagraniczne obciążone są do monstrualnych rozmiarów administracją, która kosztuje bardzo dużo, wprowadza bałagan i jest utrapieniem dla tego, który te umowy ma szczęście realizować własną głową i rękami.

3. W Iraku krąży anegdota, że pewnego razu, kiedy nowo zatrudniony tłumacz przełożył treść rachunku przyniesionego przez dzielnego zaopatrzeniowca, okazało się, że kupiec arabski napisał w nim następujące zdanie: „Zapłacono 460 dinarów. Na prośbę kupującego sumę tutaj zapisaną podniesiono do 560 dinarów”. W tym miejscu muszę powołać się na profesora zdrowego rozsądku (prof. z.r.) Jana Pietrzaka z Akademii Ekonomicznej „Pod Egidą”, który powiedział o kraju nadwiślańskim: „Historyczny eksperyment zamiany obywateli na złodziei udał się znakomicie”.

Mam wątpliwości, czy można zjawisko eksportu w PRL rozpatrywać tylko w kategoriach moralnych, korupcji, złodziejstwa i prywaty. Może jest to protest przeciwko systemowi, który pozabawił ludzi możliwości decydowania o sposobach wykorzystania owoców ich pracy — rodzaj oporu realizowany w sferze ekonomicznej. Ale przecież jedną z cech systemu komunistycznego jest bezwzględne podporządkowanie ekonomiczne obywateli. Byłoby

to nawet zgodne z przysłowiem: Jak Kuba Bogu, tak Bóg Kubie. Jaką gwarancję ma pracownik eksportu, że wypracowany przez niego zysk zostanie wydatkowany na zakup lekarstw, a nie na sprowadzenie z zagranicy kolejnych armatek wodnych do walki z tłumem? Posiadanie konta dewizowego w banku, nawet jeżeli jest to bank polski, daje jakieś minimalne uniezależnienie od systemu, daje pewne poczucie wolności. Warto zastanowić się nad tym aspektem wyjazdów an „saksy” z Polski Ludowej.

Złodziejstwo, korupcja, niezależnie od motywów, dają większe szanse jednostkom społecznym. Chyba istnieje w Polsce przyzwolenie społeczne na szkoderstwo państwu przez kradzież na prywatne urządzenie siebie i swojej rodziny kosztem państwa. Nieszczęście polega na tym, że korzystają na tym przede wszystkim gangsterzy. Im ta mętna woda odpowiada najbardziej. Rzetelny człowiek chciałby także żyć lepiej, ale za porządną wiedzę, pracę i coraz częściej... wstydi się swojej uczciwości.

4. Opowiada inż. Mirosław K., który do Iraku przyjechał dwa miesiące temu: „W samolocie siedziałem obok modnie i drogo ubranej dziewczyny w wieku około 25 lat. Jechała do biura jednej z central handlu zagranicznego. Już na lotnisku była lekko podchmielona i bardzo rozmowna, tym bardziej, że w samolocie wypiliśmy razem kilka kieliszków. W pewnym momencie powiedziała mi: 'Jadę do tej krainy z tysiąca i jednej nocy, bo jestem dobrą dupą, ale nie jestem frajerką i wiem komu dawać. Ale lubię cię. Jak ci tych rzeczy będzie brakowało, to zgłoś się do mnie'. Pomyślałem wtedy o swoich kwalifikacjach — magister inżynier-mechanik z piętnastoletnią praktyką w dozorze technicznym, biegły sądowy, przez pewien czas wykładowca na politechnice. O wyjazd starałem się dwa lata. Kilka razy miałem już, już wyjechać, ale później okazywało się, że nie mam odpowiedniej specjalizacji lub praktyki. Pewnego dnia, kiedy właściwie zwątpiłem w swoje szanse, dostałem telegram, że w ciągu trzech dni mam zgłosić się na drugi koniec Polski do huty, żeby tam odbyć praktykę. Zaraz potem miał nastąpić wyjazd. Szczęśliwie szef był moim dobrym kolegą, więc dostałem urlop i pojechałem. Było nas tam kilku, nudziliśmy się, bo nikt nie umiał nam powiedzieć, jaka jest ta huta w Iraku. Jednocześnie okazało się, że z wyjazdu nic nie wyjdzie. Była to dla mnie sytuacja niepoważna i poniżająca. Rozpocząłem już przekazywanie spraw służbowych i obowiązków towarzyskich, gdyż na kilka lat miałem opuścić kraj. Kiedy pogodziłem się z myślą, że kolejny raz nie udało się, zadzwonił telefon: 'Proszę zgłosić się za trzy dni u nas. Podpisze pan umowę i tego samego dnia odlot'. To jest powszechnie stosowane rozwiązanie. Przyjeżdża pan spakowany do wyjazdu, zwolnił się pan z pracy, pożegnał z rodziną, ale nie ma pan jeszcze podpisanego kontraktu. Centrala w ostatniej chwili może się jeszcze wycofać, zostawiając pana na lodzie, wtedy też mogą zmniejszyć ustalone wcześniej ustnie wynagrodzenie. Czuję się jak szmata, kiedy w końcu znalazłem się w samolocie”.

Nie znajduję żadnego wytłumaczenia takiego stylu załatwiania spraw poza wygodnictwem urzędników. Jeżeli ktoś jest już urodzonym łobuzem, to na całą dobę i wobec wszystkich, a nie tylko przeciwko systemowi. Różnica między partyzantem a terrorystą-bandytą bywa często bardzo płynna.

„Po wylądowaniu na lotnisku w Bagdadzie — ciągnie opowieść inżynier Mirosław K. — okazano zdziwienie z powodu mojego przyjazdu. Być może spodziewano się kogoś innego. Przechymano mnie 2 tygodnie w niepewności. Nic w tym czasie nie robiłem. Zacząłem liczyć się z odesłaniem do kraju. W końcu skierowano mnie do pracy w rafinerii. Do dzisiaj nie wiem, dlaczego mój wyjazd musiał być taki gwałtowny, dlaczego było tyle korowodów z moim inżynierskim doświadczeniem, kiedy tutaj pracuję jako monter”.

5. Niewątpliwie Irak jest pod wieloma względami odmienny od Polski. Inny klimat i środowisko przyrodnicze stwarzają istotne zagrożenie dla zdrowia i życia Europejczyka. Nieznajomość miejscowych obyczajów, opartych na islamie, może stać się przyczyną tragicznych nieporozumień. Specyficzny ruch drogowy, od którego włos się jeży na głowach przybyłych tutaj po raz pierwszy, wymaga szeregu praktycznych wskazówek i wyjaśnień od osób doświadczonych. „Ja dopiero po dwóch miesiącach dowiedziałem się od kolegi, że warzywna i owoce trzeba dezynfekować w celu uniknięcia ameb i innych pasożytów” — mówi Stefan Z. — „Jestem tylko murarzem, nie znam się na tym, ale umiem czytać. Są przecież w Polsce różne instytuty, kliniki. Czy to trudno napisać jakieś instrukcje jak jeść, co jeść, jak się zachowywać ażeby zmniejszyć szanse robactwu i bakteriom. Ludzie chorują na naszych *camp*'ach nigdy dokładnie nie wiadomo na co, czy z głupoty, czy z niewiedzy. Panie, oni tam na górze to tak naprawdę mają nas w dupie, my to jesteśmy dla nich takie 'mięso eksportowe'” — kończy dosadnie budowlaniec z Legnicy.

„Jedni zachowują się wręcz skandalicznie. Nie rozumiejąc niczego, uważają miejscowych za głupków, leni i brudasów. Są niegrzeczni, aroganccy. Grają wielkich panów, to znaczy że oni tak sobie wyobrażają wielkich panów. Czują się niezmiernie ważni i nawet nie zdają sobie sprawy, że w ten sposób starają się leczyć własne, przywiezione z Włoch prowincjonalne kompleksy, spotęgowane widokiem japońskiej elektroniki w sklepach, japońskiej motoryzacji na nowoczesnych autostradach”.

Niewątpliwie nasz kraj staje się z każdym dniem prowincją — czwartym, piątym, szóstym światem. Zachodnie wydawnictwa, które są niedostępne dla polskiego uczonego, tutaj w Bagdadzie leżą sobie spokojnie w księgarniach. Może je kupić każdy przechodzień. Widać tu wiele przemyślanych działań, aby gonić za współczesnością. Irak wystartował z pozycji ogromnego zafowania, które jeszcze gdzieś widać. W Polsce toczy się pro-

ces odwrotny, pracownicy trwonią się dorobek cywilizacyjny wielu pokoleń, który także od czasu do czasu daje znać o sobie i ma być według oficjalnej propagandy dowodem, że jednak rozwija się... W Polsce wiele dyskutuje się o niemożności produkowania nawet zwykłych klocków drewnianych, na których wychowali się obecnie dorośli konstruktorzy maszyn i domków. Przyszli inżynierowie, operatorzy nowoczesnych fabryk i instalacji ćwiczą dzisiaj na skomplikowanych elektronicznych zabawkach, jakich pełno jest w sklepach irackich. Dziś polski specjalista jest tutaj jeszcze przydatny, ale obawiam się, że absolwenci przedszkoli z nad Tygrysu mogą być lepsi od przedszkolaków z nad Wisły.

Wśród prezentów, jakie polscy specjaliści kupują dla swoich dzieci pierwsze miejsce zajmują gry elektroniczne, pomimo że skrupulatnie liczą każdy zarobiony tutaj dinar, a cena takiego podarku osiąga wartość przeciętnej krajowej pensji. Instynktownie wyczuwają, jak bawić się powinni ich następcy, żeby znaleźć sobie miejsce w nadchodzących czasach.

Nietrudno obliczyć, że Irakiem zainteresowanych jest w Polsce co najmniej kilkaset tysięcy osób. Jednak trudno znaleźć w prasie jakieś sensowne wiadomości o tym kraju, a więc króluje plotka, wiadomości przekazywane z ust do ust, co z całą pewnością nie ułatwia życia w tym kraju tym kilkunastu tysiącom polskich mameluków, pracującym tutaj każdego dnia.

Drogi irackie pochłonięty już wiele polskich ofiar, mówi się o kilkuset zabitych rocznie. Być może liczba jest przesadzona, bo oznaczałoby to kilkuprocentową śmiertelność wśród polskich załóg. Jednak każdy z kim rozmawiam potrafi wskazać wśród swoich znajomych tragiczne ofiary.

Mówi inżynier Ryszard W., w kraju rzeczoznawca Polskiego Związku Motorowego, rajdowiec, pracujący tutaj jako brygadzysta. Nadzoruje pracę kilku Tajlandczyków. Razem przykręcają śrubami ściany hali fabrycznej: „Rzeczywiście wypadków jest tutaj niezmiernie dużo. Niejako zawodowo zastanawiałem się nad przyczynami. Widzę następującą kolejność: słaba technika prowadzenia samochodu, nieznajomość przepisów i zwyczajów, zbyt duża brawura, agresywność wynikająca z przyczyn psychologicznych. Ponieważ wypadki drogowe są problemem, należałoby dokonać odpowiednich analiz i podjąć racjonalne środki zmierzające do zmniejszenia zagrożenia. Zamiast tego każdemu wyjeżdżającemu podsuwa się do podpisania papierek, z którego wynika, że zdaje on sobie sprawę z niebezpieczeństwa, na jakie się naraża wyjeżdżając do Iraku. Pytałem wiele osób, czy razem z kluczykami do samochodu otrzymali jakieś elementarne wiadomości o tym, tak przecież specyficznym, ruchu drogowym. Niestety, odpowiedź była zawsze negatywna”.

Pewien wieloletni pracownik handlu zagranicznego wytłumaczył mi całą sprawę w prosty sposób: „Ktoś kto wybiera się do takiego kraju jak Irak musi mieć duszę pioniera, musi należeć do gatunku, który zdobywał Dzikie Zachód lub wyruszył na

wyprawę z Kolumbem. Taki człowiek liczy się z ryzykiem, z niewygodami, z koniecznością zmiany przyzwyczajzeń, a tutaj przyjeżdżają często tacy delikatni maminsynkowie i chcieliby mieć tak samo jak w domu”.

Osadnicy wędrujący przez Dzikie Zachód wynajmowali doświadczonych przewodników, fachowców, którzy umiał ostrzec ich przed niebezpieczeństwami. W naszym przypadku przewodnik sam sobie wybiera wędrowców. Krzysztof Kolumb był znakomitym żeglarzem i wziął na swoją wyprawę wszystko, co według ówczesnej wiedzy mogło okazać się niezbędne.

Jak można w ogóle mówić o pionierstwie w kraju, w którym każdego dnia lądują rejsowe samoloty, o miejsca w hotelu jest łatwiej niż w Warszawie, gdzie są restauracje, wypożyczalnie samochodów, nowoczesne autostrady, a niejedyn stragan jest lepiej zaopatrzony niż dolarowe sklepy Pewexu. To jest typowa dla krajowych narad demagogia. Całe ryzyko niewygód i upokorzeń, będących udziałem polskich pracowników w Iraku, wynika z nieudolności, niekompetencji i niechlujstwa organizacyjnego instytucji zajmujących się eksportem w PRL, gdzie państwo ma zagwarantowany konstytucyjny monopol na handel zagraniczny.

Danek TURCZYŃSKI

29 października 1983.

Szanowny Panie Redaktorze!

We wrześniowym numerze Waszego miesięcznika miałem okazję przeczytać wywiad p. D. Turczyńskiego z p. Krystyną S., przebywającą w chwili obecnej w Iraku.

Wywiad ten bardzo mnie zainteresował, ponieważ sam pracowałem 18 miesięcy w ramach kontraktu na budowie prowadzonej przez jedną z polskich central handlu zagranicznego w Iraku.

Po części zgadzam się z wypowiedziami pani S., niemniej jednak sądzę, że w niektórych swoich wypowiedziach trochę ta Pani przesadziła, a niektórych rzeczy nie dopowiedziała. Dla pełniejszego obrazu panujących tam sytuacji pragnę dorzucić kilka zdań z moich obserwacji z pobytu i pracy w w/w kraju.

Zgadzam się, że pracownicy na polskich budowach są dobrani przypadkowo z różnych regionów kraju, jak również nie wszyscy posiadają minimum kwalifikacji potrzebnych do wykonywania pracy na zajmowanym stanowisku. Dotyczy to w równym stopniu pracowników wszystkich grup i kategorii. Nie zgadzam się natomiast z twierdzeniem, że bardzo często wybuchają konflikty wśród pracowników na tle ich pochodzenia z różnych regionów kraju. Nie takiego nie miało miejsca na budowie na której pracowałem, ani na budowach które znałem w Iraku z racji odwiedzin swoich znajomych czy kolegów.

Jeżeli chodzi o warunki mieszkaniowe, to są one zróżnicowane, o czym na pewno wie pani S. Zgadzam się całkowicie z opinią, że warunki w których mieszkają robotnicy są rzeczywiście fatalne. Jak jednak wiadomo, w komunistycznych układach są zawsze równi i równiejsi. Tak więc średni dozór techniczny czy pracownicy administracji mieszkają już w

znacznie znośniejszych warunkach niż „pospolite bydło robocze”, jak traktowani są robotnicy przez kierownictwo (mniejsze zagęszczenie mieszkańców w domkach, większe łazienki, dobrze wyposażone kuchnie, lodówki w każdym dwuosobowym pokoju itd.). Dyrekcja i kierownictwo budowy w porównaniu z resztą pracowników i jak na irackie warunki mieszka luksusowo (osobne domki dla pojedynczych osób, oczywiście odpowiednio komfortowo wyposażone). Tak więc państwo socjalistyczne troszczy się w różnym stopniu o swoich obywateli, zgodnie z obowiązującą w komunizmie maksymą „każdemu według jego potrzeb”. Jedną z poruszonych w artykule spraw był temat „alkohol”. Piją prawie wszyscy i to z wielu powodów, ale to raczej sprawa do zbadania dla psychologów. Można tylko dodać, że kierownictwa budów nie dają w tym względzie przykładów godnych naśladowania ponieważ piją na równi z innymi, a czasami nawet pozostających wyprzedzają w tej dziedzinie. Nie zresztą dziwnego, skoro nie odbija im się to tak bardzo na zdrowiu jak reszcie pracowników, ponieważ pracują w klimatyzowanych pomieszczeniach i mogą do woli wypoczywać, nie bacząc na to czy spóźnią się do pracy, czy nawet wcale nie przyjdą, ponieważ nie grożą im z tego tytułu żadne konsekwencje. Korespondencja z rodzinami pozostałymi w kraju nie jest według mnie najgorsza. Na każdej budowie trwa rotacja pracowników związana z tym, że część ludzi kończy kontrakt, przyjeżdżają nowi na ich miejsca, niektórzy jadą na urlopy i z nich wracają, tak więc są oni kurierami przewożącymi korespondencję i listy można otrzymywać dość regularnie.

Sprawa urlopów. O wyjeździe na urlop każdy decyduje indywidualnie, ponieważ bilet w obie strony pokrywa pracownik. Niektórzy ze względów oszczędnościowych nie jadą i pobierają ekwiwalent za urlop po zakończeniu kontraktu. Sprawa kupna biletów nie dotyczy oczywiście niektórych osób z najwyższego kierownictwa, ponieważ ci jadą do kraju „służbowo” i bilet kupuje przedsiębiorstwo. Mogą odwiedzać też pracowników ich rodziny, ale na budowie robi się tyle trudności, że zwykłych pracowników to zniechęca i przypadki odwiedzin są bardzo sporadyczne. Przyjeżdżają jednak dość często żony pracowników z kierownictwa budowy. Dlaczego? Dziwnym trafem zaraz po przyjeździe są niezbędne dla prac przedsiębiorstwa i jako że już są na miejscu, podpisuje się z nimi kontrakt. Otrzymują zatrudnienie jako sekretarki, kasjerki lub w jakichś działach administracji (np. żona jednego z dyrektorów budowy po przyjeździe w odwiedziny do męża otrzymała pracę w „dziale przygotowania produkcji”; jej „praca” wyglądała w ten sposób, że około godz. 11-ej przychodziła do pokoju biurowego męża, przygotowywała mu kawę, chwilę poplotkowała i udawała się prywatnie na sprawunki służbowym samochodem).

Co dotyczy zysków z takich kontraktów, to doprawdy nie wiem, jak się one kształtują, może jednak coś na temat kosztów własnych. Na każdej budowie istnieją dwie grupy pracowników, pracownicy produkcyjni (murarze, stolarze, instalatorzy, elektrycy, mechanicy, kierowcy, operatorzy, itd.) oraz grupa pracowników nieprodukcyjnych (dozór, administracja, kierownictwo). Stan osobowy pracowników w podzieleniu na te dwie grupy na budowie na której pracowałem przedstawiał się następująco: produkcyjni 54 %, nieprodukcyjni 46 %. Płace miesięczne: robotnicy 96 ID — 112 ID, dozór 120 ID — 135 ID, tak samo administracja i pracownicy biurowi; kierownicy działów 140 ID — 190 ID, dyrekcja powyżej 200 ID plus premie i nagrody (100 ID — dinarów irackich — po oficjalnym kursie transferowym równało się około 330 dolarów USA). Dla niektórych były także dodatkowe źródła dochodów i to jak na polskie warunki nie byle jakie (np. różne zakupy na potrzeby budowy, począwszy od części zamiennych do artykułów żywnościowych dla stołówki budowy, kupowane są w irackich sklepach lub na tzw. wolnym rynku. Nie pobiera się rachunków od sprzedawców, tylko wypisuje się oświadczenia z ceną zakupionych towarów. Oświadczenia takie

zawierza kierownik budowy i główny księgowy. Różnica między ceną faktyczną a ceną podaną na oświadczeniu zostaje do podziału między strony uczestniczące w tym oszustwie). Nie chcę się tutaj rozpisywać na temat maszyn i urządzeń używanych w czasie kontraktu. Są one z reguły mało nowoczesne, często się psują, ponieważ nie zdają w ogóle egzaminu w tamtejszych warunkach klimatycznych i specyficznych warunkach pracy. Są one przeważnie produkcji sowieckiej, ale na zakup ich nie mają prawdopodobnie wpływu przebywający na miejscu kierownicy budowy. Poza tym maszyny budowlane i samochody używane przez pracowników nie posiadają klimatyzacji, co latem, przy temperaturach powyżej $+50^{\circ}\text{C}$, czyni pracę ogromnie ciężką, a nawet niebezpieczną dla zdrowia. Jak zwykle, tak i w tej sprawie samochody służbowe szefów budowy klimatyzację posiadają, bo jakże by inaczej.

Na każdej polskiej budowie, przeważnie w dziale kadr, zatrudniony jest etatowy pracownik SB lub co najmniej osoba współpracująca z tą instytucją na stałe.

Z chwilą ogłoszenia stanu wojennego w Polsce warunki pracy znacznie się pogorszyły. Pracownicy byli zmuszani do pracy nawet w zagwarantowanej umową dni wolne od pracy. Lekarz budowy otrzymał zakaz udzielania zwolnień i mógł ich udzielić tylko w razie jakichś poważnych wypadków. Kto się buntował lub usiłował coś krytykować, był przenoszony na najgorsze i najbardziej uciążliwe stanowisko pracy. Jeżeli i to nie skutkowało, szantażowano pracownika dyscyplinarnym zjazdem do kraju na własny koszt i z wszystkimi konsekwencjami wynikającymi z takiego zwolnienia. Akcjami tymi kierowali wyżej wspomniani pracownicy SB.

Może to tyle w bardzo telegraficznym skrócie z tego co zaobserwowałem pracując na polskiej budowie eksportowej w Iraku.

Łączę wyrazy szacunku i poważania.

Nazwisko znane Redakcji

Uczelnie polskie w USA

Polska grupa etniczna w USA, która według danych z 1980 roku liczy sobie 8.200.000 osób, ufundowała i prowadzi jedną wyższą uczelnię: *Alliance College* w miasteczku Cambridge Springs w stanie Pennsylvania. Łuźniej z Polonią związane są trzy szkoły katolickie w miasteczku Orchard Lake w stanie Michigan: seminarium im. Cyryla i Metodego, *St. Mary's College* i szkoła średnia męska. Uczelnie te funkcjonują na tej samej zasadzie, na której kiedyś, przed desegregacją, funkcjonowały szkoły dla Murzynów: są to instytucje podrzędne, nie grające żadnej roli w życiu naukowo-intelektualnym kraju, mające za zadanie zaspokajanie skromnych potrzeb getta etnicznego — w tym przypadku polskiego.

Przypatrzmy się najpierw *Alliance College*. Właścicielem jej jest *Polish National Alliance School Corporation*. PNA to trzy-

stutysięczna organizacja, którą można scharakteryzować jako folklorystyczno-rozrywkowo-towarzystką. *Alliance* została założona w 1912 roku jako szkoła średnia. W roku 1924 wprowadzono tam kursy na poziomie *junior college*, tzn. na poziomie pierwszych dwóch lat szkoły wyższej. W 1938 roku status *Alliance* jako *junior college* został oficjalnie uznany przez regionalne stowarzyszenie, akredytujące uniwersytety i szkoły wyższe w centralnych stanach USA. W roku 1952 *Alliance* została akredytowana przez to samo stowarzyszenie jako szkoła wyższa, z normalnym cztero-letnim lub pięcioletnim programem. Obecnie studenci *Alliance* mają do wyboru następujące specjalizacje: księgowość, prowadzenie przedsiębiorstw, handel międzynarodowy, środki masowego przekazu, biologię, chemię, matematykę, komputery, polonistykę i wychowanie fizyczne.

W roku akademickim 1982/1983 *Alliance* miała 280 studentów. Dziesięć lat temu było ich 500. Spadek tłumaczy się częściowo ogóln amerykańską koniunkturą, która obecnie jest niekorzystna dla małych, prywatnych wyższych uczelni, częściowo zaś brakiem talentu manadżerskiego u tych osób, które kierują *Alliance* i odpowiedzialne są za rozszerzenie jej bazy finansowej. Opłata roczna za studia wynosi ok. 4.000 dolarów: włącza to czesne, mieszkanie i utrzymanie. 90 % studentów otrzymuje stypendia stanowe, federalne, prywatne i inne. Czesne pokrywa jedynie 40 % wydatków uczelni; reszty dostarczają odsetki z tej części majątku uczelni, która te odsetki produkuje (a więc z akcji, kapitału bankowego, wynajmowanych nieruchomości itd.) oraz najróżnorodniejsze dary i granty od absolwentów, od Amerykanów polskiego pochodzenia, od *Polish National Alliance*, od władz stanowych i federalnych. Pełny majątek (*endowment*) uczelni wynosi obecnie pięć i pół miliona dolarów.

Tak więc *Alliance* to uczelnia młoda, mała i niebogata, mająca jak wiele innych małych prywatnych uczelni w USA ciągłe kłopoty pieniężne. Według katalogu uczelni na lata 1982/1984, wykładowców ma ona trzydziestu pięciu, w tym dziewiętnastu na pół etatu. Te półetatowe stanowiska świadczą dobitnie o trudnościach finansowych: uczelnia zamożna płaciłaby swoim wykładowcom pensje pełnoetatowe, pozwalając im na prowadzenie pracy naukowej za dodatkową połówkę etatu. Za niezbędne oszczędności nie można winić *Alliance*; można jednak ją winić za to, że wśród wykładowców jest jedynie pięć osób z doktoratem. Przy obecnej nadprodukcji wykładowców uniwersyteckich, gdy doktoranci we wszystkich dziedzinach humanistyki i w niektórych dziedzinach nauk ścisłych muszą szukać pracy poza uniwersytetami, byłoby rzeczą względnie łatwą zaangażować ludzi na pewnym poziomie naukowym, ludzi z ambicjami zawodowymi i pedagogicznymi.

Brak wykładowców z doktoratami określa poziom naukowy tej uczelni. Jest rzeczą do przewidzenia, że działalności naukowej wykładowcy nie prowadzą i że prawie żaden z nich nie może się pochwalić listą artykułów czy książką, wydaną w jakimś pow-

szechnie znanym wydawnictwie. Najprężniejszą instytucją kulturalną w *Alliance* jest zespół taneczny „Kujawiaki”. Nie mam oczywiście nic przeciwko zespołom tanecznym i w ogóle przeciwko polskiemu folklorowi. Panu Lawrence Kozłowskiemu, kierownikowi tego zespołu, należy się uznanie za talent taneczny i mánadżerski. Ale folklor to tylko piękny ornament polskości i samej polskości nie może zastąpić. Wydaje się, że administracja i powiernicy *Alliance* nie bardzo potrafią odróżnić ornament od istoty kultury narodowej. I dlatego *Alliance* nie jest ośrodkiem naukowym, nie jest ośrodkiem kulturalnym, lecz raczej ośrodkiem ornamentalnym.

Szkoły w Orchard Lake odgrywają jeszcze skromniejszą rolę niż *Alliance College*, głównie z powodu trudności finansowych. Właściwie mówić tu można jedynie o szkole średniej. Nawet za dawnych dobrych czasów, tzn. dziesięć lat temu, *St. Mary's College* miała jedynie 98 studentów i nie była akredytowana. Obecnie *St. Mary's* jest jeszcze mniejsza. Przy szkołach w Orchard Lake istnieje Ośrodek Studiów Polskich (*Orchard Lake Center for Polish Studies and Culture*), który posiada 60.000-tomową bibliotekę (w tym 10.000 tomów na tematy polskie), archiwum rękopisów, związanych z historią Polaków w Ameryce, galerię obrazów polskich malarzy, laboratorium językowe, gdzie można się nauczyć polskiego z taśm, księgarnię. Szkoły Orchard Lake zostały założone w 1909 roku, a więc mniej więcej w tym samym czasie, gdy powstała *Alliance*. Utrzymują się one z czesnego i z donacji miejscowych katolików. Nie posiadają żadnego majątku, płaćącego odsetki, żadnego *endowment*. Podobnie jak *Alliance*, polski ośrodek w Orchard Lake nie może się pochwalić żadnymi naukowcami na miarę ogólnokrajową, ani w ogóle żadnymi osobistościami na miarę ogólnoamerykańską.

Taka jest więc sytuacja finansowo-naukowa uczelni polskich w USA. Sytuacja ta tłumaczy, dlaczego uczelnie te nie prowadzą efektywnej działalności ani na rzecz aspiracji do wolności, którą zgłaszają, jakże dobitnie, Polacy w Polsce, ani na rzecz dyskryminowanej (nie przez rząd oczywiście, ale przez grupy nacisku, których interesy sprzeczne są z interesami Polaków) mniejszości polskiej w Stanach Zjednoczonych. Na uczelniach tych brak naukowców, których książki czytane byłyby przez ludzi nie związanych z polskim gettem, brak ludzi z talentem mánadżerskim, którzy potrafiliby grać rolę pośredników w eksponowaniu spraw polskich na forum amerykańskim. W obronie tych uczelni należy jednak powiedzieć, że były one w samym założeniu skazane na drugorzędność. Uczelnie „etniczne” w Stanach, z bardzo nielicznymi wyjątkami, są z reguły drugo- lub trzeciorzędne. Jak już wyżej wspomniałam, jaskrawym tego przykładem były uczelnie murzyńskie przed desegregacją.

Można tu zgłosić zarzut, że fantazjuję na temat możliwości wywierania wpływu na społeczeństwo przez wykładowców uniwersyteckich. Czyż nie są oni tradycyjnie oddani mrówczej pracy

nad interpretacją tekstów, atomów, komórek? Referaty ich zaś czytają inni naukowcy, a nie przeciętny obywatel.

Rzecz jasna, jest w tym poglądzie doza prawdy. Ale w społeczeństwie amerykańskim wpływ czołowych profesorów i ich studentów polega nie tyle na *interpretacji* problemów, które już weszły w świadomość przeciętnego obywatela, ile na ich *nominacji* do rangi problemów ważnych, tzn. na wybraniu z nieskończonej nieomal ilości problemów, istniejących we współczesnym świecie pewnej ich ilości i przekonaniu publiczności, że to one właśnie są istotne. Ta metodyka działalności naukowej przypisywana jest przez niektórych jedynie Związkowi Sowieckiemu, jest ona jednak powszechnie stosowana i w krajach demokratycznych. Manipulacja uwagą publiczności odbywa się nie tylko w prasie i telewizji. Zaczyna się ona, powtarzam, na uniwersytetach, od książek, pisanych przez znanych i uznanych naukowców, od ich wykładów i od innych form działalności pedagogicznej. Stąd już tylko krok do publiczności, która nigdy na uniwersytetach nie bywała. Publiczność ta nie jest aż tak naiwna, aby przełknąć jakieś bardzo stronnicze interpretacje zdarzeń. Jest ona jednak wystarczająco naiwna, aby nie zauważyć, że seria zdarzeń, o których słyszy w telewizji i czyta w gazetach, została *nominowana* dla niej przez osoby, których umysły ukształtowały się na uniwersytetach. Inne zaś zdarzenia i problemy zostały usunięte z pola widzenia.

Wpływu na te procesy polskie uczelnie i polscy wykładowcy nie mają żadnego. To nie Polacy nominowali Solidarność do rangi problemów, zasługujących na uwagę, i nie Polacy zdjęli ją po pewnym czasie z agendy.

Cóż więc można zrobić? Zakładam, że sprawą ważną jest nie sam fakt istnienia polskich uczelni, lecz raczej to, co się tak ładnie nazywa „krzewieniem polskiej kultury i polskiego punktu widzenia”.

Wśród Polonii amerykańskiej zaczynają się rozlegać głosy, że należałoby ufundować Instytut Studiów Polskich — coś w rodzaju Instytutu Ukraińskiego przy uniwersytecie Harvard — na którymś z bardziej prestiżowych amerykańskich uniwersytetów. Myśl to owszem niezła, zwłaszcza, gdy ją przysmażyć i z Grzybkami podać, jak by powiedział Słynny Pisarz. Sęk w tym, że dwudziesto- czy nawet studolarowymi donacjami Instytutu się nie ufunduje, a na takie tylko donacje można liczyć przy obecnym niezorganizowaniu politycznym Polonii. (Rada byłabym, gdyby mi ktoś udowodnił, że się mylę). Jedynymi polskimi organizacjami, które są jako tako ustabilizowane finansowo, są *Polish National Alliance* i *Polish American Congress*. Szanse na to, aby organizacje te, reprezentujące głównie dawną wiejską Polonię, dostarczyły pieniędzy polskim inteligentom są nikłe. Tajemnicą poliszynela jest bowiem to, że wśród Polonii amerykańskiej istnieje podział na tzw. inteligencję (zwykle urodzoną w Polsce i zajmującą względnie wysokie stanowiska w strukturze społecz-

nej USA) i na „dawną Polonię”, której duża część jest wciąż nisko usytuowana.

W tej sytuacji wyjścia szukałabym w inicjatywach oddolnych, indywidualnych. Jedną z rzeczy możliwych jest spenetrowanie struktury polskich uczelni, staranie się tam o pracę, dotarcie do powierników *Alliance College*, znalezienie sposobu na przyciągnięcie większej ilości studentów, odsunięcie widma bankructwa — jednym słowem, podniesienie poziomu już istniejących uczelni i wykazanie talentu manadżerskiego.

Bardziej realistyczną i długofalową inicjatywą byłby udział w tworzeniu warstwy polskiego mieszczaństwa w USA. Fatalny podział na inteligencję i dawną Polonię można przezwyciężyć jedynie przez grawitację obu grup w kierunku trzeciej kategorii, w której mogłyby się one złąć. Niestety przeszkadza tutaj polska tradycja pogarda do mieszczaństwa. Zbieranie pieniędzy czy zgoda mówienie o nich należy do złego tonu. Atmosfera społeczna Ameryki, tak przesycona myśleniem o pieniądzu, przerzuciła nieco te uprzedzenia, ale są one wciąż silne zwłaszcza wśród inteligencji. Zauważmy tutaj, że w społeczeństwach demokratycznych mieszczaństwo, a nie inteligencja, zajmuje się konserwacją i finansowaniem kultury narodowej. Dla pielęgnowania kultury polskiej w USA potrzebna jest szeroka baza polskiego mieszczaństwa, które by mogło tę kulturę sfinansować.

Sprawa ta wiąże się z rewolucją postindustrialną, która się obecnie w Stanach odbywa. Od przemysłu dymiących kominów przechodzi się obecnie do przemysłu mikrochipsów, komputerów i programów komputerowych. Młodzi ludzie z Polski, którzy się teraz tak masowo w Stanach osiedlają, mają wielką szansę włączenia się w tę postindustrialną rewolucję przez studiowanie tych dziedzin nauki, które są z nią związane. Oznacza to odejście od humanistyki i medycyny, na które tradycyjnie idą dzieci polskich inteligentów w Stanach, i wejście w zawody mniej ustabilizowane, zawody w dziedzinie „wysokiej technologii” (*high technology*) i manadżerstwa. Tu bowiem leży potencjalne przyszłe bogactwo i Stanów, i oddzielnych amerykańskich obywateli wraz z ich organizacjami i uczelniami.

W międzyczasie, aby chociaż małe kapitały na kulturę polską zebrać od ludzi, mających jakie takie pieniądze, ogromnie potrzebna jest siatka fundacji charytatywnych (tzn. zwolnionych od podatków), które zbierałyby fundusze na szczegółowo określone cele. Obecna struktura podatkowa USA uniemożliwia dawanie większych sum na cele charytatywne bez możliwości odliczenia sobie tego od podatku dochodowego. Jak każdy zamożny Amerykanin dobrze wie, dając jeden dolar fundacji, zwolnionej od podatków, daje właściwie tylko 50 centów, gdyż gdyby tego dolara nie dał, podatki odebrałyby mu z niego 50 centów. Dając zaś dolara na cel, który nie zwalnia donacji od podatków, daje właściwie dwa dolary, gdyż za każdy dolar dany na ten cel zapłacić trzeba będzie dolara podatku. Skandalem jest to, że w

Stanach nie ma ani jednej fundacji, która by zbierała pieniądze specjalnie na fundusz wydawniczy paryskiej *Kultury*. Istnieją oczywiście różne polskie fundacje charytatywne, ale mają one szerokie cele i zatrudniają w związku z tym pewną ilość osób, których uposażenia i miejsca pracy pokrywane są przez donacje (czasem pochłaniając więcej niż 50 % donacji). Mnie zaś chodzi o fundacje że tak powiem „jednocelowe”, w których większość pracy wykonywana byłaby przez ochotników. Tworzenie fundacji — co nie jest zresztą, z punktu widzenia amerykańskiego prawodawstwa, rzeczą skomplikowaną — jest jedną z ważnych możliwości oddolnej inicjatywy.

Niektórzy Polacy i działacze polonijni odnoszą się sceptycznie do takich propozycji zaczęcia od dołu i obliczonych na wiele lat. Uważają oni, że jeżeli autorytatywne czynniki nie zaplanują, nie zaaprobuja, nie dadzą wytycznych, nie obmyślą wielkiego planu, nie ma co i zaczynać. Moim zdaniem tego rodzaju niewiara w indywidualne przedsięwzięcia, w wartość i siłę inicjatyw indywidualnych jest może najbardziej tragicznym aspektem sowietyzacji Polaków. Wyraża ona podświadomo czasem, i bardzo niedemokratyczny sceptycyzm i niechęć do zwykłego, niezbyt mądrego człowieka, który pomnożony przez miliony tworzy nowoczesne społeczeństwo. „Jednostka — zerem, jednostka — bzdurą”, mówił rosyjski poeta Włodzimierz Majakowski, dając w ten sposób klasyczny przykład zsowietyzowanego myślenia. Klasycznym zaś przykładem amerykańskiego myślenia jest wyrażenie *grass roots movement* — dosłownie, ruch korzeni trawy, wysiłek jednostek na bardzo niskim poziomie, z którego wyłaniają się potem jednostki już na wyższym poziomie. Tego rodzaju inicjatywa jest w społeczeństwach demokratycznych możliwa i owocna.

Na zakończenie przykład takiej typowo amerykańskiej, długofalowej inicjatywy oddolnej. Trzydzieści lat temu, w kuchni na podłodze, w nędznym mieszkaniu w dzielnicy slumsów w Chicago, siedziało czterech dwudziestoparoletnich Murzynów. Wszyscy czterej byli bez grosza przy duszy, bez znajomości, bez pracy i wpływów. Ta czwórka poprzysięgła sobie dwie rzeczy. Po pierwsze, dążyć do wysokich osiągnięć w wybranej przez siebie dziedzinie. Po drugie, lojalnie się popierać i pomagać sobie wzajemnie w tym dążeniu.

Zasługuje tu na uwagę nie tylko mieszczańska ambicja pięcia się do góry, ale i fakt, że ludzie ci, bez doświadczenia, przeczuwali jednakże, że w dążeniu do osiągnięć życiowych trzeba mieć sprzymierzeńców. Aby uzyskać pracę w jakimś przedsiębiorstwie, niewiele się wskóra zachwalając samego siebie dyrektorowi — musi to zrobić ktoś inny. Wartość pochwały „za plecami” przewyższa wielokrotnie wartość pochwały „w oczy”. Udzielanie sobie nawzajem informacji, rozeznanie terenu i to, co psychologowie nazywają „psychicznym głaskaniem” — wszystko to ci Murzyni dawali sobie nawzajem przez trzydzieści lat.

W roku 1983 rezultaty były następujące. Jeden z nich, nazwiskiem Dempsey Travis, jest pisarzem i milionerem. Drugi, Oscar Brown Jr., jest popularnym muzykiem. Trzeci, Gus Savage, już po raz drugi został wybrany posłem do amerykańskiego Kongresu. A czwarty, nazwiskiem Harold Washington, w połowie kwietnia 1983 został wybrany prezydentem miasta Chicago. Jest on pierwszym Murzynem, który zajmuje to ogromnie ważne w polityce amerykańskiej stanowisko.

Być może warto, aby młodzi Polacy w Stanach też zakładali takie „czwórki”. Bowiem to, że się jest uczciwym i ma się rację zbawi oczywiście duszę, ale polskich centrów kulturalnych w USA nie stworzy. Jak mówi amerykańskie powiedzenie, za „rację” plus 50 centów można sobie najwyżej kupić filiżankę kawy.

Sally BOSS

Polacy w Nowej Zelandii

Wśród polonijnej diaspory szczególne miejsce zajmuje Polonia nowozelandzka, nie tylko dlatego, że powstała jako większa grupa dopiero w okresie ostatniej wojny światowej, a podobnie jak Polonia brytyjska i australijska z przyczyn politycznych.

ZACZĘŁO SIĘ W XIX WIEKU

Pierwsza emigracja Polaków do Nowej Zelandii zaczęła się w latach 1872-1876, kiedy w zorganizowanych grupach, różnych liczebnie, przybyło ogółem ponad półtora tysiąca ludzi z Kaszub i Mazur, ówczesnego zaboru pruskiego. Najwcześniej przybyłe grupy Polaków osiedlono w roku 1872 na Wyspie Południowej, na błotnistych terenach Marshland w rejonie Christchurch. Mimo bardzo trudnych warunków uprawy tych terenów Polacy doprowadzili je po latach mozolnej pracy do stanu urodzajnych gospodarstw. Kiedy potomkowie polskich pionierów celebrowali 100-lecie Marshland, był to już wyróżniający się w Nowej Zelandii rejon warzywniczo-ogrodniczy. Dalsze dwa polskie osiedla na tej wyspie utworzone zostały blisko miejscowości Dunedin, a w Allanton i Waiholo powstały polskie kościoły katolickie.

Inna grupa polskich emigrantów, licząca blisko pięćset osób, przybyła do Wellingtonu w roku 1876 niemieckim statkiem „Fritz Renter” i została skierowana na osiedlenie na Wyspę Północną, głównie w Carterton i Inglewood w okręgu Taranaki. 86 rodzin kaszubskich, które zaznały wielu prześladowań od Prusaków za przywiązanie do polskości, rozpoczęło swój nowy rozdział życia od karczowania dzikiego buszu, nietkniętego dotychczas przez białego człowieka, doprowadzając z czasem ten rejon Wyspy Północnej do wzorcowego stanu pól uprawnych. Potomkowie tych osadników zorga-

nizowali w styczniu 1977 roku, w miasteczku Inglewood, uroczystości stulecia przybycia do okręgu Taranaki. Wzięło w nich udział ponad 3 tysiące osób z całej Nowej Zelandii, w tym około 300 z późniejszej polskiej emigracji. Mszę św. odprawił prymas Nowej Zelandii w asyście 8 księży polskiego pochodzenia. Uroczystości 100-lecia Taranaki miały jednak przede wszystkim na celu zbliżenie i nawiązanie stałych kontaktów między potomkami polskich osadników a późniejszą polską emigracją. Przyczyniły się one także do założenia Polish Taranaki Social Club, którego członkowie, posługujący się już wyłącznie językiem angielskim, nawiązali współpracę z ośrodkiem współczesnej polskiej emigracji w Wellingtonie. Historię polskich osadników w Taranaki, z okazji stulecia, opisał po angielsku znany działacz społeczny i kombatancki w Nowej Zelandii, Jerzy Pobóg-Jaworski, w broszurze pt. „Polish Settlers in Taranaki”.

DZIECI DAŁY POCZĄTEK

Obecna Polonia nowozelandzka liczy się właściwie od przyjazdu 1 listopada 1944 roku amerykańskiego statku „General Randel” z grupą 733 polskich dzieci, przeważnie sierot i półsierot (i 105 osób personelu, w tym 52 matek), wywiezionych do Rosji sowieckiej w roku 1940. Przybyli na zaproszenie rządu Nowej Zelandii, który nie tylko stworzył im dobre warunki do osiedlenia się, ale udzielił też wszelkiej pomocy, włącznie ze zorganizowaniem szkolnictwa. Dzieci zostały umieszczone w specjalnie przystosowanym obozie w Pahiatua, gdzie przebywały do 1949 roku. Okres ten opisała ówczesna opiekunka obozu w Pahiatua, Krystyna Skwarko, w książce pt. „Osiedlanie Młodzieży Polskiej w Nowej Zelandii w 1944 roku”, wydanej również w języku angielskim pt. „Invited” („Zaproszeni”).

Po wojnie grupa przybyła do Nowej Zelandii w 1944 roku powiększona została stosunkowo małą liczbą osób z Zachodniej Europy (głównie w ramach łączenia rodzin) oraz przez nieliczne przyjazdy z Polski (które także w ostatnich dwóch latach pozostały nieliczne — Nowa Zelandia oficjalnie zgodziła się na przyjęcie w okresie stanu wojennego tylko 200 polskich uchodźców z obozów w Austrii, w dwóch grupach po 100 osób). Największy wzrost nowozelandzkiej Polonii nastąpił jednak przez przyrost naturalny, nowe pokolenie, urodzone już i wychowane w Nowej Zelandii.

NAJLEPIEJ ZORGANIZOWANA POLONIA

Działalność organizacyjna nowozelandzkiej Polonii koncentruje się w dwóch miastach Wyspy Północnej — w stolicy Nowej Zelandii Wellingtonie, gdzie znajduje się największy polonijny ośrodek oraz w Auckland.

Istniejące w Wellingtonie Stowarzyszenie Polaków w Nowej Zelandii obejmuje swoją działalnością stolicę oraz południową część Wyspy Północnej. Stowarzyszenie posiada odnowiony niedawno Dom Polski, działa sprawnie poprzez swoje sekcje, wydaje od 1950 roku biuletyn organizacyjny oraz nadaje od 1981 roku raz w tygodniu polską audycję radiową.

W Nowej Zelandii działa także od 1951 roku Komisja Skarbu Narodowego, założona przez ks. dr. Leona Broel-Platera. Komisja ma duże osiągnięcia w zbiorce funduszy, a w przeliczeniu na jednego ofiarodawcę wyróżnia się spośród działających w innych krajach osiedlenia.

W Auckland, największym mieście Nowej Zelandii, mieszka około 400 Polaków. Utworzyli oni już w roku 1950 Stowarzyszenie Polaków w Auckland, liczące obecnie 150 członków i posiadające własny Dom Polski, którego poświęcenia dokonał w 1976 roku kardynał Delaney.

Opiekę duszpasterską wśród nowozelandzkiej Polonii sprawują księża chrystusowcy. Podlegają oni Polskiej Misji Katolickiej w Australii i Nowej Zelandii, z siedzibą w Sydney.

O dużym zaangażowaniu nowozelandzkiej Polonii w działalność organizacyjną świadczy liczba osób należących do organizacji polonijnych, stanowiąca około 20 % ogółu Polonii tego kraju (odsetek znacznie wyższy od przeciętnego w innych krajach osiedlenia).

Nastawienie polityczne nowozelandzkiej Polonii jest zdecydowanie niepodległościowe. Przeprowadzono szereg manifestacji protestacyjnych: m.in. w związku z narzuceniem stanu wojennego w Polsce Stowarzyszenie Polaków w Nowej Zelandii zorganizowało przy poparciu nowozelandzkich związków zawodowych wiec i pochód protestacyjny w Wellingtonie, z udziałem ponad czterech tysięcy osób, w tym wielu Nowozelandczyków.

Nie można także pominąć dużej ofiarności Polaków w Nowej Zelandii na różne cele, zarówno emigracyjne jak i dla kraju. W okresie szczególnie wzmózionej akcji pomocy Stowarzyszenie Polaków w Nowej Zelandii zebrało przy współpracy nowozelandzkiego Czerwonego Krzyża w ciągu czterech miesięcy 170 tysięcy nowozelandzkich dolarów.

Bliskość geograficzna oraz szereg elementów łączących nowozelandzką i australijską Polonię sprzyjałyby nawiązaniu bliższej współpracy. Wysuwane jednak projekty połączenia organizacyjnego w ramach np. Rady Naczelnej Polskich Organizacji w Australii nie znalazły dotychczas szerszego poparcia wśród zorganizowanej polskiej społeczności w Australii i Nowej Zelandii.

Biorąc pod uwagę stan liczbowy nowozelandzkiej Polonii, zaledwie przekraczający trzy tysiące osób, jej osiągnięcia i działalność organizacyjną, Polonia ta może ubiegać się o jedno z pierwszych miejsc — jako najlepiej zorganizowana w ramach kraju osiedlenia — w naszej światowej diasporze. Natomiast jako ośrodek polski, wchodzący w skład australijskiej Polonii (Tasmania ze stolicą Hobart jest jednym ze sześciu *stanów Australii* i na tej podstawie Polonia z tego terenu wchodzi w skład Rady Naczelnej Polskich Organizacji w Australii; Nowa Zelandia zaś jest *państwem* należącym do Wspólnoty Brytyjskiej, a nie jednym ze *stanów Australii*), pierwsze miejsce zajmuje bezwzględnie Polonia w Hobart (stolica stanu Tasmania w Australii), gdzie Polacy, na skromną liczbę około tysiąca osób, w ponad 50 % przynależą do Związku Polaków w Hobart, posiadają bardzo funkcjonalny Klub Polski, Kasę Kredytową (której wartość depozytów przekracza milion dolarów), Ośrodek Młodzieżowy itp., a w akcji pomocy na różne cele polonijne i krajowe zebrali wiele tysięcy dolarów. Ale to wiąże się już ze sprawami australijskiej, a nie nowozelandzkiej Polonii.

Jerzy GROT-KWAŚNIEWSKI

Kronika kulturalna

Raymond Aron

W samolocie z Rio de Janeiro do Paryża sięgnąłem po francuską gazetę. Po chwili w jakimś artykule przeczytałem: „zmarły przed kilkoma dniami Raymond Aron twierdził...”. Ogarnęło mnie uczucie zagrożenia: jakbym nagle został odsłonięty, a niszczycielskie mechanizmy łatwiej mogły godzić w bliskie mi wartości. Podróż spędziłem w dużej mierze rozmyślając nad tą reakcją: nie smutek, a właśnie zagrożenie.

Wychodził z sądu, gdzie raz jeszcze dawał świadectwo prawdzie, temu w co wierzył, choćby było to niepopularne. Serce odmówiło nagle posłuszeństwa, ale był już schorowany. W maju 1983 roku na ostatnim śniadaniu *Commentaire*, jego pisma, prawie się nie odzywał, siedział pośrodku stołu, drobny, zasuszony, tylko intensywnie niebieskie oczy zachowały błyski ironicznej mądrości. Napisał, co zamierzał napisać. Wiedział od pewnego czasu, że planowane dzieło syntetyczne o Marksie nie powstanie, ale istnieje ono po aronowsku — ukazane w wielu zwierciadłach jego esejów i książek.

Był kiedyś atakowany przez głośnych mandarynów Paryża. Z czasem jego poglądy zostały dość powszechnie przyjęte, a polemiczne wypowiedzi jego antagonistów składają się na *Dzieje glupoty we Francji*; taki podtytuł mogłyby nosić jego *Pamiętniki* opublikowane właśnie w Paryżu. Tom liczący prawie osiemset stron dużego formatu wbrew tytułowi nie zawiera informacji o prywatnym życiu autora. Omawia intelektualny dorobek, książka po książce, artykuł po artykule, problem po problemie, przytacza reakcje oponentów, recenzje, rozmowy. I właśnie *Pamiętniki*, dzieło ważne dla intelektualnej historii Europy ostatnich pięćdziesięciu lat, ale mało wdzięczne w lekturze, stały się

bestseller'em. Paryż urządził Aronowi, jak dwa stulecia temu Wolterowi, triumfalne pożegnanie: hymny pochwalne w prasie, specjalne audycje w telewizji. Czyżby chciano zatrzeć pamięć o niegdysiejszym osamotnieniu, o głupstwach wypisywanych przez uznane dziś nazwiska?

Nie był więc zapoznany. Jego nowi wielbiciele nie zawsze budzili moją sympatię. Jego ostatnie książki wydały mi się jakby przygaszone, obszerne, rozwlekłe mówiąc po prostu; nie miały niegdysiejszej werwy polemicznej. *Obrona dekadentckiej Europy* (*Plaidoyer pour l'Europe décadente*, 1977) nie wносиła nowych argumentów i nie przedstawiała w uderzający sposób starych. Dwa potężne tomy wokół Clausewitza (*Penser la guerre, Clausewitz*, 1976), w zamierzeniu synteza myśli politologicznej, przytłoczyły mnie rozmiarem, a nie wciągnęły przejrzystością wywodu. Komentarz jest obszerniejszy od dzieła Clausewitza i brak mu uderzającej celności formuł genialnego stratega, mówiłem sobie i odkładałem uważniejszą lekturę na później. Czy zresztą Aron wielokrotnie nie ogłaszał książek zbyt obszernych? Przyczyną było nie tylko bogate naświetlenie problemu, badanie każdej możliwości. Publikował swoje wykłady i seminaria, lekko tylko, nieraz zbyt lekko dostosowane do potrzeb wydawniczych. Tak powstały książki ważne, uczące Francuzów wiedzy o społeczeństwie współczesnym: *Osiemnaście wykładów o społeczeństwie przemysłowym* (*Dix-huit leçons sur la société industrielle*, 1963), *Walka klas* (*La lutte des classes*, 1964); rozszerzające ich znajomość historii i teorii myśli politycznej: *Etapy myśli socjologicznej* (*Les étapes de la pensée sociologique*, 1967), *Demokracja i totalitaryzm* (*Démocratie et totalitarisme*, 1966). Były to książki profesora Sorbony i Collège de France. Myślałem nieraz: książki znakomitego profesora, nie mistrza. Dopiero trzeba by z nich wyciągnąć „ekstrakt aronizmu”.

Był analitykiem. Wolał krytykować cudze poglądy niż prezentować własne. Czy jednak warto było tracić czas na analizę którejś tam generacji postmarksistów? Wydawało mi się, że *Koniec wieku ideologii* (*L'opium des intellectuels*, 1955) stanowił wystarczającą rozprawę z ideologicznym zaślepieniem. Po cóż pochylać się nad meandrami myśli szalonego Althussera i jego strukturalnego marksizmu w *Od jednej świętej rodziny do drugiej* (*D'une sainte famille à l'autre*, 1969)? Po cóż pracować dyskutować z naprawdę urojonymi marksizmami Sartre'a, Merleau-Ponty'ego? A przenosząc się na poziom wyższy: czy na wielusetstronicową mieszaninę błyskotliwych spekulacji i ideologicznego uporu, zawartą w Sartrowskiej *Krytyce dialektycznego rozumu*, należało odpowiadać książką też parusetstronicową i niełatwą *Historia i dialektyka przemocy* (*Histoire et dialectique de*

la violence, 1972)? Wiem, jaka była odpowiedź Arona, godnego dziedzica Erazma i Woltera: trzeba bronić Europy przed zalewem ciemności, rozumu przed upiorami, które budzą się bez końca, trzeba wracać do rzeczywistości, powtarzać kilka podstawowych prawd, choćby były nieefektywne. Czasem wydawało mi się jednak, że szkoda jego czasu i umysłu, zwłaszcza dzisiaj, gdy tak mało mądrych nauczycieli.

Nieraz rodziło się pytanie, czy był myślicielem oryginalnym. Niektórzy twierdzili, że znaczna część intelektualnego autorytetu Arona ma swoje źródło w braku znajomości języków wśród francuskiej elity: on przeczytał Maxa Webera i Diltheya. Można dodać: przeczytał też Keynesa, Hayeka, Poppera. Można pójść dalej: inna ważna część jego autorytetu miała swoje źródło w braku wymiaru historycznego u Francuzów — on przeczytał Monteskiusza i Tocqueville'a. To przecież jeden ze sposobów rozszerzania własnej wolności intelektualnej: poszukiwać powinowactw duchowych w minionych dokonaniach rodzimej kultury, zawierać umysłowe przyjaźnie z ludźmi, którzy na terenie innych obszarów kulturowych zmagali się z podobnymi problemami. Jednak ożywianie innych epok i innych krajów, jakkolwiek potrzebne, ciężko przechodzi próbę czasu, z trudem daje się przenieść w odmienny krąg językowy.

Skąd więc uczucie zagrożenia związane z jego odejściem? Starałem się zanalizować tę reakcję wracając do jego książek, pochylając się nad jego *Pamiętnikami*. Nie tworzył dzieł efektownych, pisał książki słuszne. Pozwalał lepiej rozumieć świat. Może najmocniej to odczułem przy pierwszym zetknięciu z Aronem. Miałem kilkanaście lat, gdy dostałem do ręki *Koniec wieku ideologii* w znakomitym polskim przekładzie wydanym przez Bibliotekę Kultury. Znalazłem klucz do otaczającej rzeczywistości. Mówiono do mnie językiem dojrzałym, dotyczyło spraw najważniejszych. Aron wykonywał za mnie i dla mnie intelektualną pracę, do której nie byłem zdolny; odczuwałem wagę tego zadania i jego potrzebę. Znajdowałem argumenty na rzecz intuicji mocno zakorzenionych, ale intelektualnie często bezbronnych. Szantaż lewicowej ideologii stał się mniej skuteczny. Aron krytykował nie komunistów, lecz lewicowych intelektualistów porażonych „historycznymi koniecznościami”. Mity żelaznych praw historii, dyktatury proletariatu, wzrastającej walki klasowej nie tylko nie wyjaśniają współczesnego świata, lecz nie pozwalają na zobaczenie istotnych procesów, przeszkadzają w rozwiązywaniu społecznych problemów.

Szukałem innych wypowiedzi Arona. Zapamiętałem artykuł w *Preuves*, a w nim zdanie, że istnieją dwie tradycje rewolucji francuskiej, podobnie jak istnieją dwie tradycje socjalistyczne.

A więc podział na lewicę i prawicę nie jest wyczerpujący ani jednoznaczny, ani jedyny. Teoretyków despotyzmu odnaleźć można po obu stronach barykady. W imię hasel postępu i sprawiedliwości wielokrotnie dokonywano zbrodni, likwidowano swobody społeczne, uniemożliwiano ewolucję politycznego porządku. Lewicowa frazeologia zaślepia, podobnie jak prawicowa. Stwarza fałszywe alternatywy. Nieprawda, że kto nie jest z tak rozumianą lewicą, ten jest skazany na świat przeszłości, bądź na współczesną reakcję. Tę lekcję Arona dobrze zapamiętałem. Pomagał bronić się przed szantażem: albo Robespierre, albo de Maistre; albo gilotyna, albo Bastylia; albo Stalin, albo Hitler. Pomagał widzieć rzeczywistość, uczył liberalizmu. Słowa Miłosza z *Traktatu poetyckiego* o poszukiwaniu nowej dykcji, a w niej ocalenia od prawa, które nie jest naszym prawem, od konieczności, która nie jest nasza, mogłyby stanowić motto dla mojej lektury Arona. On jednak nie poszukiwał za wszelką cenę nowej dykcji, zadowalał się językiem prawdy i wolności, choćby to były prawdy stare czy odwieczne. Mówił nie tylko, że ideologiczne konieczności nie są nasze, lecz że nie są koniecznościami, a w despotycznych prawach widział wymierzone przeciw wolności dekrety.

Dwie książki Arona, *Osiemnaście wykładów o społeczeństwie przemysłowym* i *Walka klas*, pozwalały mi zrozumieć współczesne procesy społeczne. Polemizowały już nie z ideologicznymi mirażami, lecz z mistyfikacją konkretnych problemów. Aron pokazywał, co w marksizmie jest niebezpieczną ideologią, co naukowymi tezami, z których jedne okazały się błędne, zaś inne, oczyszczone z mitologicznej otoczki, mogą być płodnymi także dziś narzędziami badań. Stosował te narzędzia do współczesnych społeczeństw na Wschodzie i na Zachodzie. Dostrzegał rozwarstwienie w Związku Sowieckim, rosnące konflikty między interesami poszczególnych grup. Analizował problemy związane z uprzemysłowieniem. Pomagał Europejczykom zrozumieć nową rewolucję techniczną. Trudno przecenić rolę Arona w tej dziedzinie. Po wojnie Europa przeżyła wielką modernizację. Warunki życia milionów uległy zmianie. Takiego wzrostu materialnego, awansu społecznego tak szerokich kręgów świat dotąd nie przeżywał. Paradoksalnie towarzyszyła temu literatura rozpacz i manifesty intelektualnego buntu. Wskazówek na przyszłość szukano w ideologicznych utopiach. Raj widziano w kolektywistycznych despotyzmach. Brak było porozumienia między ludźmi organizującymi warunki materialnego życia a ludźmi nazywającymi i interpretującymi procesy społeczne. Lewicowa frazeologia stanowiła naprawdę opium dla intelektualistów. Zasadnicze zmiany, jakim podlegała Francja razem z całym Zachodem, pozostawały poza zasięgiem ich widzenia. Można te lata określić tytułem pierw-

szej książki Arona, która wzbudziła szerokie dyskusje — był to okres *Wielkiej schizmy* (*Le grand schisme*, 1948) w politycznym i intelektualnym życiu Zachodniej Europy.

Aron wypracował język, którym ponad podziałami ideologicznymi można mówić o współczesnym świecie. Kiedyś samotnie lub prawie samotnie zmagając się z modami paryskich salonów intelektualnych. Później wiele z jego szokujących twierdzeń stało się oczywistościami. Krytykowano go z kolei, że zbyt długo zatrzymuje się przy prawdach elementarnych, że podejmuje gruntowne dyskusje z tezami nie zasługującymi na polemikę. Kierowałem do niego w myślach podobne zarzuty. Może dopiero czytając jego wspomnienia, tom rozmów z Jean-Louis Missika i Dominique Wolton *Widz i uczestnik* (*Le spectateur engagé*, 1981) oraz *Pamiętniki* (*Mémoires*, 1933), zdałem sobie ostro sprawę, że to dzięki Aronowi te prawdy elementarne weszły do społecznej świadomości. Bronił europejskiej tradycji i uczestniczył w budowaniu europejskiej przyszłości. Jego głos był głosem rozsądku. Często głosem samotnym, zawsze związanym z polityczną sceną współczesności.

Był jednocześnie widzem i uczestnikiem, obserwatorem zaangażowanym w konkretne wydarzenia. Jego *Pamiętniki* noszą podtytuł: *50 lat refleksji politycznej*. Najbardziej zainteresowały mnie jednak nie streszczenia artykułów czy książek, lecz dyskretny, niekiedy przesadnie stłumiony opis formowania się liberalnej osobowości w świecie rozdzieranym przez ideologiczne fanatyzmy. Urodził się w 1905 roku w mieszczańskiej rodzinie pochodzenia żydowskiego, całkowicie od pokoleń zasymilowanej. Z najlepszymi wynikami przeszedł przez elitarny system francuskiej edukacji. Ukończył *khâgne* (klasę przygotowującą do Grandes Écoles) w liceum Condorcet w Paryżu. Studiował w École Normale Supérieure razem z Sartrem. Zdobył pierwsze miejsce (przed Sartrem) na egzaminie *agrégation de philosophie*, tym dziwnym konkursie, od którego w dużej mierze zależała we Francji dalsza kariera uniwersytecka.

Po studiach wyjechał na stypendium do Niemiec. Spędził tam przełomowe lata 1930-1933. Czytał Maxa Webera, Pareto, Husserla, Heideggera, oglądał jednocześnie rosnącą falę narodowego socjalizmu, dojście Hitlera do władzy. Problem historii, sił działających w historii i rozumienia historii interesował go zawsze. Niemieccy filozofowie i socjologowie, nieznani wówczas we Francji, postawili przed nim wiele pytań, zmusili do nowego spojrzenia na zmiany społeczne. Analizę tych lektur przedstawił w pierwszej książce *Współczesna socjologia niemiecka* (*La sociologie allemande contemporaine*, 1935), a wyniki własnych refleksji w tezie doktorskiej *Wstęp do filozofii historii. Studium o granicach*

obiektywności historycznej (*Introduction à la philosophie de l'histoire. Essai sur les limites de l'objectivité historique*, 1938). Politycznie uważał się za człowieka lewicy. Był antyfaszystą; już wówczas występował przeciw wszelkim formom ideologicznego zaślepienia.

W 1940 roku, po klęsce Francji, udało mu się przedostać do Anglii (na statku ewakuującym polskich żołnierzy). W Londynie wydawał miesięcznik *La France Libre*, bliski gaullistom, lecz zachowujący krytycyzm wobec Generała. Dotąd uskarżał się na zahamowania w pisaniu, sytuacja zmusiła go do publikowania regularnych komentarzy politycznych. Wystrzegał się sądów skrajnych, także wobec zwolenników marszałka Pétaina. Po wojnie wrócił do Francji. Zrezygnował z działalności uniwersyteckiej. Dopiero w 1955 roku otrzymał katedrę na Sorbonie. Jednak w latach 1947-1955 także wykładał — na uczelniach mniej związanych z ideologicznymi dysputami, bardziej z politycznym i ekonomicznym życiem kraju. Mówi się często o osamotnieniu Arona w tym okresie. Sam to podkreślał. Myślę jednak, że jako profesor Institut d'Etudes Politiques i Ecole Nationale d'Administration, szkół, które formują całą elitę zarządzającą Francją, miał większy wpływ na ludzi podejmujących istotne decyzje niż jego rozgłośnia antagoniści.

Przed wszystkim jednak rzucił się po wojnie w wir publicystyki. Obok Alberta Camusa był głównym komentatorem *Combat* w okresie świetności tego pisma. Z Camusem i Merleau-Pontym towarzyszył Sartre'owi w wydawaniu pierwszych numerów *Les Temps Modernes*. Porozumienie jeszcze było możliwe, ale zbliżała się wielka schizma, zafascynowanie intelektualistów komunizmem, wzrost nastrojów antyamerykańskich, marzenia o neutralizmie. Aron wyraźnie opowiedział się po stronie Zachodu. Wskazywał na konieczność współpracy europejskiej i atlantyckiej. Od roku 1947 był komentatorem politycznym *Figaro* (pozostał w piśmie przez 30 lat. W 1977 przeniósł się do *L'Express*).

W *Wielkiej schizmie* naszkicował zasadnicze dylematy współczesności: agresywna obecność totalizmu, kryzys instytucji demokratycznych, zagrożenie nuklearne, ekonomiczne problemy wzrostu. Przekonywał Francuzów, że trzeba otworzyć się na świat, widzieć własne kłopoty w szerszym kontekście. Uczestniczył też w wewnętrznych sporach i dramatach. Zanalizował *Tragedię algijską* (*La tragédie algérienne*, 1957): wojna jest zbędnym okrucieństwem, prędzej czy później Algieria będzie niepodległa. Gdy w roku 1967 generał de Gaulle mówiąc o narodzie żydowskim użył słów „narod elitarny, pewny siebie, pragnący dominacji”, Aron odpowiedział książką *De Gaulle, Izrael i Żydzi* (*De*

Gaulle, Israël et les Juifs, 1968). Powraca do tego tematu w *Widzu i uczestniku* oraz w *Pamiętnikach* w sposób mądry i taktowny. Uważał się zawsze za Francuza, czuł się jednocześnie solidarny z losami żydowskimi.

W 1967 roku odszedł z Sorbony. Od dawna krytykował tę instytucję, domagał się reformy uniwersytetów. Jednak na wydarzenia maja 1968 roku zareagował krytycznie. Gdy pisał o *Rewolucji nieistniejącej* (*La révolution introuvable*, 1968), mierzył nie tyle czy nie tylko w kontestujących studentów, co w intelektualistów i profesorów, którzy upadli przed nimi na kolana. Jego zdaniem Sorbona zasłużyła na mniej haniebną śmierć. W momencie największego rozwoju ekonomicznego Francji jej instytucje społeczne zostały zagrożone przez trwające kilka tygodni juwenalia. Aron zachował trzeźwość, entuzjaści majowej rewolucji mieli później intelektualnego kaca, niektórzy z nich zwrócili się następnie do niego jako do mistrza, inni raz jeszcze nie mogli mu wybaczyć, że wcześniej dostrzegł rzeczy oczywiste. Czy znaczy to, że Aron dał ostateczną analizę tego niezwykłego wydarzenia, jakim był maj 1968? Oczywiście nie. Nie tylko dlatego, że analizy „ostateczne” nie istnieją (wielokrotnie to podkreślał), lecz dlatego również, że nie mamy dotąd należnego dystansu, czy też odpowiednich kategorii pojęciowych, aby wytłumaczyć ten drastyczny przykład kryzysu wzrostu zachodniej demokracji.

Lata siedemdziesiąte przyniosły uznanie autorytetu Arona. Czy zwyciężyły jego poglądy? Był zawsze raczej krytykiem i analitykiem, nie lansował programów; to poglądy jego antagonistów poniosły oczywistą klęskę. Ideologie zawiodły — i w tym sensie można mówić o końcu wieku ideologii. Nie miał jednak złudzeń: będą się stale odradzać. W totalitaryzmie, systemie jednej partii i jednej ideologii, widział zawsze główne zagrożenie społeczeństw nowoczesnych. Rozczarowani zwolennicy rozmaitych izmów uznali jego prekursorską rolę. Przyszły zewnętrzne wyrazy uznania. Doktoraty honorowe kilkunastu uniwersytetów, w tym Oksfordu, Columbii, Harvardu. Katedra w Collège de France. Dostawał nagrody imienia Wielkich z przeszłości szczególnie mu bliskich, nagrodę Montaigne'a, nagrodę Goethego, nagrodę Tocqueville'a. W 1983 otrzymał — razem z Isaiah Berlinem, Leszkiem Kołakowskim i Marguerite Yourcenar — jubileuszową nagrodę Erazma. Miał ją odebrać w Amsterdamie 27 października 1983 roku. Śmierć dosięgnęła go dziesięć dni wcześniej. W hallu amsterdamskiego teatru umieszczono jego dużą fotografię. Z portretu przyglądał się uroczystościom lekko uśmiechniętymi błękitnymi oczami. Była w jego spojrzeniu głęboka mądrość, dużo dobroci, trochę smutku i odrobina ironii.

W kontakcie z tym spojrzeniem lepiej zrozumiałem reakcję

na wiadomość o jego śmierci. Był przede wszystkim obserwatorem uczestniczącym w europejskich wydarzeniach ostatnich pięćdziesięciu lat. Jego niezliczone komentarze, jego eseje i książki wyznaczały trzeźwy kurs myśli. Analizował szaleństwa i rozumiał szaleństwa. Wiek dwudziesty jest szczególnie zagrożony zagubieniem politycznej równowagi. Ideologiczni fanatycy mogą spowodować śmierć milionów, wywołać planetarną katastrofę. Potrzebni są strażnicy rozsądku, pamiętający o przeszłości, patrzący w przyszłość. Takim spojrzeniem były komentarze Arona, jego dzieło, jego intelektualny wysiłek. Wiedziałem, że istnieje gdzieś to rozumiejące spojrzenie, które pomaga chronić Europę przed atakami szaleńców.

Nietzsche powiedział, że wiek XX będzie wiekiem wielkich wojen toczonych w imię filozofii. Przywołując te słowa Aron sam przyznaje, że uczestnicząc w bataliach ideologicznych angażował się w wielkie wojny XX wieku. Poruszał tę problematykę w sposób bardziej bezpośredni, gdy pisał dzieła na temat teorii i praktyki konfliktów międzynarodowych. Strategii nuklearnej poświęcił *Ciągłe wojny* (*Les guerres en chaîne*, 1951) i *Wielki spór. Wstęp do strategii atomowej* (*Le grand débat. Introduction à la stratégie atomique*, 1963). Uogólnił te analizy w monumentalnej pracy *Pokój i wojna między narodami* (*Paix et guerre entre les nations*, 1961). Rozważania nad sensem dyplomacji i niebezpieczeństwem wojny zaprowadziły go do Clausewitza. To jeden z patronów twórczości Arona, obok Maxa Webera i przede wszystkim Tocqueville'a.

Dzieło Tocqueville'a poznał jednak bardzo późno, gdy był już człowiekiem zupełnie ukształtowanym. Z Marksem bliżej zetknął się podczas pobytu w Niemczech. Komentował go wielokrotnie. Mawiał, że nie jest marksistą, lecz marksologiem — znał twórczość Marksa lepiej od wielu gorliwych marksistów. Lepiej od nich znał ekonomię i socjologię, baczniej śledził przemiany we współczesnym społeczeństwie. Gdy Althusser przygotowując polemikę z Aronem zapragnął podszkolić się w dylematach ekonomicznych dzisiejszej Francji, polecono mu jako podstawową lekturę *Osiemnaście wykładów o społeczeństwie przemysłowym i Walkę klas* Arona.

Jego przyjacielem, antagonistą, obserwatorem, stałym punktem jego życia intelektualnego był Jean-Paul Sartre. Tworzyli przedziwną parę. Trzeba by jakiegoś współczesnego Plutarcha, aby ich opisał w uaktualnionej wersji *Żywotów równoległych*. Z dzisiejszej perspektywy wydaje się, że oni dwaj kulminują i streszczają dzieje intelektualistów francuskich drugiej połowy XX wieku: trzeźwość i szaleństwo, wytrwały marsz prostą drogą i efektowne wirowanie wśród mgieł, naukowiec i literat,

doradca i buntownik (Justyna i Julietta?). Tak to wygląda dzisiaj. Za ich życia Sartre bardziej zwracał na siebie uwagę. Gdy wyszły *Pamiętniki* Arona, prawie wszyscy recenzenci poświęcali dużą część artykułów Sartre'owi, gdy wyszły *Słowa* Sartre'a, o Aronie mówiono mało. Podobnie w wypowiedziach nekrologicznych. Aron doceniał Sartre'a. Dał w *Pamiętnikach* wzruszający, serdeczny portret swojego kolegi. Wybacział mu wiele, jeszcze więcej podziwiał. Aron był świadom swojej inteligencji, lubił komplementy, nie był przesadnie skromny, ale otwarcie przyznawał (nic w tym nie było z minoderii), że Sartre mocniej naznaczył epokę, że dysponował bogatszym rejestrem talentów, że miał w sobie iskrę geniuszu, której on, Aron, sobie odmawiał.

Na fotografii studentów École Normale Supérieure z 1924 r. siedzą w pierwszym rzędzie obok siebie Sartre, naburmuszony zezowaty młodzieniec z kapeluszem na kolanach, i Aron, melancholijny młodzieniec w czarnym nienagannym garniturze i szarych getrach. Obaj o smutnym spojrzeniu, ale inne postawy i temperamenty. Jeden zacięty w chłopięcym buncie, drugi przyjmujący na siebie ciężar obowiązków człowieka dojrzałego. To wówczas Sartre ofiarował Aronowi wiersz, którego pierwsza linijka brzmiała: „*Jestem małym chłopcem, który nie chce urosnąć*”. Zapytywał Arona w czasie dyskusji: „*Pourquoi as-tu si peur de déconner?*”. Sartre nie bał się ulegania szaleństwom. Jego polityczne wypowiedzi budzą dziś często osłupienie. Niekiedy formułowane były z nieprzeciętną błyskotliwością. Niekiedy wypowiadał tezy oryginalne, silnie naznaczone literackim talentem. Aron mówił spokojnie. Rzeczywiście zachował niechęć do wariactw. Ukazywał aberracje postaw swojego kolegi, ukazywał wybory, przed którymi tamten nie chce stanąć. Sartre odpowiadał brutalnie. Ich drogi całkowicie się rozeszły. Ta sytuacja ciążyła Aronowi bardziej niż Sartre'owi. Spotkali się po latach na konferencji prasowej w obronie *boat-people*, ludzi uciekających w morze z komunistycznego Wietnamu. Było to w roku 1979. Uścisnęli sobie dłonie, mocno starsi panowie, jeden ślepy, drugi po ciężkim wylewie. Zdjęcie tego momentu obiegło prasę całego świata.

Czyżby symboliczny koniec wielkiej schizmy? Jedni powtarzali, że lepiej się mylić z Sartrem niż mieć rację z Aronem. Inni dostrzegali zwycięstwo rozsądku nad błyskotliwym szaleństwem. Nie nadawałbym przesadnego znaczenia ładnemu gestowi. Schizma trwa. Przyjmować będzie nowe formy. Stanowi nieodłączną część europejskiej historii. Walka myśli otwartej z rozumem, który kieruje się przeciw sobie samemu niszcząc swobodę jednostki i społeczeństw, powraca stale w zmiennych kostiumach. Błądzą nie tylko ludzie głupi, mawiał Aron, także inteligentni, nawet bardzo. Ich błędy bywają szczególnie groźne, bo ci ludzie

mają wpływ na losy innych, na nasze losy. Między ich wizją rzeczywistości, ich interpretacjami a światem rzeczywistym istnieje niebezpieczna przepaść. Aron starał się budować most nad tą przepaścią, rozumieć obie strony nie ukrywając, która ma słuszość. Tacy nauczyciele rzeczywistości są Europie niezbędni. Dla tego poczułem się zagrożony, gdy odszedł jeden z najwybitniejszych rzeczników rozsądku.

Wojciech KARPIŃSKI

Polemika i zwierciadło

W jednym z najboleśniejszych proroczych tekstów Norwida jest zdanie, przyćmione poprzedzającymi je słowami, które od lat uchodziło mojej uwadze. A przecież i ono było niezmiernie ważne. „W Polsce — pisał Norwid — każda sprawa nie będzie sprawą ogółu, ale zawsze sprawą jednego pokolenia”^{*}.

Kilka listów z Kraju, a szczególnie jeden, młodego malarza polemizującego z moją krytyką wielkiej wystawy romantyczności polskiej w Paryżu (sprzed siedmiu laty!), kazało mi nagle pomyśleć o tych słowach. Mój korespondent zarzuca mi, że moja — być może zbyt gwałtowna — krytyka niektórych eksponatów, obniżających wystawę przez swe zasadnicze braki malarskie, jest jakoby z mojej strony zacięłą obroną Atlantydy, która już dawno przestała istnieć. Wszelka krytyka czysto malarska zdaje się memu korespondentowi prawie zdradą dzisiejszej rzeczywistości, domagającej się od malarstwa wyrazu równie tragicznego i tematycznego jak ona sama. Czytając ten list miałem wrażenie, że mógłby on być skierowany, bez żadnych zmian, do Stanisława Witkiewicza i Sygietyńskiego, którzy w latach 80-tych ubiegłego wieku — więc równo sto lat temu — pierwsi pisać zaczęli o rewolucji impresjonistycznej we Francji, broniąc wielkiego malarza Gierymskiego i ośmielając się nawet zarzucić braki malarskie Matejce. W prasie polskiej wówczas pisano jeszcze o impresjonistach jako o „wrażeniowcach, którzy malują gołe kobietki”. Myślę dziś nie o impresjonistach wyłącznie, ale o ogromnym ruchu, który owładnął cały świat, od impresjonizmu po jego pochodne, aż po Cézanne’a i Bonnard, kubizm i przeróżne kierunki abstrakcyjne.

Cały wysiłek mojego pokolenia malarzy, z którego wymienić należy przede wszystkim Waliszewskiego i Cybisa, ale również Rudzką-Cybisową, Potworowskiego, Nachta Samborskiego, odegrał rolę o wiele mniejszą niż sobie wyobrażał, niemniej jednak

^{*} List do Mariana Sokołowskiego, 1865.

znaczną na tle ówczesnej epoki. Gdy wspominam ten wybuch paru talentów, które przeszły przez Paryż i wróciły do Polski około 30-tego roku, zdaje mi się, że pewne elementarne wartości wiedzy malarskiej powinny były przecie wpłynąć na widzenie malarskie w Polsce.

List o którym wspominam zdaje się rozwiewać takie nadzieje. Wracamy znów do wiecznej dyskusji o tematyce w obrazie i jego czysto malarskiej esencji, do owego zawężenia i związania w jedno tych dwu problemów.

Słusznie pisze Norwid: każda sprawa jest sprawą jednego pokolenia, a nie ogółu, choć przecież w malarstwie właśnie nie to że trzy pokolenia, ale trzy długie etapy powinnyby się wiązać w jedno, wykorzystując się wzajemnie.

Po etapie postmatejkowskim, po malarstwie Młodej Polski, gdzie był Wyspiański i Malczewski, gdzie już istniała Boznańska i Stanisławski — etap idący od 20-go roku, kiedy na arenę weszli kapiści, nie był wcale broniem nieistniejącej Atlantydy, lecz walką o element malarski, którego właśnie brakowało genialnemu niewątpliwie Matejce.

Jeżeli rzeczywiście dziś wracać mamy do malarstwa, w którym tematyka, i to tematyka aktualna, ma znów grać dominującą rolę, to myślę, że etap poprzedni, etap walki o jakość malarstwa, może właśnie malarstwu dzisiejszemu służyć, tak żeby te trzy etapy nie były za każdym razem świadectwem zmagania i pracy „jednego tylko pokolenia”.

Epoka, która dla uproszczenia może być nazwana epoką zaczęta przez Witkiewicza, Gierymskiego i Pankiewicza dała nam malarstwo, w którym akcent główny był postawiony na kolorystyce i na budowie obrazu kolorem (Cézanne). W tamtej epoce malarze odkryli „martwą”; malarstwo, w którym znaczył nie temat, ale jakość malarstwa jako takiego zdawało się być naszym odkryciem. Sam należę do tej epoki, w której rzeczywiście wszystkie impresjonistyczne i postimpresjonistyczne kierunki skoncentrowały się we Francji i dały nam szereg malarzy polskich, których już z historii Polski wykreślić się nie da.

To właśnie tę epokę zaatakował mój korespondent jako sztukę obcą i wyzytą treści. Chcę ją tu w paru słowach określić.

Jak każdy ruch, który skupiał garść młodych entuzjastów, był on naturalnie jednostronny i szybko, to znaczy już po wojnie, się spopularyzował i stworzył zastępy malarzy, którzy wszyscy uważali się za kapistów i ruch ten w licznych swoich płótnach rzeczywiście bezmyślnie zbanalizowali.

Dziś w liście mego korespondenta wyczułem, jak bardzo malarstwo, które on przedstawia, jest reakcją przeciwko sztuce jakoby nietematycznej, która przecie wniosła do Polski ogromne wzmoczenie świadomości malarstwa jako takiego.

Na podstawie nie tylko tego listu, ale też szeregu wypowiedzi o malarstwie, które do mnie docierają z Polski widzę, że akcent cały jest dzisiaj położony przede wszystkim na sztuce jak najbardziej tematycznej. I tu znów wracam do przestrogi Norwida:

te dwa kierunki nie tylko mogą, ale muszą współistnieć, aby nam nie groziło znowu, że jest to „zawsze sprawa jednego pokolenia”. Rozwój sztuki polega na starciu i przecie bliskim związku tych kierunków i etapów i wtedy z malarstwa polskiego, jeżeli je dobrze zrozumiemy, wyniknąć może malarstwo pełne.

Przyjaźni Adama Zagajewskiego zawdzięczam odkrycie i dłuższe obcowanie z książką, którą przeżyłem jak prawdziwą rewelację. Chodzi mi o „Polaków portret własny”, pracę zbiorową pod redakcją Marka Rostworowskiego (Arkady, Warszawa 1983). Książka poprzedzona jest jego wielkim tekstem zupełnie wyjątkowej wnikliwości i wagi.

Setki przeważnie kolorowych reprodukcji portretów opatrzonych z wielką czujnością dobranymi, krótkimi tekstami z epoki. Portrety Polaków i Polek, malowane przeważnie przez nieznaną polską artystów, z szeregu wieków aż po najnowsze. Jest to ogromna genealogia malarstwa polskiego, której nie tylko ja, ale i bardzo liczni malarze mojej generacji w ogóle nie znali. Książka ta — prawdziwe zwierciadło przeszłości — jest zbyt ważką, by zbyć ją paroma słowami. Świetne reprodukcje, portrety o twarzach pięknych i myślących albo tępych i rubasznym, portrety paru kobiet o zadziwiającej subtelności, jak te dwa z XVII wieku, z których jeden trumienny młodej kobiety, drugi zaś portret Katarzyny z Wilkowieckich Jugewicowej. Wśród tylu innych obrazów jakże nie wspomnieć o serii obrazów Malczewskiego, z których jeden zdaje mi się być arcydziełem: „Raport policyjny” ok. 1890 roku.

Ta książka może być naprawdę księgą zapładniającą każdego artystę: niektóre obrazy w niej uderzają właśnie jednością tematyki psychologicznej i historycznej oraz klasy czysto malarzkiej.

Dzieło o którym piszę może się przyczynić do przewyciężenia wiecznego sporu i dać nam poczucie jedności twórczej wielu pokoleń.

Wobec takiej jedności całe rozbiecie między obrazami czysto tematycznymi a obrazami mającymi na celu wyłącznie walory malarskie stałoby się problemem fałszywym.

Józef CZAPSKI

Podzwonne

Krakowski miesięcznik literacki *Pismo*, któremu w 9 (432) numerze *Kultury* życzyłam długiego i dobrego życia, przestał istnieć. W sierpniu tego roku redakcja (szykanowana już od wielu mie-

sięcy) podała się w całości do dymisji. Na jej miejsce przyszła nowa redakcja, narzucona przez władze. Miesięcznik zachował swą pierwotną nazwę. Mniejsza o skład tej nowej redakcji (a jednak znaleźli się chętni). Są to zapewne koledzy po piórze Szymborskiej, Lipskiej i Filipowicza (członkowie pierwotnego zespołu), ludzie których można znaleźć zawsze i wszędzie, ochotni do spaskudzenia cudzej, dobrej roboty. Od lat trzymali się literatury, która ich nie lubiła. Nie mieli fartu, nie szło im w tym fachu. Dostali skrzydeł po „nocy generałów”.

Ponieważ rozwiązano także Związek *Literatów Polskich*, część byłej redakcji *Pisma* zawiązała (prywatnie) Związek *Pisarzy Stodkowodnych*, do którego — jak się orientuję — wcale niełatwo się dostać. Trzeba znać się na rybach, mieć talent i kregosłup. Tyle o jaśniejszej stronie sytuacji. Ciemniejsza jest znana: utrata miejsca pracy, możliwości druku i sensownego społeczno-literackiego oddziaływania. Założycielami *Pisma* byli ludzie wybitni: znakomici pisarze i literaturoznawcy. Ale na co Polsce utalentowani, rozumni i bezkompromisowi ludzie działający legalnie?

Nad krakowską ziemią literacką będzie się nadal unosił pijany Machejek, którego oficjalny, lansowany w *Życiu Literackim* fałszywym nawet już nie brzydzi, tylko budzi litość, bo traci paranoję i myszką. A po ziemi będą twardo chodzić nowi trubadurzy, amatorzy małej stabilizacji w życiu i małego realizmu w sztuce. Dobrze im tak. Niektórzy ludzie powinni robić to, na co zasłużyli: brudną robotę.

Pismo przetrwało ponad dwa lata, wliczając w to ponad roczną przerwę od pierwszego zamknięcia po wprowadzeniu stanu wojennego do ponownego otwarcia wiosną bieżącego roku. Ostatni, 12-ty i podwójny numer ukazał się w czerwcu. Polecam z niego cztery wyjątkowej piękności i goryczy *Pacierze* Tadeusza Nowaka, prozę Nabokowa, Tadeusza Kantora scenariusze do jego własnych przedstawień teatralnych i zatykający śmiałością, rozsądkiem i wizjonerstwem społecznym esej Mieczysława Porębskiego pt. *Nasz Kraj*.

Janina KATZ HEWETSON

Kolokwium "Archipelagu"

Z inicjatywy nowego miesięcznika polskiego w Berlinie *Archipelag* (redagowanego przez Andrzeja Więckowskiego przy współudziale Włodzimierza Nechamkisa, Jerzego Stachurskiego i Andrzeja Szulczyńskiego) i dzięki pomocy Berlińskiego Związku Pisarzy Niemieckich, Nowego Stowarzyszenia Literackiego, berlińskiej Akademii Sztuk, *Literarisches Colloquium* oraz Senatu Berlina odbyło się w Berlinie 9-11 grudnia ub.r., w domu pisarzy nad jeziorem Wahnsee, polsko-niemieckie kolokwium zatytułowane „Szanse kultury polskiej”. Mimo krótkiego okresu przygotowawczego, tę zaimprovizowa-

waną naprędce imprezę można uznać za udaną. Ze strony niemieckiej wzięli w niej m.in. udział Günter Grass (pierwszego dnia), Hans Christoph Buch (prezes Berlińskiego Związku Pisarzy Niemieckich), Ingeborg Drewitz (wiceprezeska niemieckiego PEN-Klubu), Peter Schneider. Przewodniczyła obradom i prowadziła dyskusję poetka Anna Jonas, prezeska Nowego Stowarzyszenia Literackiego w Berlinie. Wystąpienia polskie tłumaczyła na niemiecki, a niemieckie na polski Maria Kurecka (z wielką wprawą). Frekwencja była znaczna, wśród słuchaczy znalazło się sporo Polaków zamieszkałych stale lub czasowo w Berlinie.

9 grudnia wieczorem odbyła się kilkugodzinna rozmowa uczestników kolokwium w Günterem Grasse. Omawiano sytuację pisarzy polskich po rozwiązaniu ZLP, żywo dyskutowano na temat form pomocy pisarzom polskim w tym ciężkim momencie. Impreza berlińska przypadła na okres poważnego kryzysu w Związku Pisarzy Niemieckich po ustąpieniu Berndta Engelmann, przewodniczącego VS, który samowolnie wysłał do PRON kontestowaną przez licznych członków Związku depeszę. W marcu 1984 odbędzie się w Saarbrücken zjazd Związku; przedmiotem jego obrad będzie naturalnie m.in. sprawa owej depeszy i stosunku do rozwiązania ZLP.

10 grudnia rano zagał kolokwium Gustaw Herling-Grudziński. Po południu Bohdan Osadczuk-Korab mówił o stosunkach polsko-ukraińskich. Na zajęcia rano obrady rozpoczęły się od referatu prof. Gottholda Rhode *Polska i Niemcy*. Po południu tego dnia poświęcono dyskusji nad wszystkimi wystąpieniami. Była ona tak ożywiona (podobnie zresztą jak pierwszego dnia), że dwa planowane referaty Andrzeja Szulczyńskiego i Bronisława Wildsteina na temat „ideologii i wartości” wypadły z programu (będą ogłoszone w *Archipelagu*). Zamknął kolokwium referat Krzysztofa Zawrata o polskiej prasie podziemnej.

W ramach kolokwium odbył się 10 grudnia wieczór publiczny Witolda Wirpszy, z okazji 65-lecia urodzin. Odczytano nadesłaną przez Karla Dedeckiusa laudację, szkic o Wirpszy wygłosił Andrzej Więckowski, po czym jubilat przeczytał kilka swoich utworów po polsku i po niemiecku.

Z wypowiedzi Anny Jonas i berlińskiego senatora do spraw kultury wolno wnosić, że istnieje możliwość corocznego kontynuowania kolokwium polsko-niemieckich w domu pisarzy nad Wahnsee. Należy się z tego cieszyć.

ARCHIPELAG

miesięcznik kulturalno-polityczny wydawany
w Berlinie Zachodnim

Eseistyka, proza, poezja, dramat, publicystyka polityczna, historia najnowsza, krytyka literacka, grafika, fotografia artystyczna.

Warunki prenumeraty: RFN — 65 DM, kraje europejskie — 67 DM, kraje pozaeuropejskie (pocztą lotniczą) — 90 DM.

Należność prosimy przekazywać na konto:

Postcheckkonto 458 667-107, Jerzy Stachurski — Sonderkonto „Archipelag”, Berlin West BLZ 100 100 10.

Adres redakcji:

„Archipelag” c/o Andrzej Więckowski,
Wilhelmsruher Damm 139, D — 1000 Berlin 26.

Tel.: (030) 415 16 23

Wolna trybuna

Wydarzenia w Polsce i ich ocena

(Artykuł dyskusyjny)

Bilans wydarzeń jest niekorzystny dla kraju pod każdym względem. Zredukowanych zostało wiele marginesów swobód obywatelskich. Aktualnie znajdują się one na poziomie pierwszej połowy lat 50-tych. Ruina i chaos gospodarczy stale się pogłębiają. Powiększyła się nędza ludności. Prześladowania objęły tysiące opozycjonistów, terror dotyka prawie wszystkich. Nastąpił trwały ubytek w potencjale ludzkim, głównie przez emigrację tysięcy młodych Polaków. Jedynym osiągnięciem lat 1980-1983 jest ograniczony sabotaż oficjalnej ideologii KPZS i PZPR oraz struktur systemu. Ograniczony — ponieważ nie dotknął filarów władzy, jakimi są wojsko i siły bezpieczeństwa. Jeśli można czynić porównanie między skutkami powstań narodowych a efektami działalności NSZZ „Solidarność”, to tragedia w wyniku tej drugiej jest większa. Jest swoistą ironią, że przywódcy głoszący pokojową realizację swych ograniczonych celów spowodowali gorszą katastrofę niż tamci, którzy stawiali sobie za cel odzyskanie niepodległości i to z bronią w ręku. Nawet tak tragiczne powstanie styczniowe przesądziło o uwłaszczeniu chłopów i zadało straty nieprzyjacielowi zarówno w sile żywej jak i osłabiło go ekonomicznie (olbrzymie zadłużenie Rosji). Podobnym osiągnięciem nie może poszczycić się NSZZ „Solidarność”. Można dyskutować z poglądem, że straty w ludziach w wyniku wydarzeń ostatnich lat, głównie w postaci emigracji, są mniejsze niż poniesione w czasie powstań, podczas których wielu poległo od kul wroga lub zostało straconych. Jest to prawda względna, bowiem dla przyszłości kraju straty liczą się prawie jednakowo. Prawie — dlatego, że polegli są świadectwem siły i wielkości idei, pamięć o nich określa przeciwnika jasno, jest inspiracją dla innych do

walki o cele, dla których tamci zginęli. Natomiast, jak wykazuje historia, emigranci wiążą się z miejscem osiedlenia i prawdopodobieństwo powrotu lub działalności na rzecz kraju dotyczy tylko nikłego ich procentu.

13 grudnia 1981 roku wykazała słabość „Solidarności”. W ciągu paru dni opór zorganizowany w postaci strajku powszechnego 10-milionowej organizacji został złamany. Rosja święciła swój bezprzykładowy w historii triumf w tłumieniu polskiej opozycji, nie tracąc ani jednego żołnierza, nie ponosząc żadnych strat materialnych. Poniżający jest fakt, że dokonało się to rękami polskiego żołnierza. Kosztami tej operacji obciążony również został zniewolony naród polski. Co było przyczyną takiej klęski? NSZZ „Solidarność” liczyła 10 milionów członków. Współcześni wskazują na ogół jako główny powód jej wielkiej liczebności nienawiść do systemu. Jest to część prawdy, na drugą jej część składa się łatwość metod, jakimi miano osiągnąć zamierzone cele. Wystarczyć miał zorganizowany nacisk mas, najczęściej w postaci strajków, wieców i demonstracji ulicznych, aby władza zrozumiała, że jest słaba i zasiadła do rozmów „jak Polak z Polakiem”, w efekcie których oddać miała to, czego zażądają Lech Wałęsa i jego rodacy. Jakie to łatwe i atrakcyjne w stosunku do tego, co zapowiadali np. Józef Piłsudski legionistom i Stefan Rowecki żołnierzom AK. Pot i łzy, ciężką służbę oraz zwycięstwo lub śmierć. Ta naiwność przywódców NSZZ „Solidarność” co do skuteczności przyjętych metod walki, jakimi zamierzali osiągnąć wytyczone cele, ukształtowała się w wyniku przyjęcia dysydenckich idei KOR oraz wpływów Kościoła katolickiego, który zastrzeżył w szeregach „Solidarności” neoendeckie widzenie dziejów Polski oraz idee organicznikowskie, nie bacząc, że nie mogą one być zrealizowane w warunkach ustrojowych PRL. Nie ponoszą za nie najmniejszej odpowiedzialności szeregowi członkowie „Solidarności” — wielu z nich starało się zarówno w okresie działalności legalnej jak i nielegalnej wykonać zadania, jakie przed nimi stawiano z całym oddaniem i poświęceniem. Przykłady takiego postępowania są zbyt świeże w pamięci, aby je przytaczać, dostarcza ich zresztą każdy dzień. Wypada uwzględnić, że NSZZ „Solidarność” skupiała członków różnych przekonań, od PZPR do KPN. W ramach związku zaczęły działać i rozwijać się nurty i organizacje sięgające do innych źródeł ideowych, stawiając sobie ambitniejsze cele niż naprawa ustroju. Takie były np. Kluby Niepodległości. Rosły indywidualności przywódców szczebla niższego i regionalnego, rozwijali swe umiejętności M. Jurczyk, J. Rulewski i inni. Dziś już można powiedzieć, że strajk generalny miał większe szanse w czasie tzw. „wydarzeń bydgoskich” od strajku generalnego w dniu 13 grudnia 1981 roku. Zresztą prze-

ciężny członek i działacz każdej organizacji nie ma obowiązku posiadania umiejętności prawdziwej oceny zdarzeń i przewidywania tego, co może zaistnieć w przyszłości; tego należy wymagać od przywódcy. Trzeba w tym miejscu wyrazić wątpliwość, czy np. tacy przywódcy jak Karol Modzelewski i Adam Michnik, pochodzący z rodzin, których członkowie odgrywali niepoślednią rolę w budowie panującego w PRL systemu, nie znali jego charakteru i nie zdawali sobie sprawy z tego, że ustępstwa władz są chwilowe i mają charakter taktyczny. Podobne błędy w ocenie sytuacji popełnili kierujący KPN-em, którzy dopingowani sukcesami „Solidarności” wszystkie swe siły skierowali do działalności legalnej, co miało dla nich fatalne konsekwencje.

Początkowe osiągnięcia „Solidarności” i jej pokojowych metod postępowania uzyskały całkowitą akceptację inteligencji. Nie ma w tym w zasadzie nic złego, przecież zawsze lepiej zyskać coś drogą rozmów, niż o coś ciężko walczyć. Stało się to jednak m.in. przyczyną trudno odwracalnych szkód w świadomości zbiorowej Polaków. Upowszechnianiem tej taktyki zajęli się przede wszystkim ci, którzy uznali, że metody jakie stosuje KOR odnosząc sukcesy przy pomocy L. Wałęsy, posiadają bogatą tradycję, której czuli się spadkobiercami, są ich własnością. Cała prasa, i ta rządowa i ta ugrupowań katolickich, zarożała się od artykułów nobilitujących wszystko co zdradzieckie i nikczemne oraz niewolniczo uległe wobec Rosji. Ludzie z tytułami naukowymi i bez nich pisali artykuły, co można by osiągnąć działając legalnie, drogą reform i rozmów z Rosją, gdyby nie przeszkadzali ci wariaci romantycy wywołujący powstania, twórcy wszelkich niebezpieczeństw. Skrajnym przykładem tego typu poglądów była propozycja sprowadzenia i umieszczenia na Wawelu zwłok jednego z największych zdrajców w dziejach ludzkości, jakim był Stanisław August Poniatowski. W takich ocenach Łazienki i obiady czwartkowe miały większe znaczenie niż pomoc zaborcom w unicestwieniu własnego państwa.

Ugodowcy w rodzaju A. Bocheńskiego, J. Dobraczyńskiego, K. Łubieńskiego i prof. E. Rostworowskiego święcili swój chwilowy triumf, bowiem rzeczywistość zdawała się potwierdzać mylne poglądy. Zresztą wszyscy nawzajem obdarzali się pochwałami, podkreślając, że nareszcie Polacy są realistyczni, mądrzy, rozważni itd. Trzeba stwierdzić, że w niewolniczym reagowaniu na gwałty władzy endecy nie dali się wyprzedzić nikomu. Już w okresie stanu wojennego A. Bocheński oświadczył, że „jeśli władza czyni źle, to trzeba jej to wytłumaczyć”. To „genialne” odkrycie przeszło jakoś nie zauważone przez naukowców na świecie. Po co było tyle rewolucji, przewrotów, spisków i wojen w dziejach świata, po co tyle łez i krwi, jeśli wystarczyłoby wytłumaczyć

komu trzeba? Były i wyjątki. Do takich należy publicystyka prof. J. Łojka i S. Kieniewicza. Konformistyczną postawę zalecał „postępowy partyjny” Stefan Bratkowski, widząc panaceum na wszystko w organicznikowskim wzorcu postępowania, a szczególnie jego odłamu w zaborze pruskim. W swej publicystyce naciągnął on mocno, jak to zwykle bywa, efekty takiego postępowania. Poza słusznym i wielkim uznaniem dla ludzi walczących o ziemię, działalność w ramach prawa pruskiego zdołała jedynie opóźnić germanizację tych ziem. Bilans był raczej smutny. W roku 1914 istniała już na Pomorzu większość niemiecka, a w Poznaniu 37 % ludności stanowili Niemcy, osiągając przewagę w miastach. Szkoda, że St. Bratkowski nie wskazał, gdzie mają znaleźć pole do działania współcześni Cegielscy, Wawrzyniakowie itp. Do dyskusji włączono krytyczne spojrzenie na Polaka. Przypomniano nie po raz pierwszy, że Polak to obywatel, który źle pracuje, nie posiada zdolności organizacyjnych i ma skłonności do anarchii. Lansujący te poglądy nie są zbyt odkrywcy. Twórcami takich ocen byli wrogowie Polski, zaborcy. W ten sposób Prusacy, Rosjanie i Austriacy uzasadniali przed opinią światową swój gwałt rozbiorowy. Przedstawiali go jako łaskę, branie pod opiekę ludzi prymitywnych, leniwych i posiadających inne złe cechy. Zabór miał więc być słuszny i moralnie uzasadniony. Rzeczywistość była inna. W momencie rozbiorów Poznańskie i Galicja nie ustępowały gospodarczo krajom do których zostały włączone, nie mówiąc już o ziemiach przyłączonych do Rosji. Niektórzy do dziś powtarzają te sady, mimo że istnieją oczywiste dowody pracowitości Polaków, jak choćby okres międzywojenny, czy obecnie za granicami Polski. Z tych rozważań wyłaniała się postać „pozytywnego” Polaka, który powinien być pracowity (niezależnie od tego, co dzieje się z rezultatami jego pracy), posłuszny (obojętnie komu) i myśleć kategoriami państwa (brzmi to bardzo wzniosłe, ale zalecający taką postawę nie wyjaśniali, jakiego państwa, polskiego czy rosyjskiego). Oficjalna prasa „Solidarności” skupiała się głównie na krytyce systemu i jego reformie, wykluczając dyskusję na tematy zarówno suwerenności kraju jak i działania innymi metodami jak pokojowe. Bardziej śmiała w tym czasie była tematyka publikacji książkowych z niezależnych oficyn wydawniczych. Wykazała ona fałsz oficjalnej historiografii, udowadniając jej przemilczenia i przeinaczanie faktów.

Metody stosowane przez władze w walce z opozycją

Powszechnie uważa się, że służby bezpieczeństwa i wojsko zlikwidowały oficjalne struktury „Solidarności”. Jest to prawda,

ale trzeba ją uzupełnić o elementy, które odegrały równie ważną rolę jak ZOMO. Główne z nich to pewnego rodzaju wojna psychologiczna i gra polityczna.

Na przełomie lat 1980-1981 kilkudziesięciu doradców sowieckich różnych specjalności przybyło do Sztabu Generalnego Wojska Polskiego, tworząc razem z kilku przedstawicielami Wojska Polskiego zespół do walki z „kontrewolucją”. Zespół wytyczył następujące cele:

1) Nie dopuścić, aby w NSZZ „Solidarność” doszli do decydującego głosu ludzie, którzy mogą być groźni dla systemowi. Na tej liście umieszczono m.in. Gwiazdę, Rulewskiego i Jurczyka.

2) Utrwalić w kierownictwie „Solidarności” przekonanie o słuszności i skuteczności pokojowych metod rozwiązywania spraw i osiągania celów, do których dąży związek.

3) Nie dopuścić do tendencji niepodległościowych w szeregach „Solidarności” oraz organizowania zbrojnego oporu.

4) Zapobiec ewentualnemu organizowaniu przez „Solidarność” niejawnych form organizacyjnych, tzw. „zamrożonych” drugo- i trzeciorzędnych struktur związku, przewidzianych na wypadek likwidacji działalności legalnej i tworzeniu ewentualnych grup rozpoznania i obrony do ochrony takich struktur podziemnych.

Do zrealizowania pierwszych trzech celów zobowiązani zostali kierujący propagandą i prowadzący negocjacje z przywódcami „Solidarności”. Czwarty cel realizowały siły bezpieczeństwa.

Jak już przedstawiliśmy w poprzedniej części, pomimo różnic poglądów i ostrych sporów publicystyka tego czasu wyrażała powszechną aprobatę dla legalnych form działalności i zasad negocjacji. Władze podtrzymywały taką atmosferę, przedstawiając same siebie jako gorących i wiarygodnych zwolenników rozwiązywania sporów drogą rozmów. Aby jednak nie wzbudzić podejrzeń i uzasadnić opieszałości w realizowaniu żądań Związku, do których zobowiązały się układami z roku 1980, uruchomiono i puszczono w obieg informację o podziałach w KC PZPR na liberałów i twardogłowych, których nazywano również „betonem”. W rzeczywistości były różnice, ale natury taktycznej, a taka informacja sugerowała, że działalność „betonu” przeszkadza w szybkim i pomyślnym załatwieniu spraw. Generała W. Jaruzelskiego i M. Rakowskiego umieszczono w gronie liberałów, obdarzając tego pierwszego pochodzeniem szlacheckim, co w zamiarze autorów tego pomysłu miało potwierdzać jego polskość i patriotyzm. Następnie przystąpiono do ataku na ludzi uznanych za potencjalnie groźnych dla władzy, nazywając ich „ekstremą” i tymi, którzy dążą do konfrontacji, co może sprowokować prośbę „betonu”

o „braterską pomoc” ZSSR. Ta propaganda okazała się skuteczna. Bardziej zdecydowani w swoim postępowaniu J. Rulewski i M. Jurczyk nie zdołali zdominować Lecha Wałęsy i jego doradców. Organizowano nacisk propagandowy z pomocą RWPg. Artykuły o „kontrewolucji” i „kontrewolucjonistach”, będących na usługach imperializmu (przeważnie USA) zamieszczane w środkach masowego przekazu CSSR i ZSSR, powielane w kraju, wpływały na ograniczenie żądań opozycji świeckiej i Kościoła w stosunku do władz. Atutem władz okazał się również M. Rakowski. Pomijając ocenę moralną tej postaci, trzeba przyznać, że górował on w pertraktacjach nad Wałęsą i zespołem doradców. Spełnił on swoje zadanie, polegające na tym, aby nie poczynić nieodwracalnych koncesji a jednocześnie utrzymać przeciwnika w przekonaniu o gotowości do ustępstw do momentu, kiedy przygotowania do stanu wojennego zostaną zakończone. Pertraktacje ujawniły całą mizერიę intelektualną większości doradców L. Wałęsy. Można usprawiedliwić brak takich umiejętności u Wałęsy, ale doradcy, wśród których nie brakło ludzi z wysokimi stopniami naukowymi, powinni przynajmniej orientować się w metodach dyplomacji carów i J. Stalina, bo przecież M. Rakowski to ta szkoła dyplomatyczna. Powiedzenie M. Jurczyka „mamy dużo uczonych, ale za to mało ludzi mądrych” odnosi się do prawie wszystkich doradców „Solidarności”, którzy mieli wpływ na ostateczne decyzje KKP. Rakowski jest również jednym z pomysłodawców wykorzystania Kościoła katolickiego w wojnie psychologicznej w celu pacyfikowania nastrojów wrogich w sytuacji stanu wojennego i łamania oporu zwolenników „Solidarności”. Dla marksistów dostrzeżenie takiej możliwości było sprawą prostą, bowiem K. Marks określił rolę religii jako „opium dla ludu”. Ponadto oceniono, że wyjątkowa pozycja Kościoła katolickiego w Polsce (w stosunku do innych krajów obozu socjalistycznego) sprawia, że Kościół nie poprze poważniejszego konfliktu politycznego, narażającego go na ryzyko utraty tego statusu. Postawa prymasa J. Glempa po 13 grudnia 1981 roku w pełni potwierdziła te przewidywania. Swoimi wystąpieniami spowodował on, że ludzie zwątpili w sens i skuteczność oporu i byli ulegli wobec władzy. Do sukcesów ekipy W. Jaruzelskiego zaliczyć należy również przebieg wizyty papieża w Polsce. Pielgrzymka papieża zdezorientowała część opinii światowej co do charakteru reżymu Jaruzelskiego, była jego dyplomatycznym uznaniem, a więc pewną formą akceptacji. Pomogła przełamać niechęć ludzi do środków masowego przekazu, które nadawały transmisje z kolejnych miejsc pobytu. Utworzenie służb porządkowych z pracowników MO i wiernych zbliżyło ich, zacierając dotychczasowe bariery między ofiarami i bijącymi, poprawiło samopoczucie psy-

chiczne ZOMO i MO. Homilie pełne pacyfistycznych treści, nawiązujące do miłości bliźniego, zwiększyły uległość ludzi wobec władz. Nie zmienia takiej oceny kilka niewygodnych dla reżymu sformułowań, jakich użył papież w swych wystąpieniach. Przeciwny katolik być może miał nadzieję, że słowa papieża trafią do tych, którzy go gnębią. Niestety mylił się głęboko; miały one wpływ tylko na niego samego, bowiem źródłem ideowej i politycznej inspiracji tych którzy rządzą nie jest Watykan, a Moskwa.

13 grudnia 1981 roku był nie tylko momentem klęski „Solidarności”, nie tylko dniem w którym, mówiąc słowami C. Miłosza, „zamordowano nadzieję”. Był również klęską koncepcji, która w przeszłości i obecnie głosi możliwość uzyskania od Rosji swobód drogą pokojową. W sposób empiryczny jednego dnia została przekreślona. Nigdy jeszcze nie było w Polsce tylu kandydatów na Wielopolskiego, nigdy dotąd nie wypowiedziano tak wielu opinii uzasadniających słuszność sojuszu z ZSSR. Margines żądanych swobód zwęził się praktycznie do akceptacji istnienia Związku i ograniczenia interwencji cenzury, zostawiając wszystko inne jak było dotychczas: rządzącą partię, politykę zagraniczną i wojsko. Nigdy tak wielu nie chciało tak mało. Taktyka była fatalna. W polityce trzeba bowiem wiele chcieć, aby być może mniej uzyskać. Ci wszyscy, którzy mieli wpływ na zachowanie Polaków w latach o których mowa ponoszą całą odpowiedzialność nie tylko za niewykorzystane szanse, ale również za to, że stracili coś, czym pozyskiwaliśmy przyjaciół i wzbudzaliśmy szacunek u wrogów. Przecież nie za pogodzenie się z losem niewoli i uległość wobec zaborców cenił nas jako naród Jerzy Waszyngton, Napoleon Bonaparte i Karol Marks. Nawet tak krytycznie nastawiony do Polaków Winston Churchill napisał: „Całym sercem jesteśmy z narodem polskim, znowu ujarzmionym, i jesteśmy pewni, że nie na próżno czekać będziemy na jego odwieczny zew do walki przeciw tyranii”. Tymczasem teraz wypadliśmy znacznie gorzej od Węgier 1956 i Czechosłowacji 1968 roku. Nie usprawiedliwiają tego opinie powołujące się na realizm, rozsądek, mądrość polityczną itp.

Zamierzenia ekipy rządzącej

Ekipa ocenia swój sukces, zresztą niestety słusznie, jako zaskakująco pełny. Policja i wojsko w czasie grudniowej pacyfikacji nie poniosły praktycznie liczących się strat. Propaganda (tak nisko oceniana przez „Solidarność”) w wojnie psychologicznej czasu przedgrudniowego spełniła to, czego od niej oczekiwano, tzn. zdołała zdezorientować przeciwnika co do prawdziwych za-

miarów władz, nie dopuściła do powstania „strzelającej opozycji” i przyczyniła się do wstecznej selekcji kadr przywódczych w łonie „Solidarności”.

Sprawujący władzę działają według z góry opracowanego planu, którego realizację w czasie traktują elastycznie, zależnie od rozwoju sytuacji. Natomiast dokładność i systematyczność wykonywania jest przestrzegana z całą konsekwencją. Przedstawia się to w przybliżeniu następująco: 1-szy etap — likwidacja struktur legalnych i nielegalnych NSZZ „Solidarność”; 2-gi etap — zmuszenie społeczeństwa do uległości wobec władz; 3-ci etap — odbudowa pozawojskowych struktur PZPR, budowa nowych związków zawodowych, ofensywa socjalizmu we wszystkie sfery życia PRL.

Obecny etap realizacji tego wieloletniego planu ekipa określa językiem wojskowych jako „walkę w głębi obrony przeciwnika i likwidację jego ostatnich punktów i gniazd oporu”. Istniejące podziemie traktuje się jako „wypadek przy pracy”, który nawet przy najlepiej zaplanowanej akcji może się zdarzyć, zwłaszcza przy tak ogromnym i ryzykownym przedsięwzięciu. Sądzi się jednak, że podziemie straci powoli swoją bazę działania w miarę postępującego zmęczenia, rozczarowania i zniechęcenia społeczeństwa. Reszty dokonają służby bezpieczeństwa. Aby osiągnąć wytyczony cel, władze zostawiają sobie możliwość zastosowania w krytycznym dla siebie momencie politycznych metod rozładowania nastrojów społecznych. Taką możliwość daje im Kościół katolicki. Zadowolone są z roli, jaką odegrał on w pacyfikowaniu nastrojów oraz sądzą, że ustępstwa w rodzaju amnestii są stosunkowo niską zapłatą za ten udział. Tym bardziej że nisko oceniają możliwości samego Wałęsy. Pozbawiony zdolności samodzielnego myślenia i bez doradców niczego zaskakującego dla nich nie wymyśli. Ustępstwa tego rodzaju uważa się nawet za celowe z uwagi na opinię międzynarodową. Obecnie, ponieważ władze nie czują się już zagrożone, stosunki z Kościołem są chłodniejsze. Mimo to ataki na Kościół ograniczają się do kilku księży, którzy zachowują bardziej patriotyczną postawę.

Jednak nie wszystko układa się po myśli władz. Trudno bowiem np. przewidzieć, jak zareaguje społeczeństwo na dalszą obniżkę stopy życiowej. Pomimo że policja i wojsko są w stanie stłumić przypuszczalny na podstawie dotychczasowych zachowań protest ludności, nie zmniejsza to niepokoju władz, ponieważ ciągłe napięcia i konflikty mogą mieć wpływ na pewnego rodzaju „dobór naturalny” kadry przywódczej, która może zastosować nowe, trudne do przewidzenia formy walki, groźniejsze od dotychczasowych.

Aktualnie społeczeństwo ma tylko możliwość organizowania oporu i ochrony największych wartości w sposób nielegalny. Czyni to już częściowo „Solidarność” i inne, mniej znaczące, nieliczne grupy. Niezbędne jest jednak organizowanie nielegalnych struktur, które byłyby zdolne w każdej chwili do przejęcia i pokierowania wszystkimi dziedzinami życia. Przy organizowaniu takich struktur trzeba rozwijać te, które działają aktualnie i budować nowe w oparciu o znajomość tych, które istniały w przeszłości jak POW, AK, w tym Szare Szeregi, NOW itp. oraz adaptować je do współczesnych warunków i celów, jakie stawiać będzie sobie powstająca grupa, pragnąca przeciwstawić się polityce władz. „Trzymając z Rosją stracimy ducha”, mówił J. Piłsudski. Zwrot tego straconego ducha i zwiększenie odporności ludzi na poczynania władz powinny być pierwszymi zadaniami opozycji. Trzeba je odbudować w oparciu o cel strategiczny, jakim jest odzyskanie niepodległości. 13 grudnia 1981 roku potwierdził nie po raz pierwszy, że tylko we własnym suwerennym państwie Polacy będą mogli dokonać wyboru form ustrojowych i systemu sprawowania władzy. Tylko niepodległa Polska będzie mogła zapewnić obronę jej obywatelom. Dużo się słyszy i mówi o prawach człowieka. W Polsce odmówiono tego prawa 36-milionowemu narodowi. Nawet częściowo prawa decydowania o swoich sprawach. Niepodległość jest celem, do którego Polacy powinni dążyć. Muszą oni uczynić wszystko i wszystkimi metodami, które będą możliwe i uznane za skuteczne, aby ten cel osiągnąć albo go przybliżyć. Osiągnięcie tego jest warte każdej ofiary i to zarówno w sferze materialnej jak i ludzkiej.

M. WARAN

List do Redaktora „Kultury”

Artykuł Jerzego Bonieckiego „Czy Kościół pozostanie obojętny wobec przełudnienia świata?” (*Kultura* nr 4, 1983) budzi mój sprzeciw, a nawet umacnia moje przekonanie, że liberalizm w dziedzinie moralnej jest równie wielkim złem jak totalitaryzm. [...]

Rewolucyjny styl Bonieckiego kojarzy mi się ze starym błędem popełnianym wielokrotnie przez rewolucjonistów, zwłaszcza komunistycznych: wrażliwość na ludzkie cierpienie i nędzę wiąże się w jedno z prymitywną ideologią, która obiecuje łatwe szczęście ludzkości osiągnięte na drodze przemian technicznych i organizacyjnych, z pominięciem wartości moralnych (jako niepraktycznych, nieżyjących, wstecznych, zacofanych, ciemnych itd.). Hołduje więc Boniecki w interesującej go dziedzinie poglądowi, że praktyka

jest kryterium prawdy; w imię racji praktycznych (jak zapewnić ludziom dobrobyt?) gotów jest odrzucić prawdę o człowieku, prawdę o wymiarze duchowym i moralnym ludzkiego losu; nie zadaje sobie wcale pytania, dlaczego Kościół sprzeciwia się antykoncepcji, przy tym ludzi się naiwnie, że najtrudniejsze i najdelikatniejsze problemy współczesnego świata można rozwiązać za pomocą prostych technicznych środków. Wbrew powierzonemu deklaracjom antykomunistycznym mógłby Autor uściśnić dłoń Leninowi, bo więcej obu naszych pragmatyków łączy niż dzieli.

Sam termin „przeludnienie” jest nieetyczny. Czy można mówić o ludziach, którzy już są, że jest ich zbyt dużo na świecie? [...]

Boniecki stwierdza istnienie „podstawowej, matematycznej zależności” rozwoju zacofanego kraju od rozwiązania problemu demograficznego, zależności, która „nie ma nic wspólnego z systemem politycznym panującym w danym kraju” (str. 68). Dlaczego więc nie ma kraju komunistycznego, w którym panowałby dobrobyt? Dlaczego drastyczne zmniejszenie zaludnienia komunistycznej Kambodży (na drodze ludobójstwa) nie poprawiło bytu materialnego mieszkańców tego kraju? Bieda w wielu krajach nie jest skutkiem „przeludnienia”, lecz współwystępuje z licznym zaludnieniem. Dlaczego Autor, podobnie zresztą jak w swoim czasie prezydent Johnson, uważa, że inwestowanie w antykoncepcję jest bardziej opłacalne niż pomoc gospodarcza?

Dlatego, według nauki Kościoła, antykoncepcja jest zła?

1. Antykoncepcja nie jest po prostu udoskonaleniem technicznym procesu współżycia seksualnego (podobnie jak sztuczne udoskonalają proces jedzenia); jest ona przejawem postawy manipulacji oraz instrumentalnego podejścia do wartości nieinstrumentalnych, co zniekształca i wypacza sens współżycia (w odróżnieniu od sztuców, które nie zmieniają sensu jedzenia); dlatego więc antykoncepcja jest z istoty zła, jest przy tym zasadniczo różna od naturalnej regulacji poczęć (nazywanie naturalnej regulacji poczęć „niesmiałymi próbami planowania rodziny”, str. 69, w odróżnieniu od „śmiałych” rozwiązań organizacyjno-technicznych, jest humorystyczne i absurdalne).

2. Antykoncepcja jest wyrazem wrogiego podejścia do naturalnej możliwości poczęcia dziecka, jest znakiem wrogości wobec własnej natury i ludzkiej płciowości, zawiera w sobie brak szacunku dla ciała (zarówno „pierwszego” jak „drugiego” — współpartnera, jak i „trzeciego” — dziecka).

3. Stosowanie antykoncepcji wynika z tej samej postawy człowieka, z której bierze się łatwość uciekania się do sztucznych poronień, gdy antykoncepcja zawiedzie (a zawodzi i szkodzi). A zatem, im więcej antykoncepcji, tym więcej sztucznych poronień. Podobnie jak nie wyleczy się alkoholika namawiając go do picia wina zamiast wódki, tak też nie uleczy się chorych relacji małżeńskich i rodzicielskich proponując antykoncepcję „zamiast” sztucznych poronień. Tak jak jeden jest alkoholizm, choć różne alkohole, tak też jedna jest wrogość do ciała, płciowości, rodzicielstwa, choć różne sposoby i środki wyrazu tej wrogości. W klimacie lęku i wrogości (agresji) nie rozwiąże się tej sprawy.

4. Wiara w antykoncepcję łączy się z niewiarą w kulturę i moralność, z niewiarą w człowieka i jego duchowe możliwości, z niewiarą w dobrą wolę i zdolność do pewnych wyrzeczeń w duchu miłości, doskonalenia się osobistego, pracy nad sobą i ofiary. Wiara w antykoncepcję oznacza prostactwo kult rozwiązań technicznych w dziedzinie, w której moralność ważniejsza jest od technologii. Bez przemiany człowieka i relacji międzyludzkich świat nie będzie lepszy. Dość już naiwnych ludzi pseudoreformatorów! Dość arogancji „inżynierów” ludzkich dusz! Dusz nieuctwa połączonego z pobięzną erudycją! Wiara w antykoncepcję koresponduje z komunistyczną wiarą zawartą w zdaniu Lenina o władzy rad i elektryfikacji. Nie będzie raj na ziemi bez nieba w ludzkich sercach.

5. Nie ma granicy między antykoncepcją a sztucznymi poronieniami: są środki tzw. antykoncepcyjne, które działają poronnie (spirale), wynalazczość ludzka idzie w kierunku jak najwcześniejszego, „domowego” usuwania zarodka ludzkiego — przez sztuczne prowokowanie miesiączki, gdy ona nie występuje z powodu ciąży.

6. Antykoncepcja i sztuczne poronienia sprzyjają postulowaniu i stopniowemu wprowadzaniu eutanazji.

7. Antykoncepcyjne podejście do rozrodczości sprzyja konsumpcyjnemu stylowi życia i różnym formom społecznej rozpacz.

Jerzemu Bonieckiemu zarzucam pewien fundamentalny brak nadziei połączony z dużą pewnością siebie i nonszalancją. [...]

Ciekaw jestem, w jakiej mierze Bedakcja *Kultury* identyfikuje się z podejściem Bonieckiego (sądzę, że w znacznej). I w związku z tym interesuje mnie, w jakich kategoriach moja wypowiedź będzie rozpatrywana i czy w ogóle ukaże się drukiem w *Kulturze*.

Autor najwyraźniej nie jest świadom, że miarą rozwoju demograficznego lepszą od przyrostu naturalnego (który ma swoją bezwładność i jest obciążony wskaźnikami ubocznymi — śmiertelności, migracji) jest wskaźnik reprodukcji (brutto i netto). Trwanie demograficzne narodów trzeba widzieć w perspektywie pokoleń. Obłędna i zbrodnia polityka demograficzna chińska może w razie dłuższej skuteczności podważyć rozwój i przyszłe trwanie narodu chińskiego. Ludzie nie są stadem bydła. A nawet bydło trzeba traktować lepiej, niż traktuje się ludzi w komunizmie. Jeżeli pokolenia mają się odtwarzać, trzeba dążyć do tego, by w rodzinie było średnio więcej niż dwoje dzieci, ponieważ nie wszyscy ludzie dorośli mają (lub mogą mieć) dzieci, nie wszystkie dzieci dożywają do wieku rozrodczego, nie wszyscy zawierają małżeństwa i są rodzicami. Śmiertelność w wyniku rozwoju medycyny nie ulega ściśle biorąc zmniejszeniu (bo każdy umiera), lecz przesunięciu tylko. Pokolenia nieuchronnie umierają, ludzki wiek rozrodczy nie trwa dłużej (w wyniku tendencji kulturowych raczej się skracza), można więc populiwać się, że populacja po okresie wzmożonego wzrostu (w wyniku postępu techniki medycznej) ustabilizuje się w sensie demograficznym. Nie wolno mechanicznie przenosić dzisiejszych lub przeszłych wskaźników rozwoju ludności na przyszłe dziesięciolecia i stulecia. [...]

Ks. St. MAŁKOWSKI

Warszawa, 20 września 1983

Polemizuję z ks. Małkowskim

Zarówno argumenty ks. Małkowskiego jak i forma jego wyводу są tego rodzaju, że wolę powstrzymać się od bezpośrednich komentarzy i pozostawić je raczej czytelnikom *Kultury*, którzy interesują się tym tematem.

Chciałbym natomiast przy okazji wypowiedzi ks. Małkowskiego poruszyć sprawę planowania rodziny i zapobiegania ciąży w świetle zasad etycznych głoszonych przez Kościół katolicki. Stanowisko Kościoła budzi bowiem niejednokrotnie podstawowe wątpliwości i wywołuje zasadnicze zastrzeżenia. Uwagi moje będą, rzecz jasna, miały jedynie charakter szkieletowy. Będą też

one dotyczyły jednego — ale zdaniem moim — podstawowego aspektu tego problemu.

Jako podstawę przyjmę bardzo ciekawe studium etyczne Karola Wojtyły pt. „Miłość i odpowiedzialność”, które ukazało się po raz pierwszy w roku 1960, staraniem Towarzystwa Naukowego KUL*. Pracę tę wybieram nie dlatego, iż autor jej w kilkanaście lat później został głową Kościoła, ale przede wszystkim z tego względu, iż jest to bardzo interesujący i głęboki wykład na temat etyki małżeństwa oraz problemów świadomego rodzicielstwa. To zaś jest bezpośrednio związane z poruszonym przeze mnie tematem konieczności planowania rodziny, zapobiegania ciąży oraz znaczenia tych postulatów w skali globalnej, dla przetrwania świata.

Zakładam oczywiście, iż stanowisko przedstawione w tej pracy jest również wyrazem oficjalnej doktryny Kościoła. Nie dlatego, iż autorem książki jest obecny papież Jan Paweł II, ale ponieważ napisana ona została przez wysokiego dostojnika Kościoła (wówczas arcybiskupa). Nie wydaje się, aby — szczególnie przedstawiciel polskiego Kościoła — mógł w swej pracy reprezentować poglądy niezgodne z doktryną obowiązującą w Watykanie.

Jak to trafnie oddaje tytuł książki, *odpowiedzialność współmałżonków i rodziców* stanowić ma — obok miłości — filar współżycia i wzajemnego stosunku. W typowy dla Jana Pawła II sposób, pełen godności i humanizmu, postulat ten formułowany jest w wielu miejscach książki, przewija się niemal co krok przy omawianiu różnych aspektów współżycia małżeńskiego. Oto kilka cytatów:

(Człowiek) „musi podjąć pełną odpowiedzialność za sposób używania popędu seksualnego. Odpowiedzialność ta stanowi zasadniczy, żywotny składnik moralności seksualnej człowieka” (str. 48). „Zdolność poznawania prawdy umożliwia człowiekowi auto-determinację, czyli samodzielną stanowienie o charakterze i kierunku własnych czynów, na czym właśnie polega wolność” (str. 93). „Kiedy mężczyzna i kobieta w ramach małżeństwa wybierają świadome i dobrowolne współżycie płciowe, wówczas wraz z nim wybierają równocześnie możliwość prokreacji”... (str. 189). „Małżeństwo jest instytucją miłości, a nie tylko płodności... intencja i uwaga winny być skierowane w stronę drugiej osoby, w stronę jej prawdziwego dobra” (str. 195). „... Sami rodzice winni dbać o to, by przez ograniczanie poczęć nie wyrządzić krzywdy własnej rodzinie i społeczeństwu” (str. 203).

Przytoczone wyżej postulaty etyczne, sformułowane w trudnych kategoriach intelektualnych, zawierają pewne podstawowe warunki. Są to: *wolność i możliwość wyboru, wiedza o funkcjonowaniu własnego organizmu oraz znajomość indywidualnych i społecznych konsekwencji własnego postępowania*. Zastanówmy się więc przez chwilę, jakie możliwości spełnienia tych warunków oferują miliony ciemnych (tj. niewykształconych), żyjących w nędzy ludzi. Ich to wszakże — a nie tych wykształconych i żyjących w lepszych warunkach — dotyczy postulowana przeze mnie konieczność zapobiegania ciąży i planowania rodziny, dla polepszenia ich własnej doli oraz zahamowania eksplozji demograficznej świata.

W Kalkucie, aby dojść do starej, znanej świątyni nad rzeką przechodzi się przez szpaler wynędzniałych kalek-żebraków. Są to często dzieci z nogami lub rękami połamanymi w okrutne kształty *przez rodziców*, aby mogły wzbudzić litość i swą żebranią odsunąć choćby na chwilę od reszty rodziny stałe widmo głodu. W Brazylii *setki tysięcy dzieci* żyje i koczuje na ulicach miast. Są one często wyrzucane z domu lub zmuszane *przez rodziców* do

* Wszystkie następujące tu cytaty pochodzą natomiast z trzeciego wydania, VERITAS, Londyn 1964.

prostytucji, kradzieży lub innych przestępstw, dla zdobycia jakichś środków dla przeżycia rodziny. Niektórzy ilość bezdomnych dzieci w Brazylii szacują na kilka milionów; dokładna liczba nie jest znana. Jak można od tych nieszczęśliwych, zdeterminowanych rodziców spodziewać się wolnego wyboru własnego postępowania? W Mexico City, mieście-kolosie, o liczbie mieszkańców równej 40 % ludności całej Polski, obok napisów z nazwami stacji w metro, przy każdej nazwie figuruje... jakiś ładny obrazek. Chodzi o to, aby analfabetom umożliwić poruszanie się liniami metra. Jak można od tych milionów ludzi nie umiejących czytać i pisać wymagać znajomości fizjologii własnego ciała, potrzebnej dla dokonywania wyboru świadomego rodzicielstwa, jak to postuluje etyka Kościoła? Na ulicach Bombaju tysiące ludzi *mieszka* na chodnikach. Za cały majątek tych ludzi służy jedno nędzne odzienie; śpią oni najczęściej (w braku choćby jakiegś szmaty) z gazetą pod głową. W obozach uchodźców w Afryce tysiące matek, otoczonych rzeszą dzieci, z oczami utkwionymi w przestrzeń wyczekują łaski następnego posiłku i możliwości przeżycia do rana. Jak można wobec tych ludzi, znajdujących się na pograniczu zwierzęcej roślinności, wysuwać postulat odpowiedzialności wobec własnej rodziny i społeczeństwa — jak to czyni wspomniana praca Jana Pawła II?

Przytoczone opisy nie stanowią wybranych, odizolowanych przypadków. Są to masowe zjawiska znane mi nie tylko z literatury i studiów, ale także z licznych podróży i własnych obserwacji. Zjawiska te są brzemienne w trudne do przewidzenia konsekwencje dla całego świata.

Ks. Małkowskiemu wolno mieć rzecz jasna *nadzieję*, że problemy te *jakoś* się rozwiążą. Ja natomiast ponawiam pytanie, którym zakończyłem swój artykuł: jak długo jeszcze Kościół pozostanie obojętny wobec przeludnienia świata?

Jerzy BONIECKI

Sydney, 15 listopada 1983

POLSKA KSIĘGARNIA NA MANHATTANIE POLISH BOOKS & ARTS, INC.

97 EAST 7th STREET, NEW YORK, NY 10009

Tel.: (212) 254-8457

Książki polskie. — Książki w języku angielskim dotyczące spraw polskich. — Słowniki. — Podręczniki. — Płyty i kasety. — Bogaty wybór polskich plakatów.

Przyjmujemy książki w komis.
Realizujemy zamówienia pocztowe.

Książki

Miła baśń

Od połowy sierpnia bież. roku księgarnie amerykańskie robią Polsce większą reklamę, niż zdołali to dotychczas uczynić wszyscy nasi wielcy, od Papieża po Wałęsę. Gdziekolwiek się spojrzy, uderzają wzrok wielkie, białe litery POLAND rzucone na czarne tło okładki masywnego, imponująco wyglądającego tomu. „Best-seller Nr 1” wytrwale utrzymuje się na pierwszych miejscach najrozmaitszych list sprzedaży, a kolejki w bibliotekach publicznych potwierdzają popyt na książkę. Sukces, niezwykle sukces wydawniczy najnowszej powieści James Michenera, zatytułowanej po prostu „Polska”^{*}.

Przypuszczać wolno, że przyczyną powodzenia jest w ogromnej mierze nazwisko autora, pisarza klasy średniej, a jednak tak wśród amerykańskich czytelników popularnego, że każda niemal jego książka staje się niejako automatycznie *bestseller*-em, bez względu na to, czy pisze o Hawajach, Hiszpanii czy przestrzeni międzyplanetarnej. Skoro zaś zdecydował się wybrać jako temat swojej nowej powieści Polskę, tym lepiej dla amerykańskich czytelników. Będą mogli dowiedzieć się, co to się tam naprawdę w tej Polsce dzieje. Spróbujmy więc i my odrzucić naszą własną wiedzę o kraju i spojrzeć na powieść Michenera oczyma przeciętnego, niezbyt orientującego się w zawiłościach historycznych czytelnika amerykańskiego.

Rozdział pierwszy ujmuje aktualnością: jesienią 1981 roku w małej, podgórskiej wiosce Bukowo spotykają się w celu uzgodnienia wzajemnych stanowisk dwaj przeciwnicy — Janko Buk, przedstawiciel gotowych do solidarnościowego strajku rolników i Szymon Buk, oficjalny reprezentant KC PZPR. Negocjacje nie dają rezultatu i obie strony postanawiają spotkać się ponownie za cztery tygodnie, tym razem z udziałem miejscowego biskupa jako mediatora. Konfrontacja ma charakter tym ciekawszy, że

obaj przywódcy pochodzą z tej samej wioski, którą otacza odwieczny las zwany Szczęk, kryjący wśród gąszczu buków odwieczną groźbę inwazji — od średniowiecznych Tatarów po sowieckie czołgi.

Mamy więc w tym rozdziale wszystkie elementy potrzebne do zbudowania powieści: konflikt rodzinny poszerzony o społeczne i polityczne zaplecze, zagadkę przyszłości a nawet groźbę dramatu, aktualność problemu i scenerię dość egzotyczną, by utrzymać w napięciu zainteresowanie czytelnika. Co zwycięży — sprawiedliwość czy siła? Konflikt na miarę greckiej tragedii! I jakże wiecznie aktualny! Ale Michener jest zbyt doświadczonym pisarzem, by odpowiedzieć na to pytanie od razu. Podobnie jak w swych poprzednich książkach, postanawia on najpierw sięgnąć do korzeni konfliktu, rzucić go na szerokie tło historyczne, bowiem tylko w ten sposób zrozumieć będzie można obecną sytuację i pokusić się o pośrednią odpowiedź czy choćby tylko nadzieję na rozwiązanie. Toteż rozdział pierwszy stanowi zaledwie wstęp do wielowiekowej sagi Buków i Bukowskich, sięgającej sześćset lat wstecz, a wypunktowanej kolejnymi węzłowymi momentami historii Polski. W rozdziałach następnych spotykamy różne pokolenia Buków i Bukowskich pod Legnicą (atak ze wschodu), pod Grunwaldem (atak z zachodu), w obronie Jasnej Góry (atak z północy) i pod Wiedniem (atak z południa). Widzimy ich w okresie rozbiorów i w okresie powstań, w walce z konnicą Budionnego i pod okupacją hitlerowską, by w końcu raz jeszcze powrócić do Bukowa w dniu 5 grudnia 1981 roku, w ostatnim tygodniu przed ogłoszeniem nowej wojny, mającej na nowo przeorać Bukowo, Buków i Bukowskich...

Ale historia Polski przedstawiona na kanwie ataków z zewnątrz i wewnętrznych konfliktów typu „a jak poszedł król na wojnę... a jak poszedł chłop na wojnę” nie byłaby pełna i dostatecznie atrakcyjna bez wprowadzenia jednej jeszcze grupy bohaterów, reprezentowanej u Michenera przez rodzinę miejscowych magnatów Lubońskich, którzy z czasem dorobią się hrabiowskiego tytułu. Ta właśnie grupa zdaje się przyciągać uwagę pisarza swoim splendorem, rozmachem i fantazją. Mimo że sympatia autora jest wyraźnie po stronie ubogich Buków, opisy Łańcuta czy wielokrotnie powtarzana historia rodziny Mniszchów (łącznie z dziejami Maryny — jakże inaczej!) fascynują go do tego stopnia, że świat ten, imponujący i kolorowy, chwilami przesłania losy chłopstwa czy drobnej szlachty. A kiedy ustąpić musi w czasach najnowszych, miejsce jego wypełnia książę Kościół, biskup Barski, rezydujący obecnie w dawnym pałacu Lubońskich.

Jest rzeczą pewną, że zawodowi historycy znajdą w powieści Michenera setki nieścisłości czy błędnych interpretacji, podobnie jak krytycy literaccy zarzucą mu sztuczną konstrukcję i dwuwymiarowość postaci. Ale równie pewne jest, że Michener napisał książkę pełną sympatii a nawet głębokiego sentymentu dla Polski, że powieść tę udostępnił w milionach egzemplarzy, że zdecydowanie przeciwstawił się różnym Styronom i innym ame-

^{*} James A. Michener, *Poland*, New York, Random House, 1983, str. 556.

rykańskim pisarzem, od lat szkalującym wszystko co polskie. Napisał miłą baśń, może chwilami naiwną czy nawet prymitywną, ale ciepłą, serdeczną i bardzo, bardzo sprawie polskiej potrzebą.

Jerzy R. KRZYŻANOWSKI

Zapowiedzi wydawców emigracyjnych na rok 1984

INSTYTUT LITERACKI (Paryż):

Zeszyty Historyczne n-ry 67, 68, 69 i 70; *Historia „Solidarności”*; Henryk Siewierski: *Spotkanie narodów*; *Kalendarz historyczny*; *Wydór pism Marszałka Piłsudskiego*; Józef Beck: *Ostatni raport* (w opracowaniu prof. Anny Cienciadła).

ODNOWA (Londyn):

Jan Erdman: *Droga do Ostrej Bramy*; ks. Józef Wójcik: *Moja wielka nowenna*.

OFICyna POETÓW I MALARZY (Londyn):

Bibliografia zawartości kwartalnika „Oficyna Poetów” od Nr. 26 do 57 (w opracowaniu Ewy i Marka Pytaszów); Maja Elżbieta Cybulska: *Wacław Iwaniuk* (tytuł prowizoryczny); Bonifacy Miązek: *Wiersze*; Dariusz Gahler: *Z deptaka życia* (wiersze); Adam Podgórecki: *The Conundrums of Si-Tien*; Szymon Łaks: *O kulturze z cudzoziemcem i bez*; Kazimierz Kaz Ostaszewicz: *Długie drogi Syberii*; Romuald Paporisz: *Szara godziną* (wesołe i melancholijne opowiadania); Tymon Terlecki: *Szukanie równowagi* (szkice literackie i publicystyczne); Tola Korian, *artystka słowa i pieśni* (praca zbiorowa).

ORBIS (Londyn):

Możliwość wznowienia wszystkich książek Sergiusza Piaseckiego.

POLONIA BOOK FUND (Londyn):

A. Zinowiew: *Homo sovieticus*; Raymond Aron: *Le spectateur engagé* (przeład Adama Zagajewskiego); praca zbiorowa: *Kobiety w Armii Krajowej* (łącznie, sabotaż, dywersja).

POLSKA FUNDACJA KULTURALNA (Londyn):

Victoria wiedeńska (praca zbiorowa pod redakcją prof. Jasnowskiego); Tadeusz Nowakowski: *Na skrzydłach nadziei*; Wit Tarnawski: *Conrad — the Man, the Writer, the Pole*; Jerzy Lerski: *Emisariusz „Jur”*; Jan Zamoyński: *Powrót na mapę*; *Historia kraju w stanie wojny* (praca zbiorowa historyków i publicystów Polski Podziemnej); *Polska roku 1983* (praca zbiorowa historyków i publicystów na obczyźnie); Leokadia Sendor: *Pamiętnik macochy*; Zygmunt Jasiński: *Kwartet*; Antoni Pospieszalski: *Wiara szukająca zrozumienia*.

„POLONIA” BOOK STORE (Chicago):

Kazania wojenne (Dokument czasów); *Biała łąka* (zbiór wierszy obozowych); Edward Puacz: *Cztery kłęski* (Rzecz o dysjunkcji polityki i wysiłku zbrojnego).

BIBLIOTEKA „PULSU”:

Ola Watowa: *Wszystko co najważniejsze* (wspomnienia); Vaclav Havel: *Siła bezsilnych* (eseje); *Zakazane piosenki 1956-1980* (śpiewnik).

Nadesłane nowości wydawnicze

BUCZEK (Roman). *Na przełomie dziejów. Polskie Stronnictwo Ludowe w latach 1945-1947*. Str. 427 i 7 nlb. (Wyd. Century Publishing Company, Toronto 1983).

ZENCZYKOWSKI (Tadeusz). *Generał Grot u kresu walki*. Str. 180 i 12 nlb. (Wyd. Polonia Book Fund, Londyn 1983).

SPISKI (Piotr, opr.). *Od trzynastego do trzynastego. Analizy, dokumenty, relacje*. Str. 321 i 11 nlb. + liczne fotografie. (Wyd. Polonia Book Fund, Londyn 1983).

MROŻEK (Sławomir). *Donosy*. Str. nlb. (Wyd. Polonia Book Fund, Londyn 1983).

KOESTLER (Arthur). *Krucjata bez krzyża*. Str. 195 i 9 nlb. Przeł. Gustaw Herling-Grudziński. (Wyd. Polonia Book Fund jako przedruk wydania Instytutu Literackiego z 1947 roku, Londyn 1983).

KISIELEWSKI (Stefan). *Walka o świat*. Str. 63 i 9 nlb. (Wyd. Editions Spotkania, Paryż 1983). *Pamiętnik Literacki* tom VII. Str. 112. (Wyd. Związek Pisarzy Polskich na Obczyźnie, Londyn 1983).

W czterdziestą rocznicę. Agonia, walka i śmierć warszawskiego getta. Zawiera: EDELMAN (Marek) — *Getta walczą*; GARLIŃSKI (Józef, opr.) — *Zestaw dokumentów*. Str. 91 i 5 nlb. (Wyd. PFK, Londyn 1983, cena £ 2.85).

SZCZYPIORSKI (Andrzej). *Z notatnika stanu wojennego*. Str. 139 i 5 nlb. (Wyd. Polonia Book Fund, Londyn 1983).

KOPETZ (Paweł Mileniusz). *Leksykon morski*. Str. 194 i 4 nlb. (Wyd. PHK, Londyn 1983, cena £ 8.50).

BLUM (Aleksander, red.). *Artyleria polska. Kampania francuska 1940. Materiały do księgi pamiątkowej artylerii polskiej na Zachodzie 1940-1945*. Str. 192. (Wyd. Koło Oficerów Artylerii, Londyn 1983). *„Gwiazda Polarna”. 75 lat w służbie Polski i Polonii*. Str. 429 i 31 nlb. (Wyd. A. Poray Book Publishing, Nowy Jork 1983, Biblioteka „Kontry”, tom XIV).

WASILEWSKI (Marian). *Psychiczne źródła komunizmu. Ich istota, następstwa i usuwanie*. Str. 79 i 1 nlb. (Wyd. Polsko-Amerykański Komitet Etniczny, oddział New Jersey, Newark 1983, cena \$ 4,50).

JARCZYŃSKA - BUKOWSKA (Maria). *Etiudy i kaprysy*. Str. 125 i 3 nlb. (Wyd. Znak, Kraków 1983, cena zł 120).

OSTASZEWSKI (Krzysztof). *Patrzmy na zwierzęta*. Str. 103 i 1 nlb. (Wyd. Iskry, Warszawa 1982, cena zł 30).

KRASUSKI (Jerzy). *Wspólnota francuska w Afryce (communauté)*. Str. 249 i 1 nlb. (Wyd. Instytut Zachodni, Poznań 1983, cena zł 150).

Jan III z Bożej Łaski Król Polski, Wielki Książę Litwy, Rusi, Prus, Mazowsza, Żmudzi, Kijowa, Wołynia, Podola, Podlasia, Inflant, Smoleńska, Siewiersza, Czernichowa etc., etc. Facsimile listu Jana III Sobieskiego do papieża Innocentego XI, wyd. w trzechsetlecie odsieczy wiedeńskiej przez wydawnictwo „Znak”, Kraków 1983).

MĘŻYŃSKI (Andrzej). *Biblioteka Polska w Paryżu. Rys historyczny, zbiory, dzień dzisiejszy*. Nadbitka z Przeglądu bibliotecznego 1983 str. 13-25).

MATHIEU (Pierre). *La Pologne comme en nous-mêmes*. Wiersze. Str. 96 i 4 nlb. (Wyd. Editions E.I.P., Montreal 1983).

DONGUY (Jacques), MASŁOWSKI (Michel). *Poésie polonaise contemporaine*. Str. 204 i 4 nlb. (Wyd. Le Castor Astral et Lettres slaves, Paryż 1983, cena: F. 75).

NOWAKOWSKI (Marek). *The Canary and Other Tales of Martial Law*. Przeł. K. Bronkowska. Przedmowa L. Kołakowski. Str. 144 i 2 nlb. (Wyd. Harvill Press, Londyn 1983, cena: £ 7.95).

ZIMMER (Szczepan K.). *The Beginning of Cyrillic Printing, Cracow 1491. From the Orthodox Past in Poland*. Str. 292 i 6 nlb. (Wyd. Polish Institute of Arts and Sciences, Boulder Colorado, distr. by Columbia University Press, New York 1983).

STRZAŁKOWSKI (W. J.). *The Theories of Knowledge and of Science in Polish Positivism*. Str. 56 i 2 nlb. (Wyd. Londyn 1983).

Czesław Miłosz. *On the 40-th Anniversary of the Polish Institute of Arts and Sciences in Canada, 1983*. Wydawnictwo pamiątkowe. Str. nlb. (Wyd. Polish Institute of Arts and Sciences in Canada, 1983).

CHĘCIŃSKI (Michael). *Terror and Politics in Communist Poland*. Str. 113 i 5 nlb. (Wyd. The Hebrew University of Jerusalem, The Soviet and East European Research Center, Jerozolima 1983).

GÖMÖRI (George). „Światowa rozkosz”: Hieronim Morsztyn's Poetic Survey of Human Life. Nadbitka z Oxford Slavonic Papers, vol. XVI/1983, str. 33-51, wyd. Clarendon Press, Oxford 1983).

Construction in Process. Katalog wystawy z Łodzi, 1981. Str. 112. (Wyd. „Solidarność”, Łódź 1981).

Katyn. *Kronikker om mordet på polske soldater i 1940 i Sovjetunionen*. Opr. E. S. KRUSZEWSKI, red. T. Głowacki, str. 78. (Wyd. Katyn Kommitten i Sverige, Pro Polonia Dansk Forening oraz Kronika forlaget, Kopenhaga-Sztokholm 1983).

Solidarność in Kunst und Dokumentation. Katalog wystawy zorganizowanej przez czasopismo *Pogląd* oraz Komitet Pomocy Solidarności w Berlinie Zachodnim z okazji III rocznicy rejestracji NSZZ Solidarność. Prace: A. J. Piwarskiego, B. Ur, W. Akksa, R. Dąbrowskiego, J. Kibliczkiego, St. Konarz-Konarzewskiego, A. Krauze. Str. nlb. (Wyd. *Pogląd* i Komitet Pomocy Solidarności w Berlinie Zachodnim, 1983).

TATUR (Melanie). *Arbeitssituation und Arbeiterschaft in Polen 1970-1980*. Str. 121 i 1 nlb. (Wyd. Wissenschaftszentrum Berlin — Internationales Institut für Vergleichende Gesellschaftsforschung/Arbeitspolitik, wydawnictwo Campus Verlag, Frankfurt/Nowy Jork 1983, cena: DM 28).

RHODE (Gotthold). *Józef Piłsudski (1867-1935). Sozialist — Revolutionär — Staatsmann*. Druk specjalny Uniwersytetu w Moguncji, vol. II, str. 117-145).

Forum. Obszczestwienno-politiceskii Żurnal nr 5/1983. Str. 240 (Wyd. „Suczastnist”, Monachium 1983).

KOT [KOTT] (Jan). *Kavez trazi pticu*. Przeł. Petar Vujičić. Str. 182 i 2 nlb. (Wyd. „Gradina”, Jugosławia 1983).

ŠIMBORSKA (Vislava). *Svaki slučaj. Izabrane pesme*. Przeł. Petar Vujičić. Str. 141 i 3 nlb. (Wyd. Narodna Knjiga, Beograd 1983).

KRAJ — BLOK WSCHODNI

8-11-83

Po raz 36-ty zostały przyznane nagrody im. Włodzimierza Pietrzaka. Min. honorową nagrodę pośmiertną otrzymał prof. Jan Zachwatowicz. W dziedzinie literackiej nagrodę przyznano Marianowi Piechalowi, w dziedzinie historii — Cezaremu Chlebowskiemu oraz Piotrowi Stachiewiczowi.

10-11-83

Zmarł w Naprawie w wieku 79 lat Jalu Kurek, poeta, powieściopisarz, eseista i tłumacz, autor głośnej w swoim czasie książki „Grypa szaleje w Naprawie”.

12-11-83

Na początku 1983 roku Fidel Castro zaprosił 450-osobową grupę młodych Polaków na Kubę na okres 1983-1985. Podobna ilość młodych Kubańczyków ma przybyć do Polski w ciągu najbliższych dwóch lat. W b.m. wyjeżdża na Kubę 150-osobowa grupa polskiej młodzieży.

1-12-83

Minister Łopatka przesłał Kardynałowi Glempowi listę 69 księży; do listy dołączonych było 69 teczek personalnych, zawierających wybrane fragmenty z kazań każdego z księży. W towarzyszącym liście Łopatka zwraca się z „prośbą” o „przekonanie” księży aby zaprzestali prowadzenia „działalności antysocjalistycznej”, gdyż w przeciwnym wypadku władze podejmą przeciwko nim kroki prawne, w oparciu o artykuły 194, 270 i 271 Kodeksu karnego (nadużywanie wolności religijnej, oszczerstwa przeciwko PRL i rozpowszechnianie fałszywych informacji). Na liście znajdują się m.in. następujące nazwiska: ks. Henryk Jankowski, ks. Stanisław Małkowski, ks. Jerzy Popiełuszko, ks. Lech Kantorski, ks. Czesław Sadłowski, ks. Bronisław Sroka (jezuita) i sześciu dominikanów (wszyscy z nich, to duszpasterze akademicki) — O.O. Tomasz Aleksiewicz, Czesław Bartnik, Angelik Jarosz, Jan Andrzej Kłoczowski i Jacek Salij.

10-12-83

W Warszawie podpisano porozumienie między ZSSR a PRL w sprawie budowy przez polskie przedsiębiorstwa budowlane gazociągu Kobryń-Brześć-Warszawa. Ponadto ZSSR weźmie udział w zakończeniu budowy trzech obiektów hutniczych PRL. Na ten cel ZSSR udzielił kredytu towarowego wartości pół miliarda rubli, w czym 130 mln stanowi wartość maszyn i urządzeń. Kredyt ten będzie spłacany dostawami z tych obiektów. ■ W 1983 roku wydobyto w Polsce 190 mln ton węgla kamiennego, z czego 35 mln. ton jest przeznaczonych na eksport. Przeciętny górnik pracuje na trzy zmiany 46 godzin tygodniowo, przez 6 dni w tygodniu, w tym także w soboty. ■ Rada Państwa mianowała naczelnym dowódcą sił zbrojnych PRL na okres wojny gen. armii Wojciecha Jaruzelskiego, obecnego przewodniczącego Komitetu Obrony Kraju (KOK), prezesa Rady Ministrów, I sekretarza KC PZPR, który przekazał Ministerstwo Obrony gen. broni Florianowi Siwkiemu, dotychczasowemu wiceministrowi i szefowi Sztabu Generalnego. ■ Sejm PRL uchwalił nowelizację ustawy o powszechnym obowiązku obrony PRL. Ustawa rozszerza funkcje i kompetencje Komitetu Obrony Kraju, który decydować będzie w zasadniczych sprawach dotyczących bezpieczeństwa państwa. Przewodniczący K.O.K., gen. Jaruzelski, jest z tego tytułu zwierzchnikiem sił zbrojnych PRL.

ZACHÓD — EMIGRACJA

24-10-83

W dniach 20-24 października odbyło się w paryskim hotelu Nikko forum dyskusyjne, zorganizowane przez Międzynarodówkę Oporu (patrz *Kultura* nr 7/430-8/431). Tematem konferencji były kraje Trzeciego Świata znajdujące się pod wpływami komunistów. Debaty toczyły się kolejno w blokach „regionalnych”: Ameryka Łacińska, Środkowy Wschód, Afryka i Azja.

Pierwszy dzień obrad był poświęcony Ameryce Łacińskiej. Lucy Martinez-Mont de Schwank, dziekan wydziału ekonomii uniwersytetu Francisco Marroquina w Gwatemali, opisywała ostatnie lata w jej kraju oraz przemiany, jakich doznaje całe życie społeczne i polityczne w Gwatemali. Kubański poeta Armando Valladares — który po spędzeniu ponad dwudziestu lat w kubańskim więzieniu przybył przed rokiem na Zachód — przedstawił najnowsze informacje o prześladowaniu nieprawomyślnych na Kubie. Ogromne zainteresowanie wzbudziła kilkusobowa grupa bojowników antykomunistycznego ruchu oporu Miskitos, wywodzącego się z indiańskich plemion zamieszkujących atlantyckie wybrzeże Nikaragui. Na marginesie wspomnę, że socjalistyczny rząd Francji odmówił owej delegacji wiz turystycznych, zapytując o opinię na ich temat... MSZ sandinistów w Managua, którzy uznali obecność Miskitos w Europie za niepożądaną. Jedynie wielka determinacja kilku osób umożliwiła przełamanie bariery i przybycie ich do Paryża. Stedman Fagoth Muller, lider Miskitos, był niewątpliwie jedną z ciekawszych postaci całego forum.

W dalszym ciągu konferencji występował m.in. płk Fouad Małek, szef paryskiego biura libańskiego chrześcijańskiego ruchu oporu.

Po Maleku głos zabrał Ezzedine Mestiri z Tunezji, autor znanej pracy na temat obecności i roli kubańskich oddziałów wojskowych w Afryce. Potwierdził on rolę odgrywaną przez Sowietów w tamtych rejonach świata.

Na konferencji obecna była również Maria Elena Bofill, żona więzionego od paru tygodni kubańskiego dysydenta Ricardo Bofilla, obecnie znajdującego się w klinice psychiatrycznej w Hawanie.

Ponadto w konferencji uczestniczyli m.in. jeden z przywódców antykomunistycznego ruchu o wyzwolenie Angoli UNITA, Jeremias Chitunda, szef umiarkowanej frakcji partyzantów afgańskich, Hasmatullah Modjadidi, kubański dysydent, były współtowarzysz walk Fidela Castro — Huber Matos, działacze antykomunistycznych ugrupowań z Argentyny, Algerii, Wysp Zielonego Przylądka, Wietnamu, Laosu i Kambodży. Wśród uczestników konferencji kolportowano bardzo ciekawe opracowanie pt. „Nowa strategia sowiecka w Trzecim Świecie”, przygotowane w czerwcu ub. roku na zlecenie US Air Force przez znanego amerykańskiego socjologa Alexa Alexieieva.

Andrzej MIETKOWSKI

13-11-83

W Londynie odbył się Ogólny Zjazd Polaków z Wielkiej Brytanii, w którym wzięło udział 250 delegatów, wybranych w uprzednio zorganizowanych wyborach. Zjazd uchwalił szereg rezolucji na temat działalności politycznej emigracji i jej współpracy z Krajem. Spośród delegatów wybrano ponadto 18 posłów do Rady Narodowej.

17-11-83

Zmarł w Londynie w wieku 73 lat Eugeniusz Romiszewski, spadochroniarz, który brał udział w bitwie pod Arnhem, wieloletni współpracownik Radia Wolna Europa, w ostatnich latach redaktor miesięcznika *Orzeł Biały*.

26-11-83

Zmarł w Hiszpanii w wieku 72 lat Wiktor Trościanko, pisarz, poeta, dziennikarz, wieloletni pracownik Radia Wolna Europa.

3-12-83

W wieku 71 lat zmarł w waszyngtońskim szpitalu Klemens Zabłocki, republikanin, przewodniczący komisji SZ izby reprezentantów. Przez 34 lata reprezentował on nieprzerwanie w kongresie stan Wisconsin.

9-12-83

Uniwersytet we Fryburgu (Szwajcaria) zorganizował z inicjatywy sławisty, prof. Rolfa Fiegutha, wieczór poświęcony Norwidowi. O poezji Cypriana Norwida mówili tłumacze i poeci, reprezentujący różne kraje i różne języki: Jean Mambrino — Francuz, Feliks Filip Ingold — Szwajcar, Olga Neversilova — Czeszka, Natalia Gorbaniewska — Rosjanka, Jeannine Łuczak-Wild — Szwajcarka, Rolf Fieguth — Niemiec, a także Krzysztof Jeżewski i Adam Zagajewski. Nie każdy rocznicowy wieczór bywa udany; ten wyróżnił się tym, że nie znających się nawzajem ludzi połączyła na na przeciąg kilku godzin bezinteresowna sympatia (sympatia i podziw) dla niezwykłego od stu lat artysty.

KRONIKA AUSTRIACKA

26 listopada ub. roku wiedeńskie koło SPK obchodziło 20-lecie swego istnienia. ■ Przesłoroczna przysięga żołnierska rekrutów z Austrii Górnej odbyła się na terenie byłego obozu koncentracyjnego w Mauthausen. Decyzja nowego ministra obrony Frischenschlägera została zaatakowana przez niektórych polityków jako „niepotrzebne rozbudzanie dawno przebrzmiałych problemów”. Wielu adwersarzy nowomianowanego ministra zwracało też uwagę na istniejące na wschodzie obozy koncentracyjne, które swym okrucieństwem nie ustępują obozom hitlerowskim. ■ Według przeprowadzonych w październiku ub.r. badań opinii publicznej tematem numer jeden ostatniego miesiąca była dla 60 % Austriaków wizyta papieża w tym kraju. ■ Na uroczystości wręczenia nagród im. Antona Gindely za wybitne prace naukowe dziejów monarchii austro-węgierskiej prof. Władysław Bartoszewski wygłosił odczyt „Patriotyzm dzisiaj”. Jedną z nagród otrzymała dr Joanna Radzyner za monografię poświęconą politykowi Stanisławowi Madeyskiemu. ■ Austriacka Partia Ludowa zorganizowała 12 października ub.r. sympozjum pod hasłem „Kultura jako sposób pojednania — inne formy polityki pokojowej”. W imprezie wzięł udział prof. Wł. Bartoszewski. ■ Tygodnik *Profil* zamieścił komentarz prof. Wł. Bartoszewskiego w związku z przyznaniem pokojowej nagrody Nobla Lechowi Wałęsie. ■ Dziennik *Wiener Zeitung* zamieścił obszerny artykuł o polskiej literaturze współczesnej pióra Józefa Wróbla. ■ Herder-Verlag wydał książkę Ilse Leitenberger „Ein Engel für Tobias — Rafael Kalinowski, Patron der Emigranten und Vertriebenen” („Anioł dla Tobiasza — Rafał Kalinowski, patron emigrantów i wygnańców”), będącą biografią karmelity beatyfikowanego ub. roku w Krakowie. ■ Dziennik *Die Presse* zamieścił esej ks. Józefa Tischnera „Od nienawiści do tchórzostwa — diabeł, zło na świecie i rola wrogości”. ■ Do 20 stycznia 1984 w wiedeńskim Domu Artysty można obejrzeć wystawę „Dwaj polscy romantycy — malarstwo Piotra Michałowskiego i Artura Grottgera”, zorganizowaną przy współpracy Muzeum Sztuki w Krakowie. ■ Najstarszy polski teatr lalki „Baj” wzięł udział w międzynarodowym przeglądzie teatrów kukiełkowych w Mistelbach w Austrii Dolnej. ■ Organizacja charytatywna „St. Lazarus Hilfswerk Österreich” pro-

wadzi akcję na rzecz polskich dzieci. Z zebranych datków zostaną zakupione odżywki, mleko w proszku, witaminy i lekarstwa (Zentralsparkasse, hasło „Aktion Polenkind”, 422-038000 Baden). ■ Na początku października ub.r. opuścił Austrię 75-ty transport mleka w proszku, wysłany do PRL przez „Caritas”. ■ W połowie października ub.r. przybył do Austrii pierwszy transport polskiego węgla przeznaczony dla nowej elektrowni ciepłej Dürnröhr. PRL podpisała 20-letnią umowę przewidującą roczne dostawy w wysokości 700 tys. ton dla tejże elektrowni, co oznacza podwojenie dotychczasowego importu polskiego węgla. Austria jest pierwszym krajem zachodnim, który osiągnął poziom importu tego surowca z Polski równy poziomowi z 1979 roku. ■ PRL eksportuje do Austrii surowce, półprodukty i wyroby przemysłu drzewnego i celulozowo-papierniczego wartości 200 mln szilingów. W ub. roku wznowiono również import polskiej makulatury; dostawa przeszłoroczna wyniosła 25 tys. ton, w roku bieżącym planuje się 40 tys. ton. ■ Przedstawiciele ponad trzydziestu firm austriackich uczestniczyli w podróży do PRL, gdzie przeprowadzono ponad 150 rozmów dotyczących rozwoju wymiany towarowej między oboma państwami. ■ Austriackie Towarzystwo Polityki Energetycznej zarzuciło CSSR zatrzymanie we własnej sieci dostaw prądu z PRL przeznaczonych dla Austrii. Przedstawiciel Przemysłu Energetycznego Austrii zdementował te pogłoski, stwierdzając, że zatrzymanie dostawy było uprzednio uzgodnione, i podkreślił, że PRL — mimo konieczności wyłączeń prądu we własnym kraju — sumiennie wywiązuje się z umów w tej dziedzinie.

REDAGUJE ZESPÓŁ

KRONIKA FRANCUSKA

Zamieszkały obecnie w Paryżu poeta Jacek Bierezin zrezygnował z pracy w redakcji wydawanego w Londynie kwartalnika *Puls*. Jacek Bierezin był pomysłodawcą i jednym z założycieli *Pulsu* w Polsce w 1977 roku. Od numeru 9/10 do 19 był redaktorem naczelnym pisma. ■ W odpowiedzi na list szefa centrali związkowej Force Ouvrière Bergerona z prośbą o interwencję w sprawie więzionych w Polsce, prezydent Francji François Mitterrand napisał, że z bacznością śledzi sytuację w Polsce i że Francja oczekuje od rządu PRL, aby ten wypełniał swe zobowiązania związane z dokumentem konferencji madryckiej w sprawie bezpieczeństwa w Europie. ■ Z okazji pięćdziesiątej rocznicy urodzin znanego polskiego kompozytora Krzysztofa Pendereckiego ukazująca się w Paryżu *International Herald Tribune* zamieściła o nim artykuł pióra Josepha McLellana. Oto m.in. słowa Pendereckiego: „Polska jest krajem całkowicie różniącym się od tzw. krajów socjalistycznych. Nasze korzenie są całkowicie odmienne. Polska należy do Zachodu, nie do Wschodu. Należymy do kultury śródziemnomorskiej, łacińskiej a nie do bizantyjskiej, która jest całkowicie odmienna, a którą można odnaleźć w Bułgarii, czy nawet w Czechosłowacji i oczywiście w Rumunii. Zawsze czuliśmy swe więzy z Zachodem a nie ze Wschodem. Tu leży nasz dylemat. Nie chcemy być rządzani przez Wschód”. ■ 29 listopada odbyło się Walne Zebranie Towarzystwa Historyczno-Literackiego. P.p. Winczakiewicz i Talko przedstawili zebrany propozycję włączenia w najbliższym czasie do przyszłych prac przedstawicieli nowego pokolenia emigracji. Przeciętą wieki członków Towarzystwa jest dość wysoka a procedura przyjmowania nowych członków — skomplikowana. Ta bezsporna inicjatywa wywołała niepotrzebną i w gruncie rzeczy bezprzedmiotową dyskusję — zebrani byli zasadniczo przychylni projektowi — wynikiem której było zalecenie ostrożności przy doborze nowych członków, co wydaje się być czymś oczywistym. ■ Na

wniosek mera Nicei Jacques Medecin Rada Miejska postanowiła połowę tamtejszego Bulwaru Stalingradzkiego przemianować na Bulwar Lecha Wałęsy. Zaprotestowali przeciwko tej decyzji działacze komunistyczni związków CGT z rejonu Alp Śródziemnomorskich określając tę decyzję jako skandaliczną. (Zanim bulwar otrzymał imię Stalingradu zwał się Bulwarem Imperatorowej Rosji...). ■ Od początku grudnia w Centre Georges Pompidou rozpoczął się gigantyczny festiwal kina polskiego, w którym organizatorzy mają zamiar pokazać sto polskich filmów. W chwili pisania kroniki nieznany jest jeszcze program projekcji styczniowych gdyż organizatorzy wciąż mają nadzieję, że Film Polski dostarczy kopie niektórych „niepokornych” filmów. ■ Specjalny numer pisma *Avant Scène Cinéma* poświęcony polskiej kinematografii zawiera m.in. faktografię nieomal wszystkich polskich filmów. ■ Komisja dziennikarzy francuskich ogłosiła utworzenie międzynarodowej nagrody dziennikarskiej im. Władimira Danczewa — dziennikarza redakcji zagranicznej Radia Moskiewskiego, który za skrytykowanie na antenie agresji sowieckiej na Afganistan umieszczony został w klinice psychiatrycznej. W jury nagrody zasiadają Philippe Alexandre, Edward Behr, Françoise Giroud, Dominique Jamet, Jean-François Kahn, Jacek Kalabiński, Bernard Langlois i Christine Ockrent (według ostatnich wiadomości Danczew został uwolniony). ■ „Trzysta lat solidarności polsko-francuskiej” to tytuł wystawy otwartej w ratuszu w Lens. ■ Ciąg dalszy historii konsula PRL z Lille Zycha złapanego na kradzieży klamek (*Kultura* nr 12/425): konsul powrócił do Francji i dalej pełnił swe funkcje. Tymczasem władze francuskie ujawniły, że zorganizował on stowarzyszenie pomocy Polsce, którego fundusze bywały przekazywane jego własnej rodzinie. Po ujawnieniu tej nowej afery konsul PRL Zych został z Francji wydany. ■ Na wielkim dorocznym kiermaszu książki francuskiego PEN-Clubu w gmachu Palais Chaillot jedno z centralnych stoisk organizatorzy poświęcili dwóm laureatom francuskiej Nagrody Wolności: Markowi Nowakowskiemu i rosyjskiemu pisarzowi Leonidowi Borodinowi, skazanemu w 1983 roku na 10 lat gułagu i pięć lat zesłania. Duże powodzenie miał wydany przez „Stock” „Raport o stanie wojennym” Nowakowskiego. ■ Dwujęzyczny tom polskiej poezji powojennej ukazał się nakładem dwóch wydawnictw paryskich: „Castor Astral” i „Lettres Slaves”. Książka zawiera utwory 14 polskich poetów. Jest to wydawniczy debiut prowadzonego przez Marka Franciszkowskiego antykwariatu „Lettres Slaves” (31, rue Dauphine, 75006 Paris). ■ 9 grudnia 1983 w Centre du Dialogue (25, rue Surcouf) odbył się wieczór dla uczczenia pamięci Mirona Białoszewskiego. O poecie i jego twórczości mówili: Kazimierz Brandys, Konstanty Jeleński i Jacek Trznadel. ■ RKW „Solidarność” Gdańsk podpisała umowę o współpracy z CFDT Bretania. Porozumienie sygnują: Bogdan Lis i Michel Duthoit. Podobne umowy zostały zawarte już wcześniej pomiędzy RKW „Solidarność” Regionu Mazowsze a CFDT Paryż oraz RKW „Solidarność” Gdańsk a Force Ouvrière Paryż. ■ Telewizja francuska nadała bezpośrednio z Oslo uroczystość wręczenia nagrody Nobla dla Wałęsy jego żonie Danucie; w redakcji TF1 miała przy tym miejsce dyskusja na temat aktualnej sytuacji w Polsce; udział w niej wzięli: arcybiskup Paryża Jean-Marie Lustiger, przewodniczący Stowarzyszenia polsko-francuskiego Henryk Adamczewski, przedstawiciel Biura Koordynacyjnego „Solidarności” za granicą Seweryn Blumsztajn i sekretarz generalny CFDT Edmond Maire. Ponadto TF1 zaprezentowała portret ks. Popiełuszko (wywiad i fragmenty homilii) oraz wywiad z Danutą Wałęsą. ■ 10 grudnia 1983 na Jubileuszowym Kiermaszu Książki z okazji 150-lecia Księgarni Polskiej w Paryżu Wojciech Karpiński, Waldemar Voise, Tadeusz Wyrwa i Tadeusz Żenczykowski podpisywali swoje książki, a Roman Cieślewicz podpisywał swój plakat poświęcony jubileuszowi Księgarni. ■ Tuż przed 13 grudnia na ulicach i w metrze paryskim rozklejono wielką ilość

ulotek z napisami: „13 Grudzień — Solidarność” i „13 Grudzień 1981-1983 — dwa lata terroru — to wystarczy”. Była to kolejna tego typu akcja zorganizowana przez środowisko paryskiego wydawnictwa „Spotkania”. ■ Paco Ibanez, Krzysztof Guga, Lluís Llach, Jacek Kaczmarski i Andrzej Seweryn brali udział 12 grudnia w koncercie pt. „Noc z Solidarnością” zorganizowanym przez stowarzyszenia „Nasza Wiosna”. Niestety była to impreza źle przygotowana. Dochód wieczoru jest przeznaczony dla podziemnych wydawnictw w Polsce. ■ W nocy 12/13 grudnia 1983 ze starożytnej Bazyliki w Argenteuil skradziono cenną religijną relikwię: tunikę Chrystusa. Autorzy kradzieży — skrajnie lewicowa grupa „Action Directe” — zażądali wypuszczenia na wolność trzech członków ich grupy odbywających kary więzienia oraz wpłacenia przez francuski Episkopat 300 tysięcy franków na konto „Solidarności”. Rzecznik paryskiego Komitetu Solidarności oświadczył, iż jeżeli Kościół ugnie się przed tym żądaniem pieniądze zostaną natychmiast zwrócone. ■ 13 grudnia w Paryżu miało miejsce kilka spotkań poświęconych drugiej rocznicy wprowadzenia stanu wojennego w Polsce: zebranie syndykalistów CFDT, kolokwium na temat aktualnej sytuacji w Polsce zorganizowane przez centralę Force Ouvrière, manifestacja przed Ambasadą PRL zainicjowana przez paryski Komitet Koordynacyjny „Solidarności”, miting na Square de Choisy zorganizowany przez FO, na którym przemawiali F. Bałuka, A. Bergeron, S. Czarlewski, J. Geurin i F. Jacob. ■ 13 grudnia delegacja Komitetu Przeciwno Procesom Warszawskim bezskutecznie próbowała złożyć w Ambasadzie PRL w Paryżu petycję protestacyjną z około 50 tysiącami podpisów. Wśród podpisanych figuruje kilkudziesięciu deputowanych do francuskiego parlamentu. Na miejscu została przeprowadzona konferencja prasowa, w której udział wzięli m.in.: F. Jacob, J. Maire, K. Pomian, S. Signoret. ■ W debacie zorganizowanej 15 grudnia 1983 przez „Centre Rachi — Cuej” i paryskie wydawnictwo „Robert Laffont” pt.: „Polacy, przyjaciele Żydów?” udział wzięli: Zofia Bobowicz, Michał Borwicz, Alex Derczański, Rachel Ertel, p. Minzelles, Annie Kriegel, Krzysztof Pomian, Henri Racimov i Michel Wiewiórka. „Robert Laffont” wznowił książkę Elizy Orzeszkowej „Meir Ezofowicz” w tłumaczeniu Władysława Mickiewicza, przejrzanym i poprawionym przez Zofię Bobowicz i Henri Racimowa z przedmową Annie Kriegel. ■ Mszę w intencji Polski Solidarności w kościele Notre-Dame-de-Paris koncelebrował 18 grudnia 1983 kardynał, arcybiskup Paryża Jean-Marie Lustiger. W mszy wzięło udział kilkunastu polskich księży. ■ W nocy z 10 na 11 grudnia 1983 zmarł w Paryżu Szymon Laks, kompozytor, pisarz, eseista i tłumacz.

Wojciech SIKORA

KRONIKA KANADYJSKA

W październiku ub.r. odbyły się walne zjazdy delegatów Związku Polaków w Kanadzie, Związku Narodowego Polskiego w Kanadzie i Federacji Polek w Kanadzie. W składzie nowych władz zasłyszeli nieznaczne zmiany: prezesi zostali ci sami, z tym że Walenty Korzeniowski w ZNPwK został wybrany po raz czwarty na dwuletnią kadencję. ■ „Solidarity” to nazwa federacji wszystkich związków zawodowych w Brytyjskiej Kolumbii, a właściwie komitetu koordynacyjnego wyłonionego do obrony statusu pracowników państwowych. Rząd prowincjonalny postanowił ze względów oszczędnościowych zwolnić m.in. kilka tysięcy pracowników. ■ W połowie października ub.r. nastąpiła zmiana na stanowisku redaktora naczelnego *Głosu Polskiego*. Następcą Sójki-Wilmańskiego został Zdzisław Leszek Mech, niedawno przy-

były z Polski, znany autor tekstów serialu telewizyjnego dla dzieci. ■ *Echo Tygodnia* — tygodnik założony przez Jacka Adolfa, zwolnionego z pracy redaktora naczelnego *Związkowca* — obchodziło 30 września ub.r. pierwszą rocznicę publikacji. ■ *Związkowiec* z okazji 50-lecia ukazywania się pisma — urządził przyjęcie-bankiet. Dyrekcja prasowa wręczyła dyplomy uznania kilku pracownikom, m.in. B. Heydenkornowi. ■ W Toronto ukazała się w języku polskim książka Aleksandry Ziolkowskiej pt. „Senator Haidasz”. Aleksandra Ziolkowska, autorka kilku książek i reportaży, w czasie dwuletniego pobytu w Kanadzie zebrała materiał do monografii pierwszego ministra pochodzenia polskiego, syna imigrantów polskich. ■ Organizacje polonijne apelują o pomoc dla wydawnictw krajowych wychodzących poza cenzurą. Kongres Polonii Kanadyjskiej Okręg Alberta postanowił „wesprzeć niezależny fundusz kultury i oświaty polskiej poprzez przekazanie konkretnej dotacji. Formy uzyskania tej dotacji pozostawiamy do rozwiązania organizacjom terenowym”. Kongres sugeruje, iż minimalna wysokość dobrowolnego opodatkowania członka powinna wynosić \$1,00. ■ 27. X. 1983 roku zmarł w Montrealu Mieczysław Taras, major lotnictwa, były prezes Kongresu Okręg Quebec, b. prezes Skrzydła 310 (Wilno), Stowarzyszenia Lotników Polskich. ■ Z dniem 7 listopada 1983 rozpoczęło głódówkę 10 imigrantów polskich po bezskutecznych zabiegach ich żon w Polsce o uzyskanie paszportów. Głodujący stoją, maszerują i odpoczywają przed gmachem konsulatu PRL w Toronto. Transparenty w językach angielskim i polskim wyjaśniają powody ich obecności przed konsulem. Do głodujących przyłączają się codziennie przybysze z miasta, członkowie polonijnych organizacji oraz niezrzeszeni. Wielkie demonstracje przed konsulem miały miejsce 13 i 15 listopada. Prasa miejscowa oraz telewizja podały oświadczenia głodujących. Przedstawiciel ambasady kanadyjskiej w Warszawie interweniował w Ministerstwie Spraw Zagranicznych. Konsulat w Toronto podał do wiadomości, że żony 6-ciu głodujących otrzymały zawiadomienie, iż otrzymają paszporty, trzem żonom nadal odmawia się, a sprawa czwartej jest rozpatrywana. Wiadomość tę przekazano głodującym po tygodniu z wezwaniem o zaprzestanie dalszych demonstracji. Głodujący oświadczyli, iż głodować będą solidarnie aż do otrzymania paszportów przez wszystkie żony. Na znak solidarności z nimi dnia 16 listopada niektórzy członkowie Polonii torontońskiej przystąpili do głódówki. Głodujący przyjmują jedynie wodę oraz witaminy. Kilku lekarzy polskich odwiedza ich codziennie (stan na 17 listopada ub. roku). ■ „Solidarność” otrzymała poparcie i trybunę w Kanadzie. Popularny dziennik *Sun* w 12-tą rocznicę swego istnienia podał do wiadomości, iż od piątku 28 października ub.r. ukazywać się będzie w każdy piątek rubryka „Forging a link Solidarność”, którą prowadzić będzie Zygmunt Przetakiewicz, były kierownik Biura Informacyjnego „Solidarność”. Peter Worthington, redaktor *Sun* (był m.in. korespondentem prasy kanadyjskiej w Moskwie) informując o nowej rubryce powiedział: „Być może najbardziej znaczącą manifestacją naszych czasów był ruch 'Solidarność' w Polsce. Zawężeniem byłoby nazwanie go związkowym. Jest bowiem czymś więcej. 'Solidarność' pozostaje największym natchnieniem dla Polski i ujarzmionych narodów Wschodniej Europy”. ■ W Toronto na kurs dla nowoprzybyłych imigrantów-lekarzy uczęszczało około 60 osób, z tej liczby 17 zdało już egzaminy nostryfikacyjne. Torontoński wydział szkolnictwa udzielił pomocy finansowej. Po zakończeniu tego kursu rozpoczął się nowy dla pielęgniarzek. Niezależnie od tego Wydział podjął starania o uruchomienie kursu dla nauczycieli prowincji Ontario. ■ W dniach 19-20 listopada z inicjatywy Zarządu Głównego Kongresu Polonii Kanadyjskiej odbyło się sympozjum na temat polityki wielokulturowości w odniesieniu do Polonii.

B. H.

Toronto, 20 listopada 1983 r.

KRONIKA SZWEDZKA

Der Spiegel poddał ostrej krytyce wszechwładne ingerencje szwedzkiej opieki społecznej w prawa i obowiązki rodziców. Pismo zwraca uwagę na fakt coraz częstszego odbierania rodzicom praw rodzicielskich z powodu rzekomej niekompetencji wychowawczej. Procedurę tę prasa niemiecka nazywa wręcz „Kindergulag”. Konferencja prasowa zorganizowana przez szwedzkie Ministerstwo Spraw Zagranicznych dała jednak wynik odmienny od zamierzonego. ■ Ostatnie badania opinii publicznej wykazują spadek popularności lewicy. Socjaldemokraci i komuniści zebraли obecnie 41,5 % zwolenników. Trzy stronnictwa burżuazyjne (umiarkowana prawica, centrum i liberałowie) stworzyły wspólny front przeciwko planowanemu przez rząd tzw. funduszowi pracowniczemu, obiecując że w razie dojścia do władzy unieważnią ten fundusz, uważając go za krok w kierunku socjalizmu. ■ „Sklepy cynamonowe” Bruno Schulza doczekały się przekładu na szwedzki. Wydało je pięćdziesiąt lat po pierwodruku wydawnictwo „Prisma” pt. „Kanelbutikerna” w przekładzie Jana Malma. Recenzje są liczne i nadzwyczaj pochlebne. ■ *Dagens Nyheter* poświęcił 15. XI. 1983 aż trzy wielkie artykuły polskim intelektualistom. W wywiadzie z Disą Hastad Tadeusz Konwicki powiedział m.in. „Zachowujemy się, jak byśmy byli wolni, ignorujemy reżym sowiecki”. ■ 25. IX. 1983 odbyła się w sztokholmskim Koncerthuset impreza pod nazwą „Polengala”, zorganizowana przez Radę Uchodźstwa. ■ 28. IX. 1983 otwarto w Muzeum Sztuki w Norrköping wystawę laureatów Polskiego Funduszu Kultury tego miasta, Jerzego Ludwińskiego (Toruń), Andrzeja Matuszewskiego (Poznań) i Tadeusza Wiktora (Kraków). ■ 4. X. 1983 odbył się w Uppsali przy licznych udziałach polskich i szwedzkich przyjaciół pogrzeb polskiej plastyczki Teresy Lewandowskiej. ■ Między 22. X a 13. XI. 1983 otwarta była w Sztokholmie wystawa plakatów Stanisława Dobroniaka, znanego malarza i grafika działającego od lat w Sztokholmie. ■ 26. X. 1983 odbył się w sztokholmskim Koncerthuset koncert Polskiej Orkiestry Kameralnej pod batutą Jerzego Maksymiuka i z udziałem solisty Grzegorza Rezlera, skrzypce. ■ W ostatnim kwartale ub. roku ogłoszono w Szwecji szereg interesujących odczytów, które zgromadziły liczną Polonię. W Federacji Uchodźstwa Polskiego odbyło się spotkanie z dr. Leonardem Neugerem, b. adiunktem Uniwersytetu Śląskiego i działaczem „Solidarności”, który 23. X. 1983 mówił o Polsce „po 13 grudnia”. Na przełomie października i listopada ub.r. przebywał w Szwecji na zaproszenie Uniwersytetu Sztokholmskiego poeta i krytyk Leszek Szaruga, który miał kilka wieczorów poetyckich oraz udzielił *Dagens Nyheter* wywiadu n.t. sytuacji kultury polskiej. 27. XI. 1983 Józef Garliński mówił w Kongresie Polaków w Szwecji o „Polskim Państwie Podziemnym”. Wykład ten powtórzony został w szeregu prowincjonalnych kół Kongresu. 10. XII. warszawski Teatr Nieogromny odegrał w katedrze św. Eryka w Sztokholmie dramat Karola Wojtyły pt. „Hiob”. Organizatorami było Towarzystwo Przyjaciół KUL-u i Zarząd Kongresu Polaków. ■ 2. XI. 1983 udekorowano po raz pierwszy w Szwecji Medalem Sprawiedliwego Między Narodami dwóch ludzi, którzy podczas ostatniej wojny ratowali Żydów. Uroczystość odbyła się w ambasadzie Izraela, a udekorowanymi byli Władysław Budzyński i Eugeniusz Rajewski. ■ 5. XI. 1983 odbył się w Mjölby wernisaż wystawy Jerzego Przybyły, zamieszkałego w Västervik. ■ 7. XI. 1983, w dniu Międzynarodowej Solidarności z narodami Europy Wschodniej, odbyła się demonstracja pod ambasadą sowiecką. Przemawiali Maria Leissner ze Stronnictwa Liberalnego oraz Marek Michalski, przewodniczący Biura Informacji „Solidarności” w Szwecji. ■ Po raz pierwszy od 456 lat szwedzki

premier złożył wizytę głowie Kościoła katolickiego. Jak wiadomo, w 1983 roku nastąpiło nawiązanie stosunków dyplomatycznych między Szwecją i Watykanem, zerwanych po Reformacji. ■ Lennart Sixten, szef wydziału kultury wojewódzkiego urzędu Skaraborg, udał się 13. X. 1983 do ambasady PRL w celu zwrócenia ambasadorowi nadanego mu w 1979 roku odznaczenia „za szczególny wkład w kulturę polską”. Lenart Sixten postanowił manifestacyjnie zwrócić odznaczenie, ponieważ władze polskie odmówiły paszportów znanemu poznańskiemu „Teatrowi Ósmego Dnia”, który miał wziąć udział w festiwalu w Skövde. ■ Wydawnictwo Bromberga, założone dziewięć lat temu przez Adama Bromberga, b. szefa wszystkich wydawnictw w PRL, zostało sprzedane wielkiemu szwedzkiemu koncernowi „Esselte”. Brombergowie wydali w Szwecji szereg przekładów literatury polskiej, m.in. Czesława Miłosza. Spółka wydawnicza zachowa swą nazwę i profil u nowego właściciela. Brombergowie borykali się ostatnio z poważnymi trudnościami finansowymi. ■ W związku z nadaniem Lechowi Wałęsie Nagrody Nobla cały numer czasopisma *Invandrare och minoriteter* (grudzień 1983) poświęcony został Polsce. Na 80 ilustrowanych stronach pomieszczono 31 prac szwedzkich i polskich autorów, w tym wiele o nieprzemijającej wartości dokumentarnej. Inicjatorem i redaktorem numeru jest David Schwarcz, przybyły do Szwecji jako pięcioletnie dziecko, lecz wciąż dobrze mówiący po polsku.

Norbert ŻABA

Z OSTATNIEJ CHWILI

Dnia 8 listopada 1983 w gmachu S.G.P.I.S., prof. Edward Lipiński obchodził 95-tą rocznicę urodzin ze słuchaczami b. tajnej S.G.H., uczelnia którą prof. E. Lipiński kierował podczas okupacji niemieckiej.

Listy do Redakcji

Toronto, 25 listopada 1983.

Szanowny Panie Redaktorze,

Chciałbym zrobić małe sprostowanie w związku z „Kroniką kanadyjską” umieszczoną w nr 9/432 (wrzesień 1983). Na stronie 149 nazwisko mego trzeciego doktoranta z zakresu historii Polski jest Stanisław, a nie Stefan Gołowacz. Tytuł jego pracy doktorskiej jest (w polskim tłumaczeniu) „Polityka Polskiego Stronnictwa Ludowego, 1930-1939”.

Łącząc wyrazy szacunku i poważania

Peter BROCK
Profesor of History
University of Toronto

McLean, Va., 26 października 1983.

Szanowny Panie Redaktorze,

Przemówienie Jana Józefa Lipskiego zamieszczone w czerwcowej *Kulturze* pt. „Polscy Żydzi” jest chyba najlepszym i najsprawiedliwszym tekstem polskiego pióra na temat zagłady Żydów, a zarzuty Stefana Korbońskiego w liście do Redakcji (*Kultura* Nr 9/432) wykazują brak zrozumienia zarówno słów autora, jak i sytuacji historycznej. „Ogromne znaczenie moralne zarówno (podkr. — H.G.) dla Żydów, jak i dla całej ludakości, w tym przede wszystkim dla narodu polskiego” wcale nie oznacza, że walka i śmierć powstańców getta warszawskiego ma mieć „jeszcze większe znaczenie dla Polaków”. Jeśli Lipski napisał „przede wszystkim dla narodu polskiego”, to dlatego, że walka ta odbyła się w Polsce i należy do wydarzeń historycznych tego kraju oraz do doświadczeń dla narodu polskiego bezpośrednich. Lipski nigdzie nie sugeruje, że ta walka i śmierć powinny być dla Polaków „wzorem do naśladowania” czy „przykładem dla potomności”. Z tekstu wynika raczej, że jest to przykład tego, czego w przyszłości nie powinno być.

Wbrew obawom Korbońskiego oddanie takiego hołdu powstańcom getta nie przelicytowuje późniejszego powstania ogólnowarszawskiego, które było odmienne w wymiarach zarówno fizycznych, jak i pozafizycznych. Korboński sam przyznaje, że powstańcy żydowscy „postanowili drogo sprzedać swoje życie”. Było to ich podstawowym motywem. Natomiast Polacy mieli na myśli cele polityczne, a drogo sprzedawali swe życie, gdy powstanie, które mogło zwyciężyć, z przyczyn politycznych skończyło się klęską. Porównywanie żydowskiego powstania z postawą polskich konspiratorów i partyzantów, którzy w sytuacjach bez wyjścia nie poddawali się, lecz walczyli do końca, również wypacza i słyca tło historyczne, bo żydowscy powstańcy świadomie weszli w swoją sytuację bez wyjścia. Każdy z nich mógł pró-

bować z bronią w ręku wyrwać się z getta. Były takie wypadki przed powstaniem, a także później. Powstańcom getta chodziło przede wszystkim właśnie o znaczenie moralne i symboliczne ich czynu, o honor, o demonstrację — poprzez ofiarę.

Zgadzam się, że sterroryzowana ludność Warszawy niewiele mogła pomóc ginącemu gettu, ale Armia Krajowa stanowczo mogła więcej niż uczyniła (choćby w dostawach broni, której — jak się okazało w rok później — miała dosyć dużo). Bohaterstwo kapitana Iwańskiego broni tu honoru AK, tak jak bohaterstwo Mordechaja Anielewicza broni honoru Żydów. Nie zgadzam się z twierdzeniem Korbońskiego, że „co do ludności Warszawy, to patrzyła ona ze zgrozą i współczuciem na walkę i niszczenie getta”. Liczne zeznania naocznych świadków utrwalone w dokumentach historycznych i literackich wskazują, że uczucia były podzielone i często miesane (patrz Miłosz „Campo di Fiori”, Andrzejewskiego „Wielki Tydzień”, Nałkowskiej „Kobieta cmentarna” — by przytoczyć tylko czołowych pisarzy). Zgadzam się jednak, że ci, którzy patrzyli ze zgrozą i współczuciem nie mają powodu do wstydu, że się bali i nie mogli pomóc. Jest to zagadnienie o znacznie szerszym zakresie. Żydzi zostali skazani i wydani przez europejską cywilizację — na długo przed Hitlerem. Hitlerizm po prostu wykonał tę najbrudniejszą robotę zleconą w dziejach. Jeśli Polacy mają powód do wstydu, to dlatego, że należą do tej cywilizacji i chyba o to właśnie chodziło Lipskiemu. Mało kto w sytuacji Polaków uczyniłby więcej dla Żydów, ale sprawę można odwrócić: getto było obozem koncentracyjnym połączonym z obozem zagłady i gdyby ofiarami tego publicznego morderstwa nie byli Żydzi, to i Polacy i prawie każdy w Europie by znacznie więcej uczynił.

Korboński popełnił też inne nieścisłości. Powstanie kwietniowe nie było „pierwszym zbrojnym wystąpieniem Żydów polskich w walce, która po wrześniu 1939 roku nie ustawała na ziemiach polskich ani przez chwilę”, Żydzi polscy brali bowiem udział w tej walce od września 1939 aż do wiosny 1945, a w samym getcie warszawskim wystąpili zbrojnie po raz pierwszy w styczniu 1943, nie dopuszczając wtedy do jego likwidacji. Żydzi warszawscy wcale nie stanowili „półmilionowej biernej masy zamkniętej murami getta”. Opór w różnych formach istniał tam cały czas, obejmując tysiące ludzi, którzy nigdy nie dostali broni oraz tysiące innych, którzy nigdy po nią nie sięgali (jak chociażby Janusz Korczak). Walkę na śmierć i życie prowadzili nawet dzieci szmuglujące żywność przez mur getta, nie tylko ci, którzy na nielegalnych zebraniach ćwiczyli obronę kultury i ducha. Była to walka o takiej samej naturze jak walka Polaków, tylko w o wiele trudniejszych warunkach.

Łącząc wyrazy szacunku,

Henryk GRYNBERG

Październik 1983.

Szanowny Panie Redaktorze,

Wobec zbliżającej się 40-ej rocznicy oswobodzenia Bolonii i Romanii przez 2-gi Korpus Polski przystąpiłem do opracowania tomu, poświęconego temu ważnemu w naszej historii wydarzeniu. Książka będzie wydana po włosku, a jeżeli znajdzie się wydawca — to i po polsku. Będzie ona zawierała następujące części: operacje wojskowe oddziałów polskich i współdziałających z nimi oddziałów włoskich; ślady i pamiątki polskości w Bolonii i Romanii pozostawione przez udział Polaków w walkach; prasa polska i włoska wobec zwycięstwa polskiego; literatura polska i włoska o udziale Polaków w wyzwoleniu tej części Włoch; studium socjologiczne o włączeniu się

Polaków do pokojowego życia we Włoszech i o drugim pokoleniu dzieci polskich (częściowo polskiego pochodzenia); ikonografia, wspomnienia polskich uczestników i włoskich świadków wydarzeń.

Byłbym Panu Redaktorowi bardzo wdzięczny za zamieszczenie w swoim piśmie niniejszego listu łącznie z prośbą o nadsyłanie pod moim adresem wspomnień osobistych, wrażeń z kontaktów z ludnością włoską, fotografii itp. nadających się do wykorzystania w powyższym wydawnictwie.

Łączę wyrazy należnego poważania i uprzejme pozdrowienia

Ryszard Kazimierz LEWAŃSKI
(prof. nadzw. języka i literatury polskiej
i prezes Akademii Mickiewiczowskiej
w Bolonii)
via Borghi Mamo 7, 40137 BOLOGNA,
Italia.
Tel.: 051 30-86-24

25 listopada 1983.

Szanowny Panie Redaktorze!

W październikowym wydaniu *Kultury* na str. 160 jest ogłoszenie, dane przez RSP. Pomost, zawiadamiające o śmierci kongresmana Larry McDonalda, który zginął na pokładzie koreańskiego samolotu, zestrzelonego przez Związek Sowiecki. Według tego ogłoszenia L. McDonald był wypróbowanym przyjacielem Polski. (Dowodu na to nie podano).

Wobec tego pozwolę sobie przytoczyć w tej sprawie w skrócie odmienne, oparte na źródłach wiadomości. L. McDonald był przewodniczącym organizacji Western Goals, założonej pod koniec 1979 roku w USA. Nie kwestionuję jej celów. W 1980 założono podobną organizację pt. Western Goals Europe, której przewodniczył Karol Sitko. Tenże K. Sitko uczestniczył w wielu spotkaniach wysiedleńców w RNF. Towarzyszył mu L. McDonald, który wygłaszał przemówienia, popierające różne dezyderaty wysiedlonych. Podam kilka przykładów. Dnia 2 maja 1982 w Kolonii odbyło się spotkanie ziomkostwa śląskiego (prezesem jest poseł do Bundestagu H. Hupka). Przemawia na nim L. McDonald. Mówi o prawie do samostanowienia dla Niemiec i o ich zjednoczeniu w wolności a nie przez finlandyzację (*AE Bulletin* Nr 2/1982, Monachium). Dnia 29 maja 1982 odbywa się w Norymbardze zjazd Niemców Sudeckich. Przemawia L. McDonald. Również dnia następnego wygłasza przemówienie na zjeździe ziomkostwa z Prus Wschodnich w Kolonii. *AE Bulletin* Nr 3/1982 umieszcza z tego sprawozdanie pt. „Prawo do samostanowienia wreszcie zwycięży. Congressman McDonald popiera żądania wysiedlonych”. Jakże to są żądania częściowo powiedział wspomniany wyżej H. Hupka po bytności Ojca Świętego w dniu 21 czerwca 1983 we Wrocławiu. „Przecież to miasto dalej nazywa się Breslau, jest stolicą Śląska, który należy do Niemiec w granicach z 1937 roku” (*Eintracht*, 25 czerwca 1983).

Niemżliwe jest chyba pogodzić przyjaźń do Polski z popieraniem żądań wysiedleńców. Albo, albo.

Z wyrazami szacunku

Stefan MARCINKOWSKI

Göteborg, 6 grudnia 1983.

Szanowny Panie Redaktorze!

Panosenie się Sowietów i ustępliwość Zachodu sugerują ponurą wizję przyszłości, a gorycz na tle świeżego zniewolenia naszego narodu sprawia, że pesymizm ten chyli się wręcz ku fatalizmowi (por. P. Zławca: *W oczach Sowietów* w nrze 434 *Kultury*). Na szczęście jednak prognozy układu sił na najbliższe dziesięciolecie nie potrzeba opierać na aktualnych nastrojach opinii i chwilowych tendencjach politycznych, ale trzeba ją opierać, i to nawet przede wszystkim, na perspektywach rozwoju techniki wojennej. Tu zaś sytuacja nie wygląda wcale pesymistycznie, a nawet, moim przynajmniej zdaniem, napawa umiarkowanym optymizmem. Plan prezydenta Reagana zbudowania systemu obrony z orbitalną bronią laserową i terytorialną bronią cząsteczkową nie dawałby sam w sobie nadziei na uwolnienie ludzkości od groźby atomowego Armageddonu, gdyby istniała pewność, że Sowiety i tu dotrzymają Stanom Zjednoczonym kroku. Potęga militarna Sowietów jest jednak wynikiem swegoistego procesu przekształcenia kraju rolniczego w przemysłowy, a przemiany cechujące następną fazę społecznego rozwoju (tzw. fazę postindustrialną) zachodzą tam z wzrastającymi oporami. I tak w dziedzinie elektroniki Związek Sowiecki wlece się jak dotąd w ogonie, stosując swą starą taktykę kradzieży i kopiowania pomysłów Zachodu. Warto wszelako zwrócić uwagę, że punkt wyjściowy jest już inny, niż gdy chodziło o kopiowanie broni nuklearnej czy rakiet. Wtedy była to kwestia poszczególnych wynalazków i punkt docelowy znało się za każdym razem z góry; przyszłość była więc w pewnym sensie zaprojektowana. Obecnie, kradnąc elementy nowej kultury technicznej, otrzymuje się obraz przyszłości daleko bardziej wyrwykowy niż ten, który posiada strona okradana. Wobec szybkości rozwoju każdy błędny krok ma nieodwracalne konsekwencje, a stałe pozostawanie w tyle musi doprowadzić do klęski na skutek samej natury broni elektronicznej. Broń ta zmieni najprawdopodobniej sens prowadzenia wojen, który dotychczas polegał na pokonaniu przeciwnika poprzez zadawanie mu strat ludzkich i materialnych (broń termonuklearna to obecnie punkt szczytowy tej tendencji). Dzięki błyskawiczności i chirurgicznej precyzji działania broni elektronicznej można będzie za jej pomocą nie tyle niszczyć, ile obezwładniać przeciwnika. Logiczny jest na przykład wniosek, że z czasem uzyskamy aparaty bezzałogowe reagujące na polu walki szybciej i precyzyjniej niż człowiek. Strony konfliktu będą wtedy używać dzisiejszych żołnierzy do programowania i zdalnego sterowania aparatów bojowych, a zwycięstwo polegać będzie na udowodnieniu przeciwnikowi, że nasze aparaty są lepsze niż jego. O ile bowiem w wojnie wyniszczającej można kontynuować działania nawet dysponując gorszym, przestarzałym uzbrojeniem (bo niszczenie i zabijanie ma sens w bezpośrednich zmaganiach ludzi), o tyle w wojnie obezwładniającej niższość uzbrojenia wyklucza w zasadzie dalszy opór. Zwycięzca może po prostu systematycznie likwidować naszą obronę, otaczać nasz kraj nieprzenikalną barierą środków elektronicznych lub razić uporczywie newralgiczne punkty naszych sieci energetycznych, komunikacyjnych i transportowych. Prędzej czy później zmusi nas do uległości, nawet jeśli nasze straty ludzkie i materiałowe będą, w porównaniu z wojną wyniszczającą, minimalne. Takie wyobrażenia o wojnie kojarzymy dziś wyłącznie z lekturą *science fiction*, ale nie należy zapominać, że elektronika rozwija się z szybkością, która zaskakuje nawet specjalistów.

Może jednak Związek Sowiecki pozostał w tyle chwilowo, jak niegdyś Stany Zjednoczone w dziedzinie pocisków balistycznych? Wydaje się to mało prawdopodobne. Rozwój elektroniki na Zachodzie związany jest nierozdzielnie ze zwielokrotnieniem swobodnego przepływu informacji, zaś monopol informacyjny w rękach elity władzy jest właśnie kamieniem węgielnym systemu sowieckiego. Pesymista odpowiada tu natychmiast, że Związek Sowiecki

rozwiąże problem swoiście, ograniczając własny rozwój elektroniki do dziedziny zbrojeń. Jest to dla mnie klasyczny przykład opierania argumentacji na naszych dotychczasowych nawykach myślowych. Przyznajemy, że rozwój elektroniki jest dla całego społeczeństwa przedsięwzięciem ekonomicznie pozytywnym, podczas gdy ograniczanie go do jednej dziedziny jest ekonomicznie negatywne, ale przywykliśmy, że Związek Sowiecki, dzięki swym olbrzymim rezerwom naturalnym, może lekceważyć prawa ekonomiczne. Rozsądniej jednak będzie uznać, że lekceważenie to ma jakieś granice i może być stosowane tylko do czasu wyczerpania rezerw. W przypadku elektroniki chodzi o skalę przemian tak wielką, że samo uzmysłowienie jej sobie następcza pewne trudności. Minister szwedzki, któremu powierzono przygotowanie wymiany przewodów miedzianych sieci telefonicznej na włókno szklane (gęstość przepływu informacji można będzie zwiększyć kilkaset razy), porównuje znaczenie tego kroku do zbudowania ongiś sieci kolei żelaznych. A przecież to zaledwie jedna z wielu przemian gospodarczych, jakie przyniesie społeczeństwu Zachodu rozwój elektroniki. Nie jest zatem przesadą twierdzić, że kraje objęte ewolucją elektroniczną znajdują się za lat kilkadziesiąt w takiej pozycji względem krajów wyłączonych z tego procesu, jaką obserwujemy teraz w układzie: kraje przemysłowe — kraje rozwijające się. Jeśli zaś Związek Sowiecki miałby stosunkowo rychło spaść do roli mocarstwa drugiej rangi, to przed koloniami Rosji otworzą się wkrótce takie same możliwości, jakie wykorzystał swego czasu kolonie Anglii.

Z poważaniem

Maciej LIPOWSKI

O PROPOZYCJI HANNY ŚWIDERSKIEJ

Wypowiedź Hanny Świderskiej w artykule „Biblioteka Polska w Londynie” zamieszczonym w lipcowo-sierpniowym (1983) numerze *Kultury* (str. 106), przesiąknięta jest poczuciem misji dziejowej i niezastąpienia, co w szczególności widoczne jest w stwierdzeniu: „na Bibliotekę spada jeszcze jeden ogromnie ważny obowiązek, którego żadna krajowa biblioteka nie jest w stanie wykonać: rejestracja (...) wydawnictw (niezależnych)”. Na ile jestem zorientowany w tej problematyce to ta wypowiedź wydaje się mocno zarozumiała. Nie wiem wprawdzie jak wiele wydawnictw dociera do Biblioteki Polskiej, ale jeśli nawet tu w kraju są problemy z gromadzeniem kompletu wydawnictw z danego miasta, to co dopiero tam w Londynie z zebraniem takich materiałów z całej Polski.

A łączenie przez Bibliotekę Polską w jednym wykazie wydawnictw czy pism ukazujących się w czasach „Solidarności” i w stanie wojennym, o czym wspomina list zamieszczony w kwietniowej *Kulturze* („List niestatego czytelnika”, str. 95), jest po prostu wielkim nieporozumieniem i błędem metodologicznym. To prawie tak jakby w jednym zestawieniu podać codzienną prasę dwudziestolecia międzywojennego z prasą konspiracji drugiej wojny światowej.

H. Świderska odważnie orzeka, że wydawnictwa niezależne to „terra incognita” dla wielkich bibliotek w Polsce, tak jakby Biblioteka Polska w Londynie była lepiej w tej tematyce zorientowana. A skąd autorka ma pewność, że pracownicy tej czy innej polskiej biblioteki nie pracują w podziemnych oficynach, i nie są tym samym dobrze w temacie zorientowani? Ja natomiast mam pewność, że pracownicy Biblioteki Polskiej w Londynie na pewno tego nie robią.

Niestety nieściśle sformułowanie „Imponujący zbiór tych wydawnictw w

Bibliotece Polskiej (...) dawno przekroczył tysiąc tytułów”, nie pozwala zorientować się czy mowa tu tylko o drukach zwartych, czy tylko o gazetkach, a może o obu razem, a także jaki okres on obejmuje.

Propozycja autorki — wydanie niepełnego katalogu na podstawie zbiorów BP — wydawnictw niezależnych — jest niedobra, ze względu na skutki jakie może spowodować jej realizacja. Przy publikacjach typu bibliografii są zawsze problemy z ich sprzedażą. Dlatego też wydanie teraz takiego jednego, mocno niekompletnego i wymieszanego katalogu zamknęłoby drogę do wydania, a raczej do rozprowadzenia w najbliższych latach, drugiego tego typu wydawnictwa. Mało kto by zwrócił uwagę że to pierwsze wydanie było wielce niereprezentatywne, a dopiero to drugie, nowe, jako pełniejsze ma wartość. Dla ludzi liczyłby się tylko temat jakie oba by poruszały: rejestracja wydawnictw niezależnych. I dla większości to pierwsze byłoby jedynym źródłem informacji, to drugie przeszłoby niezauważone.

Ponadto stwierdzenie „imponujący zbiór” wydaje mi się mocno przesadzone. Wiele prywatnych bibliotek w Polsce, nie mówiąc o archiwach czy bibliotekach instytucji podziemnych jest znacznie większych.

Na zakończenie pozwolę sobie podać trochę statystyki, która może zaciekawic Czytelników.

Ze znanych mi materiałów wynika, że w czasach przed Sierpniem — obejmujących lata 1976-1980 — wyszło w kraju w niezależnym obiegu wydawniczym a ściślej w interesującej nas jego części (bo nie liczę tu wszelkich druków typu literatury „jarmarcznej” jak horoskopy, senniki, pornografia itp., czy publikacji antysemickich itd., które były również rozprowadzane w drugim obiegu), około 300 druków zwartych pod nazwami 35 oficyn wydawniczych. W tym samym czasie ukazywało się sto kilkadziesiąt czasopism niezależnych.

Okres „Solidarności” to ponad 1.000 wydanych książek i broszur oraz około dwóch tysięcy pism niezależnych i gazetek związkowych.

A stan wojenny, to blisko 500 druków zwartych i rzędu 1,5 tysiąca tytułów gazetek podziemnych.

22 lipca 1983 roku zaczął się nowy okres. Jak długo będzie trwał? Jak się go będzie nazywać? Jakim się zamknie dorobkiem? To pytania na które trudno na razie dać odpowiedź. Ale można przypuszczać, że na pewno nie będzie to pod tym względem okres gorszy niż czasy opozycji demokratycznej.

Witold PILECKI

Szanowny Panie Redaktorze,

Nie wiem czy nie była dla Pana niespodzianką silna reakcja na mój krótki — pierwszy tego rodzaju na emigracji — artykuł poruszający zagadnienie czystości polskiego słownictwa technicznego.

W listach czytelników znajduję, o dziwo, odniesienia się do łaciny w tłumaczeniu rodowodu niektórych słów ostatnio modnych w kraju. Za Pana i moich młodych lat różnych dziś popularnych słów nie było, a przecież wpływ łaciny na słownictwo był równie mocny jak dziś. Najwyraźniej młodsze pokolenie nie zdaje sobie sprawy z tego, że nie trzeba sięgać do zamierzchłych czasów, by wyjaśnić znaczenie neologizmów, które zostały wzięte żywcem z angielskiego, a tylko pośrednio pochodzą z łaciny.

W swoim liście p. Karetta z Holandii słusznie podkreśla, że słowo *sputnik* było przez jakiś czas synonimem sztucznego satelity. Dodajmy, że słowo *kosmonauta* (w zasadzie właściwsze niż amerykańskie *astronauta*) też przeszło przez Bug i zrobiło karierę międzynarodową.

Dwa następne listy „wrzucam do kosza” bo ich autorzy pozwalają sobie na impertynencje. Z takimi ludźmi się nie polemizuje.

List czwarty: czyż nawet w „Słowniku Poprawnej Polszczyzny” (1981) na str. 823 nie podkreślono, że *unikalny* jest wyrażeniem niepoprawnym. Czego tu bronić?

Zgodzi się Pan ze mną, panie Redaktorze, że rację ma p. Trokenheim, pisząc że zapożyczanie obcych wyrazów jest nie do uniknięcia i że właśnie dlatego w prasie światowej (polskiej, francuskiej i innych) pisze się dość dużo o potrzebie dbania o to, by nie stało się to zjawiskiem nagminnym, godzącym w piękno języka ojczystego.

Przesyłam najlepsze wyrazy

Wojciech ROSTAFIŃSKI

Brema, 23 listopada 1983.

Szanowny Panie Giedroyc,

Dowiedziałem się od polskich przyjaciół, iż zostałem wymieniony w *Kulturze* nr 11/1983 na str. 122. Pragnę Panu w związku z tym jedynie zakomunikować, że nie jestem ani „przewodniczącym prokomunistycznej organizacji”, ani „b. oficerem SS”. Moim zdaniem, jako wieloletniego dziennikarza, powinien Pan korzystać w swej „Kronice niemieckiej” z informacji *poważnych*, a nie *tendencyjnych*.

Łączę wyrazy szacunku

Manfred von SCHEVEN

Szanowny Panie Redaktorze,

Adam Michnik w swym liście z więzienia zatytułowanym „Analiza i perspektywy” (*Kultura* nr 7-8/1983) robi szczególnie dla mnie ciekawą uwagę, zaczynając się od słów: „Rząd z niesłychanym rozmachem demonstruje swój rozbrat z antysemityzmem...” (str. 75). Cały ten akapit, jak i następny, powiązany z interpretacją przez Autora obchodów rocznicy wybuchu powstania w getcie, przypominał mi znamieny epizod z własnego pobytu w obozie dla internowanych w Strzebielinku/nad Jeziorem Żarnowieckim. Na początku lutego 1982 roku, będąc więźniem władz Polski Ludowej, odbyłem „rozmowę” z kapitanem Czeszkiewiczem (tak się przedstawił, dokumentując swój stopień i nazwisko legitymacją pracownika centrali Ministerstwa Spraw Wewnętrznych); pod tym właśnie nazwiskiem mój rozmówca występował w Warszawie niemal w tym samym okresie podczas rewizji czy też przesłuchań nieznanymi mi zresztą bliżej osób.

Tematem „dyskusji” były głównie zagadnienia przyszłości i przeszłości Ruchu Młodej Polski, który kapitan Czeszkiewicz kurtuazyjnie ocenił jako „prawie konstruktywny”, i którym był szczególnie zainteresowany w ramach swych policyjno-politycznych funkcji zawodowych. Nawiasem mówiąc, podobną „konwersację” ten policyjny „polityk” zaaranżował wcześniej z moimi przyjaciółmi przebywającymi w obozie w Strzebielinku: z Leszkiem Jankowskim i z Aramem Rybickim.

Uderzyła mnie wówczas swego rodzaju paraideologia, wyłaniająca się z potoku słów mego interlokutora. Czeszkiewicz w drugiej godzinie namawiania mnie do pogodzenia się z nową (od 13 grudnia 1981 roku) rzeczywistością, wszedł w problematykę, w której zdaje się czuł się mocny — w

problematykę, ogólnie mówiąc, „mniejszości narodowych w Polsce Ludowej”. I oświadczył, rozwijając swój monolog, ni mniej ni więcej (może się to komuś na Zachodzie wydać wprost nieprawdopodobne): „Niegdyś, przed laty, gdy rozpoczynałem służbę (Czeszkiewicz z wyglądu miał około 35-40 lat), powiedział mi mój starszy kolega: — 'Zobaczysz, jeszcze po latach będziemy musieli stawiać pomniki Hitlerowi za to, że uwolnił nas od Żydów'. I ja (czyli Czeszkiewicz — A.W.) muszę mu przyznać teraz rację”.

Kapitan w swej prostocie oficera do specjalnych poruczeń doszedł widocznie do wniosku, że nie jestem — podobnie jak wyżej wymienieni przyjaciele z Ruchu Młodej Polski — filosemitą. I w tym fakcie znalazł — nie sądzę jednak, iż bez konsultacji ze swymi przełożonymi w Ministerstwie — furtkę która pozwoliłaby nam na opuszczenie Strzebielinka szybko i od razu z wysoką pensją (jak niedwuznacznie sugerował). Leszek Jankowski — obecnie studenta historii Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego — Czeszkiewicz szybko uznał za „tępego”; według niego Jankowski zupełnie nie reagował na ubeckie przynęty (był przy tym poważnie chory). W obu pozostałych przypadkach — Arkadiusza „Arama” Rybickiego i moim — pozwoliliśmy kapitanowi na rozwijanie obłędnej „państwowej” — jak ją później nazwalimy, siedząc przez kilka miesięcy w tej samej celi — „doktryny”, która była dla nas wówczas poważnym źródłem informacji na temat zamiarów władz bezpieczeństwa. Myślę, że nie od rzeczy będzie przypomnieć w tym miejscu jeszcze kilka „myśli” pracownika aparatu przemocy PRL.

Czeszkiewicz zachęcał nas „do wzięcia odpowiedzialności za losy Polski” (w ścisłym oczywiście sojuszu i pod „parasolem” SB), „bo kto wie, czy Związek Sowiecki nie rozspie się za 10 lat”. Insynuował rzecz jasna, że część naszych kolegów z Ruchu Młodej Polski tę konieczność już dawno zrozumiała, i współpraca jakoby rozwijała się owocnie. Przyjrzałem się wówczas oczyma wyobraźni postaciom znanych mi agentów, usługujących wdrzeć się (często dosłownie) do Ruchu, jak np.: gdański literat Stanisław Załuski, student handlu zagranicznego Janusz Bach, czy obecnie porucznik SB w gdańskiej Komendzie Wojewódzkiej MO Piotr Jajdzewski itd., i natychmiast się uspokoiłem. Szczytem bezczelności ze strony Czeszkiewicza było jego twierdzenie, że „to my podsunęliśmy wam materiały do napisania broszury o więźniach politycznych (chodzi o wydawnictwo: „Więźniowie polityczni w Polsce Ludowej w latach 1944-1956”, Wydawnictwo Młoda Polska 1980), ale wyście nie chcieli w całości z tego skorzystać. Nasze archiwa wciąż jeszcze kryją dużo ciekawych materiałów dla historyków, potrzebujemy wielu zdolnych ludzi, którzy potrafiliby to wykorzystać dla... dobra Polski...”. Czeszkiewicz znał mój literacki pseudonim „Krzysztof Lechnicki”, nigdy bowiem nie używałem go w obawie przed ubecją lecz posługiwałem się nim ze względów czysto pisarskich.

Dla kapitana złym duchem, postacią która nie pozwalała mu z czystym sumieniem „opowiedzieć się bez reszty za R.M.P.”, był i nie wątpię, że pozostanie na zawsze — nasz przyjaciel Aleksander Hall. Nie będę tu cytował wyjątkowo niesmacznych „dowodów” kapitana na nielojalność Halla wobec politycznych i osobistych przyjaciół. Nie będę też pisał o pogardzie wobec Kościoła, zwłaszcza wobec Prymasa Glempa, która wyzierała z jego słów. Rzecz może szczególna, że w czasie tej około dwugodzinnej „rozmowy” ani razu nie padło słowo: „socjalizm”, „komunizm” lub podobne martwe określenie. Czy dlatego, że była to rozmowa osób wtajemniczonych w zagadnienie?

Mój głos, sprowokowany więzienną wypowiedzią Adama Michnika, nie jest polemiką z sądami, które napotkałem podczas lektury; jest raczej uzupełnieniem, które może pomóc — szczególnie emigracyjnemu czytelnikowi — w zrozumieniu złożoności sytuacji w Kraju. Notatka z tych „rozmów”

z Czyszkiewiczem ukazała się w maju 1982 roku w jednym z numerów podziemnego czasopisma „Solidarności”, wychodzącego w Trójmieście pod nazwą *Gdańsk* (nr 4 lub 5).

Z poważaniem

Antoni WRĘGA

New York, 5 grudnia 1983.

Szanowny Panie Redaktorze,

W numerze *Kultury* 7/430-8/431, 1983 ukazał się dopisek redakcyjny nawiązujący do artykułu p. Sławomira Susa pod tytułem: „Największy Spisek XX Wieku”.

W przypisku tym Redakcja *Kultury* stwierdza, że w Polskim Instytucie Naukowym w Ameryce wygłosił odczyt ks. Piotr Taras, profesor Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego, w którym to odczycie wyłożył poglądy identyczne z tezami „Największego Spisku”, tyle że jeszcze gwałtowniej atakujące KOR.

Musimy przede wszystkim zaznaczyć, że Zarząd Polskiego Instytutu Naukowego w Ameryce niejednokrotnie wyrażał swą opinię w sprawie KOR-u, protestując przeciw aresztowaniu jego działaczy i domagając się bezwzględnego ich wypuszczenia na wolność. Instytut stwierdza, że aresztowanie działaczy KOR-u jest oczywistym pogwałceniem ich praw obywatelskich, zagrożonych przez ustawodawstwo PRL. Deklaracje Instytutu w tej sprawie ukazywały się w prasie tutejszej i były nadawane do Polski przez amerykańskie radiostacje Voice of America i Radio Free Europe.

Powracając do odczytu ks. Tarasa, głosy protestu odezwały się już na sali, a potem w korespondencji członków Zarządu. Sprawa ta podniesiona została na następnym posiedzeniu Zarządu i była przedmiotem ostrej krytyki.

Niemniej trzeba przypomnieć, że Polski Instytut Naukowy w Ameryce służy sprawie wolnej i niezależnej nauki i swobodnej twórczości. Zarząd Instytutu nie może więc i nie chce stosować żadnej cenzury prewencyjnej. Instytut udziela swej gościny pracownikom nauki i pisarzom różnych przekonań i orientacji. Opinie wyrażane na odczytach w Instytucie bywały bardzo sprzeczne z naszymi poglądami.

Oczywiście spodziewamy się, że osoby korzystające z naszej gościny i zgody na wygłoszenie odczytu uszanują tę swobodę wypowiedzi i utrzymają ją w granicach wymogów nauki i właściwego poziomu literackiego. Instytut, w imię tych zasad, nie może być miejscem wypowiedzi emocjonalnych, niezgodnych z faktami, nie opartych na rozprawie, lub nie odpowiadających poziomowi, który jest częścią tradycji instytucji będącej kontynuatorem Polskiej Akademii Umiejętności.

Sale Instytutu nie mogą służyć jakiegokolwiek propagandzie, a tym bardziej wypowiedziom kierowanym uczuciami niechęci przeciw innym grupom etnicznym czy religijnym. Zgoda nasza czy zaproszenie do wygłoszenia odczytu opiera się na wzajemnym zaufaniu i kwalifikacjach jakimi prelegent się legitymuje. Tytuł akademicki jest zazwyczaj zapewnieniem tych kwalifikacji.

Poza tym, sam fakt odczytu nie znaczy oczywiście, że Zarząd Instytutu dzieli opinię prelegenta, że za jego słowa Instytut bierze odpowiedzialność. Zdarzają się przecież wypadki, że prelegent nie przestrzega zasad, którymi Instytut się kieruje. Przed odczytem niełatwo nam to przewidzieć. Swoboda słowa ma swe konsekwencje, a możliwość błędu nie pomniejsza ani siły ani znaczenia tej naczelną zasady.

Z poważaniem,

ZARZĄD POLSKIEGO INSTYTUTU NAUKOWEGO
W AMERYCE

ODPOWIEDZI REDAKCJI

Czytelników nadsyłających nam swoje artykuły i utwory prosimy o pamiętanie, że Redakcja nie zwraca rękopisów nie zamówionych. Wobec nawału pracy odpowiadać będziemy tylko w niniejszej rubryce.

S.L.L., USA; K.O. w Kraju; A. w Kraju; T.W., RFN; J.K., Szwecja; N., Dania; A.L., RFN; E.S., Nowa Zelandia; W.W., RFN; J.B., Kanada; J.P., Kanada; J.B., RFN; P.P. w Kraju; K.L.B., Australia;

— Z wierszy nie skorzystamy.

K.O., USA: — Wciąż wydaje nam się, że Pana miniatury prozą brak indywidualnego wyrazu. Stosunkowo najbardziej udana jest ta o suśle. J.B., Kanada: — Pana krótki „Rachunek sumienia” ujmuje szczerością, ale powiela znany już powszechnie schemat.

K.J., RFN: — Pana „wprawka estetyczna” jest rzeczywiście (jak Pan sam pisze) „ciężkawa”. „Oczy zawieszane jak girlandy nad ulicą”. „Samochodowy różaniec nawleczony na ciasność jednokierunkowej ulicy”. Tak nie można.

K.K., RFN: — Za bardzo ten „Sen działacza” jest uproszczony. Grube krechy pozostawmy propagandystom komunistycznym.

S.K., USA: — Drobną fragment powieści jest dość żywo napisany, wolelibyśmy jednak zapoznać się z całą powieścią po jej ukończeniu.

M.B., RFN: — Po przeczytaniu przysłanych 50 stron autobiografii nie zachęcamy Pana do jej kontynuowania (z myślą o druku). Wspomnienia na ogół błahy, bardzo prywatne, które mogą mieć pewną wartość tylko dla autora i bliskich mu osób.

K.L.B., Australia: — Ma Pan rację, sztuka teatralna jest bez wartości.

A.O., Szwecja: — „Migawki z pobytu w Polsce” powtarzają to, co czytaliśmy już wielokrotnie.

M.B., Francja: — Pana „obrazek” nie nadaje się niestety do druku, chociaż zawiera kilka słuszych myśli.

A.G., Francja: — Po Orwellu i innych wizjach (czy koszmarach) przyszłości trudno już na ten temat napisać coś oryginalnego.

SPROSTOWANIA

W informacji o powstałym Funduszu im. Grażyny Kuroniowej (*Kultura* nr 12/435 podaliśmy niekompletny adres rzecznika Funduszu, Seweryna Blumsztajna. Pełny jego adres brzmi: 15-17 rue Henri Ribière, apt. 504, 75019 Paris.

REDAKCJA

Chciałbym sprostować dotyczącą mnie nieścisłość w *Korespondencji z Rzymu* Dominika Morawskiego (grudniowa *Kultura*). Wydane w spornym tomie przez *Adelphi* wiersze Miłosza wybrał i przełożył — i jedno i drugie bardzo dobrze — Pietro Marchesani, polonista i tłumacz. Natomiast byłem rzeczywiście konsultowany przez dyrektora *Adelphi* w sprawie wyboru pięciu książek Miłosza, które postanowiono wydać po przyznaniu mu nagrody Nobla.

Gustaw HERLING-GRUDZIŃSKI

12 grudnia 1983

OŚWIADCZENIE

Doszło do naszej wiadomości, że w jednym z krajów polskiej diaspory, w kraju gdzie godność ludzka jest codziennie gwałcona, wydarzył się wypadek delatorstwa, który przynosi hańbę polskiemu imieniu. Tamtejsze oficjalne władze polonijne, chcąc uciszyć rodaka występującego przeciw nadużyciom władz, zademonstrowały go tajnej policji: policji, którą *Amnesty International* określa jako jedną z najbrutalniejszych na świecie.

Trudno się oprzeć smutnej refleksji historycznej: Guizot, prefekt policji paryskiej w latach Wielkiej Emigracji, skarży się w swoich pamiętnikach, że nie udało się nigdy zwerbować wśród Polaków ani jednego konfidenta do pracy w środowisku polskim.

Włodzimierz LEDÓCHOWSKI

ONA LUKAUSKAITĖ - POSKIENĖ

1906 - 1983

Czwartego grudnia 1983 roku zmarła w Szawlach Ona Lukauskaitė Poškienė (ur. w roku 1906).

Miała 77 lat, z których około 10-ciu spędziła w łagrach Workuty. Za czasów przedwojennych należała do lewicy. Po wojnie brała udział w litewskim ruchu oporu. Zostały po niej dwa tomy wierszy wydanych za czasów niepodległości i jeden tom opowiadań o „innym świecie” stalinowskich kacetów, krążący w samizdacie litewskim.

Należała do pięciu członków-założycieli litewskiej grupy Helsinki. Wraz Jurijem Orłowem i innymi była kandydatką do pokojowej nagrody Nobla. Nie poddała się nawet wtedy, gdy wszyscy inni członkowie grup helsińskich zostali uwięzieni, zmuszeni do emigracji albo do milczenia.

Była jednym z symboli litewskiego oporu. Należała do tych sprawiedliwych, każdy z których może ocalić swoje miasto, swój kraj i swoją epokę.

Mogła zniknąć bez śladu w bezimiennej mogile. Ten los Jej groził nawet w ostatnich latach życia. Jednak leży w ziemi ojczystej, i niejedno pokolenie będzie przynosiło kwiaty na Jej grób. Jest to naszym pocieszeniem.

Tomas VENCLOVA

Dokumenty

LIST WIERNYCH DO PREZYDENTA MIASTA PRZEMYŚLA

Mieszkańcy dzielnicy
Przemysł - Wilcze

Przemysł, dnia 6 sierpnia 1983 r.

Do
Pana Prezydenta Miasta Przemysła
Bogusława PRUCHNIKA
w Przemysłu

Nawiązując do pisma Pana Prezydenta z dnia 4.07.1983 r. w sprawie przekazania obiektu cerkiewnego przy ul. Wilczańskiej Polskiemu Autokefalicznemu Kościołowi Prawosławnemu — argumentującego, że wierni: greko-katolicy i rzymscy katolicy dzielnicy Wilcze nie interesowali się obiektem, co więcej — ich obojętność przyczyniła się do zupełnej ruiny obiektu oświadczamy, że powyższy zarzut nie jest zgodny z prawdą w świetle niżej podanych faktów i dokumentów:

1. Urząd Wojewódzki w Rzeszowie pismem z dnia 22.12.1947 r. — znak L.SP.III A 6/9/47 — przekazał świątynię parafii Przemysł-Błonie w osobie ks. Franciszka Twardzickiego. Z chwilą przekazania świątynia stała się miejscem kultu z racji różnych świąt i kaplicą cmentarną.

2. Prezydium Wojewódzkiej Rady Narodowej Wydział Budownictwa i Architektury w Rzeszowie dnia 28.10.1966 r. wydał decyzję o rozbiórce cerkwi na Wilczu, uzasadniając, że obiekt ten zagraża bezpieczeństwu ludzi. Zażądano oddania kluczy od cerkwi, lecz ksiądz Twardzicki nie oddał, uważając, że świątynia jest własnością Kościoła katolickiego bez względu na obrządek. Władze miejskie zamknęły świątynię — zmieniając zamki, jednak dalej odprawiano okolicznościowe nabożeństwa pod świątynią.

3. 20.01.1971 r. wierni greko-katolicy zwrócili się do najwyższych władz PRL na ręce Pana Premiera Piotra Jaroszewicza z pismami popartymi wielotysięczną liczbą podpisów, prosząc o zwrot cerkiewki.

4. W latach 70-tych ks. Twardzicki wspólnie z księżmi greko-katolickimi i przedstawicielami świeckimi robili starania w Prezydium MRN — Wydział Budownictwa i Architektury w Przemysłu o podjęcie remontu w/w cerkiewki. Delegację przyjął architekt miejski inż. Hein, który po dokonaniu wizji lokalnej w/w obiekcie zaproponował pana inż. konstruktora Tadeusza Rafalskiego celem dokonania ekspertyzy. W tym celu wykopano doły, odsłaniając fundamenty. Prace wstrzymano, ponieważ Prezydium WRN nie cofnęło decyzji o rozbiórce z roku 1966 (jak w punkcie 2).

5. Dnia 3.02.1975 r. mieszkańcy dzielnicy Przemysł - Wilcze zwrócili się z pismem do Wojewódzkiego Konserwatora w Rzeszowie o zakwalifikowanie w/w cerkwi do zabytków z możliwością przeprowadzenia koniecznego

remontu w czynnie społecznym. Otrzymano odpowiedź z dnia 11. 03. 1975 r. — znak KL.II 840/1/75 — żeby w tej sprawie zwrócić się do Miejskiego Konserwatora Zabytków w Przemyslu według kompetencji. Miejski Konserwator poza stwierdzeniem, że w/w obiekt jest zabytkiem nic więcej nie mógł nam pomóc, uzależniając dalszy bieg sprawy od decyzji władz administracyjnych.

6. W piśmie Pana Prezydenta spotykamy stwierdzenie, że w/w obiekt był dewastowany, w związku z czym władze miejskie ponosiły koszty w celu zabezpieczenia. Stwierdzamy — jak długo cerkiewka była w administracji parafii rzym. kat. Przemysł-Błonie, żadnych dewastacji nie było, a tym samym władze miejskie nie musiały ponosić żadnych kosztów.

7. Koronnym dowodem naszych starań i troski o tę świątynię było ukonstytuowanie się Społecznego Komitetu w celu remontu i konserwacji zabytkowej świątyni w Przemyslu przy ul. Wilczańskiej. Komitet powstał zgodnie z uchwałą Nr 307 Rady Ministrów z dnia 13. 09. 1966 r. w sprawie czynów społecznych. Komitet zapewniał, że będzie działał zgodnie z porządkiem prawnym PRL i w porozumieniu z konserwatorem zabytków. Członkowie Komitetu, świadomi, że nie mogą działać bez zatwierdzenia przez Prezydenta Miasta, wnieśli dnia 13. 07. 1982 r. pismo o jego zatwierdzenie. Z istoty Społecznego Komitetu wynika, że chciał on remontować i konserwować ten obiekt za fundusze społeczne i systemem gospodarczym, co zresztą niejednokrotnie oświadczaliśmy w tej sprawie, w pismach do Pana Wojewody, Urzędu d/s Wyznań w Warszawie i ks. Prymasa Polski.

Niestety, pomimo kilkakrotnego urgowania w Urzędzie Miejskim i u Wojewódzkiego Konserwatora, po dzień dzisiejszy nie otrzymano żadnej odpowiedzi, aczkolwiek przepisy Kodeksu Postępowania Administracyjnego o załatwianiu podań precyzują terminy dawania odpowiedzi.

W świetle powyższych faktów i dokumentów nie można nas obciążać zarzutem opieszałości, obojętności i zaniedbania.

Pan Prezydent w swoim piśmie stwierdza, że skorzystał z oferty Polskiego Autokefalicznego Kościoła Prawosławnego, który daje gwarancję należytego utrzymania zabytkowego obiektu. Wyżej wymienione dokumenty dowodzą, że taką gwarancję my, katolicy Przemysla obu obrządków, dawaliśmy przez cały czas istnienia Polski Ludowej.

Decyzja Pana Prezydenta w tej sprawie jest niesprawiedliwa i krzywdząca nas, bo oddaje naszą świątynię katolicką Kościołowi prawosławnemu.

Wyrazem sprzeciwu zainteresowanej tym społecznościi katolickiej Przemysla jest zebranie 848-u podpisów przedstawicieli rodzin wiernych obu obrządków. Listy z podpisami zatrzymał do swojej dyspozycji Jego Eminencja Kardynał Prymas Polski.

Prosimy uprzejmie Pana Prezydenta o ponowne, wszechstronne rozpatrzenie sprawy zabytkowej cerkwi przy ul. Wilczańskiej, anulowanie poprzedniej decyzji i przekazanie obiektu pod administrację parafii rzymskokatolickiej Przemysł-Błonie zgodnie ze wspomnianą decyzją z roku 1947 i stanem jaki istniał do roku 1966.

(podpis)

Pajtasz Włodzimierz
ul. Serbańska 4
37-700 Przemysł

(podpis)

Wasiewicz Stanisław
ul. Szańcowa 30
37-700 Przemysł

Do wiadomości:

1. Urząd do Spraw Wyznań w Warszawie
2. Sekretariat Prymasa Polski w Warszawie
3. Kuria Biskupia w Przemyslu
4. a/a

Lucja Zalewska, Chicago, IL (USA), po raz 19-ty — \$ 148,00 F.1.229,00
Bezimiennie z Heidelbergu F. 685,00
Bezimiennie, Paryż F. 100,00

DZIĘKUJEMY!

WPŁATY NA POMOC DLA WALCZĄCYCH W KRAJU ŻEBY POLSKA BYŁA POLSKĄ

Bezimiennie z Holandii — Flh 200,00	F. 544,00
Zdzisław Bau, New York — \$ 40,00	F. 332,00
Tadeusz Błaszczuk, Schwalmstadt, RFA	F. 275,50
Mieczysław Boguszewicz, Essen (RFN)	F. 303,06
Craven, Paryż dla „Wezwania”	F. 200,00
Tomasz Gołąb, Indianapolis, IN (USA) — na pomoc dla więźniów politycznych — \$ 20,75	F. 172,00
Piotr Kalinowski, Paryż — dla konserwatystów narodowych w Kraju, którzy walczą „żeby Polska była Polską”	F. 100,00
Witold Kociejowski, Oxford Mills, Ont., (Kanada) — \$ c. 20,00	F. 134,00
E. Kruisher, Zoeterwoude (Holandia) — Flh 64,00	F. 174,00
Józef Kunc, Long Beach, CA (USA) — na Fundusz Samoobrony Społecznej, po raz 23-ci i 24-ty a \$ 50,00 - \$ 100,00	F. 830,00
Kazimiera Lenkiewicz, Lidingö (Szwecja) — dla rodzin uwięzionych — Krs 300,00	F. 300,00
Czesława i Jan Seremak, Honolulu, Haiti (USA) — \$ 100,00	F. 830,00
Dr Zygmunt Stankiewicz, Sztokholm — zamiast kwiatów na grób w drugą rocznicę śmierci Matki, śp. Antoniny Stankiewicz — Krs 200,00	F. 200,00
W Redakcji „Listów do Polaków” złożyli na ruch oporu w Polsce: J. Harasiuk \$ 10,00, W. Aron \$ 5,00 — obydwaj ze Stevens Point, WI — razem: \$ 15,00	F. 125,00
Zebrane sumy (czysty dochód) ze spotkań ze Zdzisławem Najderem w dniu 7. 12. 1983 r. (odczyt pt. „Szansa Polaków”) i Tadeuszem Nowakowskim (wykład „Z Papieżem dookoła świata”) w sali parafialnej katedry św. Eryka w Sztokholmie — Krs 1.422,50	F.1.422,50
Stefania Żelichowska, Sztokholm — na pomoc dla uwięzionych — Krs 200,00	F. 200,00

WPŁATY NA NSZZ „SOLIDARNOŚĆ”

Maryvonne Beranger, Frontenay Rohan Rohan (Francja)	F. 65,00
Bezimiennie z Heidelbergu	F. 300,00
Bezimiennie RFN	F. 302,48
Grupa Działania na rzecz NSZZ „Solidarność” w Montrealu (doreczył Marek Jachacz) — \$ c. 2.000,00	F.13.400,00
W. Komosiński, Nottingham (Wielka Brytania) — dla uczczenia pamięci nieodżałowanego płk. pil. Stanisława Cwynara — na pomoc uwięzionym członkom „Solidarności” — £ 30,00	F. 360,00
Doman i Marta Rogoyscy, Washington — \$ 40,00	F. 332,00
Stowarzyszenie Przyjaciół „Solidarności” w Winnipegu (nadesłała Joanna Schetyna) — \$ c. 1.000,00	F.6.700,00
Szwajcar, Zurych — Fr. szw. 10,00	F. 38,00
Marcin Zieliński, Langen (RFN) — suma zebrana we Frankfurcie nad Menem — DM 100,00	F. 302,94

WPLATY NA FUNDUSZ DRUKARSKI IM. WŁADYSŁAWA GŁOWACKIEGO

Bezimiennie z Brisbane (Australia) — na niezależną oficynę wydawniczą	F. 863,00
A.T. (USA) — \$ 400,00	F. 3.440,00
Andrzej J. Chilecki, Kolonia (RFN) — DM 100,00	F. 305,00
Kazimiera Lenkiewicz, Lidingö (Szwecja) — Krs 200,00	F. 200,00
Janusz Mondry, Kenton, Middx (Wielka Brytania)	F. 150,00
Eugenia Piórkowska, New York — \$ 10,00	F. 83,00
Wojciech Szczygalski, Zurych — Fr. szw. 30,00	F. 114,00
Dr Anna Sztetle, Winnipeg, Man. (Kanada) — \$ c. 150,00	F. 1.010,00
Zbiórka w czasie odczytu Zdzisława Najdera i Tadeusza Nowakowskiego — Krs 601,00	F. 601,00
Stefania Żelichowska, Sztokholm — Krs 200,00	F. 200,00

Józef Lewandowski, Uppsala (Szwecja) — zamiast kwiatów na grób Joanny Koraszewskiej — na Fundusz uwiecznionych korowców i solidarnościowców F. 103,15

Biuro koordynacyjne NSZZ „Solidarność” w Brukseli potwierdza z podziękowaniem otrzymanie następujących dotacji:
od Kongresu Polonii Kanadyjskiej, dn. 18. II. 1983 r. \$ c. 19.000
od Kongresu Polonii Amerykańskiej, dn. 31. V. 1983 r. \$ 7.500
od Assistance Committee for the Human Rights Movement in Poland (Kongres Polonii Amerykańskiej), dn. 18. VIII. 83 \$ 5.000

Włoski korespondent „Kultury”: Gustaw HERLING-GRUDZIŃSKI
Napoli, via Crispi 69, — Telefon: 66 57 28.

Wydawca: INSTITUT LITTERAIRE
91, avenue de Poissy, Le Mesnil-le-Roi, 78600 Maisons-Laffitte.

Le directeur de la publication: Jerzy Giedroyc.
Commission Paritaire N° 60789.
Dépôt légal: 1^{er} trimestre 1984.

Imprimé en France

KULTURA

REDAKTOR: JERZY GIEDROYC

Adres Redakcji: 91, avenue de Poissy, Le Mesnil-le-Roi
par 78600 Maisons-Laffitte - Telefon: (3) 962-19-04

PRZEDSTAWICIELSTWA

Egz. poj.

Prenumerata

1/2-roczna

roczna

Ceny na rok 1984

AFRYKA POLUDNIOWA: Dr F. Kaluza, 214 Giovanetti Str. New Muckleneuk, Pretoria 0181

F. 36,00

F. 200,00

F. 380,00

ARGENTYNA: «Liberia Polaca», Serrano 2076, 1425 Buenos Aires

F. 36,00

F. 200,00

F. 380,00

AUSTRALIA: Księgarnia Polska VISTULA, King York House, 32 York St., 6 Floor, Suite 2, Sydney, NSW 2000 Tel. 29 1248

\$ A. 5,50

\$ A. 30,00

\$ A. 56,00

AUSTRIA: Henryk Odlanicki-Poczobut, 1011 Wien, Schönlaterngasse Nr 5/2, Stiege/Türe 14. Tel. 52-60-175

F. 36,00

F. 200,00

F. 380,00

BELGIA: Maria Rondomanska, 132, Avenue Coghen, 1180 Bruxelles. Tel.: (2) 345 08 25. Konto 310.0334324.51 w Banque de Bruxelles

F.B. 300,00

F.B. 1300,00

F.B. 2600,00

BRAZYLIA: prosimy o przesyłanie czeków do administracji «Kultury»

\$ US 5,00

\$ US 28,00

\$ US 52,00

DANIA: O. T. Zalewski, Postboks 41, 2880 Bagsvaerd

F. 36,00

F. 200,00

F. 380,00

FRANCJA: do nabycia w redakcji «Kultury» i w księgarniach polskich w Paryżu

F. 36,00

F. 200,00

F. 380,00

HOLANDIA: Mrs. J. Minkiewicz, Wielingenlaan 6, 4382 B 4 Vlissingen. Tel. (01 184) 14073, Postgiro 1379176

Fl h 15,00

Fl h 80,00

Fl h 145,00

IZRAEL: Księgarnia Polska, E. Neustein, 94, Allenby Rd., Tel-Aviv, P.O.B. 29443. Tel. 621311

F. 36,00

F. 200,00

F. 380,00

KANADA: Krystyna Krakowska, 770 Cr. Picard, Ville Brossard, P.Q. J4W 1S5. Tel. (514) 465-2362; B. Krasuski, 8 High Park Blvd., Toronto, Ont. M6R 1M4; Very rev. Donald Malinowski, 23 Coralberry Ave., Winnipeg, Man. R2V 2P2. Tel. 339-5577; Z. Micherdzinski, 285-287 Ottawa St. N., Hamilton, Ont. L8H 3Z6 Tel. 545-2115; J. Korwin Lopuszanski, 90 Hilliard Avenue, Ottawa K2E 6C2; «Polish Voice Publishing» Co., 1089 Queen St W Toronto 145 Ont Polish Alliance Press, Ltd. («Zwiastkowlec»), 1638 Bloor St. W., Toronto, Ont. M6P 1A7

\$ Can. 6,00

\$ Can. 35,00

\$ Can. 60,00

NIEMCY: St. Mikicluk, 8 München 45. Gablonzerstr. 7/1

DM 12,00

DM 70,00

DM 130,00

NORWEGIA: Br. Lubinski, Klommenstengt 8, 1500 Moss.

F. 36,00

F. 200,00

F. 380,00

SZWAJCARIA: Maria Wasung, 6, rue des Lilas, C.P. 74 1211 Geneve 7. Tel. 44-32-51. Nr konta pocztow. 12.14431

F.S. 10,00

F.S. 60,00

F.S. 110,00

SZWECJA: Norbert Zaba, Kalskärsgatan 3/IV, 115 33 Stockholm. Tel. (08) 60-15-70. Postgirokonto Nr 48 82 34-6

K.S. 36,00

K.S. 200,00

K.S. 380,00

U.S.A.: S. Dobczynski, Alma Shipping Co., 121 St. Marks Pl., New York, N.Y. 10009. Tel. 475-8886; Ada Dziewanowska, 3352 No Hackett Avenue, Milwaukee, Wis. 53211; T. Konopacki, 27437 Detroit Rd., Cleveland, Ohio, 44145 Tel. 871-48-47; Irena Kretowicz, 4254 - 34-th St., San Diego Cal. 92104. Tel. 284-6271; Krystyna Leser, 1725 - 17th St. N.W. Washington D.C. 20009; H. Koscluch, 41963 Utica Rd., Sterling HTS, MI 48078; POLONIA Bookstore, 2886 Milwaukee Avenue, Chicago, IL 60618. Tel. (312) 489-2554; Jan Wojcik, 674, Farmington Avenue, New Britain, Conn. 06053; Księgarnia Ludowa, Peoples Book Store, 5347 Chene Street, Detroit, Mich. 48211, Szwede Slavic Books 2233, El Camino Real, Palo Alto, Cal. 94302. Tel. (415) 327-5590 & 851-0748; Księgarnia «Nowego Dziennika» 21, West 38-th Street, New York, N.Y., 10018 Tel. (212) 354-0492

\$ US 5,00

\$ US 28,00

\$ US 52,00

WIELKA BRYTANIA: Orbis Books (London) Ltd., 66 Ken way Rd., London SW5 ORD Tel. (01) 370 2210

F. 36,00

F. 200,00

F. 380,00

WŁOCHY: Witold Zahorski, 00183 Roma, via Gallia 60 Int 27. Tel. 75-67-241

F. 36,00

F. 200,00

F. 380,00

W krajach niewymienionych prenumerata roczna — F. 380; półroczna — F. 200.
Przesyłka pojedynczego numeru — F. 4,50.

Należności wysyłane pocztą prosimy przekazywać na nasze konto pocztowe:
INSTITUT LITTERAIRE, 91 avenue de Poissy, Le Mesnil-le-Roi,
par 78600 MAISONS-LAFFITTE — C.C.P. PARIS 18-228-56 (z Francji)
lub C.C.P. PARIS 18-228-38 (z zagranicy).

Nowości wydawnicze

BIBLIOTEKA « KULTURY »

TOM 383 — MAREK NOWAKOWSKI

NOTATKI Z CODZIENNOŚCI

Nowy tom autora Raportu o stanie wojennym,
dotyczący życia w kraju po zniesieniu stanu wojennego.
Str. 156. Cena F. 50,00.

TOM 384 — ZESZYTY HISTORYCZNE

ZESZYT SZESZCZESIAŃ SZOSTY

Zawiera m.in. opracowania: Targowica; B. Budurowycza — *Polska i problem ukraiński w latach 1921-1925*; St. Swianiewicza — *Wspomnienia o Wiktorze Sukiennickim*; J. Nowaka — *Sprawa ppłk. Romana Umiastowskiego i Zapisy z dziennika ppłk. Umiastowskiego*; A. Steinsbergowej — *Uwagi na marginesie memoriału dr. M. Szerera*; B. Osadczyka — *50-ta rocznica wielkiego głodu na Ukrainie; Kalendarium kryzysów w PRL (1953-1980)*; bogaty dział RECENZJI; OKRUCHY HISTORII; LISTY DO REDAKCJI.

Str. 240.

Cena F. 60,00.

TOM 385 — RYSZARD BUGAJSKI

PRZESŁUCHANIE

Halucynacyjny opis metod i tortur fizycznych i psychicznych stosowanych przy przesłuchaniach w czasach stalinowskich w Polsce.
Str. 112. Cena F. 45,00.

TOM 386 — LEOPOLITA

TEKSTY CYWILNE

Pisane w okresie od 1976 do końca października 1983 pasjonujące rozważania znanego pisarza i krytyka literackiego na temat politycznej i kulturalnej rzeczywistości w kraju.

Str. 176.

Cena F. 55,00.